

Hans Hellmut Kirst

Kultura 5 i
czzerwony
poranek

Pewien generał Dariusza, kiedy w walce poległ któryś z jego żołnierzy, mówił:

„Znowu o jedną sztukę bydła mniej”.

Mężczyzna zaśmiał się. Jego śmiech brzmiał głośno, trochę przeraźliwie. Wirował w wąskim korytarzu piwnicy i zdawał się ginać w nocy, jakby zduszony za krętymi zaułkami.

— To jest rozwiązanie! — rzekł mężczyzna niemal uszczęśliwiony i znowu się roześmiał.

Z pojedynki znajdującej się w pobliżu wejścia wydobywały się bezradne przekleństwa. Zbliżały się szybkie, niespokojne kroki. Ktoś przywarł ciałem do drzwi, otworzył je i omal nie wypadł na korytarz. A więc nadzorca był zaalarmowany — nie tylko jego spokój był zagrożony, ale także życzliwość jego mocodawców.

Mężczyzna w karczerze znów się roześmiał. I teraz w jego śmiechu dźwięczała prawdziwa wesołość. Zagłuszała bez trudu jęki dochodzące z celi obok.

— Co ci jest, Grunert? — zawołał spłoszony nadzorca. Wyczuwało się w jego głosie szczerą niepokoj. Lubił więźniów, których miał pod swoim nadzorem, i nie chciał, aby musieli znosić więcej, niż to było nakazane. — Czyś ty zwa-riował?

Nawet to pytanie wypowiedział dozorca powierzonymu sobie koledze tonem zdradzającym prawdziwą troskę. Bo traktował swój urząd poważnie: ani Rosjanie, ani współwięźniowie nie mogli sobie wymarzyć lepszego nadzorcy. Od dłuższego czasu pełnił tę funkcję w karczerze obozu jenieckiego 13-7-13. Tu miał nabrać rozumu i poprawić się szczególnie oporny, leniwy lub wręcz kryminalny element. I bardzo rzadko się zdarzało, aby więźniowie z tych cel trafiali prosto na cmentarz, albowiem gorliwy nadzorca

prawie zawsze w porę rozpoznawał niebezpieczny kryzys i meldował o nim. Uważał to za powód do dumy.

Śmiech Grunerta w każdym razie mocno go zaniepokoił. Jeszcze nigdy nikt się tutaj nie śmiał! Kto tu trafił, ten jęczał, milczał, próbował go błagać albo nawet, co było całkiem bez sensu, wymyślał mu, ale jeszcze nikt nigdy się tu nie śmiał. Tutaj mógł się zdarzyć albo cud, albo szaleństwo, przy czym to ostatnie zgodnie z doświadczeniem, było o wiele bardziej prawdopodobne.

Nadzorca Krause uniósł lampę naftową. Jej światło padało przez pręty kraty — ich cienie stawały się ostrzejsze i gęstsze, im bardziej światło zbliżało się do twarzy Grunerta. Nadzorca ujrzał zycziwą twarz i ten widok go przeraził. Wydawało mu się, że widzi szydercze zadowolenie, wyzywającą, szatańską wesołość, która w alarmujący sposób podziałała na niego szokująco. Obawiał się najgorszego.

— Oślepiasz mnie — rzekł Grunert z takim spokojem, że obawy i zdenerwowanie starego znowu się wzmogły. Cofnął pospiesznie lampę i miał wrażenie, że sparzył sobie palce. Światło rzucało ostry blask na jego wykrzywioną twarz.

— Zmuszasz mnie do oglądania twojej gęby — rzekł Grunert. — Dlaczego chcesz remie za wszelką cenę rozśmieszyć?

— Jesteś chory — Krause zmusił się, aby powiedzieć to ze spokojem. Jakby był starym lekarzem domowym, który dobrodusznie namawia dzieci, aby wzięły lekarstwo. Ale jego jaskrawo oświetlona twarz zdradzała niespokojną ciekawość i z trudem hamowany lęk.

Grunert znów wybuchnął głośnym śmiechem, tak że Krause zadrżał z przerażenia. Pospiesznym ruchem skierował blade światło lampy na liczne kraty w korytarzu, jakby szybko chciał się upewnić, że nie czyhają na niego niebezpieczni, brutalni i gotowi na wszystko buntownicy. Ale inni więźniowie stali prawie nieruchomo w swych wąskich, betonowych skrzyniach, tak jak zawsze, przez całe tygodnie, czujnie i ze współczuciem przez niego nadzorowani. Nadzorca Krause spoglądał na blade, wykrzywione, bezwolne,

obojętne twarze — ten widok go uspokoił, odetchnął z ulgą.

— Jesteś szczurem, Krause — powiedział Grunert niemal dobroduszenie. — Podgryzasz wszystko, co nie może cię kopnąć. Gotów jesteś zreć gówna, byle tylko przetrwać, i twierdzić przy tym, że ci smakuje.

— Jesteś chory, Grunert — odparł Krause powoli. Wydawał się szczerze zmartwiony. Bo nie lubił, by kolega, którego nadzorował, przedwcześnie umierał. Takie wydarzenie mogło prowadzić do mylnych wniosków, zwłaszcza kiedy chodziło o tak kontrowersyjnego osobnika, jakim był ten Grunert. Teraz wyglądało na to, że ów niepoprawny, buntowniczy chłop postradał zmysły: cztery tak zwane nacierania, trzy zimne kąpiele, pięć dni bez pożywienia

— chyba było tego za wiele. Śmiał się!

— Krause — rzekł teraz Grunert przyjaźnie. — Tylko nie myśl, że się tobą brzydzę.

— Przecież spełniam tylko swój obowiązek! — zawołał Krause natychmiast. Zawołał to błagalnym tonem głosu kogoś, kto czuje się nie zrozumiany w sposób godzący w jego honor. — Wszyscy powinniście wreszcie to zrozumieć. Poświęcam się dla was. Gdyby nie ja, ktoś inny zajęłby to miejsce, ktoś, z kim nie byłoby żartów, jakiś sadysta, kryminalista, prawdziwy urzędnik od wykonywania wyroków albo nawet były podoficer.

— Mój drogi Krause — rzekł teraz Grunert łagodniej.

— Nie twierdzę, że twój widok sprawia mi przyjemność, ale że mnie bawi, to prawda. Dawniej brzydziłem się szczurami. Potem nadszedł czas, kiedy im współczułem; uważałem, że ciąży na nich klątwa Boga. Dziś jednak budzą we mnie śmiech. Nawet zaciekłość, z jaką grzebią w odpadkach, ma pewne cechy ludzkie. Swoje czynności wykonują one z wewnętrznej potrzeby i robią to z rozkoszą; słowem — czują się przy tym znakomicie. Czy nie jest to śmiechu warte?

Krause na te słowa kilkakrotnie wzruszył ramionami. Potem ociężale, z troską pokręcił głową. Chyba sprawdziło się to, czego się obawiał. Niespokojny smutek przysłonił jego wodniste oczy. Opuścił rękę z lampą, następnie odwrócił

się i poczłapał z powrotem. Jego cień był podobny do trzęsącego się worka.

Grunert zaśmiał się w ślad za nim. I ten śmiech Krause poczuł, jakby uderzył go w plecy, aż się potknął. Szybko zamknął za sobą drzwi, przekręcił dwukrotnie klucz. Sprawdził jeszcze zamknięcie. Wszystko było w porządku, więc uśmiechnął się zadowolony.

Krause poszedł do swojej budki, która również znajdowała się w piwnicy mieszczącej cele. Gorliwie i wytrwale zaczął kręcić korbką zdezelowanego telefonu polowego, pochodzącego z Wielkiej Rzeszy. Wydobywały się z niego chrapliwe, skrzeczące i skrzypiące szmery. Po pewnym czasie odezwał się telefonista dyżurujący we wspólnym punkcie łączności radzieckiej i niemieckiej komendatury obozowej. Krause zażądał połączenia z lazaretem, z dyżurną siostrą, z naczelnym lekarzem.

Odezwał się głos kobiety, który starał się być rzeczowy. Jego niskie brzmienie było jednak irytująco łagodne: kobieta jakby śpiewała, trochę z rozmarzeniem, trochę z uczuciem, tak jak śpiewa się pieśni ludowe w ciepłe wieczory. Krause zaczął szybko meldować.

W niewiele minut później przed Krausem wyłoniła się z ciemności nocy przysadzista postać. Oczekiwał lekarki przed wejściem, stojąc niemal na baczność. Trzymał teraz dwie lampy w lekko rozpostartych rękach. Światło padało na małą, wyprostowaną postać. Okazało się teraz, że tylko dlatego wydawała się przysadzista, iż ubrana była w zbyt obszerny mundur. Mocno zaciśnięty pas jakby rozdzielał ją na dwie części. Z lewej strony dyndał pistolet.

— Czy rzeczywiście chodzi o tego Grunerta? — zapytała kobieta; z jej głosu przebijała lekka nieufność. Wydawało się, że meldunek, jaki przyjęła, uznała za niewiarygodny. Ale nie przejęła się tym. Wierzyła zawsze z zasady tylko w to, co mogła zobaczyć, czego mogła dotknąć, powąchać. No i oczywiście w to, co powiedział Lenin i co napisała „Prawda”.

Miała na imię Katerina, a ogólnie nazywano ją Katją, bo tak było prościej, nie ze względu na pieszczotliwe brzmienie. Ani Rosjanom, ani tym bardziej niemieckim jeńcom

wojennym nie wpadłoby do głowy nazywać pieszczotliwie tę rubasznie zachowującą się kobietę. Przy tym ona sama nigdy nie starała się zachowywać po męsku. Kto jednak się z nią zetknął, natrafiał na trzeźwą rzeczowość. Każdego traktowała tak, jakby musiała postawić mu diagnozę. I nie było w obozie ani jednego jeńca, którego by nie widziała całkiem nagiego. Nauczyła się patrzeć na mężczyzn jak na butelki, na które należy nakleić etykiety.

— Tak jest! — rzekł Krause. — Chodzi o tego Grunerta. Powiedział to z gorliwą służbistością, ale jednocześnie rzeczowo, i sądził, że nie poczynił najmniejszej próby spoufalenia się. Stał wyprężony jak struna. — Ten sam Grunert, który na rozkaz radzieckiego komendanta miał być poddany szczególnemu traktowaniu i osadzony w pojedynce. A teraz się śmieje!

— A co go tak śmieszy? — zapytała lekarka.

Krause wzruszył ramionami. — Sam się nad tym zastanawiam — odparł. — Ten Grunert już wielokrotnie zachowywał się agresywnie i obraźliwie wobec Rosjan. Wyśmiewał ich sztandar i codzienne apele. Zapewne chciał imponować kolegom i zostać niemieckim komendantem obozu. Ten Grunert zawsze był nieobliczalny; nic dziwnego, że wreszcie dostał świra.

— Przecież on nie ma się z czego śmiać! — rzekła lekarka z przekonaniem. Energicznym ruchem wzięła lampę i poszła przodem.

Krause wyprzedził ją szybko. Otworzył drzwi wejściowe, następnie piwnicę, w której znajdowały się cele. Pospieszył przodem, wymachując lampą.

Grunert szczyrzył zęby, wyraźnie podekscytowany, jak gdyby ujrzał świętego Mikołaja, który zbliża się do niego, ciągnąc za sobą wór pełen prezentów. Uczepił się kurczowo krat, tak że widać było wyraźnie kości palców. Potem szeroko otworzył usta, jakby chciał, by go słyszano na milę.

— Heil Moskwo, towarzyszeko! — zawołał głośno. — Niech żyje wielka rewolucja bolszewicka, wielki Związek Socjalistycznych Republik Radzieckich i ich wspaniały wódz Stalin!

Lekarka jakby zeszywniała, Krause znieruchomiał. Zamarł słaby, żalorny jęk, który rozlegał się z jednej z cel w głębi wąskiego korytarza. Potem w zimnej śmierdzącej piwnicy zaległa przytłaczająca cisza. Krause szeroko otworzył usta.

— On chyba naprawdę nie jest normalny — wykrztusiła lekarka z trudem. Nabrała głęboko powietrza i dodała o wiele mocniejszym niż przedtem głosem: — Pójdzie do lazaretu!

— Zawsze był niebezpieczny — rzekł Krause bezgłośnie; przypominał podekscytowane dziecko, które potajemnie podziwia czyjś barbarzyński wyczyn. — Ale teraz chyba naprawdę dostał bzika i stał się jeszcze bardziej niebezpieczny, niż był dotychczas. Można się po nim wszystkiego spodziewać!

Ja tego nie zrobiłem — twierdził uparcie jeńiec i spoglądał czujnie na niemieckiego komendanta obozu, Kriegera. Miał smętną, zmarszczoną twarz. Jego kaprawe oczy zebrały o łaskę, ale jednocześnie zdawały się wiedzieć, że nie ma co liczyć na litość.

Karl-Heinz Krieger odwrócił się leniwie do mężczyzny, który stał za nim. Ten spokojnie uniósł rękę, jakby wyciągał ją na powitanie. Potem uderzył krótko i mocno w twarz jeńca, która drgnęła i w jednej chwili pokryła się bledością.

— Ta świnią — rzekł Krieger — to złodziej. — Powiedział to ze spokojem rybaka, który ogląda oczka sieci. — A ponieważ okradał własnych kolegów, jest szczególnie podłym złodziejem.

— I tchórzem — dodał przysadzisty mężczyzna. I ponownie uderzył w drgającą twarz jeńca. Czynił to wyraźnie bez nienawiści i wściekłości; przypominał rzeźnika, który ćwiartuje cielaka.

— Nie ukradłem chleba — skomlała twarz jeńca. Rozglądał się szukając pomocy, ale nie ujrzał nic poza deskami,

papierami, nędznym umeblowaniem, brudnym oknem i grubymi, topornymi drzwiami, za którymi świat jakby przestał istnieć.

Krieger uśmiechnął się do Pratzkego, który był jego adiutantem, a zarazem szefem policji obozowej. Był to uśmiech zdradzający człowieka wyrozumiałego. Jakby przepelniało go poczucie wyższości i wiedza na temat spraw ostatecznych: wśród tych spraw śmierć człowieka znaczyła dla niego niewiele więcej niż opadły jesienny liść.

— A więc jesteś świnią — rzekł Karl-Heinz Krieger niemal łagodnie. Pratzke skinął potakująco, położył władczo dłoń na prawym ramieniu jeńca. Temu pod ciężarem jakby ugięły się kolana, zatoczył się.

— Okradałeś kolegów i jesteś tchórzem, bo boisz się do tego przyznać. Stanowisz tym samym zagrożenie dla porządku, bez którego nie moglibyśmy egzystować; zerwałeś więź koleżeństwa, która prowadzi do tego porządku. Czy wiesz, co się u nas robi z taką świnią?

— Szlachtuje się ją — rzekł Pratzke z gotowością.

— Jestem niewinny! — wykrzyknął jeniec, twarz wykrzywiła mu się groteskowo i zsiniała. Pratzke plasnął go w twarz dłonią i zdawało się, że chce ją tam zostawić. Kiedy ją cofnął, trysnęła krew. Jeniec zatoczył się do przodu, opadł na brudną podłogę i tam pozostał.

— Niewiele potrafi znieść — rzekł Pratzke, jak gdyby się usprawiedliwiał. — Nie podoba mi się to. W końcu tu nie jest sanatorium, tu trzeba wziąć dupę w troki i przetrwać. Tchórzzy nam nie potrzeba.

Peter Pratzke był niezwykle silnym mężczyzną i niemal cierpiał, kiedy trafiał na zbyt małą wydolność mięśni przeciwnika, uważał to za niegodne jego osoby. Stałe obcowanie z tymi skomlącymi, tchórzliwymi, słabymi, mikrymi łotrykami jakby degradowało jego prawdziwą wartość. Cierpiał na myśl, że jest tu zatrudniony znacznie poniżej swojego poziomu. W takich okolicznościach nie mógł rozwinąć swych zdrowych zawodowych ambicji; a przecież już w szkole był zawsze pilnym i gorliwym uczniem, wzorem dla innych.

Na znak Kriegera Pratzke znów przystąpił do akcji. Powłókł jeńca po deskach lewą ręką, niemal leniwie, w stronę otwartych drzwi do komórki. Zostawił go tam i wrócił. Wytarł ręce o bluzę munduru. Skrzywił się przy tym niezadowolony, jakby mu kazano zjeść śledzia posypanego cukrem.

— Niech podpisze zwykłe oświadczenie — rzekł Krieger. Nie miał ochoty dłużej oglądać mrukliwej, pełnej w rzutu twarzy swego najbliższego współpracownika. Pratzke aż się palił do działania — być może teraz nadarzała się okazja, by zmobilizować swoje siły. Krieger zamyślony pa trzył przez brudne szyby na bladoszare niebo, które skła dało się jakby z rozciągniętych mokrych płacht; w powie trzu wisiało niebezpieczeństwo — czuł to w kościach.

Adiutant i funkcjonariusz policji wziął kartkę papieru leżącą przed komendantem. Chociaż dobrze znał jej treść, przeczytał ją uważnie raz jeszcze. Peter Pratzke przykładł dużą wagę do tego, by zawsze sprawiać wrażenie, że jest w porządku — przynajmniej w obecności przełożonych.

Niniejszym przyznaję się, że wielokrotnie okradałem kolegów, kradłem im żywność, a zwłaszcza chleb. Przyrzekam, że to się nigdy więcej nie powtórzy, i gotów jestem przyjąć każdą pokutę, jaką koledzy na mnie nałożą.

— To ohydne — rzekł Karl-Heinz Krieger, nie przestając spoglądać w niebo. — Powoli ogarnia mnie obrzydzenie, że musimy zajmować się takimi sprawami. Ale w końcu ponosimy odpowiedzialność za pięć tysięcy kolegów, mu simy ich bronić. Wszelkimi środkami.

Pratzke skinął głową. Jego szeroka twarz wiejskiego chłopaka, która tak często sprawiała dobroduszne wrażenie, wydawała się okazywać żywe zainteresowanie. Ale w bladych oczach malowała się obojętność, a za nią czaiła się utajona wściekłość. Znał aż nazbyt dobrze tego rodzaju oświadczenia i usprawiedliwienia. Znał na pamięć poszczególne sformułowania i sam zbyt często je powtarzał, żeby ich nie mieć po dziurki w nosie.

— Niestety, trzeba te pozornie drobne banały jak naj częściej powtarzać — rzekł Krieger. A powiedział to wyzy-

wającym tonem, dość ostro, nie odwracając przy tym głowy. Jak gdyby przemawiał do wyblakłej, surowej, otynkowanej ściany. — Sprzątanie góvien po małych świnkach to dla nas sprawa rutynowa, ale kiedy zjawia się duża dzika świnia, wtedy robi się niebezpiecznie, wtedy nie wolno nam się wahać.

Na czole Pratzkego ukazała się głęboka zmarszczka, która biegła pionowo od nasady nosa i ginęła w kędzierzawych rudych włosach. — A więc ty także nie wierzysz

— zapytał półgłosem, ale nie bez śladu szczerzej koleżeńskości — że taki gość jak Grunert się podda? Bo mnie nie mieści się to w głowie. Akurat Grunert?

— Ja się po nim niejednego spodziewam — rzekł Krieger przeciągle. — On jest niebezpieczny, ale Rosjanie także.

— Bardzo możliwe, że Rosjanie go złamali — rzekł Pratzke zamyślony. — Oni każdego złamią. W ogóle nie ma człowieka, którego by nie można złamać, kiedyś każdy się złamie. Człowiek głodny, spragniony, pobity wyśpiewa w końcu wszystko, czego od niego żądają. Za kawałek chleba, kubek wody.

— Co masz na myśli? — zapytał Krieger i powoli odwrócił głowę do Pratzkego. W jego oczach zabłysło zainteresowanie; był to zimny, bardzo daleki błysk. — Jesteś o tym przekonany?

— Oczywiście że nie — pospiesznie zapewnił Pratzke.

— Nie miałem tu na myśli ani ciebie, ani siebie. Mówiłem o takich ludziach jak Wolfgang Grunert. Ten Grunert jest niekoleżeński, nie rozumie, co to dyscyplina, i nie przykłada wagi do wielkich wartości. W gruncie rzeczy może my być zadowoleni, że Sowietci zatkali mu jego prymitywną gębę.

— Może to my powinniśmy byli to zrobić? — zastanawiał się Krieger.

— Możemy to jeszcze nadrobić — zaproponował Pratzke z gotowością. — Podwójny szew lepiej trzyma! I na szczęście Grunert nie jest facetem, który przy pierwszym ciosie w podbródek pada na dupę. Przy okazji mógłbym wreszcie całej tej zgrai pokazać, który ptaszek tu najgłośniej śpiewa.

Krieger potrząsnął głową, uśmiechając się przy tym z lekką pogardą; był jak nauczyciel gry na fortepianie, który słucha nieudolnego brzdąkania tępaka. — Grunert to pieniacz. Poza tym nie ma wyrobionego poczucia świadomości narodowej. Ale bądź co bądź jego buntownicza natura przy każdej nadarzającej się okazji stawia Sowietom kontrę. Uważam, że w tej odwadze tkwi pewnego rodzaju głupota. To mnie uspokaja i dlatego zachowałem się z rezerwą.

— Ale wybryki Grunerta nie były całkowicie po twojej myśli! — zawołał Pratzke żywo.

Znał dokładnie poglądy Kriegera i udawał, że w pełni je podziela, jak prawie każdy w tym obozie. Po jednej stronie stali Sowietci, po drugiej niemieccy jeńcy wojenni; obie strony były w dalszym ciągu wrogami, ponieważ dotychczas nie został zawarty pokój. Ci zebrani w obozie, wyselekcjonowani jeńcy stanowili dla Sowietów, a tym samym dla fabryki traktorów „Czerwony Poranek”, cenną siłę roboczą; za to Sowietci zezwalali jeńcom na dość daleko posuniętą swobodę. Rozsądek nakazywał uznać wreszcie po tylu latach niewoli pewne przywileje. Honor jednak wymagał, żeby jednocześnie zachować określony dystans. Z wrogiem się nie pakuje — mówi się tylko o tym, co najniezbędniejsze, a najlepiej wcale!

— Głupota Grunerta ma swoje dobre strony — rzekł Krieger z namysłem. — Kogoś, kto się tak eksponuje, łatwo obserwować, a tym samym mieć pod kontrolą. Nawet bym żałował, gdyby Sowietom udało się zamknąć mu gębę.

— A co będzie — wtrącił Pratzke — jeśli on przeszedł na stronę Rosjan? Co będzie, jeśli stanie się sojusznikiem Sowietów z potężną porcją władzy w zanadrzu?

— Wtedy — rzekł Krieger powoli — przestanie należeć do nas. Wtedy przestanie dla nas istnieć.

— A to oznacza w praktyce, że w ogóle przestanie istnieć!

Krieger uznał za zbędną jakąkolwiek odpowiedź; nawet nie skinął głową. Czytał na pozór w skupieniu codzienny raport. Poleciał przy tym swemu adiutantowi i szefowi policji, by wzięł od jeńca podpis.

Pratzke załatwił ten rozkaz w ciągu sześciu minut. Po tym czasie facet był gotów podpisać wszystko, co mu podsunęto — także wyrok śmierci na siebie.

Pratzke dołączył tę „notatkę służbową” do wszystkich innych, które znajdowały się już w szufladzie *Kriegera*. Niemiecki komendant skinął głową zadowolony.

— Wezwij do mnie kierownika obozu kobiecego — rozkazał.

— Tak jest! — rzekł Pratzke szczerząc zęby. Był to rozkaz, który wykonywał szczególnie chętnie; bardzo lubił chodzić do obozu kobiecego. Lubił prezentować tam swoją najwidoczniej podziwianą męskość. Nie wahał się także łączyć za każdym razem swojej obecności u „pań” z inspekcją sanitarną — bo jako prawej ręki niemieckiego komendanta obozu podlegało mu nie tylko trzydziestu mężczyzn niemieckiej policji obozowej, ale także dwie pielęgniarki i pięciu sanitariuszy zatrudnionych poza lazaretem. Pratzke udzielił jeńcowi jeszcze „krótkiej nauki” zakończonej kopniakiem w tyłek określanym jako „serdeczny”. Po czym przejrzał się w swoim kieszonkowym lusterku. Minę miał przy tym zadowoloną. Odgarnął z czoła włosy, które uważał za loki, i pospieszył do obozu kobiecego.

Tymczasem *Krieger* skończył czytanie raportu. Brzmiał on następująco:

Obóz jeńców wojennych 13-7-13

(Uwaga: liczby w nawiasach oznaczają: w tym kobiet:)

Ogólna liczba:	5237(604)
w tym:	
zarząd	
służba wewnętrzna	134(28)
kuchnia itd.	
lazaret	97 (14)
w wareszcie	17
ogółem: siła robocza	4980(562)

Krieger starannie podpisał ten meldunek, następnie wsunął go do mocno zniszczonej koperty. Tego rodzaju przedmioty codziennego użytku służyły zawsze tak długo,

dopóki się nie rozleciały. Dopiero wówczas, po długich wymówkach pisarza komendantury radzieckiej, wielkodusznie dostawali następne. Z drobiazgami obchodzono się drobiazgowo — zwykła koperta potrafiła zająć więcej uwagi niż kilka trupów. Bo koperty były rzadkością.

Pratzke zjawił się wkrótce z Simoneit. Nazywano ją powszechnie „matką” Simoneit; była kierowniczką obozu niemieckiego. Była w tym wieku, że mogła sobie pozwolić na obcesowe zachowanie; nie oczekiwano już od niej czułości i nie bez dumy pogodziła się z tym, że pośród tak wielu mężczyzn nie była obiektem pożądania. Nie odczuwała zresztą takiej potrzeby. W ciągu swojego życia zbyt gruntownie poznała mężczyzn, by ich jeszcze pożądać — nowe doświadczenia w zimnych, śmierdzących barakach obozowych nie były jej już potrzebne.

Krieger powitał ociężałą, masywną kobietę z rzeczową życzliwością. Nie mógł sobie wymarzyć lepszej współpracownicy; jak okiem sięgnąć, nie znalazłby się nikt bardziej energiczny, godny zaufania i bezproblemowy. Kobieta łączyła w sobie dobroduszność krowy z czujnością buldoga, wyrażała się bez ogródek jak wiejska akuszerka i zносиła każdą drastyczną odzywkę z kamienną twarzą gracza w skata.

— Jedna z moich podopiecznych jest w siódmym miesiącu — oświadczyła Simoneit, zanim usiadła na stołku skleconym ze skrzyni.

— Ach, te świnię! — zawołał Pratzke gniewnie.

— To nie był Rosjanin — odparła Simoneit żywo. Krieger zeszywniał i zbladł. Zmrużył z lekka oczy, jakby musiał skupić wzrok na jednym przedmiocie.

— Ten obóz chyba już niedługo zostanie rozwiązany — rzekł.

— Widocznie za bardzo się pospieszyła — oświadczyła Simoneit nieporuszona. Zastanawiała się dłuższy czas nad tą sprawą, wreszcie się z tym pogodziła. Uznała, że to nieuniknione, była pewna, że to pierwsze obozowe dziecko na pewno nie będzie ostatnim. Za kilka miesięcy, najdalej za rok lub dwa, trzeba będzie urządzić żłobek, a później może nawet powołać organizację do opieki nad dziećmi pracujących matek.

— Kto jest winien tego świństwa? — zapytał Pratzke.

— Może pan? — rzekła Simoneit. I spojrzała na strażnika tutejszego ładu z chytrym uśmiechem. Potem mrugnęła do Kriegera.

Ten jednak wciąż się nie ruszał. Jakby patrzył poprzez nią. — W ciągu pierwszych tygodni dostęp do obozu kobiecego mieli tylko komendant obozu, jego szef policji, ksiądz i tłumacz — rzekł Krieger.

— A więc to był tłumacz! — zawołał Pratzke. Powiedział to z takim przekonaniem, że oboje spojrzeli na niego ze zdziwieniem. — Bo kto był wtedy tłumaczem? Nie kto inny tylko ten Grunert!

— Wszystkie możliwe — rzekła Simoneit obojętnie. Był w niej spokój właściwy tylko kobietom, które musiały znosić mężczyzn bez cienia protestu we wszystkich sytuacjach. — Ale nie sądzę. Jeśli ten Grunert w ogóle interesował się jakąś dziewczyną, to była nią Maria.

— Nie zamierzam tego tolerować — rzekł Krieger gniewnie, wciąż jeszcze zeszywniały. Był oburzony. — Nie mogę i nie wolno mi tolerować takich rzeczy. Skutki tego są po prostu nieobliczalne. Tu nie wolno żadnemu mężczyźnie interesować się jakąkolwiek kobietą. Każę podwyższyć parkan dzielący oba obozy i podwoić straż. Jesteśmy jeńcami wojennymi, a nie klientami domu publicznego.

— Ale jednak miłość istnieje — rzekła Simoneit. — To podobno całkiem naturalna sprawa, jeśli wierzyć księżkom.

— Tutaj nic nie jest naturalne! — zawołał Krieger twardo. — W życiu, które tu prowadzimy, nic nie jest normalne. Kto według tej kobiety jest ojcem dziecka?

— Ona odmawia odpowiedzi na to pytanie, może ze wstydu, może przez ostrożność albo może myśli, że to tajemnica jej miłości.

Pratzke jakby westchnął z ulgą. Ale zarazem jakby się oburzył, bo jeśli on był ojcem, czego nie można wykluczyć, to powinien czuć się wzgardzony i poniżony; albo też jego ojcostwo nie było całkowicie pewne; uważał, że i jedno, i drugie nie przynosi mu zaszczytu.

—Już my znajdziemy tego delikwenta — rzekł groźnie. — Albo przypiszemy to Rosjanom. Ale to chyba nie ma sensu, nic z tego praktycznie nie wyniknie; po czasach masowej produkcji Sowietów u schyłku wojny kilkaset dzieci mniej albo więcej — to nie miałyby znaczenia. Najlepiej przypisać ojcostwo Grunertowi. Wtedy upieczemy dwie pieczenie na jednym ogniu.

Wolfganga Grunerta zaprowadzono pod silną strażą do budynku, gdzie znajdowała się radziecka komendantura obozu.

Obaj strażnicy mieli w rękach pistolety maszynowe i robili groźne miny. Mogli stanowić postrach dzieci i nowych ludzi; Grunert jednak uznał tylko, że wyglądają jak nie najgorsi statyści we współczesnym horrorze. Bo wśród współczesnych ludobójców byli starzy, chorowici mężczyźni o dobrodusznym ojcowskich twarzach, krzepcy młodzieńcy i usłużni egzekutorzy.

Przodem szła Katerina. Mały pistolet trząśł się u jej boku, ponieważ szła tanecznym krokiem, którego nawet workowaty mundur nie zdołał ukryć. Grunert uznał, że jest *to* widok godny uwagi, a nawet całkiem nieoczekiwany.

— W każdym razie cieszę się, że to właśnie pani towarzyszy mi w mojej ostatniej drodze — rzekł Grunert łagodnie, wyzywającym tonem.

— Doprawdy nie wiem, co mam powiedzieć komendantowi o stanie pańskiego umysłu — rzekła lekarka niechętnie.

— Uznałem błogosławieństwo systemu bolszewickiego — oświadczył Grunert. — Czy to nie jest przekonujący dowód na to, jak wspaniale funkcjonuje mój umysł?

— Chyba pan z lekka zbzikował — stwierdziła lekarka, myśląc o swojej diagnozie. — Może za ostro się z panem obeszli, w każdym razie ostrzej, niż mógł pan to znieść. Widocznie stan pańskiego zdrowia jest gorszy, niż to się na pierwszy rzut oka wydaje.

— Jestem silniejszy, niż pani sądzi — rzekł Grunert. — Chętnie poddam się każdej pani próbie.

Lekarka wyraźnie drgnęła, uniosła lekko ramiona, jak gdyby nie chciała, by Grunert ujrzał jej kark pomiędzy krótko ostrzyżonymi włosami a kołnierzem munduru. Potem odeszła na bok, przepuszczając go pomiędzy strażnikami do budynku komendantury.

W pokoju, do którego weszli, czuć było pastą do butów, zwierzęcym ciepłem i butwiejącym drewnem. Przed śląską szafą chłopską stał stół ze starą amerykańską maszyną do pisania. Drzwi do pokoju komendanta były szeroko otwarte, nikt się nie odzywał. Oboje czekali.

Czekali dość długo. Strażnicy wyglądali tak, jakby chcieli podeprzeć ściany. Katerina podeszła do okna i wyciągniętym palcem wskazującym prawej ręki ostrożnie wodziła po szybie. Może rysowała gwiazdę radziecką. Pisarz siedział przy maszynie, gotów w każdej chwili zerwać się, by pobiec po akta, albo pisać. Siedział cicho, przyczajony — widocznie komendant znajdował się już w pokoju, do którego drzwi były otwarte.

Nagle głośne kroki zdradziły jego obecność. Duży i masywny jak wielkolud, stanął nagle w drzwiach. Był nieco otyły, ale zwinny jak słoń i groźny jak lew; był w randze majora Armii Czerwonej.

Jego ryk brzmiał niemal melodyjnie; oskarżycielskim i triumfalnym ruchem wskazał na Grunerta: — To jest ten łajdak, ten drań, ten nędzny, podstępny gad, który wciąż jeszcze żyje!?

— Tak jest, panie majorze — rzekł Grunert uprzejmie.
— I nic by mnie bardziej nie ucieszyło, niż gdybym mógł powiedzieć: „towarzyszu majorze”.

Komendant osłupiał, zaniemówił na krótko; oczy błyszczały mu jak ślepie tygrysa gotującego się do skoku. Nabrał głęboko powietrza, jego brzuch przy tym prawie znikł, a klatka piersiowa wydęła się. Jego ryk był o wiele głośniejszy niż przedtem. — Należałoby tego nędznego drania oblać wodą i wystawić na mróz!

— Wczoraj miał wysoką gorączkę — wtrąciła Katerina.

— Gdyby miał choć trochę rozumu, jego temperatura byłaby zawsze normalna! — zawołał major gniewnie.

— Wejdźmy do mnie, towarzyszeko doktor — zażądał.

— Proszę mi złożyć meldunek.

Ale zanim opuścili pokój, major zatrzymał się przed strażnikami. — Uważajcie, ślamazary! Odpowiadacie za niego! Rozwalić mu łeb, gdyby chciał uciekać! Związać go jak pakunek, jeśli tylko wykona jakiś ruch, który wyda się wam podejrzany.

— Rozkaz, towarzyszeku majorze! — zawołałi strażnicy z radosną gotowością.

Major, który w ślad za Kateriną doszedł już do swego gabinetu, obejrzał się raz jeszcze; popatrzył gniewnie na swoich żołnierzy. — Tylko bez żadnych głupstw! — ryknął na nich. — Bo obędzie was ze skóry. — Po czym zatrzasnął za sobą drzwi.

Strażnicy gapili się przed siebie, szczerząc zęby. Major był człowiekiem porywczym. Niekiedy źle go rozumiano, ponieważ jego rozwlekłe medytacje uważano za rozkazy i brano zbyt dosłownie. Wskutek tego rodzaju nieporozumień, których do końca nigdy nie dało się uniknąć, obozowy cmentarz powoli się powiększał. Biorąc pod uwagę władzę, jaką major sprawował, można go było uznać za stosunkowo ludzkiego.

Po niespełna dziesięciu minutach Kateriną wróciła. Bez słowa stanęła znów przy oknie, gdzie natychmiast zaczęła dalej wykonywać swoje malunki. Grunert podszedł do niej, uprosiwszy przedtem strażników szerokim błagalnym gestem. Ci dobrotliwie szczerzyli zęby.

— Miałem nadzieję — rzekł ostrożnie — że zdobędzie się pani na wielkoduszność i zrozumienie — bo jest pani tutaj nie tylko oficerem, ale też kobietą. To pierwsze zawsze szanowałem, ale nie mogłem zapomnieć o tym drugim. Byłoby mi przykro, gdyby pani źle zrozumiała moje poprzednie szczere słowa.

— Nie mam ku temu najmniejszego powodu i wcale mi nie zależy na rozumieniu pańskich słów — odparła Kateriną niechętnie. Uniosła przy tym swój mały nos, niczym łania, która zwęszyła niebezpieczeństwo. Jej piwne oczy lśni-

ły teraz ową soczystą zielenią, jaką przybierają jodły podczas ostrej zimy.

— Mimo to powinna pani postarać się zrozumieć moją szczególną sytuację! — zawołał Grunert; przyszło mu przy tym do głowy, aby uderzyć w ojcowski ton. — Mogłoby się to opłacać. Obu stronom.

Major otworzył drzwi od gabinetu i zawołał: — Dawać mi tego łobuza! Straż niech zostanie na miejscu, sam sobie z nim poradzę. Zanim zacisnę pięść, on już będzie martwy. Jeśli usłyszycie głuchy łoskot upadku, każcie wykopać grób. No to jazda!

Wolfgang Grunert zamarkował krótki ukłon, najpierw przed doktor Kateriną, potem w kierunku komendanta. Po czym ruszył, mijając zaskoczono majora, do jego gabinetu, jakby udawał się na kolację w „Relais Bisson” w Paryżu. Major zapomniał zatrzaskać drzwi i poszedł za Grunertem dudniąc groźnie. I teraz jakby tylko czekał, że przyprowadzony do niego jeniec usiądzie na krześle. Ale na szczęście Grunertowi nie przyszło to do głowy; wiedział dobrze, że są pewne granice.

— Grunert — rzekł major, zajmując z wyniosłą godnością miejsce przy biurku. Krzesło zaskrzypiało ostrzegawczo pod jego ciężarem. — Ty coraz bardziej działasz mi na nerwy.

— Potrzebne panu nowe krzesło, panie majorze — rzekł Wolfgang Grunert; powiedział to z uprzejmym uśmiechem, który kosztował go jednak sporo wysiłku. Podobny był teraz do akrobata, który podczas zapierającego dech w piersiach, trudnego numeru zmusza się do naturalnego uśmiechu. — Przydałoby się także nowe biurko, najlepiej dębowe, takie, jakie ma dyrektor generalny u Kruppa; coś takiego załatwiłoby się w krótkim czasie, gdyby pan major sobie życzył. Czy mam powiedzieć, w jaki sposób?

— Grunert — rzekł major głosem, który brzmiał teraz u niego zupełnie niezwykle; był alarmująco cichy i groźnie skupiony. — Mogę zrozumieć, że wymyślasz na Związek Radziecki, trudno spodziewać się czegoś innego po naziście.

— Nie jestem nazistą — oświadczył Grunert natychmiast — i nigdy nim nie byłem. Zawsze byłem tylko indywidualistą.

— Jest mi całkowicie obojętne, jak sam siebie określasz — rzekł major tak samo groźnym tonem. — Dla mnie jesteś zawsze tylko tym, kogo w tobie widzę: nędznym tłumaczem, dobrym organizatorem, pożytecznym narzędziem w fabryce, i tylko dlatego, Grunert, jeszcze żyjesz. Twoje umiejętności zawsze skłaniały mnie do wyrozumiałości wobec ciebie. Ale jedno ci powiem, Grunert: gdyby przyszło ci do głowy wyśmiewać Związek Radziecki, a ja to usłyszę — wtedy koniec z tobą!

W oczach majora malował się smutek psa bernardyna, który wie, że musi ugryźć. Skrycie pragnął być usposobiony do ludzi życzliwie i przyjaźnie, całować ich i obejmować przy brzęku kieliszków i oparach wódki, wydobywających się z braterskich ust. A ponieważ bieg świata uniemożliwiał mu spełnienie tego szlachetnego pragnienia, popadał niekiedy w melancholię, a także w barbarzyńską wprost wściekłość na uwodzicieli, oszustów i wyzyskiwaczy, na dzikich oprawców i głupie ofiary.

— Dlaczego zostałem tyle razy pobity? — zapytał Grunert spokojnie, bez podniecenia, jakby prosił tylko o życzliwą informację. — Dlaczego całymi dniami nie dostawałem jedzenia? Dlaczego wepchnięto mnie do jednej z tych trumien, w których można tylko stać?

— Bo zasłużyłeś na karę. Kazałeś zmywać podłogę radzieckim sztańdarem.

— Przysięgam, że wyglądał jak szmata!

— Jesteś wystarczająco mądry, by zauważyć różnicę, Grunert. Poza tym jesteś dość chytry, by to robić całkiem świadomie.

— Zawsze mnie źle rozumieją — zapewniał Grunert niczym domokrażca, który grzecznie domaga się, by mu zaufano. — Jestem pogodny, a to ludzi wprowadza w błąd. Świat jest zbyt ponury dla takich jak ja. Ale mimo wszystko nie wierzę w to, że bolszewizm zabrania wesołości.

— Oczywiście że nie zabrania! — ryknął major oburzony. — Chętnie się weselimy! Śpiewamy wieczorami, w dni świąteczne tańczymy na ulicach. Jesteśmy cholernie szczęśliwym narodem. Zrozumiano?

Wolfgang Grunert z trudem skinął głową. Wolał nie patrzeć w twarz komendanta. Spoglądał na wymięty, trochę poplamiony mundur majora: ziemistoszare sukno, splóviała na deszczu, przesiąknięte wódką i popryskane tłuszczem, ślady krwi nie były widoczne.

— No dobrze — rzekł Grunert wreszcie — zostałem więc ukarany. Ale czy w każdym kulturalnym narodzie kara nie jest tylko środkiem? Celem zaś jest naprawienie drugiego człowieka, przywołanie go do opamiętania, oczyszczenie!

— Jesteśmy narodem kulturalnym — oświadczył major z dumą.

— Jestem nawet gotów w to uwierzyć — rzekł Grunert, nabierając tchu jak nurek, nim zanurzy się w głębinie. — Ale i pan powinien postarać się uwierzyć, że ja się zmieniłem. Powinien pan nawet przypuszczać, że się poprawiłem. I proszę jeszcze wziąć pod uwagę, że pan mnie przekonał, panie majorze, pan i pańscy towarzysze, swoimi argumentami, swym zachowaniem i poglądami. Podziwiam wyczyny narodu radzieckiego. Jestem zdania, że na dłuższą metę nie jest dobrze, byśmy żyli zawsze tylko obok siebie. Powinniśmy spróbować się porozumieć, uznać to, co jest nam wspólne, i pokonać to, co nas dzieli.

— Czy jesteś gotów dowieść, że mówisz szczerze? — zapytał major. Pochylił się do przodu, widać było napięcie; wyglądał jak gracz na wyścigach konnych, który nerwowo czeka na końcową fazę gonitwy. — Czy jesteś gotów?

— Zawsze — odparł Grunert bez chwili wahania. I nawet spojrział majorowi niemal szczerze w oczy.

— Jak mi to udowodnisz?

— Możliwie najbardziej przekonująco! Ale to całkowicie zależy od możliwości, jakie mi pan stworzy, panie majorze, a może teraz wolno mi powiedzieć: towarzyszu majorze?

— Nie jesteś ani w partii, ani w Armii Czerwonej, ani też obywatelem radzieckim — wszystkim tym możesz dopiero ewentualnie zostać, jeśli zadasz sobie trud. Wiele trudu, bardzo wiele trudu. Może i nie jesteś faszystą — a to już coś! A więc co chcesz zrobić?

Grunert zaważał się z odpowiedzią; było zbyt śmiało żądać za wiele, ale też głupio żądać za mało. Udawał, że mocno się zastanawia. Spojrzał na białą ścianę za okrągłą jak kula głową majora i na serię portretów przywódców partyjnych, które tam wisiały: Lenin i Stalin, po bratersku, ręka w rękę, przebiegła twarz pokerzysty w mundurze, jeszcze jeden umundurowany o twarzy rzeźnika, usypiająca czujność, chytra twarz Mołotowa i brodaty, po staroświecku ubrany mężczyzna spoglądający przed siebie z melancholią.

— Czajkowski — rzekł Grunert w sugestywnym zamyśleniu, a jednocześnie impulsywnie. — Nasi ludzie ledwie znają Czajkowskiego, a Gorkiego w ogóle nie.

— A więc kultura? — zapytał major i chyba nie był niemile zaskoczony. Jak gdyby lekko się uśmiechnął, ukradkiem, nieco ubawiony. — Nieźle — kultura!

— Mniej więcej — rzekł Grunert z gotowością. — Kultura jako środek służący do poprawy ogólnych warunków życia, do upiększania bytu — co automatycznie podniesie wydajność w fabryce. I nowe dębowe biurko dla pana, do tego może też należeć higieniczna latryna, koncert, jak też gra w piłkę nożną. Tak zaplanowany proces, przy sensownym poparciu, mógłby wkrótce obóz jeńców wojennych 13-7-13 przemienić w najbardziej wzorowy obóz w Związku Radzieckim. A pan, panie majorze, jest przecież jego komendantem.

— To brzmi wcale nieźle — rzekł major z wahaniem. Położył na biurku swoje kłocowate ręce rzeźnika i przyglądał się im z nabożeństwem. Był dumny ze swoich rąk, uważał je za niezwykle silne — symbol rąk robotniczych. Pomagały w budowie Związku Radzieckiego, jego obronie i zwycięstwie — może więc byłby już czas zacząć działać na rzecz piękna i blasku ojczyzny.

— Dobrze, Grunert — rzekł wreszcie. — Dam ci szansę, abyś pokazał, co potrafisz. Mam do ciebie słabość, chłopcze, ale uważaj, byś jej nie nadużył. Masz szczęście przebywać wśród ludzi, dla których kultura nie jest pustym dźwiękiem, lecz słowem, które zobowiązuje, a dla mnie osobiście czymś najbliższym. Mówię ci to, żebyś wiedział,

iż trzymam palec na cynglu, a więc jeśli zawiedziesz, będziesz miał ze mną do czynienia. Zapamiętaj to sobie! Zorganizujesz tu specjalny oddział; obok policji, służby zdrowia, wyżywienia i służby wewnętrznej będzie to piąty oddział w moim obozie. Hasło: Kultura. Twój oddział będzie się nazywał: „Kultura 5”. Skrót: „K-5”.

— K-5 — powtórzył Grunert niemal machinalnie.

Był z lekka zmieszany. Decyzja majora nastąpiła niezwykle szybko, podejrzenie szybko. Niewykluczone, że chodzi tu o jakąś pułapkę. Może komendant już od dawna ją przygotowywał, sam albo wspólnie ze swym komisarzem do spraw politycznych. Ale było też możliwe, że wyważono po prostu otwarte drzwi. Może już przed wieloma dniami lub tygodniami nadszedł z Moskwy rozkaz, którego realizacja teraz właśnie nastąpiła. Jakkolwiek było, Grunert wiedział jedno: cały oddział „Kultura 5” znajdował się na razie w jego rękach — a to było najważniejsze.

— Ten oddział K-5 — rzekł major z zadowolonym uśmiechem — nie będzie podlegał niemieckiej komendanturze obozowej, lecz bezpośrednio mnie. Jasne? Co to oznacza, wkrótce się przekonasz.

Już spisaliśmy cię na straty! — zawołał Pratzke. Powiedział to z właściwą sobie rubaszną dobrodusznnością, kiedy zobaczył Grunerta. — Miara na trumnę dla ciebie już od dawna znajduje się u stolarza. Peter Pratzke nie opuszczał żadnej nadarzającej się przyjemności. Dlatego osobiście udał się do komendantury radzieckiej, by jako szef niemieckiej policji obozowej przejąć zwolnionego aresztanta. Fakt, że można być więźniem, a mimo to dodatkowo trafić do aresztu, bawił go niezmiernie. A że przytrafiło się to właśnie Grunertowi, napełniło go wręcz radością.

— Wcześniej czy później — rzekł życzliwie do Grunerta — umrzesz śmiercią męczeńską. Bo od śmierci bohatera się wymigałeś.

— Wiem, wiem — rzekł Grunert z pobłażliwym uśmiechem.
— Najlepsi polegli na polu walki, a ty jesteś wyjątkiem.

— Kiedyś wszyscy umrzemy — rzekł Pratzke. Lubił prowadzić takie orzeźwiający rozmowy. Dla niego trup to jedynie codzienna nowa pozycja na jego liście. — Właściwie jesteśmy tutaj jakby martwi, ojczyzna spisała nas na straty.

— Jeśli już mam umrzeć — rzekł Grunert z poważną miną — to wolę umrzeć ze śmiechu.

Po krótkiej kontroli na posterunku opuścili budynek komendatury radzieckiej. Za nimi znajdowała się fabryka traktorów „Czerwony Poranek”, wielka duma kraju. Ze względu na tę fabrykę zorganizowano tutaj specjalny obóz 13-7-13. Szli w stronę dużej bramy. Za nią znajdowały się niskie baraki więzienne. Poplątane, jakby nie kończące się spirale drutu kolczastego odcinały je od reszty świata.

Niebo było blade, ziemia wydawała się szara; stratowały ją tabuny ludzi, zniszczyły resztki roślinności. Drzewa i krzewy poszły na opał, liście na tytoń, a kamienie wykorzystano jako stolki. Mgła i dym zasłaniały horyzont i jakby przyciągały deszczowe chmury. W powietrzu czuło się zapowiedź zmiany pory roku, ale nikt, kto nie miał kalendarza, nie mógłby powiedzieć, czy zbliża się wiosna, czy też zima.

Grunert i Pratzke minęli bramę obozu. Straż radziecka przepuściła ich po krótkiej kontroli. Ale niemiecki żandarm dokładnie sprawdził przepustkę zwolnionego z aresztu i lazaretu jeńca wojennego. Pratzke przyglądał się tej scenie z pobłażaniem.

Wreszcie wolno było Grunertowi wejść na teren obozu. Po obu stronach drogi ciągnęły się baraki. Z lewej strony znajdowały się: kuchnia, barak kobiecy, obok wspólna szopa, która służyła jednocześnie za kościół, dalej hala sportowa, kostnica i warsztaty. Za nimi był plac apelowy, pole ziemniaków i innych warzyw zwane „ogrodem rozkoszy”, dalej zaś cmentarz. Z prawej strony znajdowała się niemiecka komendantura obozowa z szopami na narzędzia i zapasy; dalej ciągnęło się pięć grup baraków dla mężczyzn, od A do E; każda z tych grup była przeznaczona dla około tysiąca jeńców.

Obóz przypominał plastry miodu w ulu; ściany przegrodzone były drutem kolczastym i rowami. Tylko jeden pas ziemi przeznaczono do wspólnego użytku, stanowił on ulicę obozową; ale wejść na tę ulicę wolno było tylko wówczas, jeśli wymagały tego względy służbowe. Ten, kto szedł tamtędy, widział w odległości trzech do pięciu metrów ludzi, którzy przyglądali mu się w milczeniu. Nie wolno im było zamienić ani słowa przez drut kolczasty. Zatrzymywanie się na ulicy obozowej było zakazane.

Grunert przystanął.

— Czy masz ochotę posłużyć Sowietom za cel? — zapytał Pratzke natychmiast.

— Nasze szanse są mniej więcej jeden do jednego — rzekł Grunert z wyzywającą bez troską. — Mogą trafić w ciebie, jeśli będą strzelali do mnie. W każdym razie mam zamiar zatrzymać się tu na dwie minuty.

Pratzke zaniepokoił się. Wiedział z doświadczenia, że lepiej nie zwracać na siebie uwagi posterunku. Bo Sowietci byli z zasady podejrzliwi; jeśli czegoś od razu nie skapowali, natychmiast wietrzyli podstępne wyzwanie lub ukryte zagrożenie.

— Nie możesz się tu tak po prostu zatrzymać! — zawołał Pratzke niecierpliwie.

Ale Grunert nic nie odpowiedział. Spoglądał na dziewczynę stojącą w obozie kobiecym za drutem kolczastym. Wydawało się, że widzi tylko ją jedną i nic go poza tym nie obchodzi.

Pratzke zaklął po cichu. Nie znosił bab, które okazywały swe uczucia w biały dzień, w dodatku na oczach wszystkich. A budzenie podejrzliwości Rosjan było równie głupie, jak dawanie złego przykładu stojącym tam jeńcom wojennym.

Pratzke rzucił krótkie spojrzenie w stronę najbliższego radzieckiego strażnika na wieży, który jak zwykle wydawał się spać na stojąco. Ale Pratzke wiedział z doświadczenia, że tego rodzaju posągom notorycznego zmęczenia nie wolno ufać. Toteż klnąc ukląkł i zajął się intensywnie lewym sznurowadłem, które niby się urwało.

Dziewczyna z obozu kobiet ostrożnie się poruszyła i podeszła do ogrodzenia. Była jeszcze bardzo młoda. W swej

poszarpanej odzieży wyglądała jak duże dziecko nędzarzy, które rodzice wysłali na ulicę, by tam sprzedawało tasiemki i nici. Dziewczyna zawołała po cichu: — Jesteśmy z pana dumne, panie Grunert!

— Nie ma powodu — odrzekł Grunert ostrzegawczym tonem. — To, co uważacie za odwagę, może komuś innemu wydać się głupotą. Przestańcie wreszcie używać tych górnołotnych słów! Zajmijcie się innymi sprawami. Czy jest pani zdrowa? Czy ma pani dość jedzenia?

— Jest mi całkiem dobrze — odparła dziewczyna żywo.

Grunert spojrział badawczo na szczupłą dziecięcą twarzyczkę, zobaczył duże, łagodne, smutne oczy. Twarz ta zdradzała tęsknotę i oddanie, ale nic nie wskazywało na to, że dziewczyna wie, co to jest prawdziwe oddanie. Dostała się do więzienia przed czterema laty pod zarzutem, że rzuciła nożem w niemieckiego żołnierza.

Grunert kochał tę dziewczynę; wmówił sobie, że kocha Marię jak młodszą siostrę. Był przekonany, że nikt w tym obozie nie potrzebuje opieki i obrony bardziej niż ona. I zdecydowany był chronić przed wszystkimi niebezpieczeństwami tę młodziutką, pełną nadziei na przyszłość dziewczynę.

— Dziś po obiedzie — rzekł Grunert — spróbuję się z panią zobaczyć.

— Będę czekała — odparła Maria.

— Dość tego! — zawołał Pratzke głosem policjanta. Jego energiczny okrzyk nie znosił sprzeciwu. — Zesztywniało mi już kolano. I to z powodu głupiej baby! A poza tym ten byk na górze zdaje się budzić ze swego snu!

Grunert jeszcze raz skinął głową Marii. Dziewczyna uśmiechnęła się, jej oczy zdawały się większe i ciemniejsze niż zazwyczaj. Wolfgang Grunert wyczuwał, że dziewczyna uważa go za bohatera, a co najmniej za człowieka niezwykłego, za tajemniczego rycerza wśród barbarzyńców. Było mu przykro, że będzie ją musiał rozczarować — i to zapewne już całkiem niedługo. Ale tego rozczarowania nie da się uniknąć; i było jej ono jak najbardziej potrzebne.

— Nie rób ze mną więcej takich numerów — rzekł Pratzke, kiedy znów ruszyli. — Jestem dobrodusznym facetem,

ale nie należy tego nadużywać. I od kiedy to, Grunert, interesujesz się dziećmi? Są jeszcze inne kobiety w obozie, na przykład Hannelore.

— Masz rację, że są — odparł Grunert. — Dobrze, że mi przypomniałeś o Hannelore. Powinniśmy coś dla niej zrobić. W jej stanie najlepsze byłoby spokojne miejsce i lekka praca.

— Najlepiej byłoby — rzekł Pratzke z grymasem — gdybyśmy zorganizowali akcję „pomocy dla matki i dziecka”.

Grunert przyglądał się z rosnącym zainteresowaniem temu na ogół dobrze usposobionemu oprawcy z zamiłowaniem. Z lekka spłaszczony nos w kształcie ogórka, chłopska twarz, z wyglądu niewinna, sprawiała sympatyczne wrażenie; poruszał wargami, jakby coś jadł, podbródek miał wysunięty energicznie do przodu. — A więc już wiesz — zaczął przeciągle. — Od kiedy? Od siedmiu miesięcy?

— Mój drogi przyjacielu — rzekł Pratzke dobrodusznie, ale wyraźnie z ostrzegawczą nutą. — Znam w tym obozie więcej niż pięć tysięcy ludzi i nie ma tu chyba nikogo, kto by wiedział więcej ode mnie. O tym, że Hannelore jest w siódmym miesiącu, wiem, by tak rzec, służbowo. Ale skąd ty o tym wiesz?

— Powiedziała mi — odparł Grunert z cichym triumfem w głosie.

— Dlaczego akurat tobie?

— Może dlatego, że tylko ze mną mogła szczerze rozmawiać.

— A czy powiedziała ci także, kto jest ojcem? — zapytał Pratzke z podstępny uporem.

— Czy spodziewasz się, że podam ci jego nazwisko?

— No, a jeśli nawet ci powiedziała, to co? Mogła się mylić. Mogła ci umyślnie skłamać. Może ten bękart jest Azjata?

— A gdyby się okazało, że to Pratzke? — rzekł Grunert ubawiony. — Wtedy jego ojciec będzie się musiał odpowiednio zachować. A chyba nie można wykluczyć możliwości, że to istotnie Pratzke? Co zrobisz, jeśli po obozie będzie biegало dziecko podobne do ciebie? Czy nikt ci nie

mówił, że dzieci często dziedziczą rysy twarzy po ojcach, którzy są bardzo męscy i jurni? A przecież ty jesteś taki, no nie?

Pratzkemu krew powoli nabiegła do twarzy. Nie miało to nic wspólnego ze wstydem, raczej była to daremnie ukrywana wściekłość. — Człowieku — wykrztusił wreszcie — nie wywołuj wilka z lasu. Czy ona naprawdę podała ci moje nazwisko?

Grunert milczał zagadkowo. Szedł coraz wolniej, wreszcie się zatrzymał i odwrócił, by rzucić okiem na obóz. Uśmiechnął się przy tym, jak gdyby nie miał przed sobą nędznej ściany z desek, zniszczonych przez deszcze dachów i popękanych szyb pozatykanych tekturą i blachą, lecz ładne, dobrze utrzymane przytulne domki myśliwskie pośród idyllicznego krajobrazu.

— Cholernie przykra historia — rzekł Pratzke głucho.

— Nie przeczę — przyznał mu Grunert. — Mam nadzieję, że nie wpadniesz na absurdalny pomysł, by mnie zrobić w całą tę historię. Spróbuj tylko, a wskażę świadka, który widział prawdziwego ojca „przy robocie”.

— Ja w każdym razie jestem zupełnie niewinny — zapewnił Pratzke, ale od razu wyczuł, że to zapewnienie nie brzmi zbyt przekonująco. — Wpadłem jak śliwka w kompot. Jak się z tego wykaraskać?

Grunert milczał. Zobaczył dwóch sanitariuszy, którzy nieśli chorego; miał żółtobłądą twarz i szeroko otwarte oczy; wyglądało na to, że życia pozostało mu już niewiele.

Pratzke jakby w ogóle nie widział, co się wokół niego dzieje. W tej chwili był ogromnie zaniepokojony. Gdyby powinęła mu się noga, jego pozycja byłaby zagrożona. Bo poczucie honoru komendanta obozu Kriegera było bezlitosne, gdy chodziło o z trudem wywalczoną i ugruntowaną pozycję — nie miał nic przeciwko miłości na godziny, jeśli wszystko odbywało się potajemnie, ale jeśli należało wyciągnąć konsekwencje, to je wyciągał. Zrobić kobiecie dziecko, a potem się wyprzeć i zostawić ją na lodzie — to było wykluczone!

— Nie mógłbyś mi pomóc? — zapytał Pratzke.

— Czemu nie miałbym ci pomóc — odparł Grunert

przeciągle. — W końcu to koleżeński obowiązek. Ale polega on, rzecz jasna, na wzajemności.

Na słowo „koleżeński” Pratzke podejrzliwie podniósł wzrok. Ale słowo „wzajemność” znów go uspokoiło, to była mowa, którą rozumiał. Doświadczył przecież, że nawet śmierć nie była za darmo — więc dlaczego obalenie podejrzenia o ojcostwo miało by nic nie kosztować?

— No dobrze — rzekł z gotowością — co mogę dla ciebie zrobić? Czy chcesz jakąś pracę, żebyś mógł się migać? Albo może specjalne racje żywnościowe, jeśli znów cię zamkną? Czy mam ci załatwić randkę z tą małą Marią albo wysłać list do twojej matki? A może mam pomóc ci w jakiejś sprawie z Rosjanami?

— Nic z tych rzeczy — zapewnił Grunert, udając wielkodusznego. — Nie chcę od ciebie nic poza tym, co byś i tak musiał dla mnie zrobić na twoim stanowisku, ale czego z własnej woli byś nie robił, bo twój boss będzie temu przeciwny. Przeciwny z powodu nieznamości rzeczy albo wskutek uprzedzeń, albo jeszcze z jakiegoś innego powodu.

— Jak mam to rozumieć?

— Organizuję tu nowy oddział, oddział numer pięć.

Pratzke był szczerze zdumiony. — Nabierasz mnie? Byłem pewien, że Sowietci cię wyleją z tego obozu pracy i odstawią do obozu przymusowego milczenia, ze zwykłym rygiorem; dwadzieścia pięć lat ciężkich robót.

— Wprost przeciwnie, Sowietci i ja jesteśmy teraz jedną duszą i jednym ciałem! Odkryliśmy wzajemną sympatię do siebie. I powiadam ci, trzeba to było zrobić wcześniej!

— A więc wygląda na to, że nie bujasz — rzekł Pratzke zamyślony. — Więc cię złamali! Wyrzekłeś się, że tak powiem, swojej niemieckości, jak ongiś starzy Germanie wobec chrześcijan. Krieger nie będzie tym zachwycony, podobnie jak ja; powie, że się ugiąłeś, upokorzyłeś.

— Każdy orze, jak może — rzekł Grunert niezrażony. — Jeden wyrabia sobie światopogląd, drugi produkuje dzieci — zobaczymy, kto na czym lepiej wyjdzie.

Ta uwaga wystarczyła, by Pratzkego sprowadzić na ziemię. On także najpierw mówił o koleżeństwie, potem zatrzymał się przy przysłowiu „ręka rękę myje”.

— To nie będzie takie proste — rzekł wreszcie — ale oczywiście nie zostawię cię na lodzie. Będiesz miał moje poparcie, i to pod każdym możliwym względem, nie za wsze oficjalnie, rzecz jasna, ale niezawodnie, co oczywiście musi polegać na wzajemności.

Grunert sądził, że może teraz odetchnąć z ulgą. Uczynił nowy, dość istotny krok naprzód. W osobie Pratzkego zapewnił sobie współudział ważnej części władzy, a przynajmniej jej życzliwą ochronę. Nie należało tego uważać za trwałą ugodę, ale było pożytecznym posunięciem.

— Kiedy powiesz Hannelore, że nie ja jestem ojcem jej dziecka? — zapytał Pratzke.

— Natychmiast, jeśli załatwisz mi taką samą przepustkę, jaką dotychczas mają tylko dwaj jeńcy: komendant niemiecki i ty.

— Chcesz się poruszać swobodnie po obozie i po fabryce? Ale Kriegerowi to się nie spodoba. Myślisz, że będzie się spokojnie przyglądał, jak podpiłowujesz jego tron?

— Ja nie podlegam niemieckiemu komendantowi, tylko bezpośrednio majorowi radzieckiemu. Powinieneś to z całym spokojem wytłumaczyć naszemu drogiemu Kriegerowi; niech się z tym oswoi — i jeszcze z zupełnie innymi sprawami.

— Chłopie! — zawołał Pratzke. — Czy ty zdajesz sobie sprawę, czego żądasz? Krieger spostrzeże, że chwieje się jego z takim trudem zdobyte stanowisko, a kiedy odzyska równowagę, zacznie walić na oślep. Mam nadzieję, że nie trafi przy tym kogoś niewłaściwego.

Do trzeciej grupy baraków, licząc od dużej bramy obozu, do tak zwanej grupy C, należały nory od 11 do 15. Tutaj znajdowało się owo pomieszczenie szerokości 0,90 m, długości 1,80 m i wysokości 0,6 m przydzielone Wolf gangowi Grunertowi. Wymiary te można nazwać stosunkowo wielkodusznymi; przekraczały one wymiary trumny.

Grunert załatwił sobie środkową pryczę. Obok niego, nad nim i pod nim leżało prawie stu ludzi. Należeli do brygady roboczej C-II. Ich specjalnością było montowanie misek olejowych i bloków cylindrowych do traktorów produkowanych w fabryce „Czerwony Poranek”. O tej porze prawie wszyscy spali; ludzie pracowali na nocnej zmianie i niedawno wrócili.

Obaj Wilhelmowie spoglądali na niego ze współczuciem. Leżeli obok Grunerta. Z powodu ich wzajemnej sympatii nazywano jednego Wilhelmem, a drugiego Wilhelminą, przy czym nikt dokładnie nie wiedział, któremu z nich należało przypisać imię kobiece. W każdym razie obaj byli dobrodusznymi kolegami, uczynnymi i bardzo wrażliwymi.

— Znów cię bili? — zapytał jeden z Wilhelmów zatroskany.

— Jak zawsze — odparł Grunert i opadł na koc.

— Powinieneś być na przyszłość ostrożniejszy — poradził drugi Wilhelm; był równie zatroskany jak jego przyjaciel. — Zbyt śmiało gadasz. Lepiej byś trzymał język za zębami.

— Wprost przeciwnie — rzekł Grunert przed siebie. — Prawdopodobnie w przyszłości będę mówił jeszcze więcej niż dotychczas, i to tylko dlatego, że nie wolno mi dłużej milczeć. Milczenie może zabić.

Grunert mówił cicho, jakby ogarnięty ukrytą radością; kierował te słowa jakby do zbutwiałych, zniszczonych desek nad sobą. Pomyślał, że pewnego dnia mężczyzna, który leży wyżej, spadnie na niego, bo deski się załamają. Byłoby to zabawne, jak w filmie z Charlie Chaplinem, tylko nie wiadomo, czy się śmiać, czy płakać.

— Prosiłem was obu — rzekł Grunert łagodnie — abyś cie policzyli uczestników wieczornego i porannego nabożeństwa. Zrobiliście to?

Oczywiście, że zrobili. Co prawda nie wiedzieli, jaki sens ma to liczenie. Ale ponieważ Wolfgang o to prosił jeszcze przed odsiedzeniem dwutygodniowej kary, było dla nich rzeczą oczywistą, że należy to życzenie spełnić.

Na wysokości pryczy Wolfganga znajdowało się małe okienko; szyby były tak popękane, jakby ktoś z zewnątrz

chciał poprzecinać twarz znajdującą się z drugiej strony. Z okna widać było splątane druty kolczaste, a za nimi ulicę obozową, ubitą przez dziesięć tysięcy stóp, jeszcze dalej rozdeptany plac, na którym odbywały się apele. Obok stał barak podobny do szopy, oficjalnie zwany „domem spotkań”. Tu odbywały się nabożeństwa dla wszystkich wyznań, ale także nieliczne niemieckie uroczystości obowiązkowo połączone z głęboką refleksją. Barak ten był także miejscem służącym politycznemu komisarzowi obozu do prania mózgów.

— To bardzo dziwne — powiedział jeden z Wilhelmów — ale prawie nigdy nie doszliśmy do całkowicie pewnych wyników. Może mimo wysiłków źle liczyliśmy. W każdym razie liczby prawie nigdy się nie zgadzały. Czasem mniej ludzi wracało z nabożeństwa, niż przyszło, a czasem więcej.

Wolfgang Grunert powoli się podniósł, wyraźnie zaciekawiony.

— Różnica wynosiła zawsze dwie, cztery albo sześć osób, zawsze tylko liczby parzyste, nigdy inaczej. Prawda?

— Prawda! — zawołali obaj Wilhelmwie. — Ale skąd wiesz? Jak mogłeś to przewidzieć? Co to znaczy?

— To znaczy — rzekł Wolfgang Grunert — że być może znalazłem kogoś, kogo będę mógł pouczyć, iż powinien mieć wyrzuty sumienia. W gruncie rzeczy chyba każdy je ma, ale chodzi o to, by znaleźć odpowiedni punkt zaczepienia.

— Często — rzekł jeden z Wilhelmów, kładąc przy tym dłoń na dłoni drugiego — uważa się za złe coś, co w istocie jest tylko odmiennym pojmowaniem moralności. Na świecie potrzeba więcej tolerancji.

Grunert skinął głową ze zrozumieniem; wtedy jeden z Wilhelmów, zapewne Wilhelmina, zarumienił się z wdzięcznością. Obaj przyjaciele spoglądali na siebie zadowoleni, byli radzi, że spotkali kogoś, kto był dla nich wyrozumiały. Ale Grunert machnął ręką.

— Niektórzy — rzekł — sądzą, że mają monopol na prawdę. Z takim przekonaniem można, jak uczy doświadczenie, robić najlepsze i największe interesy. A kto raz się

o tym przekonał, ten szybko zrozumie, że nie może tolerować obok siebie ludzi inaczej myślących. Początkowo uważa się ich jedynie za uciążliwą konkurencję, ale później za ludzi szczególnie niebezpiecznych. Więc się ich zamyka, knebluje im usta albo tępi — bo przeszkadzają w interesach i zakłócają sen. Faszyści nienawidzą Żydów i komunistów. Komuniści nienawidzą Amerykanów, a czasem i Żydów, jeśli wydają im się amerykańscy. Amerykanie nienawidzą Sowieców, a czasem także Żydów, jeśli nie zachowują się po superamerykańsku. Niektórzy gorliwi katolicy żałują, że nie ma już kacerów, bo nie mogą ich palić na stosie. A niektórzy protestanci spoglądają na Rzym z podobnymi uczuciami. Dla większości mahometan każdy niemahometanin jest śmierdzącym psem. A rzekomo normalni ludzie nienawidzą homoseksualistów.

— Ale my nie nienawidzimy nikogo — zapewnił jeden z Wilhelmów z niemal śmiertelną powagą. A drugi równie uroczyście skinął głową.

— Bo nie możecie sobie pozwolić na takie skrajne uczucia wobec innych — rzekł Grunert z uśmiechem i z tak rozbrajającą życzliwością, jaka charakteryzuje doświadczonych lekarzy domowych — bo jesteście w beznadziejnej mniejszości i dobrze wiecie, że to się nigdy nie zmieni. Gdybyście jednak byli w większości, silnej, panującej większości, natychmiast usiłowałibyście to, co dotąd nazywa się normalnym, uznać za sprzeczne z naturą i bezprawne.

— Jak możesz tak o nas sądzić! — zawołał jeden z Wilhelmów; trząsł się z oburzenia, jak chłopiec, którego się oskarża, że zbił szybę. Drugi Wilhelm był niemal bliski łez.

— Spokój w tym burdelu! — zawołał któryś z więźniów z wyższej pryczy. — Chcemy spać. Jeśli koniecznie musicie gadać, to idźcie do latryny.

— Przecież my cię tak bardzo szanujemy, Grunert — szepnął Wilhelm z wyrzutem. — Dlaczego chcesz nas koniecznie obrazić?

— Ja również was szanuję, przyjaciele — zapewnił Grunert. On także mówił teraz szeptem, by nie przeszkadzać śpiącym. — To, o czym mówimy, to tylko luźne myśli, czysto teoretyczne spekulacje. Ale można z nich wyciągnąć

korzyści w całkiem innym sensie. Bo to, co dla jednego jest negatywne, dla drugiego może mieć znaczenie pozytywne. Dawid pokonał Goliata, bo dobrze wiedział, jaki jest silny, i znalazł sposób, by tę siłę zdemaskować jako słabość. Mężczyzna z bicepsami może dźwigać głazy, ale mężczyzna rozumny zbuduje z nich piramidę. Spróbujmy i my czegoś podobnego. Dlatego wymyśliłem dla was coś szczególnego. Czy znacie się trochę na sztuce, na kulturze i na innych sprawach, które określa się mianem kultury?

— Ja jestem doskonałym znawcą kuchni francuskiej — rzekł jeden z Wilhelmów.

— To nieprawda — rzekł drugi Wilhelm zaskakująco kłótliwie i ogromnie energicznie. Zazwyczaj łagodny, szeptał teraz gorączkowo; wyglądało, że za chwilę wybuchnie. — Dla niego kuchnia francuska to samo co śródziemnomorska. Centrum jednak znajduje się w Lyonie.

— Zatlukę was, jeśli się nie zamkniecie! — zawołał jakiś więzień z górnej pryczy.

Wolfgang Grunert zaśmiał się po cichu. Obaj Wilhelmowie doszli znów do punktu, w którym nie mogli się pogodzić. Kiedy była mowa o chlebie, owocach, rybie lub mięsie, o rozkoszy, podróżach, a także o kulturze — nieuchronnie kończyli na swoim stałym przedmiocie sporów: na kuchni francuskiej.

— Przygotujcie się — rzekł Grunert wreszcie. — Spróbujcie się zastanowić, co można zrobić z tematem: kultura. Prawdopodobnie jutro nie będziecie już pracowali w fabryce traktorów, lecz może w czymś w rodzaju haremu. Jesteście do tego jakby stworzeni.

— Chyba jesteś zmęczony — rzekł jeden z Wilhelmów zaniepokojony. Jego wrodzona dobroduszość nie pozwoliła mu czuć się obrażonym lub tylko dotkniętym. — Masz za sobą ciężkie dni, powinieneś się przespać.

— Teraz nie ma na to czasu — rzekł Grunert. Musiał zużyć dużo energii, by się podnieść; jęknął przy tym, a twarz mu się wykrzywiła.

Nie mógł teraz, w początkowej fazie swego planu, pozwolić sobie na spokój. Znał Rosjan i to, co dziś było u nich

uroczystym przyrzeczeniem, jutro mogło okazać się pomyłką, a czasem przyjaciele z rana, wieczorem już byli trupami. Na całym świecie taki proceder uważano by za podły, bezduszny, podstępny, tutaj zaś był oznaką wielkości, siły, potęgi. Tam gdzie liczy się tylko ideologia, życie ludzkie nie ma wartości; jeśli trzeba poświęcić miliony, to kilka istnień ludzkich nie odgrywa żadnej roli.

Grunert wiedział, że jego szansą byłby czyn dokonany lub przynajmniej zauważalny pierwszy krok do owego czynu. Komendant radziecki odpowiedział na pierwszy ruch szachowy Grunerta drugim ruchem, a więc przystąpił do gry. Teraz chodziło o to, by zachęcić go do dalszej gry. A powinna to być gra, mająca dla majora urok czegoś niezwykłego, z widokami na zwycięstwo. Zobaczymy, komu uda się wykonać ostatni, decydujący ruch.

Wolfgang Grunert udał się do wewnętrznej bramy numer 3, zwanej także bramą C; należała ona do bloku baraków i prowadziła na ulicę obozową. Stojący tam wartownik, wyglądający jak zagłodzony karp, zabronił Grunertowi przejścia i odmówił mu towarzyszenia w dalszej drodze.

— Rozkaz to rozkaz — rzekł. I był zły, że musiał wciąż od nowa powtarzać jak katarynka proste zasady dobrze przemyślanego regulaminu obozowego. — Zgodnie z rozkazem nikomu nie wolno opuszczać obozu bez przepustki lub nakazu i bez towarzystwa kogoś z organów niemieckiej komendantury z białą opaską na ramieniu.

— A ponieważ ty jesteś takim organem, rozkazuję ci i żądam, abyś mi towarzyszył.

— O czymś takim — rzekł funkcjonariusz zdziwiony tym żądaniem — może zdecydować tylko komendant lub jego zastępca.

— I ja, od niedawna — rzekł Grunert stanowczym tonem. Pchnął bramę, odsunął osłupiałego policjanta i wyszedł na ulicę obozową. Ruszył od razu do wspólnej szopy będącej domem spotkań.

Policjant oprzytomniał dopiero po kilku sekundach.

— Złóż meldunek! — zawołał wściekły. — Na tym ostatecznie skręcisz sobie kark! W ciągu niespełna godziny znów trafisz do swojej celi. Gwarantuję ci to!

Grunert jakby nie dostrzegając z trudem chwytającego powietrze karpia. Ten niczym łasica ruszył biegiem w kierunku niemieckiej komendantury. Jego klapiące drewniaki wznosiły tumany kurzu. Ten stróżujący pies był ucieleśnieniem wysoce skumulowanego poczucia odpowiedzialności; nie miał wyboru, jeśli nie chciał stracić tak wygodnego miejsca. A że wpoił sobie dyscyplinę i porządek, Grunert mógł się spodziewać, że obierze ściśle służbową drogę. Jednak jego bezpośrednim przełożonym był Pratzke. A Pratzke nie uczyni teraz niczego przeciwko Grunertowi.

Grunert wszedł do pustej szopy. W kącie z tyłu stało tylko podium; w razie potrzeby szybko zamieniało się w scenę, ołtarz lub trybunę. Siedział tam teraz jeńiec, kapelan wermachtu Matthaus, i wyglądał jakby rozmyślał. Przy bliższym wejrzeniu okazało się, że śpi.

Udając wielkoduszną wyrozumiałość Sowietci postarali się dla tego obozu o chorowitego, niezwykle łagodnego duchownego; jego kazania były pełne dobroci i pokory. „Niezbadane są wyroki Boże”, mawiał przy każdej okazji. A podczas jednego ze swoich ostatnich kazań na temat słów: „Błogosławieni cichego serca”, wydawało się, że wzruszył i najwyraźniej uspokoił komisarza politycznego siedzącego w głębi szopy.

Matthaus codziennie rano i wieczorem odprawiał nabożeństwo dla wszystkich, którzy tego pragnęli. W święta radzieckie odprawiał dodatkowo uroczyste nabożeństwa z kazaniem. Niedziel dla jeńców tego obozu nie było, w niedzielę pracowano. Tam, gdzie chodziło o wykonanie planu „Czerwonego Poranka”, kończyła się tolerancja.

Tak więc Matthaus dzielił swój czas między modlitwy w szopie i posługi w lazarecie. A w kwartecie smyczkowym, który występował niekiedy przy specjalnych okazjach, grał z oddaniem drugie skrzypce. Przeważnie jednak siedział tak jak teraz na podium i spał, nabierał sił i czekał, aż będzie komuś potrzebny.

— Dzień dobry! — zawołał Grunert.

Matthaus drgnął, otwarta Biblia na jego kolanach spadła na podłogę. — Co się stało? — zawołał w półśnie. Przetarł

oczy, przejechał dłonią po twarzy i zapytał: — Co mogę dla ciebie zrobić, kolego?

— Nie zależy mi na pocieszeniu duchowym — rzekł Gru-nert i usiadł obok ołtarza. — Potrzebny mi kwartet smyczkowy, i to jako kapela taneczna.

— Jako kapela taneczna? — Matthauss był przerażony.

— Tak jest — rzekł Grunert obojętnie. — Co prawda kwartet smyczkowy nie bardzo się do takich celów nadaje, ale nie ma innego wyboru. Wzmocnimy go perkusją, dość łatwo ją zmajstrować. Mniejsze instrumenty, jak harmonijka ustna i flet, są w obozie. Instrumenty szarpane, na przykład gitara czy bałajka — ta ostatnia zastąpi nam banjo

— dadzą nam Rosjanie, zwłaszcza jak obiecamy im, że za gramy pieśń: *Wołga, Wołga* i podobne do niej wzruszające wschodnie melodie.

— Kolego Grunert — rzekł Matthauss ostrzegawczo. Podniósł przy tym żałośnie wzrok ku górze, ku prymitywnie skleconym belkom dachu; spoglądał na nie, jak gdyby miały się za chwilę zawalić. — Bardzo proszę, aby pan miał choć niewielki wzgląd na powagę mego urzędu!

— Zarządzę, by wszyscy, którzy mają ochotę pomuzykować, zgłosili się jak najszybciej do księdza i coś zegrali na próbę — rzekł Grunert i wydawało się, jakby w ogóle nie słyszał ostrzegawczych słów duchownego. — Oczywiście, wybierze ksiądz najlepszych; przy czym proszę nie być zbyt wymagającym. Proszę pamiętać, że zawsze mogą się przydać zastępcy.

— Pan chyba zapomniał — zawołał teraz Matthauss donośnym głosem kaznodziei — gdzie się pan znajduje!

— W obskurnej szopie — rzekł Grunert. — W niechlujnym obozie, w biednym, splądrowanym, głodującym kraju. Pięć tysięcy jeńców i sześćset kobiet wegetuje tu już cztery lata — teraz potrzeba im wreszcie trochę odmiany, rozrywki, wesołości.

— Potrzeba im pocieszenia, a więc słowa Bożego! — rzekł kapłan. W jego oczach malowała się łagodność i cierpienie. I jakby prosił o wybaczenie, że musi być taki surowy, dodał: — Ale jeśli pan sądzi, że trzeba coś takiego

zrobić, to niech pan przynajmniej odstąpi od absurdalnego pomysłu, abym i ja brał w tym udział.

— Właśnie tego nie mogę — oświadczył Grunert z żalem. Starał się przy tym nie patrzeć Matthausowi w oczy. — Ksiądz jest mi potrzebny; powiem też zupełnie szczerze, dlaczego. Mam zamiar odmienić życie w tym obozie. Sam jeden nie dam rady. Potrzeba mi pomocników, współpracowników, sympatyków i protektorów. Ksiądz jest tu człowiekiem szanowanym, przynajmniej przez większość jeńców. Liczą się z księdzem, darzą zaufaniem, w pewnym sensie błogosławiłby ksiądz mojej sprawie. Mówiąc prościej: potrzebny mi jest ksiądz jako pewnego rodzaju sztyld.

— Jak panu nie wstyd — wymamrotał Matthaus.

— Lepiej popierać wesołość niż rozpustę — rzekł Grunert.

Matthaus potrząsał tylko ze smutkiem siwą głową. Spoglądał na swoje wymięte, wytarte spodnie i wykoślawione buty.

— Udowodnię księdzu, że miałem prawo powiedzieć to, co właśnie powiedziałem. Zrobię wszystko, by przekabacić księdza na swoją stronę. Proszę pójść ze mną!

Karl-Heinz Krieger, niemiecki komendant obozu, widział w swojej działalności nie tylko zadanie do wykonania — w skrytości był przekonany, że wypełnia misję. Koledzy bowiem, w sytuacji, w jakiej los ich postawił, byli pozbawieni wszelkiej aktywności dającej satysfakcję. Przeważnie dreptali sennie przed siebie niczym stado owiec, myśląc tylko o jedzeniu. On natomiast pompował w nich krew, która utrzymywała ich przy życiu.

— Niech pan powie otwarcie, czego pan naprawdę chce — powiedziała Simoneit. — Powinniśmy wszyscy trochę szczerzej ze sobą rozmawiać — wówczas łatwiej by nam było się wzajemnie zrozumieć.

Przechadzali się po obozie kobiecym, bardzo blisko drutu kolczastego. Krieger użył pretekstu, że z matką Simoneit chce odbyć rutynową rozmowę. Pratzke tymczasem odgrywał rolę strażnika i osoby towarzyszącej. Znajdował się w pobliżu, przy grupie kobiet, którym najwidoczniej swym wesołym gadaniem przeszkadzał w gorliwym wykonywaniu pracy. Kobiety rozwieszały bieliznę. Pratzke przyglądał się im z miną znawcy.

— Mam kłopoty — rzekł Krieger. I zirytował się, kiedy za sznurami bielizny rozległ się śmiech.

— Wszyscy mamy kłopoty — rzekła Simoneit. — I nie widzę najmniejszej szansy pozbycia się ich. Ale pana kłopoty, panie Krieger, wydają się szczególnego rodzaju. Na pewno nie przyszedł pan tu po to tylko, by opowiedzieć mi o codziennej pracy w obozie — to już omówiliśmy wczoraj.

— Kobiety — rzekł Krieger niechętnie — wykonują delikatniejsze prace lepiej niż mężczyźni; mają subtelniejsze podejście, są o wiele zręczniejsze. Majstrowie w hali montażowej domagają się kobiecej siły roboczej. Awanturują się za każdym razem, kiedy zatrzymuję kobiety w obozie, aby wykonywały lżejsze prace. Jest też w tej sprawie odnośne zarządzenie dyrekcji zakładu. A jak uczy doświadczenie, każde zarządzenie Sowietów jest rozkazem.

— To wszystko już mi pan mówił — oświadczyła pani Simoneit. — Więc czego pan jeszcze chce?

Karl-Heinz Krieger rozejrzał się, jakby czegoś szukał. Nie wiadomo było, czy chce objąć wzrokiem obszar swojej działalności, czy też chce się jedynie przekonać, że nikt ich nie podsłuchuje.

— Co z tą Hannelore? — zapytał. — Czy już powiedziała, kto jest ojcem dziecka?

Matka Simoneit zerknęła badawczo na swego rozmówcę, który sprawiał wrażenie dziwnie zaniepokojonego. Jak zwykle nie było wiadomo, co Kriegera interesuje, bo zawsze starał się „zachować twarz”, nie w znaczeniu dalekowschodnim, raczej w znaczeniu pruskim: oznaką tego nie była uśmiechnięta obojętność, lecz chłodna, nawet ostra niedostępność.

— Czy to naprawdę takie ważne? — zapytała Simoneit spokojnie. — Dziecko Hannelore to wyłącznie jej sprawa. Jeśli nie chce zdradzić nazwiska ojca, nikt nie może jej do tego zmusić. Może nawet sama nie wie dokładnie, kto jest ojcem, może chce poczekać i ustalić to na podstawie zewnętrznego podobieństwa.

— To wstrętne, co pani mówi! — zawołał Krieger z obrzydzeniem.

— Dlaczego pan się tak unosi? — zapytała Simoneit. — Nie ma pan powodu, chyba że pan sam...

— Jak pani śmie mówić coś takiego! — zawołał Krieger z wyraźną konsternacją. Nagle spadła z jego twarzy z takim trudem utrzymywana maska, jak sztukateria ze starego muru. Zareagował jak uczciwy kupiec, któremu zarzuca się nieczyste, lichwiarskie interesy. — Sądziłem dotąd, że przynajmniej moja postawa nie budzi wątpliwości.

— Przyznaję — odparła Simoneit — że dotychczas zachowywał się pan wobec kobiet bardzo poprawnie.

— Co jest zupełnie zrozumiałe.

— Może dla pana, ale dla kogo poza tym?

— Niech pani teraz uważnie posłucha — rzekł Krieger; powiedział to bardzo dobitnie, ostrzegawczo i zarazem tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Pani nawet nie wydaje się zdziwiona tym, co mnie wprost przeraża. Nie chcę tego tłumaczyć brakiem moralności. Ale szczerze muszę przyznać, że niepokoją mnie pani poglądy. Pani chyba nie całkiem zdaje sobie sprawę z powagi sytuacji. Tu, w tym obozie, żyje pięć tysięcy mężczyzn i tylko pięćset kobiet, a więc stosunek wynosi dziesięć do jednego.

— Całkiem nieźle dla kobiet — oświadczyła Simoneit.

— Już same te liczby zabraniają nam zezwalać na jakiegokolwiek zbliżenia. Co więcej! Wymagają od nas kategorycznego utrudniania wszelkich kontaktów obu płci! Jeśli tego nie zrobimy, to niedługo będziemy tu mieli dom publiczny!

Wśród kobiet rozwieszających bieliznę rozległ się wesoły śmiech, najwidoczniej Pratzke popisywał się w najlepsze. Matka Simoneit roześmiała się także, był to jednak oschły śmiech, niemal skrzekliwy, tak jak skrzypią stare

kopuły na wieżach kościelnych. Krieger zaczerwienił się z irytacji.

— Pratzke — rzekł po chwili z widocznym wysiłkiem — wielokrotnie dowiódł, że można na nim polegać. Dobrze wie, co się z nim stanie, jeśli zlekceważy moje polecenia. Poza tym ma on spory udział w moim systemie konsekwentnego rozdziału: oddzielne stanowiska pracy dla kobiet, oddzielne kolumny marszowe, oddzielne grupy podczas nabożeństw i podczas odpoczynku. Pomiędzy mężczyznami i kobietami jest dokładnie tyle samo drutu kolczastego, ile pomiędzy nami i Rosjanami.

— I co pan przez to osiągnął? — zapytała Simoneit rozbawiona. Krieger zatrzymał się, prawą ręką ujął drut kolczasty. — Czy to znaczy — rzekł głucho — że przypadek Hannelore nie jest wyjątkiem?

— Oczywiście że nie — odparła Simoneit, a głos jej wyrażał jakby utajoną satysfakcję z powodu tak wielkiej ludzkiej witalności, której nic nie było w stanie poskromić. — Wielokrotnie natykałam się na pary miłosne w piwnicy na kartofle, w kuchni za kotłem, w baraku kąpielowym, w magazynie części zamiennych i pod plandekami przykrywającymi gotowe traktory.

— To ohydne! — zawołał Krieger oburzony. — Ohydne!

— To tylko naturalne — odparła Simoneit. — Jak najbardziej naturalne. I byłoby dobrze, gdyby pan przyjął te fakty jako coś naturalnego.

Ale widząc, że Krieger zmienił się na twarzy ze zdenerwowania, dodała łagodząco: — Oczywiście, nie uważam, że takie sprawy należy przyjmować obojętnym wzruszeniem ramion lub je popierać, ale jestem przekonana, że nie da się ich całkowicie uniknąć.

Karl-Heinz znał życie. Szokował go nie tyle sam fakt, ile to, że nawet na jego terenie tak łatwo mogło dochodzić do kontaktów między kobietami i mężczyznami. Był bowiem zdania, że nawet w tak skomplikowanej sytuacji może polegać na sile jasnego, jednoznacznego rozkazu.

Blady na twarzy wypuścił z ręki drut kolczasty. Trochę krwi pokazało się pomiędzy palcami. Spojrzał na to z obrzydzeniem i z pewnym niepokojem. Nie bał się

śmierci, ale zakażenia krwi. Śmiech kobiet za sznurami bielizny odebrał jako wyzywający, a okazywana otwarcie pogodna ciekawość Simoneit irytowała go.

Odwrócił się energicznie, zostawił Simoneit i ruszył w stronę irytująco wesołych kobiet. Pochylał się przy tym wielokrotnie, by nie zetknąć się z określaną jako „intymną” damską bielizną. I teraz jego twarz znów zmieniła wyraz, znów była odprężona, nabrała blasku wyższości. Kąciki ust ułożyły się w chłodny, rzeczowy uśmiech ojcowskiego przełożonego.

— Kiedy się was słucha — zawołał niemal gniewnie, choć dobrodusznie — można by pomyśleć, że jesteście na odpuście, a nie w obozie jenieckim.

Zatrzymał się przed czterema kobietami. W środku stał Pratzke, jakby pozował do rodzinnego zdjęcia. Na widok Kriegera natychmiast przybrał postawę na baczność i rzekł: — Gdybyś słyszał to wszystko, szefie, też byś pękał ze śmiechu.

Kobiety w swych watowanych spodniach i kurtkach wyglądały jak spłowiałe, zakurzone manekiny. Wpatrywały się w Kriegera. Dopiero po kilku sekundach mężczyzna zorientował się, że go taksowały, a w dodatku, jak mu się zdawało, dość bezczelnie i jednoznacznie. Widziały w nim nie komendanta, jak się spodziewał, lecz mężczyznę; jego zdaniem w ich oczach malował się pewien rodzaj głodu. Nawet mała Maria nie była wyjątkiem, i to go rozzłościło.

— Również wesołość można okazywać z godnością — rzekł wreszcie. — Głośny śmiech chyba nie jest stosowny w sytuacji, w jakiej się znajdujemy. — Mówiąc to, uważnie przyglądał się Marii, jakby chciał wysondować, czy ona go zrozumiała. — Prawdziwa wesołość to sprawa serca.

— To, z czego się śmiejemy — oświadczył Pratzke — to coś więcej niż zwykła wesołość, to coś tak zabawnego, że aż zbija z nóg.

— Jeśli pan tak to ujmuje, panie Pratzke — rzekła teraz Maria z oburzeniem — to wstyd mi za pana.

— A cóż to za ton? — zapytał Krieger, nie tylko zdumiony taką dziecinną odwagą, ale także zaniepokojony.

— Maria jest jeszcze bardzo młoda — powiedziała pani Simoneit, która stała teraz za Kriegerem. — Tylko młodość może sobie pozwolić na taki beztroski luksus szczerości.

— Ta mała — oświadczył Pratzke niezrażony i najwidoczniej wciąż jeszcze ubawiony — ma bardzo zabawne poglądy. Twierdzi z całą stanowczością, że jedynym człowiekiem w obozie, którego dotychczas nie złamano, jest kolega Grunert. Jest on bohaterem jej młodzieńczych marzeń.

— Powiedziałam już: ona jest jeszcze bardzo młoda — Simoneit skinęła Marii przyjaźnie głową.

— Sowieci traktują nas jak zwierzęta — rzekła Maria gorączkowo — a wy to znosicie! Pełzacie przed nimi na kolanach, staliście się szmatami, tchórzami, wszyscy prócz Wolfganga Grunerta. Tylko on wyśmiewał się z Sowietów. On jeden odważył się na szczerze słowa, on jeden wdał się w dyskusję z komendantem. On także oświadczył radzieckiemu komendantowi, że nasze wyżywienie to żarcie dla świń. I użył flagi radzieckiej do zmywania podłogi.

— Jesteś naprawdę jeszcze bardzo młoda, Mario — rzekł Krieger.

— Ale nie jestem już małym dzieckiem! — zawołała Maria z oburzeniem. — I pan także powinien wreszcie przestać traktować mnie jak dziecko. Nie życzę sobie, by mówiono do mnie „ty”, słyszy pan? Mam dziewiętnaście lat!

— Już dobrze, Mario — rzekł Krieger mitygująco. Był teraz w pełni świadomy swej roli jako niemiecki komendant obozu. Dotąd nie zwracał uwagi na tę dziewczynę i dlatego nie miał pojęcia, jak bardzo mogła być niebezpieczna. Było to niebezpieczeństwo, jakie tkwi w młodzieży, która nie ma żadnego wzorca zachowań, jest jak drzewo, którego pęd do wzrastania jest większy niż siła, jaką może dać gleba, w której je posadzono. Należało więc przyciąć je rozsądnie, z rutyną ogrodnika.

— U nas każdy może myśleć i mówić, co chce, przyjąwszy oczywiście, że podporządkuje się wspólnocie. A może pani wywody są zapowiedzią szczególnych żądań natury praktycznej?

— Oczywiście — rzekła Maria zaskakująco mocno i żywo. — Żądam, i wiele kobiet podziela moje zdanie, żebyśmy wszyscy uznali naszą solidarność z Grunertem. Jeśli spadnie mu włos z głowy, będziemy wszystkie go bronić. Będziemy protestować, strajkować, zmusimy Sowietów, by go sprawiedliwie traktowali.

— Ta mała jest zakochana w Grunercie, to jasne — stwierdził Pratzke z satysfakcją i z rosnącym zainteresowaniem. Usiłował ocenić jej szczególne zalety, ale jej niezgrabna odzież nie pozwalała na to. „Te baby — myślał — są tutaj jak koty, które trzeba kupować w worku”.

— Nie! — zawołała Maria gorączkowo po chwili przerażenia. — To nieprawda! Nie kocham Wolfganga Grunerta — ja go tylko uwielbiam. I nie ja jedna. Ale on na to za służył. — Łzy popłynęły po jej rozgorączkowanej twarzy. Odwróciła się gwałtownie i uciekła, a wyglądało to tak, jakby biegła prosto na druty kolczaste. Zatrzymała się jednak w porę i spoglądała na brudne deski baraków po drugiej stronie ogrodu.

— Mario — rzekł Krieger, starając się być wyrozumiałym i szczerym doradcą. — Nie chciałbym, by pani i pani koleżanki opacznie rozumiały naszą sytuację. To byłoby ogromnie niebezpieczne. Dotychczasowe zachowanie Grunerta było mi całkiem obojętne, choć muszę przyznać, że odczuwałem wobec niego coś w rodzaju cichego podziwu.

— Na który w zupełności zasłużył — rzekła Maria, usiłując się opanować.

— Póki spory Grunerta z Sowietami miały jakby prywatny charakter, póki więc dotyczyły jego jako osoby prywatnej, nie obchodziły mnie. Jeśli jednak te niebezpieczne buntownicze poczynania zaczynają się rozszerzać, jeśli pragnie on podburzać innych do rebelii, a więc zagrozić wspólnocie — będę musiał wkroczyć. I to z całą stanowczością!

— Przeciwko Grunertowi? — zapytała Maria. I zwróciła ku niemu zalaną łzami twarz, jakby szukając pomocy. On jednak widział tylko jej błyszczące oczy i wydawało mu się, że dostrzega w nich naiwną, namiętą i dlatego szczególnie niebezpieczną groźbę, której mu nie wolno lekceważyć.

— Tak jest — rzekł. — Jeśli to będzie konieczne, dla dobra naszej wspólnoty! Bo Sowietci i my to dwa różne światy. Drut kolczasty, który nas dzieli, jest dla nas trudniejszy do pokonania niż przebycie kajakiem Atlantyku. Jesteśmy i pozostaniemy Niemcami. Nie paktujemy z Sowietami; ale też nie dyskutujemy z nimi; jest to poniżej naszej godności. Nie ma sensu z nimi rozmawiać, oni nie tylko mówią innym językiem, oni także inaczej myślą. I może dlatego jesteśmy jeńcami wbrew wszelkiemu prawu międzynarodowemu. Nie ma sensu zabiegać o porozumienie. Otwarta walka jest także bezsensowna — oni mają żołnierzy, pistolety maszynowe, czołgi i miotacze ognia. My mamy tylko jeden cel: przetrwać! Nie będziemy tolerowali niebezpiecznych gier, jakie najwidoczniej lubi Grunert.

— Już w szkole uczono nas — rzekła Maria z uporem — że wolność jest cenniejsza niż życie.

— Belfer, który wam to mówił — rzekł Pratzke — był widać odważnym człowiekiem. Czy on jeszcze żyje? A co się tyczy tego Grunerta, dziecko, to nie musisz tu w jego sprawie odgrywać roli Dziewicy Orleańskiej. Twój Grunert urósł ostatnio do rangi bojownika niemiecko-radzieckiej przyjaźni.

— To ohydna potwarz! — zawołała Maria oburzona. Zmierzyła Pratzkego pogardliwym spojrzeniem, potem odrzuciła głowę do tyłu i odeszła dumnie wyprostowana.

— Potraktował pan dziewczynę jak upartego osła — rzekła Simoneit. — To bardzo niemądre, bo ona jest teraz w niebezpiecznym wieku. Poza tym takie kłamstwo ma krótkie nogi.

— Jeśli kiedykolwiek powiedziałem szczerą prawdę — zapewnił Pratzke z niemal nabożną gorliwością — to właśnie tym razem. Grunert naprawdę zawarł pakt z Sowietami. Jak on to zmajsztrował, wiedzą jedynie bogowie albo Stalin. Ale dopiął swego; tak w każdym razie twierdzi. Ma tu zorganizować nowy oddział. Ten cyrk będzie się nazywał K-5.

— Dlaczego dowiaduję się o tym dopiero teraz? — zapytał Krieger ostrym tonem.

— Nie chciałem ci przedtem przeszkadzać — odparł Pratzke. — Byłeś tak intensywnie zajęty paniami, a ja jestem rycerski.

Kobiety roześmiały się. Matka Simoneit spojrzała na Pratzkego sceptycznie. Krieger wyglądał jakby nic nie widział i nie słyszał, jakby wsłuchiwał się we własne wnętrze; twarz jego zdradzała głębokie zastanowienie.

— Pratzke — rzekł wreszcie stanowczo — mam wrażenie, że musimy rozmówić się bardzo ostro z tym Grunertem, i to zanim jeszcze rozwinie tu swoją wątpliwą działalność.

Na końcu wspólnego baraku, tuż za podium, znajdowały się grubo ciosane drzwi; prowadziły one do pomieszczenia służącego jako prymitywny warsztat stolarski; przypominało także prowizoryczną poczekalnię najniższej klasy. Prawie dokładnie pośrodku stała tu pusta, kanciasta, na wpół otwarta trumna. Wokół poniewierała się wygnieciona wełna drzewna.

— Czy zna ksiądz to pomieszczenie? — zapytał Grunert Matthausa.

— Oczywiście — odparł kapelan wermachtu Matthaus z pełną godności powściągliwością. — Sam czasem używam tego pomieszczenia jako zakrystii. Przebywam tu chwilę, zanim udam się na nabożeństwo do dużego wspólnego pomieszczenia. Tutaj przyjmuję więźniów, którzy pragną porozmawiać ze mną w cztery oczy. Tutaj ustawia się też zwłoki jeńców, zanim odprowadzi się je na miejsce wiecznego spoczynku.

Wolfgang Grunert obejrzał dokładnie pomieszczenie. Przeszedł wzdłuż ścian; po jednej stronie wisały kartki z terminarza księdza, następnie teksty pieśni i cytaty z Biblii; przy drugiej ścianie leżały stopy desek sosnowych, nad nimi tabela, na której spisana była produkcja trumien w ciągu ostatnich miesięcy. Dookoła poniewierały się narzędzia stolarskie, służące do prostych robót: piły, heble, dłuta, młotki drewniane. Prymitywnie sklecony stół zastępował stół stolarski.

Wolfgang Grunert podszedł do trumny stojącej pośrodku pomieszczenia. Zdjął pokrywę i upuścił ją na podłogę. Spadła z głuchym łoskotem, ponieważ wióry stłumiły od-

głos upadku. Grunert zajrzał do wnętrza, pochylił się z uwagą, tak jak to czynią funkcjonariusze policji kryminalnej szukający w napięciu śladów przestępstwa.

Wreszcie Grunert uśmiechnął się, ale bez śladu triumfu — udało mu się znaleźć to, czego się z niejaką pewnością spodziewał.

— Ta trumna — rzekł — to nie jest zwykła trumna, ma ona większe wymiary, niż się zazwyczaj u nas robi, jest z ciężkiego drewna, pomalowana i nawet pokryta pokostem. A w dodatku jeszcze wewnątrz wyściełana. Jak ksiądz sądzi, dla kogo jest przeznaczona?

— Służy do wystawiania zmarłych przed pogrzebem — odparł Matthaus z oporami. — A więc nie jest to trumna seryjnej produkcji, nigdy się jej nie spuszcza do ziemi. Wkładamy do niej zmarłego, przeznaczonego do pochówku. Przeważnie ja przy nim czuwam, aż zostanie zrobiona właściwa, bardzo prosta trumna, już zgodnie z wymiarami zmarłego, z desek, które leżą tam, pod ścianą.

— Ta trumna jest szeroka jak łóżko, nie uważa ksiądz?

— Uważam tylko — rzekł Matthaus — że chyba żadne porównanie nie jest bardziej niestosowne.

— Obawiam się — rzekł Grunert spokojnie — że w tym wypadku ksiądz się myli — mówiąc bardzo oględnie. Lecz wróćmy do rzeczy. Człowiek, który tu zbija trumny, nazywa się Wollmann. Ale pracuje nie tylko jako stolarz od trumien, jest także grabarzem, a poza tym jeszcze kimś w rodzaju kościelnego.

— Może pan to i tak nazwać — rzekł pastor z uporczywą niechęcią.

Grunert podszedł do jedyne go tu okna, w pobliżu którego stał prowizoryczny stół stolarski. Na zewnątrz, na obozowym cmentarzu Wollmann kopał grób, robił to obojętnie, jak automat.

Grunert otworzył okno i zawołał: — Chodź no tu, ty sute-nerze!

Ksiądz Matthaus drgnął oburzony. To, co właśnie usłyszał, tu, w tym pomieszczeniu, sprawiło mu krótkotrwały, lecz dotkliwy ból. Oczekiwał, że usłyszy z ust Wollmanna ostry protest.

; Ale tak obraźliwie nazwany mężczyzna przerwał tylko swoją pracę, tak jakby wyłączono maszynę, która jeszcze siłą rozpędu powoli się porusza. Potem Wollmann ciężkim krokiem powlókł się do szopy. Jego oczy wydawały się zaskakująco żywe; błyszczały podstępnie i gniewnie.

— Wyglądasz na zadziwiająco dobrze odżywionego! — zawołał do niego Grunert. — Widać, że twoje ceny mocno poszły w górę.

Wollmann, z łopatą w ręku, podszedł bliżej. Jego twarz wyglądała jak kleista, gąbczasta masa — tylko mysioszare oczy patrzyły bystro i czujnie.

— Czego tu chcesz? — zapytał teraz cichym, groźnym, a zarazem ironicznym głosem. — Czy mam ci dopasować trumnę?

— Kopanie grobów — rzekł Grunert do księdza Matt-hausa — jest chyba najdziwniejszym zajęciem pod słońcem. Oto człowiek, który w milczeniu kopie groby, wciąż tymi samymi mechanicznymi ruchami. Dół za dołem, dzień w dzień! Takiemu człowiekowi nie pozostaje nic innego, jak tylko rozmyślanie od czasu do czasu — i zajmowanie się stale tym, co jest mu najbliższe — zmarłymi, śmiercią. Wreszcie śmierć zaczyna mu się wydawać czymś najbardziej naturalnym na świecie. I wkrótce zwłoki będą dla niego znaczyły tyle, ile dla rzeźnika kielbasa: zwykłą pracę. Zakopuje ludzi, tak jak inni sadzą rzepę. Wreszcie zacznie traktować trupy tak, jak handlarz starzyzną zebrane obuwie.

— Czego on ode mnie chce? — zapytał Wollmann księdza Matthausa. — Czy chce mnie rozśmieszyć?

— Staram się zrozumieć, co się dzieje w twoim mózgu. Trudno spodziewać się po tobie wielkiej subtelności, czy też filozoficznego rozmyślenia. Pozostaje tylko pakowanie i zakopywanie zwłok jako rzemiosło; do tego dochodzi dyndanie dzwonkiem na dany znak. To w ogóle do ciebie nie dociera. Przyzwyczaiłeś się. I dlatego nie miałeś najmniejszych skrupułów urządzając tu burdel.

Wollmann stał jak wypchany siennik na deszczu. Tylko ręka, w której trzymał łopatę, lekko mu drżała. Jego czujne oczy zwężyły się. — Mógłbym ci roztrzaskać czaszkę

— rzekł z nieruchomą twarzą — a potem użyźnić twoim ścierwem grządkę z kwiatami.

— Rozumiem pańskie wzburzenie, Wollmann — powiedział Matthaus, starając się, by jego głos brzmiał dobroduszenie — ale chciałbym panu przypomnieć, że obowiązek chrześcijański nakazuje nam być wyrozumiałymi.

— To wprost rozbrajające — rzekł Grunert — jak bardzo nie docenia ksiądz naszego drogiego Wollmanna.

— Podszedł do trumny, o którą oparł się jak o mównicę.

— Wollmann wcale nie jest wzburzony tym, że go obraziłem; jego w ogóle nie można obrazić; irytuje się tylko dlatego, że zagrażam jego interesom. Bo od kilku tygodni wynajmuje to pomieszczenie łącznie z trumną. I to tym, co dają więcej — początkowo ceną był kawałek chleba, teraz doszło do trzech kawałków. Gwarantowany spokój, nikt nie przeszkodzi, świeżo wymoszczone wiórami łóżce. Stałe pary korzystają ze zniżki. Na życzenie, za małą dopłatą, dodatkowo kładzie się do trumny koce.

— To nieprawda! — zawołał Wollmann groźnie, a jego ręka, w której trzymał łopatę, zadrżała. — A jeśli masz trochę oleju w głowie, Grunert, w co nie wątpię, to teraz zamkniesz gębę.

— No dobrze — rzekł Wolfgang Grunert, nie spuszczać oczu z drżącej ręki Wollmanna. — Być może się mylę, jeśli idzie o cenę. Ale jedno jest pewne: działasz tu jako burdel-tata, jesteś stręczycielem! A to dla mnie jest w tym wypadku decydujące. Dzieje się to na terenie, za który odpowiada ksiądz Matthaus, a więc niejako jego kosztem. On jeden będzie musiał za to zapłacić. Albowiem twoi goście zjawiają się podczas wieczornego nabożeństwa, a wychodzą podczas nabożeństwa porannego. Płacić, jak cię znam, muszą z góry.

Ksiądz Matthaus wyglądał tak, jakby zobaczył diabła. Opanowało go niesłychane zmieszanie na myśl o tym, że w tym samym czasie pod tym samym dachem odbywają się spółkowania i nabożeństwa. — To niemożliwe — rzekł bezgłośnie. A potem dodał, opanowując się: — Niech pan powie, że to nieprawda, Wollmann.

Wollmann milczał, jakby jego mózg na chwilę przestał funkcjonować. Nawet ręka, w której trzymał łopatę, przestała

drzeń. Tylko oczy mu błyszczały, jakby obmacywały Grunerta niczym czułki owada.

— Spróbujmy — rzekł Grunert — spojrzeć na sprawę tak, jak ona naprawdę wygląda; jak na niesmaczny, bez sensowny proceder. Gdyby się to wydało, byłibyście skończeni. Nasz duszpasterz wylądowałby prawdopodobnie w brygadzie roboczej, a ty, Wollmann, w obozie przy musowego milczenia. To pewne.

W tym miejscu Grunert zrobił sztuczną pauzę, aby jego słowa miały dość czasu na to, by dotrzeć do głów rozmówców. Ale też nie chciał, by przerwa zbyt długo się przedłużała, a oni zbyt długo myśleli. Matthaus spoglądał na Wollmanna wzrokiem błagalnym i rozkazującym. Ale trumniarz chciwy zarobku przymknął chytre oczy, jakby zasnął.

— Nie zamierzam zniszczyć duszpasterza. Nie chcę też za wszelką cenę zniszczyć stręczyciela — rzekł Grunert.

— Zakładając oczywiście, że z obydwojma będę mógł dojść do porozumienia, a mówiąc bardziej otwarcie, ubić interes

— chodzi tu, rzecz jasna — o całkowicie czysty interes. Wollmann jest doskonałym stolarzem, mistrzem w swoim fachu; w każdym razie zna się na stolarce lepiej niż na stręczycielstwie. Zamierzam go wyznaczyć na kierownika dużego warsztatu — jeśli tylko się przekonam, że mogę na nim polegać. Zostałby zaopatrzony w materiały, maszyny i personel pomocniczy. A wyrabiano by tam różnego rodzaju meble.

— Czy także meble wyściełane? — zapytał Wollmann.

— Bo to moja specjalność.

— Oczywiście — zapewnił go Grunert. — Nawet wyściełane skórą. Mógłbyś wtedy inkasować znacznie więcej niż w tym swoim prymitywnym burdelu za trzy kawałki chleba.

— Wiadomo — rzekł Wollmann zamyślony. — Znam swój fach. — Oczy mu błyszczały zadowoleniem, a na twarzy tak zazwyczaj nieruchomej pojawił się nikły uśmiech.

— Chyba nie jesteś aż takim głupcem, Grunert, jak się przed chwilą obawiałem. Chyba wiesz, kto tu najlepiej po trafi heblować.

Grunert skinął głową. — A księdzu chyba nie pozostanie

nic innego, jak okazać zrozumienie dla moich zamiarów. Bądźcie więc gotowi, wkrótce dam wam o sobie znać.

Z tymi słowy Grunert zostawił swoich nowych współpracowników i wyszedł drzwiami prowadzącymi do głównego pomieszczenia. Ujrzał tu Katerinę, rosyjską lekarkę. Podeszła do niego.

— Czy pani mnie szukała, pani doktor? — zapytał.

— Owszem, szukałam pana.

— Niech się pani nie spodziewa, że się teraz zarumienię — rzekł Grunert, wykrzywiając usta w uśmiechu. — Odzwyczaiłem się od tego w ciągu ostatnich lat.

— Wszędzie pana szukają — rzekła Katerina z właściwą sobie rzeczowością. — Niemiecki komendant obozu i jego adiutant przeczesują wszystkie baraki mieszkalne. Także major pragnie pana zobaczyć. W obozie kobiecym również o pana pytano. Ale przede wszystkim jest pan potrzebny mnie.

— Doprawdy? — zapytał Grunert z niejakim trudem ukrywając niepokój. Zbyt gwałtownie interesowano się jego osobą. Nie miał czasu na spokojne przemyślenie swych pierwszych posunięć szachowych. A przecież dokładnie wiedział, że będzie mógł rozegrać tylko tę jedną, jedyną partię — a nawet ona może zostać gwałtownie przerwana.

— Niech pan idzie ze mną do lazaretu — rzekła lekarka i energicznie ciągnęła dalej: — Jeśli to prawda, co twierdzi o panu jeden z moich ciężko chorych pacjentów, Grunert, to jest pan skończony. Może pan od razu wracać do swojej celi. I tym razem już nie będzie panu do śmiechu, zapewniam pana!

Lazaret wyglądał jak miejsce kwarantanny. Położony był na uboczu, z wielką rozrzutnością otoczony drutem kolczastym, pomiędzy radziecką komendanturą, fabryką traktorów, a barakami dla kobiet. Żaden z jeńców nie lubił tego miejsca, bo panowała tu Katerina, a nikt nie miał ochoty dostać się w jej ręce.

Różne alarmujące wieści na temat lazaretu i rządzącej tam lekarki wzbudzały u wszystkich panikę. Lecz ta gwałtowna niechęć nie miała nic wspólnego z jej zawodowymi kwalifikacjami. Doktor Katerina o nazwisku niemożliwym do wymówienia była znakomitym fachowcem i wykazywała podczas wszystkich zabiegów znakomitą, wręcz wirtuozowską biegłość. Pewien internista, niegdyś specjalista o międzynarodowej sławie, a obecnie jeńiec wojenny, który musiał Katerinie pewnego razu asystować, wyrażał się o niej z wielkim uznaniem.

Co jednak czyniło ten lazaret szczególnie niebezpiecznym, to zdolność Kateriny do stawiania zaskakująco niezawodnych diagnoz. Ta w normalnych warunkach niezwykle cenna umiejętność dlatego wydawała się tak niebezpieczna, że Katerina musiała pracować w potwornie trudnych warunkach i używać żałosnych środków, posługiwać się starymi instrumentami i niezwykle skąpom wyposażeniem. Dlatego też przyjmowała do lazaretu tylko szczególnie ciężkie przypadki. Kto więc został przyjęty, musiał sądzić, że jest już półżywy. A o tym, komu potem udało się opuścić ten barak dla ciężko chorych, mówiono, że uciekł grabarzowi spod łopaty.

Lekarka i Wolfgang Grunert udali się w kierunku owego baraku. Szli ulicą obozową, przy czym doktor Katerina nadawała tempo; pędziła szybko i energicznie naprzód.

Grunert kilkakrotnie starał się nawiązać rozmowę, żeby się dowiedzieć, na co się ma nastawić. Lecz Katerina torpedowała te jego usiłowania krótkimi, nieprzychylnymi uwagami. — Niech pan nie będzie natrętny. Za dużo pan gada!

— A pani mówi za mało! Dlatego irytuje panią mój udział w tym, co dotyczy pani pracy. Poza tym jestem z natury ciekawy lub żądny wiedzy, jak pani woli. A milczenie może być marnowaniem czasu, pominąwszy *oczywiście* sytuacje wyjątkowe. Czy zechce mi pani zdradzić, kogo lub co zamierza mi pani pokazać?

— Dowie się pan we właściwym czasie. I może potem pan zrozumie, że nie ma sensu wodzić nas za nos. Kłamstwo ma krótkie nogi, jak mówią, ale oszustwo skraca o głowę. A chyba szkoda pańskiej pięknej głowy!

Grunert milczał; był teraz zaniepokojony bardziej niż przedtem. Starał się wyczytać z rysów twarzy lekarki, czy przypadkiem nie żartuje.

Ale ujrzał jasną, gładką, szeroką twarz dojrzałej, świadomej i dlatego zdającej sobie sprawę z własnej przewagi kobiety. Ujrzał teraz z lekka zaciśnięte, pełne usta, ciemne chłodne oczy koloru leśnej sadzawki i wysokie czoło. A z jej silnej, pulchnej postaci nie promieniowało w tej chwili ciepło. Przeciwnie. Wydawała się o wiele bardziej niedostępna niż dotąd.

Podczas tego usilnego zajmowania się Kateriną Wolfgang Grunert nie spostrzegł, że zbliża się Krieger. Towarzyszył mu Pratzke, jakby odgrywał rolę ochroniarza. Obaj zatrzymali się wyczekująco na środku ulicy. Najwidoczniej byli zdecydowani zastąpić drogę lekarce i Grunertowi.

— Czy coś wam jest? — zapytała lekarka dość ostrym tonem i zatrzymała się. — Czy też przez pomyłkę zatrudniliście się tutaj jako zawalidrogi?

Krieger trzasnął możliwie najgrzeczniej obcasami i wykonał krótki, powściągliwy ukłon. — Pozwoli pani, pani doktor — rzekł — że zadam Grunertowi jedno pytanie.

— Niech mu pani nie pozwala! — zawołał natychmiast Grunert. Starał się wyglądające dość niebezpiecznie zdarzenie przemienić w wesołą, nic nie znaczącą grę. — On może zapytać o rzeczy, o których w obecności kobiety nie powinno się nawet pomyśleć.

— Niech pan pyta — rzekła Kateriną i skinęła Kriegerowi.

— Ale nie jest powiedziane, że udzielę odpowiedzi — oświadczył Grunert, udając przesadnie ugrzecznoniego. Zaczął się domyślać, co tu się mogło rozegrać. Krieger nie zawaha się ani przez chwilę, by oczernić go wobec lekarki — ukazać jako podejrzanego, dwulicowego osobnika.

Krieger wystąpił krok naprzód. — Czy to prawda, że postąpiłeś wbrew zarządzeniom policji obozowej? — zapytał. — Czy to prawda, że bez mojej zgody prowadziłeś w obozie pertraktacje, które zmierzają do jakichś innowacji? Czy chcesz nas postawić przed faktem dokonanym?

— To nie jest jedno pytanie, ale co najmniej trzy
— oświadczył Grunert z wymuszoną wesołością. — A więc albo nie potrafisz liczyć do trzech, albo chcesz lekarkę postawić przed faktami dokonanymi, co oznacza, że pomijasz ważną osobę, bezpośredniego radzieckiego zwierzchnika. A ponieważ ja czegoś takiego, od niedawna, nie mogę to lerować, radzę ci, żebyś wpieryw poprosił o pozwolenie na zadanie trzech pytań, a nie jednego.

— Nie wolno ci rozmawiać ze mną w taki sposób
— rzekł Krieger z groźbą w głosie. — Nie jestem twoim błaznem, ty draniu!

— Bardzo cię proszę — rzekł Grunert z godnością — abyś się wyrażał wytworniej w obecności kobiety!

— Czy może nas pani zostawić samych na kilka minut?
— zapytał Krieger lekarkę. Na jego twarzy wyraźnie mało wał się zamiar użycia w tej sprawie skutecznych i mocnych argumentów.

— Nie potrzeba mi nowych pacjentów — rzekła Katerina niechętnie. — Mój lazaret jest już i tak przepelniony.

— Jest pani prawdziwym wybawcą — oświadczył Grunert natychmiast — przy czym sprawą otwartą pozostaje, czyje życie pani ocaliła. — Uśmiechnął się i uśmiech ten wydawał się szczery. Bo Pratzke, który ukrył się za plecami niemieckiego komendanta, z uznaniem wyszczerzył zęby spoglądając na Grunerta.

— No dobrze — rzekł Krieger ostro; jego ascetyczna twarz połyskiwała matowo. — Jeśli koniecznie chcesz się wykręcić od rozmowy ze mną, pozostaje mi tylko jedna droga. Zobaczymy się u radzieckiego komendanta obozu

— i to możliwie jak najprędzej.

— Nie bądź taki lekkomyślny — poradził mu Grunert zyczliwie. — Od niedawna objęty jestem protektoratem Rosjan. I nie tylko to; mogę poza tym liczyć na błogosławieństwo Kościoła. A ty chyba nie chcesz iść na udry jednocześnie z Moskwą i Panem Bogiem?

Krieger przez chwilę się zawahał, po czym zerknął na Pratzkego. Ten wzruszył jedynie ramionami i zrobił minę jak ślusarz, który ma ocenić robotę blacharza. Krieger uczynił krok do przodu i stanął przez Grunertem. Przyglą-

dał mu się ostro, po czym rzekł: — Nie dam się nabrać na twoje tanie sztuczki. Mnie nie zbajerujesz!

Po czym od razu zwrócił się do Kateriny. Znów trzasnął obcasami, owym eleganckim ruchem oznaczającym szacunek. Złożył niski ukłon i rzekł ceremonialnie: — Bardzo przepraszam, że przeszkodziłem, pani doktor. — Potem skinął energicznie na Pratzkego i ruszył z nim dalej, wyraźnie w stronę komendantury radzieckiej.

— Jest niezwykle ułożony! — stwierdziła Katerina.

— Wie, jak należy zachować się wobec przełożonych — odparł Grunert. — Uważa, że świat jest w porządku, jeśli on jest dobrym podwładnym, zakładając oczywiście, że sam także ma podwładnych.

— Pan go nie docenia — rzekła Katerina z naganą. — A przede wszystkim nie docenia pan, jakim uznaniem cieszy się Krieger u radzieckiego komendanta. A nie jest tak bez powodów. Bo my się wcale nie dziwimy, że nas nienawidzicie. Raczej stajemy się nieufni, jeśli ktoś deklaruje nam miłość. Jedyne, na czym możemy polegać, to wasze niemieckie poczucie obowiązku.

— Proszę nie zapominać o moim poczuciu solidarności z innymi narodami, pani doktor.

— Teraz mówi pan o swym poczuciu solidarności, ale zastanawiam się, co będzie pan czuł za dziesięć minut.

Prawie dokładnie nad tym samym zastanawiał się Grunert. I to nie tylko teraz, w tej chwili. Zawsze, ilekroć ulegał tłumionemu dążeniu do zastanawiania się nad sobą, myślał właśnie o tym. Niezbyt wysoko się cenił.

Przeszli przez bramę, za którą znajdował się lazaret. Tu służbę jako dozorca pełnił niemiecki policjant obozowy pod nadzorem radzieckiego żołnierza, który spoglądał trochę melancholijnie i ze zmęczeniem. Dzielny pies wartowniczy traktował lekarkę jak oficera. Oddawał honory stając na baczność i nigdy nie omieszkął obrzucić jej pełnym oczekiwania spojrzeniem podwładnego. Lecz lekarka jakby go nie dostrzegła. Grunert zawołał: — Spocznij!

Plac przed długim barakiem lazaretu był pusty. Pustka ta wydawała się zupełna. Ani kępki trawy, ani deski, ani słupa, nie mówiąc już o drzewach; nie było tu nawet kamieni.

W powietrzu jakby wisiał odór umierania — w tym mętym, wilgotnym, zimnym powietrzu, nie tolerującym żadnych jaśniejszych zarysów, tamującym oddech i przesłaniającym cały widok.

Katerina jakby tego nie zauważała. Im bliżej była swego pola działania, tym bardziej się ożywiała. Weszła do dużego baraku i od razu skierowała się z Grunertem do niewielkich drzwi obok głównego wejścia. Tutaj, o czym wszyscy w obozie wiedzieli, znajdowały się pomieszczenia, w których umieszczano najcięższe, prawie beznadziejne przypadki.

Weszli do wąskiego, długiego pomieszczenia; było niewiele większe od siennika. Tutaj, otulony szarobrunatnymi kocami, leżał starszy człowiek, który od razu wydał się Grunertowi znajomy; blada, zapadła twarz starca o głębokich zmarszczkach. Zamknięte powieki drgały; Grunert doznał przytłaczającego uczucia, że męczyzna widzi go przez nie.

— Czy zna pan tego człowieka? — zapytała Katerina.

— Chyba tak — odparł Grunert ostrożnie i uważnie, jak gdyby wyczuwał tajemnicze niebezpieczeństwo. — Ale nie wiem, skąd go znam.

— Nazywa się Hegner — rzekła lekarka. Spoglądała przy tym na Grunerta badawczo, jak gdyby chciała postawić jedną ze swych niezawodnych diagnoz. I poruszona spostrzegła, że Grunert zbladł.

Grunert ciężko skinął głową. Teraz wiedział, kim jest ten człowiek. I chyba w tej samej chwili pojął, że nikt nie może być dla niego bardziej niebezpieczny.

Ten Hegner przed dwunastoma laty był jego nauczycielem, a zarazem przyjacielem. Należał do tych bezwzględnych, wymagających ludzi, którzy wydają się niewzruszonymi głosicielami wielkich idei i nadrzędnych wartości. Grunert strącił go wówczas z jego piedestału. Może wtedy było to słuszne, ale nastąpiło zbyt brutalnie, z dzikim okrucieństwem młodości, która poczuła się sprowokowana. Grunert chciał dać nauczkę swemu nauczycielowi, ale nie zamierzał zagrażać jego stanowisku ani życiu. A właśnie tak się wtedy stało.

— Jak on się tu dostał? — zapytał Grunert. — Jak w ogóle trafił do tego obozu? Nigdy jeszcze go tu nie widziałem.

— Przybył przez kilkanaście dniami specjalnym transportem — oświadczyła lekarka. — Podobno zna wiele języków słowiańskich, a rosyjski wręcz doskonale. Takich ludzi zawsze nam potrzeba. Ale przybył tu ciężko chory, a pogorszyło mu się z chwilą, kiedy zobaczył pana. Od wczorajszej nocy ma wysoką gorączkę, od dwóch godzin wykrzykuje tylko pańskie nazwisko.

— Nie należy traktować serio jego majaczeń — rzekł Grunert z trudem. Jego zazwyczaj tak znakomicie i bez szczególnego wysiłku okazywana wyższość jakby go opuściła. Sam sobie wydawał się teraz sternikiem żaglowca, który walczy bez przerwy z szalejącą burzą. — Nie powinna pani przypisywać jego słowom błędnych, przesadnych znaczeń.

— A więc pan wie, co on o panu powiedział?

— Mogę sobie wyobrazić — odparł Grunert szczerze.

— I co ma pan do powiedzenia na temat tych oskarżeń?

— Niech mu pani obniży gorączkę — zażądał Grunert z naciskiem. — Niech pani go wyleczy, wówczas dowie się pani całej prawdy.

— A jeśli on umrze? Wówczas umrze wraz z nim jedyny człowiek, który zna pańską przeszłość, jedyny, który może pana oskarżyć, obciążyć. Bo jeśli ten człowiek ma słuszność w swoim majaczeniu, to był pan niebezpiecznym, podstępny, pozbawionym skrupułów nazistą.

— Byłem kiedyś młodym, głupim, nie opierzonym kogutem — to wszystko, co mogę powiedzieć! — zawołał Grunert gwałtownie. I spojrział przy tym z głęboką szczerością w oczy Kateriny, która patrzyła na niego chłodno i badawczo.

Lekarka odwróciła wzrok. Spoglądała na gorączkujący wrak człowieka, leżący na sienniku. Pochyliła się i dotknęła rozpalonej twarzy chorego. Kiedy na chwilę podniosła mu powieki, jęknął.

— Nie chcę umierać — szepnął. — Co ja zrobiłem? Co ja panu zrobiłem, Grunert?

— Zrobimy wszystko, co w naszej mocy — rzekła Katerina pochylona nad nim. — Naruszę nawet nasze rezerwy. Muszę dowiedzieć się prawdy.

Wyprostowała się i poprawiła mundur szybkimi, pewnymi ruchami. Rzuciła Grunertowi przelotne spojrzenie, które go zaskoczyło. Bo nie było w nim oskarżycielskiego wyrzutu, niebezpiecznej groźby — w tej jednej krótkiej sekundzie Grunert zdawał się dostrzegać błagalną prośbę o szczerłość.

— Może mi pani wierzyć — rzekł spontanicznie.

— Spróbuję — odparła Katerina z odwróconą twarzą. — Bo kocham ludzi i chciałabym lubić również was, Niemców. Ale nienawidzę nazistów, którzy nigdy nie wymrą; także pana będę zawsze nienawidziła, jeśli się okaże, że pan nim jest. Także pana, któremu tak bardzo chciałam ufać. I wówczas nie zawaham się ani przez chwilę, by wyciągnąć z tego wszystkiego konsekwencje. Wszystkie!

Major Armii Czerwonej, który był komendantem obozu, stał na rampie znajdującej się na terenie fabryki. Wyraźnie zadowolony spoglądał na kolumnę traktorów, model „Czerwony Poranek 49”. „Robotnicy radzieccy i jeńcy niemieccy załadowywali je na platformy wagonów towarowych. Major patrzył na to jak na własne dzieło. Jeśli „Czerwony Poranek” działał bez zarzutu i wykonywał plan z nadwyżką, to była to zasługa jego i jego jeńców.

Krieger zbliżył się do majora po krótkim wahaniu. Zdawał sobie sprawę, że przeszkodzi temu „wszechpotężnemu” w jego ulubionym zajęciu. Ale nie miał wyjścia — sprawa była pilna, nie cierpiąca zwłoki. Należało usunąć tę pijawkę Grunerta, zanim zdąży się przysać. Nakazał Pratz-kemu, by trzymał się w pobliżu i nie wpuszczał na teren Grunerta ani żadnych innych niepożądanych elementów.

— Czy wolno mi coś powiedzieć, panie majorze? — zapytał Krieger.

— Popatrz, Krieger! — zawołał major i szerokim gestem wskazał na codzienny załadunek. — To jest organizacja! Wszystko zgrane, sensownie i planowo, coś wspaniałego!

I popatrz na traktory! To najlepsze traktory na świecie. Najlepsze, najtrwalsze, najszybsze radzieckie traktory. Robią pięćdziesiąt kilometrów na godzinę.

Krieger oczywiście poskromił nieodpartą chęć skorygowania majora. Miałby mu ochotę powiedzieć, że traktorów niekoniecznie należy używać do wyścigów na szosie. Zamiast tego powiedział tylko: — Tak jest, panie majorze. — Taką uwagą nie można było niczego popsuć.

— Czy stało się coś szczególnego? — zapytał teraz major.

Ponieważ po tym pytaniu nie nastąpiła natychmiastowa odpowiedź, majorowi wydało się to podejrzane; wyczuł, że nadciąga burza. Ponieważ „coś szczególnego” przeważnie oznaczało coś nieprzyjemnego. On zaś nie lubił słuchać nieprzyjemnych rzeczy, zakłócały mu jego miłe, spokojne, a zatem owocne życie. To, co uważał za nieprzyjemne, niech sobie Niemcy załatwiają sami między sobą, po to przecież zezwolono im na własny samorząd.

— Nic szczególnego — zapewnił go Krieger, który dobrze znał reguły gry. — Mam tylko jedno pytanie.

Komendant radziecki zdawał się lubić wielkie gesty i głośne słowa. Starał się sprawiać wrażenie, że pochlebia mu, kiedy niemieccy jeńcy uważają go za jedynowładcę. Ale wtajemniczeni wiedzieli, że zawsze radzi się swych towarzyszy — w szczególności, na szczęście wciąż jeszcze nieobecnego, komisarza, który pojechał po rozkazy, a chwilowo zastępowała go lekarka. Nie omija ku temu żadnej okazji, by wyjaśniać swemu najbliższemu otoczeniu, że trzyma się ściśle dyrektyw Moskwy. Jednak w razie wątpliwości, twierdził, musi sam w swym proletariacko--żołnierskim sumieniu podejmować decyzje.

Czasami zdarzało się nawet, że major traktował niemieckich jeńców wojennych niemal jak radzieckich żołnierzy i obywateli. Zdarzyć się to mogło przypadkiem, w ferworze działań albo z całą premedytacją. Wszystko okazywało się jedynie manewrem pozorowanym, gdyż ostatecznym skutkiem było wielkie zamieszanie, tak że nikt już nie mógł się połapać, co major ma na myśli, jak zareaguje, jak postąpi. Pozostawało więc zachowywać wobec

niego największą ostrożność. A to ogromnie ułatwiało mu rządzenie.

— No to strzelaj, Krieger — rzekł major, z trudem odrywając spojrzenie od przygotowywanych do wysyłki traktorów. — Tylko uprzedzam, że nie ma sensu prosić mnie o takie mrzonki, jak więcej chleba czy lepsza robota. Dobre wyniki to sprawa woli i wyszkolenia, duch zawsze jest ważniejszy od żarcia, a grubasy nie mogą być dobrymi robotnikami.

— Dziś chodzi o zupełnie coś innego — rzekł Krieger ostrożnie.

— Robisz taką minę — rzekł major nieufnie — jakbyś połknął traktor, i to zardzewiały. Mam nadzieję, że nie zamierzasz mnie zanudzać ilością zgonów. Czytałem najnowsze statystyki i jestem dokładnie poinformowany. Mamy wyjątkowo niski procent, poniżej dwóch. Możemy więc być zadowoleni. I stale ci powtarzam, co masz także mówić swoim ludziom: żaden Rosjanin na naszym terenie nie jest lepiej odżywiony i nie ma troskliwszej opieki niż wy. Wszyscy wspólnie musimy znosić skutki wojny, którą Niemcy zbrodniczo rozpętały. Wspólnie, słyszysz? Nie jesteśmy ani pamiętliwi, ani drobiazgowi, jesteśmy realistami, u nas liczą się przede wszystkim prawa człowieka.

— Panie majorze — rzekł Krieger. Postanowił wprawdzie bezwzględnie zachować cierpliwość pogromcy, ale uważał, że tym razem należy się szczególnie spieszyć. Musiał się liczyć z podstępą przedsiębiorczością i tempem Grunerta i dlatego nie mógł sobie pozwolić na słuchanie bez końca tych jałowych, od dawna znanych monologów. — Pozwolę sobie zapytać — rzekł więc — czy ma pan zamiar zwolnić mnie z mojej funkcji komendanta obozu?

Major oderwał wreszcie wzrok od swych ukochanych traktorów. Teraz sprawiał wrażenie, jakby całkowicie poświęcił się Kriegerowi. Jego twarz przesłoniła gęsta chmura niechęci. Widać było, że stara się uporządkować myśli. Jeszcze raz głęboko zaczerpnął tchu. Potem zaczął ryczeć:

— Jak śmiesz, draniu, niby dzika świnia grzebać w moich planach! Najchętniej przerobiłbym cię na smar do moich traktorów!

Ryk ten przeraził robotników, którzy załadowywali traktory. Wywrócili traktor, który właśnie mieli przesunąć po rampie. Spadł z głuchym hukiem na inny traktor. Odpowiedzialny za załadunek robotnik wyrzucił z siebie serię przekleństw.

Major bez trudu zagłuszył te stosunkowo skromne próby wrzasku. Rozpoczął nową tyradę, dosadną, ozdobioną zoologicznymi porównaniami. Potem ryknął: — Sprać, do paki, powiesić! — Ale dopiero kiedy zagroził pozbawieniem jedzenia, do znieruchomiałych robotników powróciło życie i natychmiast, w dzikim pośpiechu, który zadowolił komendanta, podjęli pracę.

Major od razu zwrócił się ponownie do Kriegera, który zachował nienaganną postawę. Znał zamiłowanie radzieckiego komendanta do donośnych kanonad przekleństw i zawsze się z tym liczył. Ale ten gniew, wykraczający ponad przeciętność, zaniepokoił go. Pomyślał, że przyczyną było chyba jego trochę niezręczne, nie dość przemyślane sformułowanie.

— Pan major chyba mnie źle zrozumiał — pozwolił sobie zapewnić Krieger.

— Zrobię z tobą, co będę chciał! — zawołał major już trochę ciszej. — Zrozumiano? Jeśli zechcę, wykorzystam cię do brukowania ulicy. A jeśli zechcę, zrobię cię komendantem obozu, i będziesz nim, dopóki cię nie wyrzucę do stu diabłów! A termin ja sam ustalam. Nie, masz mnie co pytać. Zrozumiano? A właściwie, dlaczego o to pytasz?

— Chciałem się tylko dowiedzieć, czy Grunert otrzymał specjalne pełnomocnictwa. Mam na myśli pełnomocnictwa, które pozostają poza zasięgiem mojego działania albo je ograniczają, zmieniają, rozszerzają lub pomniejszają.

— Czy ten Grunert ci to powiedział? — zapytał major.

— On w ogóle nic nie powiedział — oświadczył Krieger po krótkim wahaniu. — On z miejsca zaczął organizować, ponad głowami wszystkich i bez uwzględniania istniejącego porządku obozowego. Zagraża to dyscyplinie i organizacji. Chyba nie leży to w zamiarze komendatury radzieckiej? — Wydawało się, że Kriegerowi przykro jest to mówić. Wyglądał na szczerze zmartwionego i wreszcie

ponownie zapewnił, że przede wszystkim musi przestrzegać ustalonego porządku.

— Dawać tu tego Grunerta! — zawołał major. — Do komendantury z nim! Zamienię mu makówkę w pomidor i po staram się, aby w przyszłości nie musiał się cesać.

Major odszedł wściekły. Krieger rozkazał Pratzkemu, by sprowadził Grunerta. Potem udał się w ślad za majorem.

Krieger czuł się teraz chyba trochę nieswojo we własnej skórce. Bo major nie tylko przekroczył o kilka stopni natężenie głosu i zwykłą miarę temperamentu — użył także nowych, wyraźnie alarmujących słów. Istniało więc prawdopodobieństwo, że ten wszechwładny jest poważnie rozeźlony. A taki stan, jak wiedział Krieger z doświadczenia, był niebezpieczny.

Radziecki komendant lubił czasem odgrywać byka i to-readora; kto miał wówczas pełnić rolę płachty, nikt nie był w stanie przewidzieć. Pędził teraz do budynku komendantury, a Krieger biegł za nim. Tu major znikł w swoim pokoju służbowym i zatrzasnął za sobą drzwi — zabrzmiało to jak strzał z pistoletu. Jak strzał w tył głowy, pomyślał Krieger przerażony i przejęty wstrętem.

W niespełną minutę potem major wypadł ze swego pokoju i krzyknął: — No co jest z tym Grunertem? — I znów zniknął, nie czekając na odpowiedź. I znów drzwi zatrzasnęły się, tak że Krieger aż zadrżał.

Wkrótce potem ukazał się Pratzke z Grunertem. Przyłączyła się do nich lekarka. Pisarz majora obrzucił przybyłych niechętnym wzrokiem i wstał. W ciągu ostatnich sześciu miesięcy był on ośmiokrotnie przepędzany i sprowadzany z powrotem, dlatego stale przygotowany był na niespodzianki. Bał się majora, nienawidził jego otoczenia i pogardzał nim. Z lekka zgarbiony, wsunął się do pokoju komendanta i zameldował przybycie Grunerta.

— Wynocha stąd! — wrzasnął major.

A potem ryknął: — Wejść!

Grunert wszedł, lekarka, nie wzywana, weszła za nim.

Major stał wyprostowany za biurkiem; wyglądał jak niedźwiedź, który chce wymierzyć druzgocący cios. Ciemny błysk jego lekko przymrużonych oczu nic Grunertowi nie

zdradzał — mogła to być równie dobrze utajona wesołość, jak podstępna wściekłość.

— Towarzyszko doktor — rzekł major. — Nie musicie się facygować. Chcę na osobności porozmawiać z tym podstępnym, przekornym typem.

— A może jestem potrzebna jako zastępca nieobecnego komisarza — rzekła Katerina rzeczowo. — Osobiście uważam, że celowa byłaby narada poprzedzająca tę rozmowę.

— Towarzyszko doktor — rzekł major przeciągle, z ostrożną groźbą, wyraźnie poirytowany. — Wasze zainteresowanie tym podstępnym typem jest co najmniej dziwne.

— Towarzyszu majorze — rzekła lekarka dumnie i niechętnie — ten człowiek był niedawno moim pacjentem; teraz, zdaje się, powinnam w nim widzieć obiekt polityczny — toteż moje zainteresowanie jest czysto rzeczowej natury.

— Miejmy nadzieję — rzekł major prostacko. Katerina była niemile dotknięta i jakby się zarumieniła. Nawet Gru-nert był trochę zmieszany.

— Ale jeśli towarzyszka doktor nie chce się rozłączyć z tym medycznym i politycznym obiektem, śmiało może tu zostać. Dla mnie ten typ jest wyłącznie niebezpiecznym osobnikiem, który najpierw wiele obiecuje, a potem powoduje tylko niebezpieczny zamęt.

— Proszę mi wierzyć, panie majorze — zapewnił Gru-nert — że działam jedynie zgodnie z pańską intencją.

— W moim obozie — wrzasnął komendant — panuje porządek, ścisły, mądry, celowy, przemyślany porządek! Wszystko tu ma swoje miejsce, każdy zna swoje zadanie. Nikt nie wyłamuje się z szeregu i nikomu nie przyjdzie do głowy, żeby brać drut kolczasty za serpentynę, a zarządzenia za papier toaletowy. Zbudowałem tu precyzyjną maszynierię, wszystkie trybiki się zazębiają. Tu się smaruje, oliwi i uruchamia. Ale jeśli ktoś sypie mi piasek do maszyny, tego likwiduję. Własnoręcznie!

Grunert przeczuwał, do czego major zmierza, wiedział to, zanim jeszcze go tu przyprowadzono. Bo Krieger jako komendant niemiecki funkcjonował bez zarzutu, był więc dla Rosjan użyteczny — w obecnej chwili nie należało

paraliżować jego działań czy choćby tylko ich zakłócać. W swej wyobraźni major nie widział jeszcze nikogo, kto by mu się wydał bardziej użyteczny. Grunert stanowił zaledwie daleką nadzieję, kolejną, nową, użyteczną możliwość. Dodatkowe efekty zawsze były przez majora mile widziane — ale nie kosztem fundamentalnego porządku, którego, ku zadowoleniu zwierzchnika, strzeże taki Krieger. Maszyna obozowa funkcjonowała! Nie było powodu, przynajmniej teraz, aby wyłączać jednego na rzecz drugiego. Wręcz przeciwnie. Obaj byli majorowi potrzebni — chociażby po to, by się wzajemnie pilnowali, jak czujne psy.

— Chyba źle pana zrozumiałem, panie majorze — rzekł Grunert i udał szczerze zmartwionego.

— Wymyję ci uszy benzyną, a potem je tak rozciągnę, że będą wyglądały jak uszy słonia!

— O ile dobrze pamiętam, panie majorze, zarządził pan, by oddział piąty podlegał bezpośrednio panu — ze względu na pańskie dalekosiężne dążenia polityczne i kulturalne. One tu decydują. Nie było mowy, że ma być w to włączony niemiecki komendant.

— To, moim zdaniem, słuszna i mądra decyzja — wtrąciła Katerina.

— Oczywiście — zagrzemiał major z aprobatą. — Ja nigdy nie podejmuję nie przemyślanych decyzji. I dlatego nie zamierzam tolerować ich samowolnego interpretowania. U mnie nie ma sępów, szakali i much. U mnie nie ma dwuznaczności! Albo „za”, albo „przeciw”, przyklaskiwać albo zdychać!

— Dlatego też uznałem za szczególnie doniosły fakt, że jestem pod pana osobistą władzą, panie majorze — rzekł Grunert. A powiedział to niemal jak pilny, wzorowy uczeń, który jest żądny wiedzy i aż się pali do tego, aby nauczyciel wzbogacił jego umysł o jej nowe obszary. — Naprawdę nie było dla mnie jasne, że chodzi o podporządkowanie się dodatkowo niemieckiemu komendantowi.

— Człowieku, to wcale nie wchodzi w rachubę! — zawołał major zdenerwowany; teraz wydawał się dodatkowo oburzony, że źle go rozumiano. — Komendant niemiecki to jeden garnek w mojej kuchni, a ty masz być drugim. On

rządzi obozem, odpowiada przede wszystkim porządek i za dostarczenie potrzebnej siły roboczej. *Od* ciebie oczekuję całkiem innych rzeczy.

— I może pan, panie majorze!

— Ale powinieneś gruntownie wyprać swój mózg. Jesteś przeklętym uparciuchem. Słuchaj uważnie tego, co ci powiem: ty podlegasz mnie, mnie osobiście, nie zaś niemieckiemu komendantowi! Ale nie wolno ci pracować przeciwko niemu, lecz razem z nim. Zrozumiałeś?

— Zrozumiałem — zapewnił Grunert. — Ale do współpracy potrzeba co najmniej dwóch osób.

Major sapał z oburzenia, a zarazem z pogardy. Kręcił swoją dużą głową, przy czym spoglądał na Katerinę, jakby chciał powiedzieć: czy to w ogóle możliwe? Lekarka uśmiechnęła się do niego ze zrozumieniem i zachęcająco. Wówczas major rykiem przywołał niemieckiego komendanta. Krieger zjawił się natychmiast.

— Słuchajcie mnie uważnie, wy trawojady! — zawołał major władczym tonem. — Jeśli będziecie się tutaj zachowywać jak uparte osły i głupie woły, to wygarbuję wam skórę. Dlaczego kłóćcie się jak przekupki? U mnie nie wolno obzuwać się śmierdzącymi rybami; jeśli jeszcze raz spróbuje cie, wpakuję je wam do pysków, aż się udławicie. Bądźcie zgodni, chłopcy. Zgodni! Jak to zrobicie, to już wasza rzecz, ale musicie to zrobić. A teraz wynocha stąd! Do roboty!

Krieger wyszedł od razu, bo powiedział sobie, że przegrana bitwa nie oznacza jeszcze przegranej wojny. Wydawało się, że wszystkie te przykrości, które musiał znieść, wcale go nie poruszyły.

Grunert z wdzięcznością złożył głęboki ukłon Katerinie, następnie nieco bardziej niedbale pokłonił się majorowi.

Komendant radziecki jakby wcale nie zauważył tej gry Grunerta. Zwrócił się do lekarki. — Czy macie, towarzyszeko, jeszcze jakąś uwagę w tej sprawie? — zapytał. — Oczywiście uwagę oficjalną, jako zastępcę nieobecnego, niestety, komisarza, nie osobistą.

— Na razie nie mam więcej uwag — odparła Katerina z rezerwą. — Ale nie spuszczę tej sprawy z oczu, przyrzekam to panu. Uważam, że konieczne jest tu szczególne baczenie.

Gdy Wolfgang Grunert opuścił budynek komendanta radzieckiego, natrafił na Kriegera. Obok niego stał Pratzke i udawał obojętnego. Obaj spoglądali na Grunerta. Nie mógł ich wyminąć, a oni nie zamierzali go przepuścić.

Grunert zatrzymał się przed nimi. Krieger patrzył mu badawczo w oczy, jakby domagając się wyjaśnień jako zwierzchnik. Pratzke wydawał się patrzeć ponad nim w mglistą dal w tępy, tajemniczym, radosnym oczekiwaniu. Jakby spokojnie czekał, kto komu skręci kark — on byłby wówczas gotów wiernie towarzyszyć pozostałemu na placu boju zwycięzcy.

— Co teraz ze sobą pocniemy? — zapytał Grunert; on także wydawał się zdecydowany dłużej się już nie wykręcać. — Czy mamy może napaść na siebie i połamać sobie kości?

— W takim wypadku nie miałbyś szans — rzekł Krieger. Z lekka się uśmiechnął, ale bynajmniej nie przyjaźnie. — Fizycznie również jestem mocniejszy.

— To by się dopiero okazało — odparł Grunert. Wydawał się gotów przyjąć każde wyzwanie, ale zarazem dawał do zrozumienia, że nie zależy mu na tym aż tak bardzo.

— Mam wzgląd dla ciebie, Grunert, bo siedziałeś przez kilka dni w pace. To cię dodatkowo osłabiło. Poza tym nie jestem zabijaką.

— To moja domena — rzekł Pratzke zadowolony z siebie. — Wystarczyłyby trzy moje uderzenia, i to dla was obu.

Wolfgang Grunert mrugnął do Pratzkego. Ten w odpowiedzi wyszczerzył zęby. Krieger obejrzał się. I teraz on został przez swego towarzysza obdarzony serdecznym uśmiechem.

Pratzkemu było w gruncie rzeczy obojętne, komu miał służyć swą potężną siłą. Potrzebny mu był tylko mózg, który by nim kierował, a ten powinien działać z niezawodną jasnością. Niepokoiły go stosunki władzy, które nie były dość przejrzyste. Jego sympatia skłaniała się jeszcze ku Kriegerowi, ale i Grunert zdawał się oferować solidne, uchwytnie korzyści — nie mówiąc już o zatuszowaniu sprawy o ojcostwo, jaka groziła mu ze strony Hannelore.

W tym właśnie względzie Grunert okazał mu wyrozumiałość. Pratzke myślał o tym niemal z wdzięcznością. Ze strony Kriegera nie mógł liczyć na pobłażanie w tym szczególnym przypadku. Jeśli sprawa dotyczy moralności, Krieger jest nieustępliwy. Gdy chodziło o tak zwane babskie sprawy, z zasady był nieubłagany. Może nawet przegoniłby bez wahania Pratzkego na cztery wiatry i zastąpił go kimś innym z kliki obozowej', bezwzględnie mu oddanej, w której rękach skupione były wszystkie miejsca poganiaczy i kluczowe stanowiska.

— Stanowczo polecam — rzekł Pratzke wreszcie — byśmy przede wszystkim wspólnie wypili wódkę, może wtedy lepiej się poznamy.

— Wcale niezły pomysł — przyznał Krieger zaskakująco szybko i spontanicznie. — Zgoda?

— Nie mam nic przeciwko temu — rzekł Grunert ostrożnie — pod warunkiem, że wódka będzie dobra.

— Najlepsza — zapewnił Pratzke. — Z zapasów radzieckiego komendanta; sześćdziesięciopięcioprocentowa. Zabrałem ją wczoraj w trosce o zdrowie majora.

Przeszli razem przez bramę obozową. Szli zgodnie w kierunku baru, w którym mieściła się niemiecka komendantura: niewielkie pomieszczenie zarządu, za nim służbowy pokój Kriegera, a z tyłu pokój, którego wystrój można by nazwać luksusowym; stał tam mianowicie stół, skrzynie do siedzenia, półka, umywalka, łóżko polowe. Tutaj mieszkał niemiecki komendant; tego przepychu i blasku zazdrościło mu, ale bez szczególnej irytacji, pięć tysięcy ludzi śpiących na pryczach.

Pratzke od razu ukląkł. Wlaź pod łóżko i grzebał tam wśród kartonów i puszek. Wreszcie wypełził z butelką wódki. Była niemal do połowy pełna. Spoglądał na nią w radosnym oczekiwaniu, odkorkował i powąchał, co wprawiło go w zachwyty. Potem przyłożył butelkę do ust. Ale w ostatniej chwili powstrzymał się. Podał wódkę Kriegerowi. Ten wziął butelkę i podał Grunertowi. Grunert się napił. Ognisty płyn jakby wsiąkł w jego ciało. Moc wódki sprawiła, że jego oczy stały się wilgotne, ale ich nie zamknął. Ani na sekundę nie spuścił Kriegera z oczu; ten również obserwował go bez przerwy.

- Za powodzenie — rzekł Grunert, zanim wypił po raz drugi.
- Twoje zdrowie — rzekł Krieger; teraz on sięgnął po butelkę.
- I mam na myśli dokładnie to, co mówię, Grunert. Mam bowiem nadzieję, w twoim interesie, że nie będziesz lekkomyślnie narażał na szwank swego cennego zdrowia.
- Za dobrą współpracę! — zawołał Pratzke i wypił potężny łyk.
- Wykrzywiali się do siebie w uśmiechu i dalej na siebie czatowali. W tej sytuacji trudno było znaleźć odpowiednie słowa. Najchętniej, niby wilki, skoczyliby sobie do gardła. Ale szybko zrozumieli, że w chwili obecnej gwałtem niczego nie da się osiągnąć. Ryczący major, którego niejeden nie znający jego charakteru, uważał za nieszkodliwego szczekacza, wciąż był typem cwany i przebiegłym. Obu, Grunerta i Kriegera, zapędził na szlak łowiecki. I teraz nikt nie wiedział, za którym z nich zamierzał się opowiedzieć
- ten drugi wówczas niezawodnie zostałby odstrzelony.
- Dziel i rządź — rzekł wreszcie Krieger z namysłem.
- Stara, a wciąż jeszcze aktualna polityczna maksyma. Ale nie mam ochoty dać się podjudzać przeciwko tobie, Grunert.
- Nigdy nie sądziłem, że jesteś moim przyjacielem — rzekł Grunert przeciągle.
- Bo wcale nie jestem — odparł Krieger szybko. Za wszelką cenę chciał uniknąć wrażenia, że proponuje mu koleżeństwo. Ale uznał też za celowe nie dopuścić do dalszego zaostrzenia stosunków. Wojska jeszcze nie były ustawione, teren nie dość zbadany — a więc z decydującą bitwą należało jeszcze poczekać.
- Za mało się znamy — rzekł Krieger — by być przyjaciółmi. Nie, nie chodzi tu o ciebie czy o mnie, lecz jedynie o wspólnotę, do której należymy — czy tego chcemy, czy nie.
- Jeńcy wspólnie pojmani nie muszą być wspólnie powieszeni — rzekł Grunert.
- W każdym razie w tej sytuacji nie możemy sobie po zwolnić na niezgodę. Współpraca jest więc nie tylko rzeczą rozsądną — to nakaz chwili.

— Chcesz ze mną współpracować? — zapytał Grunert z niedowierzaniem i zarazem nieufnie.

— Można by tak to nazwać — oświadczył Krieger wielkodusznie. — Ale żeby nie było nieporozumień; ów tak niezbędny proces określiłbym z mojego punktu widzenia następująco: ty będziesz ze mną współpracował.

— Ale to przecież to samo! — zawołał Pratzke zdziwiony i ujął butelkę wódki.

— A więc chcesz, żebym ci podlegał? — zapytał Grunert. Odchylił się trochę, jakby chciał uniknąć przykrego zapachu.

— Oczywiście, że podlegasz majorowi — rzekł Krieger — dokładnie tak, jak zarządził. Czyżbyś się spodziewał po mnie, że będę na tyle głupi, by sprzeciwiać się rozkazom radzieckiego komendanta za jego plecami? Mam tylko na myśli, że swojej organizacji nie możesz formować wbrew mojej woli i bez mojej zgody. Jeśli moja postawa będzie obojętna albo niechętna, automatycznie natkniesz się na trudności; jeśli natomiast cię poprę, wszystko może się odbyć bez komplikacji. A jestem gotów cię poprzeć.

— Za jaką cenę? — zapytał Grunert.

— Chcę tylko, byś mnie informował — to wszystko. Muszę wiedzieć, co się dzieje w moim obozie, inaczej nie mogę ponosić odpowiedzialności za pięć tysięcy kolegów.

— Zgoda — rzekł Grunert szybko. — Będę cię informował na bieżąco, ale nic więcej.

— Muszę także — rzekł Krieger ostrożnie — mieć prawo sprzeciwu, jeśli chodzi o sprawy, które mogłyby zagrozić naszej wspólności.

— Zgadzam się i na to — rzekł Grunert ku wyraźnemu zaskoczeniu Kriegera. — Ale jeśli nie dojdziemy do zgody, wówczas ostateczną decyzję co do twego sprzeciwu podejmie komendant radziecki.

— Oczywiście — zgodził się Krieger i tym razem Grunert był zaskoczony. — Jeśli w pewnych punktach nie dojdziemy do porozumienia, to zwrócimy się do Rosjan.

Grunert skinął głową. Był już trochę zmęczony po trudach tego dnia, po wódce i po harcerskich podchodach, jakie tu urządzili wraz z Kriegerem. W tej chwili nie

umiałby powiedzieć, czy posunął się o kilka kroków naprzód, czy nie. Pewne było jedno — to, co już przedtem wiedział: Krieger był i pozostanie przeszkodą. Ale nie dało się tej przeszkody ominąć — musiał się z tym pogodzić, jeśli nie chciał utknąć w miejscu.

— Jakie zadania sobie postawiłeś albo tobie postawiono?

— zapytał teraz Krieger.

— Przede wszystkim spróbuję wyszukać w obozie wszystkich tych, którzy mają zacięcie artystyczne albo przynajmniej na tyle zdolności, żeby potrafili uprzyjemnić czas swoim bliźnim.

— Wobec tego wyobrażam sobie, że mogłyby powstać drużyny bokserskie — rzekł Pratzke. — Można by urządzać prawdziwe zawody z eliminacjami, półfinałami i walkami finałowymi; barak kontra barak lub jedna grupa montażowa przeciwko drugiej. Z ostatecznym zwycięzcą sam walczyłbym o trofeum „Czerwonego Poranka”. Następnie można by urządzać tak zwane zawody przyjaźni z Rosjanami.

— Tego rodzaju kultury — rzekł Krieger z łagodną ironią — Grunert chyba nie zaakceptuje, nie mówiąc już o tym, że tutaj chyba nikt nie ma nadmiaru siły, oprócz ciebie, Pratzke. Jeśli dobrze zrozumiałem, Grunert ma zamiar zgromadzić muzyków, śpiewaków i aktorów.

— I rzemieślników — rzekł Grunert; powiedział to tak prosto i naturalnie, jak tylko potrafił.

— Rzemieślników? — zapytał Krieger natychmiast. Od razu zrozumiał, a przynajmniej wyczuł, że chodziło tu o szczególnego rodzaju posunięcie; ewentualne jego skutki były nie do przewidzenia.

Grunert skinął głową. — Pragnę zorganizować tu coś w rodzaju teatru, który by mógł dawać ciekawe przedstawienia. W tym celu potrzeba mi także warsztatu, gdzie będzie można robić dekoracje i kostiumy. Ale tymczasem muszę sobie zorganizować odpowiedni personel.

— A poza tym deski, tekturę, farby, płótno, różnego rodzaju materiały. Skąd to weźmiesz?

— Jakoś się znajdzie — rzekł Grunert wymijająco.

— Przede wszystkim muszę mieć personel.

— Ile osób?

— Niewiele. — Grunert udawał niewinnego i przyglądał się swoim paznokciom; wyglądały jak paznokcie pomocnika grabarza. — Mniej więcej dwa procent, tak sędzę.

— To za dużo! — zawołał Krieger natychmiast. — Dwa procent załogi to stu ludzi. Taka liczba jest wykluczona! Nawet ja nie dysponuję tak dużym personelem.

Grunert na chwilę przymknął oczy, w których malowało się znużenie. Napotykał wciąż nowe trudności. Od początku liczył się ze sprzeciwem Kriegera. Ale nie zdawał sobie sprawy, że natrafi na opór aż tak zacięty. — Zaczniemy bardzo skromnie.

— I pozostaniecie skromni — uzupełnił Krieger stanowczo.

— Czy kobiety też wezmą w tym udział? — żywo zainteresował się Pratzke.

— Tak — odparł Grunert ze znużeniem. — To chyba zrozumiałe.

— Tak całkiem zrozumiałe to to nie jest — oświadczył Krieger. Ani na chwilę nie zaniechał próby utrzymania swojej pozycji. — Jeśli naprawdę kobiety mają brać w tym udział, to będę nalegał na ścisłą kontrolę, z powodów moralnych.

— Jeśli te baby będą chciały, to i teraz dorobią się dzieci — rzekł Pratzke.

— Praca artystyczna pod nadzorem policyjnym — to chyba nie jest właściwe — usiłował tłumaczyć Grunert.

— Gdyby cokolwiek się stało — rzekł Krieger, który dalej z uporem walczył o każdy najmniejszy przywilej — musiałbym energicznie zadziałać, ewentualnie zwrócić się do radzieckiego komendanta. A to byłoby bardzo przykre, powinniśmy tego unikać. Kontrola w porę oszczędzi nam wielu irytacji. Zawsze jestem za tym, by zapobiegać wszelkim możliwym komplikacjom.

Grunert skinął potakująco. Był bardzo zmęczony i ledwie zdolny do dalszych pertraktacji w taki sposób, aby nie przyznawać racji wątpliwościom Kriegera. Wydawał się sam sobie jak pijany handlarz koni, który nie może już dorównać koledze o mocniejszej głowie. Ostatkiem sił

odsunął od siebie pełną butelkę wódki. I dopiero po wielokrotnych próbach udało mu się wreszcie zakończyć tę rozmowę

— Jeśli chcesz, możesz się tu wprowadzić — rzekł Krieger wielkodusznie.

Grunert odmówił grzecznie, ale stanowczo. Gdyby był na tyle lekkomyślny i zamieszkał w tych nęcących pomieszczeniach, znalazłby się pod całkowitą kontrolą Kriegera. Cena, jaką się płaci za luksus, jeśli jej się dobrze przyjrzeć, jest zawsze zbyt wygórowana.

— Oczywiście możesz zrobić, jak zechcesz — zapewnił Krieger. — Tylko pro forma zależy mi na obszernych informacjach. Z tego też powodu nie omieszkać spisywać swoich opinii na temat twojej działalności.

Grunert od razu wyczuł, co to miało znaczyć; ale nie pozostało mu nic innego, jak i w tym względzie wyrazić zgodę skinieniem głowy. Te pisemne opinie będą zawierały całe akapity rozważań, wątpliwości i zastrzeżeń. Jeśli wcześniej czy później coś się stanie, Krieger zawsze będzie twierdził: ja to wszystko przewidywałem, ostrzegałem — oto dowód na piśmie!

Grunert odetchnął głęboko, kiedy znów znalazł się na zewnątrz. W powietrzu wisiał zapach ciężkiej ziemi i gryzącego dymu; on jednak z przyjemnością wdychał te oszałamiające wonie. Zmęczenie ścinało go z nóg, a jednak był podniecony myślami, jakie wściekle kotłowały mu się w głowie. Niemal automatycznie ruszył w drogę.

Kiedy mijał obóz kobiety, ktoś go zawołał. Była to pani Simoneit. — Muszę z panem porozmawiać.

— Później — zaprotestował Grunert.

— Chodzi o Hannelore. Chce powiedzieć, kto jest ojcem dziecka. Ale tylko panu.

— Ale ja nie chcę tego wiedzieć — odparł Grunert. — A jeśli ona jest mądra, to niech trochę z tym poczeka, na pewno się opłaci.

— Komu, panie Grunert? — zapytała Simoneit mocno ubawiona. — Może panu?

— Może — odparł Grunert. — Takie dziecko, przynajmniej na razie, jest na naszym terenie czymś absolutnie

niezwykłym. Nie powinniśmy więc takiej pierwszorzędnej informacji tanio sprzedawać czy po prostu podarować.

— Ale nie możemy dłużej ukrywać tej sprawy przed Rosjanami — rzekła Simoneit. — Przyszła matka potrzebuje ochrony i opieki. Hannelore nie wolno wykonywać ciężkiej pracy; musi też dostawać lepsze i pożywniejsze jedzenie.

— Zadbam o to wszystko — przyrzekł Grunert. — Niech pani jej to powie. I jeszcze coś: niech się nie spieszy ze znalezieniem ojca dla swego dziecka. Im więcej kandydatów będzie wchodziło w grę, tym lepszej opieki może się spodziewać. Nieczyste sumienia zamienią się w kopalnię złota.

— Które pan będzie eksploatował.

— Pani Simoneit — rzekł Grunert powoli, niemal zataczając się ze zmęczenia. — Są sytuacje, kiedy nie wolno pozwalać sobie na wielkoduszność ani dumę, jeśli chce się przetrwać.

— Niech pan dalej tak robi — rzekła kobieta z rubaszną kpina. — Zobaczmy, jak daleko pan zajdzie wśród tych kur i gęsi ze swoimi mądrościami. W każdym razie pociesza mnie myśl, że nie ma lepszej śmierci niż umrzeć ze śmiechu.

Grunert całkowicie wyczerpany opadł na pryczę, na której przysługiwał mu niespełna metr. Obaj Wilhelmowie, którzy z nim bezpośrednio sąsiedowali, spoglądali na niego z niepokojem. — Jesteś chory?

— Posłuchajcie obaj — rzekł Grunert, zanim poddał się całkowicie zmęczeniu. — Mianuję was oto intendentem i dyrektorem tutejszego teatru obozowego. Pierwsza czynność na tych stanowiskach będzie polegała na dopilnowaniu, abym przez kilka godzin mógł się spokojnie przespać.

— On chyba naprawdę jest chory — rzekł jeden z Wilhelmów.

— Chorzy na ogół nie są skorzy do żartów — zastanawiał się dyrektor Wilhelm.

— Hej, wy tam — rzekł Grunert, już rozluźniony, z nie małą zamkniętymi oczami. — Od tej chwili należycie do oddziału K-5, którym ja kieruję. Jesteśmy odpowiedzialni za kulturę w obozie; co się pod tym pojęciem kryje, to się jeszcze okaże. Odpada teraz praca w fabryce, ale racje żywnościowe pozostają nie zmienione. Później niewykluczony jest dodatek artystyczny. A w tej chwili marzę tylko o jednym: aby się wyspać! Możecie tymczasem spokojnie przystąpić do pierwszych prac. Jak już się wyśpię, pogadamy dalej.

Wilhelmowie spoglądali na śmiertelnie zmęczonego kolegę ze współczującą serdecznością. Był blady. Szczerze się o niego niepokoiłi; byli mu wdzięczni za wyrozumiałość i dyskrecję. Im dłużej zastanawiali się nad jego słowami, tym bardziej wydawały im się prawdopodobne. U Grunerta wiele było możliwe.

Obaj Wilhelmowie skinęli do siebie. Następnie wzięli swoje koce i troskliwie przykryli Grunerta. Leżał teraz w swoim kącie nieruchomo, niemal sztywny, ale głęboko oddychał.

Wilhelmowie zasłonili jego legowisko dwoma kartonami, w których mieściło się wszystko, co posiadali. Kiedy to zrobili, wyszli — na „tor wyścigowy”.

Ten „tor wyścigowy” był udeptaną drogą prowadzącą dokoła baraku. Z zasady deptanie odbywało się zgodnie z ruchem wskazówek zegara, aby uniknąć zderzenia z innymi jeńcami. Tutaj stale niespokojnie krążyli jacyś ludzie. Szukali iluzji samotności albo chcieli tylko odetchnąć świeżym powietrzem, lub też spokojnie porozmawiać bez świadków.

— Nasz przyjaciel Grunert — rzekł jeden z Wilhelmów — ma skłonności do najprzedziwniejszych myśli; podzielenie tych jego skłonności nie jest tak całkiem bezpieczne.

— Ale równie niebezpieczne jest niepodzielenie tego rodzaju skłonności — odparł drugi Wilhelm — jeśli on wyraźnie tego od nas żąda. On dużo wie, także o nas. I nie byłoby mądre przypominać mu o tym lekkomyślnie, że dużo wie.

— Poza tym — rzekł jeden z Wilhelmów — to dobry chłop, wyjątkowo tolerancyjny. I gdyby nawet odważył się

na coś niebezpiecznego, chyba nie zmuszałby nas do brania udziału w czymś takim — gdybyśmy się nie zgodzili dobrowolnie. A że planuje coś ryzykownego, to nie ulega dla mnie wątpliwości. Zresztą może mamy mu tylko pomóc rozciągnąć siatkę, aby swoje sztuczki na trapezie mógł wykonywać z pewnym zabezpieczeniem.

— Ale jeśli on runie, bo nasza siatka okaże się zbyt słaba, co wtedy? Jeśli stanie się nieszczęście, będziemy współwinni.

— Trudno — zdecydował Wilhelm numer jeden za drugiego. — Dla mnie istnieje tylko jedno prawdziwe wielkie nieszczęście: jeśli nas rozdzieli! I Grunert prawdopodobnie dobrze o tym wie.

Po czym Wilhelm numer jeden otoczył ramieniem przyjaciela. Spojrzeli na siebie. Następnie podeszli do obozowego policjanta, który stał przy ich bramie. Zażądali, aby zaprowadził ich do kierownika grupy roboczej. Tam oświadczyli, że nie stawiają się na najbliższą zmianę, bo odtąd należą do oddziału K-5.

— A co to za oddział? — zapytał kierownik. Był to niski, wyjątkowo dobrze odżywiony mężczyzna o mądrych, bystrych, lisich oczach na błyszczącej prosięcej twarzy.

— Pracujemy od dziś w kulturze — oświadczył jeden z Wilhelmów. I chociaż nie wiedział jeszcze, co się pod tym pojęciem kryło, w jego głosie pobrzmiwała duma i pewność siebie. — Kultura to nasze najnowsze osiągnięcie!

— A może tylko wykręt dla ludzi, którzy chcą się wymigać od roboty?

— O to musisz spytać niemieckiego komendanta. — Kierownik znikł z nieufnym wyrazem twarzy. Wrócił po trzech minutach. — W porządku — rzekł bardzo niezadowolony.

Potem coś zapisał i spoglądał na swoje plany i tabele grup roboczych, stanowisk pracy i norm wydajności. — Jeszcze i kultura — mruzczał. — Jak gdybym nie miał i bez tego dość kłopotów i trudności w tej cholernej budzie!

— No to zrzeknij się tego stanowiska — poradził mu jeden z Wilhelmów.

— Żeby przyszedł kto inny i wywrócił wszystko do góry nogami? — Organizatora niewolników od traktorów wyraźnie brzydziło, że wciąż musi walczyć z zazdrością i ignorancją. — Gdyby mnie tu nie było, pracowalibyście w kamieniołomach albo kopalibyście rowy, wycinali drzewa lub kleili torby. Ja tu z was robię doskonałych fachowców. Tylko kto mi za to podziękuje?

— Może Sowietci — rzekł Wilhelm. Po czym wyszedł wraz z pełnym podziwu dla niego kolegą. — No to zajmijmy się kulturą — powiedział z ożywieniem.

— Ponieważ nie musimy się zajmować kulturą kuchni francuskiej — wtrącił drugi Wilhelm z łagodną ironią — myślę, że nie powinniśmy napotykać komplikacji.

— Co nie zmienia faktu — pierwszy Wilhelm stwierdził, co prawda taktownie, ale z uporem — że wyrafinowane pomysły niektórych paryskich gastronomów można porównać jedynie z kuglarskimi sztuczkami. Prawdziwą siłę i piękno kraju, jego aromat i oszołamiającą zawiesistosc w nie sfalszowanej postaci można spotkać tylko w Prowansji.

Ciągnęli ten temat w radosnym uniesieniu tak długo, aż dotarli z powrotem do baraku i ujrzeni śpiącego Grunerta. Na jego widok stali się trochę bezradni. Wymagał od nich działalności artystycznej, a oni nie mieli pojęcia, co miał na myśli. Postanowili więc na razie zaczekać, aż Grunert się obudzi.

Obudził się po kilku godzinach. Barak był jeszcze pusty. Jeńcy — prócz Grunerta i obu Wilhelmów — udali się na swoją zmianę w „Czerwonym Poranku”, by tam z części montować traktory. Byli tylko we troje, a więc nie narażeni na zwykłą ciekawość kolegów.

— No to powiedz — odezwał się Wilhelm — o co ci chodzi, jak sobie wyobrażasz kulturę? Jak sobie wyobrażasz teatr obozowy? Czego spodziewasz się po intendencie i dyrektorze?

— Przede wszystkim — rzekł Grunert ochoczo — potrzeba nam rzemieślników-fachowców. Tam w fabryce nasi ludzie są zaledwie pomocnikami, którzy wykonują kilkanaście zaplanowanych ruchów montażowych. Ale na pew-

no jest wśród nich sporo takich, którzy potrafią dużo więcej niż wolno im zademonstrować. Na pewno są tam elektrycy, stolarze, ślusarze, malarze, blacharze. Potrzeba nam najlepszych.

— Co mają wspólnego rzemieślnicy z teatrem? — zapytali Wilhelmowie ze zdumieniem.

— Bardzo dużo! W teatrze, który tu chcę założyć, będą nawet głównymi aktorami.

Wolfgang Grunert najwidoczniej dobrze się wyspał. Siedział na pryczy i mierzył swoich współpracowników ożywionym wzrokiem. Gryzł kromkę chleba i beztrudnie ciągnął dalej. Chyba dokładnie wiedział, czego chce.

— Oczywiście potrzebni nam są tak zwani artyści, przede wszystkim muzycy i śpiewacy. W tej dziedzinie będzie my mieli najmniej kłopotów, bo muzyka jest międzynarodowa; zwłaszcza co do muzyki klasycznej nawet Rosjanie nie będą mieli obiekcji. Ale także talenty aktorskie są mile widziane. Nie będziemy przy tym odrzucać tak zwanych laików, bo takim ludziom szczególnie łatwo jest wmówić, że dla sztuki należy ponosić ofiary — będą więc taskali deski i pomagali zakładać kable. A tego właśnie głównie od nich oczekujemy. Kiedy więc będziemy dobierać nasz personel, musimy prócz zdolności brać pod uwagę siłę fizyczną i umiejętności manualne. Fachowcy z artystycznym zacięciem będą dla nas najcenniejsi; co prawda na listach będą figurowali jako aktorzy, ale pracować będą przeważnie w warsztatach.

Wilhelmowie popatrzyli na siebie dość bezradnie. Wydawało im się, że śnią wśród zabitego deskami świata, otoczonego drutami kolczastymi; oczyma wyobraźni widzieli kurtynę, która rozsuwała się przed stolarniami, i reflektory, które oświetlały warsztaty. A wśród tego dziewczęta, skapo ubrane, tańczące w takt uderzeń młotów kowalskich, podczas gdy od strony orkiestry rozlegają się dźwięki skrzypiec i pił. Na widowni siedzieli jeńcy, bladzi, z zapartym tchem, jak zaczarowani, z otwartymi ze zdumienia ustami.

— Gdyby nas kto zapytał, moi drodzy, nierozłączni przy jacie, co właściwie zamierzamy robić, to powiemy po

prostu: muzykę Bacha, Czajkowskiego, sztuki Szekspira i Gogola; poza tym zamierzamy wystawiać Gorkiego i Puszkina. Taką informację otrzymają Rosjanie. Dla Niemców natomiast, a zwłaszcza dla tak zwanych dobrych i prawdziwych Niemców, będziemy rzekomo grać Wagnera, Beethovena i wystawiać Schillera; można też śmiało wymienić Goethego. Nasze plany będą szeroko zakrojone.

— No dobrze — rzekł wreszcie jeden z Wilhelmów. — Ściągniemy dużo personelu technicznego, a poza tym zbierzemy możliwie kompletny zespół teatralny; postaramy się też zestawić dużą orkiestrę. Ale skąd weźmiemy instrumenty?

— Sami je zrobimy albo wypożyczymy od Rosjan. Jeśli się nie da inaczej, to nawet bez oficjalnej zgody. Tak samo będzie z nutami.

I znów obaj Wilhelmowie popatrzyli na siebie z namysłem. — Z tekstami też będzie trudno, skąd je wziąć?

— To mnie najmniej martwi — rzekł Grunert beztrasko. — Kilka sztuk po prostu przetłumaczymy z rosyjskiego na niemiecki. Poza tym mamy w obozie znanego pisarza nazi stowskiego, który chętnie wesprze nas kilkoma mocnymi, antynazistowskimi dramataми. Może po prostu wyciągnąć swoje stare utwory i wzbogacić je nowymi przesłaniami; z hitlerowców zrobi łajdaków, a z socjalistów bohaterów, z Germanów barbarzyńców, a ze Słowian nadludzi. I taka aktualna rzecz z pewnością odniesie sukces. Ale to wszystko tylko tak na marginesie — najważniejsze są warsztaty!

Obaj Wilhelmowie milczeli. Siedzieli jeden przy drugim, naprzeciwko Grunerta i ledwo mieli odwagę spojrzeć na siebie.

— To brzmi trochę dziwnie — odezwał się wreszcie jeden z nich.

Grunert machnął ręką. Usłyszał kroki i spojrział w stronę drzwi. Ukazał się tam Pratzke; siedł ku nim kołyszącym się krokiem drapieznika. Jak gdyby chciał zademonstrować swoją siłę.

Zbliżył się do nich, szczerząc zęby poufale. — Komitet festiwalowy obraduje? — zapytał. — No to przychodzę w porę.

— Czy proponujesz nam swoje usługi jako artysta? — zapytał Grunert czujnie.

Pratzke zaśmiał się niby to dobrodusznie; klepnął po plecach obu Wilhelmów mrugając za ich plecami do Grunerta, po czym usiadł. — Ale sobie wyszukałeś atletów ducha, Grunert. To wprost genialne! Twój wybór kierowników daje przynajmniej gwarancję, że ten teatr nie zamieni się w burdel. Jak najbardziej to popieram, mówiąc poufnie: ze względów osobistych.

Grunert spojrział ostrzegawczo na obu Wilhelmów. Poczuli się urażeni ironiczną brutalnością Pratzkego i chcieli okazać swoje oburzenie, może nawet wyrazić je w słowach. Ale Grunert nie życzył sobie żadnej wrogości, a już na pewno nie takiej, która przedwcześnie doprowadziłaby do wybuchu. Obaj Wilhelmowie zrozumieli go natychmiast i opanowali się.

— Czym chciałbyś mnie ucieszyć? — zapytał teraz Grunert. I rozbawiony spostrzegł, że Pratzke wydawał się speszony. Nie do wiary! Dlaczego? Grunert prawie się domyślał. Niewiele rzeczy było w stanie zaniepokoić Pratzkego: zagrożenie jego stanowiska i roszczenia kobiet.

— Chciałbym ci tylko udzielić dobrej rady — rzekł Pratzke, walcząc dzielnie ze swym zmieszaniem. — Chciałem ci coś zaproponować, całkiem niezobowiązująco, oczywiście.

— Jak się nazywa ta dziewczyna? — zapytał Grunert prosto z mostu.

— Sylwia — odparł Pratzke; był wyraźnie zaskoczony.

— Jest zaangażowana — zdecydował Grunert, jakby chodziło o sprawę najprostsza pod słońcem.

— Z tobą daje się współpracować — przyznał Pratzke, szczerząc radośnie zęby.

— Z tobą także — zapewnił Grunert koleżeńskim tonem. — I dlatego proszę cię, abyś dziś jeszcze kazał ogłosić, co następuje: Szukamy ludzi o zdolnościach artystycznych, przy zachowaniu najwyższych dziennych racji. A także kilku rzemieślników. Przekażę ci dokładny tekst. Jutro i pojutrze w ciągu dnia będziemy egzaminować kandydatów. Chciałbym, abyś i ty brał w tym udział.

— Zrobione — zgodził się Pratzke, energicznie kiwając głową.
— I zapewniam cię, że Sylwia, którą ci poleciłem, ma jak najlepsze kwalifikacje.

— Nie mam co do tego wątpliwości — rzekł Grunert z uśmiechem. — No to mamy już sześciu współpracowników: obaj Wilhelmowie, ksiądz Matthaus, stolarz Wollmann, twoja Sylwia i — Hannelore.

Wyraz wielkiego zadowolenia znikł nagle z twarzy Pratzkego. Przez chwilę wydawał się stropiony niby dziecko, któremu wśród dymu i płomieni zniknęła nagle ulubiona lalka. Bezpośrednie sąsiedztwo protegowanej przez niego Sylwii i Hannelore oznaczało możliwość skandalu, który mógłby go kosztować utratę stanowiska.

— Przecież nie możesz tego zrobić!

— To dla twojego dobra — zapewnił go Grunert — jeśli nawet teraz tego nie rozumiesz. Chyba nie myślisz, że narażałbym na szwank naszą współpracę?

— Właściwie nie — zgodził się Pratzke z trudem — chyba nie jesteś taki głupi.

— Na pewno nie — rzekł Grunert. — Jestem twoim dobrym kumplem, Pratzke, tak długo, jak długo ty jesteś moim dobrym kumplem.

Jaskrawoczerwona opaska z grubego płótna było to najwyższe wyróżnienie, jakie mogło spotkać niemieckiego jeńca ze strony Rosjan. Oznaczało ono pełną swobodę poruszania się po obozie, co prawda tylko poza godziną policyjną. Posiadacz takiej czerwonej, ostemplowanej szmaty mógł bez przeszkód poruszać się po obozie 13-7-13 jak też po terenie fabryki „Czerwony Poranek”, albowiem był to teren połączony. Grunert nosił teraz taką opaskę.

Rosyjscy robotnicy fabryczni pochodzili z miasta albo z pobliskich okolic; praktycznie zaś, po przekroczeniu zasieków z drutu kolczastego, przez osiem godzin znajdowali się w niewoli jak jeńcy. W halach i szopach obie grupy

zgodnie pracowały obok siebie. I niekiedy trudno było rozróżnić, kto tu był więzionym żołnierzem armii agresora, a kto musiał obowiązkowo uczestniczyć w odbudowie socjalistycznej ojczyzny. Jedna grupa chciała żyć, druga — przeżyć; chyba tylko na tym polegała różnica.

Nowa czerwona opaska Grunerta wyzywająco rzucała się w oczy. Nawet mglista, wilgotna pogoda nie odbierała tej krzyczącej czerwieni jej krwawej siły przekonywania. Były także białe opaski; co prawda po krótkim czasie stawały się brudnoszare; nosiła je policja obozowa, a także różni pomocnicy i zaufani niemieckiego komendanta. Posiadacze białych opasek mogli się bez przeszkód poruszać tylko na terenie samego obozu 13-7-13, podczas gdy czerwone opaski uprawniały do poruszania się w zasięgu przeszło jednego kilometra kwadratowego.

— Czy mam także wystawić wartość honorową? — zapytał policjant niemiecki z uprzejmym chichotem. I pozdrowił Grunerta na wół po wojskowemu, kiedy chciał przejść przez główną bramę pomiędzy obozem a fabryką.

Grunert spokojnie machnął ręką. Następnie podsunął swoją opaskę pod nos stojącego w pobliżu uzbrojonego po zęby radzieckiego żołnierza. Ten obejrzał ją dokładnie, jakby studiował znajdujący się na niej stempel komendantury z dociekliwością detektywa. Potem skinął głową.

Dotąd czerwone opaski wydano tylko trzem jeńcom: jedną nosił Krieger, drugą Pratzke, trzecią kierownik grupy roboczej. Grunert był czwartym posiadaczem tego pożądanego symbolu pozornej wolności; zdawał sobie dobrze z tego sprawę i postanowił ten przywilej w pełni wykorzystać.

Grunert skierował się w stronę lazaretu, położonego tuż przy bramie wejściowej, w pobliżu komendantury radzieckiej. Jego radość z posiadania czerwonej opaski, dającej mu wreszcie swobodę poruszania się, trwała krótko. Teraz znów poczuł wyraźnie — zwłaszcza na widok lazaretu — że wiele spraw i decyzji należy podejmować z mądrością i uporem, jeśli chce się długo nosić czerwoną opaskę.

W lazarecie od razu natknął się na Katerinę. Stała w otwartych drzwiach swego gabinetu, położonego tuż przy

wejściu; prawdopodobnie widziała go, jak szedł. — Pan do mnie? — zapytała.

— Oczywiście — zapewnił ją pospiesznie. — Cieszę się, że panią zastałem.

— Niech się pan nie cieszy przedwcześnie — rzekła lekarka nieprzychylnym tonem. — Mam dla pana złą wiadomość; prawdopodobnie uda mi się wyciągnąć pańskiego znajomego, tego Hegnera. Przetrwa kryzys — za dwa lub trzy dni nie będzie już gorączkował. Wtedy zacznie mówić. I dowiemy się, co z pana naprawę za człowiek.

Grunert milczał i spoglądał na lekarkę z równie badawczą przenikliwością, jak ona na niego. Starał się wyobrazić ją sobie w zupełnie innych okolicznościach, w zupełnie innej sytuacji; podczas śpiewania pieśni, w tańcu, w ramionach mężczyzny. Ale natychmiast zrozumiał, że jego wyobraźnia nie sięga aż tak daleko.

— Co pan tak zaniemówił? — zapytała Katerina. — Wygląda pan, jakby się pan źle poczuł. — W ostrych i rzeczowych słowach lekarki Grunert słyszał jakby cień niepokoju. Ale ten niepokój mógł wynikać wyłącznie z lekarskiego poczucia odpowiedzialności; bo właśnie ta cecha szczególnie Katerinę wyróżniała.

— Czy pani czasem czyta wiersze? — zapytał Grunert nagle.

— Znam kilka na pamięć — odrzekła Katerina, a w jej oczach załśniło zmieszanie. — Ale nie rozumiem, co to pytanie ma wspólnego z moim stwierdzeniem.

— Dużo — rzekł Grunert. — Bo wszystko, co wtedy zaszło pomiędzy mną a moim nauczycielem, zaczęło się od wiersza. Nie mogliśmy się zgodzić co do jego wartości. To było jego nieszczęście — albo moje. I to właśnie dopiero teraz się okaże.

— Co z pana właściwie za człowiek? — zapytała lekarka gorączkowo. — Czy jest pan szarlatanem, czy też fantastą, a może egzaltowanym idealistą lub zamaskowanym romantykiem, realistą czy po prostu kryminalistą?

— Muszę szczerze wyznać, pani doktor, że pani zainteresowanie moją osobą sprawia mi więcej radości niż niepo-

koju. Gdyby kiedyś znalazła pani kilka godzin, najlepiej wieczorem, moglibyśmy porozmawiać.

— Co to ma znaczyć? — zapytała lekarka niemal bez tchu. Wydawało się, że to, co Grunert odważył się powiedzieć, uważała za niesłychaną bezczelność.

— To ma znaczyć — pospieszył Grunert z wyjaśnieniem — że czuję się jeszcze bardzo niepewnie — w dziedzinie polityki. Wiem dość dobrze, czego chcę, ale nie wiem, jak mam do tego dojść. Chciałbym zbliżyć się do komunizmu. Znam dobrze *Kapitał* Marksa, znam trochę dzieła Lenina, ale nie opanowałem jeszcze sztuki interpretacji, wykładania, tłumaczenia. Chciałbym jak najprzejmiej prosić panią o pomoc.

— To sprawa komisarza.

— On jest teraz nieobecny, pani go zastępuje. A gdyby nawet tutaj był, musiałby się zajmować pięcioma tysiącami jeńców oraz robotnikami i urzędnikami fabrycznymi. Ja natomiast mam setki różnych pytań. Proszę, niech pani rozważy moją prośbę i poświęci się dla dobra sprawy.

— Muszę się zastanowić — oświadczyła Katerina z wielką rezerwą. Wydawało się, że szczerze żałuje, iż nie może ostro odmówić. Ale ostatecznie miała obowiązki wobec partii. A czy nie należało bezwarunkowo podporządkować wymaganiom marksizmu-leninizmu także osobistych, prywatnych reakcji, choćby niekiedy było to bardzo trudne?

— Zawiadomię pana w odpowiednim czasie o mojej decyzji — rzekła wreszcie.

— Mam nadzieję, że będzie ona pozytywna — powiedział Grunert. — Ale zanim teraz pójdę, muszę jeszcze jedno pani powiedzieć. Szczerze się cieszę, że udało się pani wyleczyć Hegnera.

— Miło mi to słyszeć — rzekła Katerina spontanicznie.

— I dobrze byłoby, gdyby to była prawda. Dopiero wtedy naprawdę bym się cieszyła.

Potem odwróciła się spiesznie. Nastąpiło to tak szybko, jakby lekarka przestraszyła się tego, co powiedziała. Zniknęła w swoim gabinecie zatrzasnąwszy za sobą drzwi.

Po tym nagłym odejściu lekarki Grunert zatrzymał się jeszcze chwilę na korytarzu. Wyglądał, jakby był zatroskany.

Potem powiedział sobie: uczucia, jakiegokolwiek byłyby rodzaju, nie dają się nigdy wkomponować w kalkulację. Odpowiedzieć na podłość wyrefinowaniem, obezwładnić władzę przebiegłością, postawić na stuprocentowego łotra — to było dość proste. Ale nie móc odpowiedzieć na zaufanie, wykorzystywać okazywaną sympatię — to Gruner-towi nie odpowiadało.

Ruszył teraz bez szczególnej energii w kierunku budynku, gdzie mieściła się komendantura radziecka — mała szopa o niewielkich okienkach, zniszczona przez deszcze i mrozy, raczej zaułek gwałtu niż rezydencja władzy — bliższa mrocznym nocnym czynom niż beztroskiej dziennej krzątaninie.

Drzwi do pokoju radzieckiego komendanta były szeroko otwarte, a więc porywczy major był nieobecny. Gruner-towi było to na rękę. Skorzystał z okazji, by wciągnąć w ostrożną rozmowę pisarza tutejszego wszechwładnego.

— Pozwalam sobie — oświadczył ostrożnie — przedłożyć komendantowi niemal oficjalną propozycję. Jestem gotów zorganizować i oddać do dyspozycji grupę doskonałych rzemieślników, która przeprowadziłaby gruntowny remont całego budynku komendantury, zwłaszcza gabinetu pana majora i jego pisarza. Jako drobne wynagrodzenie prosiłbym tylko o rozmaite materiały; przede wszystkim drewno byłoby mile widziane w każdej ilości i formie.

— To wydaje się całkiem sensowne — rzekł pisarz o twarzy melancholijnej myszy. — Ale jeśli chodzi o materiał, to sprawa wygląda następująco: oczywiście mamy wszystko, ale nie dla was!

— Wystarczyłoby mi — rzekł Grunert — gdybym chociaż wiedział, gdzie w ogóle można znaleźć drewno i inne drobiazgi, jak na przykład farby, płótno, gwoździe. Byłbym wdzięczny za każdą tego rodzaju wskazówkę.

— To dałoby się zrobić — rzekł pisarz. I spoglądał zamyślony na ściany pokoju, które należałoby wreszcie pomalować.

— Polecam malowidła na ścianach — rzekł Grunert, który zrozumiał spojrzenie pisarza. — Tutaj może sceny z życia ludu rosyjskiego, a w gabinecie komendanta sceny z historii Rosji.

— Taki pomysł na pewno zainteresuje komendanta — rzekł pisarz. I udawał, że zastanawia się nad propozycją, jego zdaniem wszak nie do odrzucenia.

— To naprawdę niezła propozycja, i to pan mnie do niej zainspirował — pospiesznie zapewnił pisarza Grunert. — Byłoby więc dobrze, gdyby pan, jako w pewnym sensie współautor pomysłu, sam porozmawiał o tym z majorem. Jeśli komendant się zgodzi, moi ludzie, najlepsi fachowcy, mogliby od razu przystąpić do pracy.

Wpływowy i cwany pisarz pełnym uznania skinieniem głowy przyjął sprytnie posunięcie Grunerta. — Zwróć się do dyrektora fabryki — rzekł. — Ja mu powiem przez telefon, że akceptujemy twoje zamiary.

Grunert podziękował niemal wylewnie. W duchu zastanawiał się, czy uda mu się tu, w obozie, znaleźć kogoś od malarstwa ściennego. Ale ta sprawa niezbyt go niepokoiła, nie należało się obawiać zbyt wielu wymagań majora — wystarczy chyba bogata pstrokaczna.

Z przyjaznym i uprzejmym uśmiechem Grunert spoglądał na przychylnie nastawionego pisarza. Zastanawiał się, czy zaproponować dostarczenie szkiców i próbnych rysunków do domu pisarza. Ale uznał, że tego rodzaju chwyt mógłby zaprowadzić za daleko, w każdym razie na obecnym etapie. Należało poczekać.

Po kilku końcowych, nic nie znaczących słowach Grunert opuścił komendaturę. Udał się teraz na ulicę fabryczną; właściwie było to przedłużenie ulicy obozowej prowadzącej od jednej bramy z drutu kolczastego do drugiej. Grunert popatrzył wokół siebie wzrokiem posiadacza; „Czerwony Poranek” otaczał go całym swoim żalosnym zmęczeniem wykorzystanego do ostateczności terenu fabrycznego.

Po lewej stronie znajdowały się duże hale montażowe — zaprojektowana bez wyobraźni metalowa konstrukcja, jakich wiele na całym świecie. Tutaj z części składano dobrze funkcjonujące maszyny; hale bez przerwy wypluwały traktory.

Po prawej stronie, bezpośrednio przy bramie i komendaturze radzieckiej znajdowała się rampa kolejowa z torami:

głównym i bocznym. Za nimi widać było plac, gdzie stały gotowe traktory, skrzynie z częściami, stosy surowca w szopach i wagonach pod plandekami i wiatami.

Na samym końcu terenu fabrycznego, patrząc od strony obozu, położony był budynek administracji. Budowniczo wie tego białego pudła wydawali się zajadle, lecz daremnie dążyć do szeroko zakrojonej nowoczesności; gmach niefortunnie kojarzył się z koszarami w stylu wielkomiejskim.

Grunert bez trudu odnalazł pokój, gdzie urzędował dyrektor fabryki Grünbaum. Wpuszczono go od razu bez żadnych formalności. Pomieszczenie, do którego wszedł, było dość duże, zaskakująco czyste i urządzone z wyjątkową prostotą.

Dyrektor Grünbaum spoglądał zza okularów o grubych szklach. Przerwał pracę i poprosił gościa — uprzejmie co prawda, ale nie wylewnie — aby usiadł. — Zapowiedziano mi z komendantury pańskie przyjsie — rzekł.

— Czy powiedziano panu także, towarzyszu dyrektorze, po co do pana przychodzę?

— Czy jest pan członkiem partii, panie Grunert? — zapytał Grünbaum spokojnie. — Bo ja nie jestem. Jestem tylko inżynierem, któremu zlecono komisaryczne zarządzanie tą fabryką. Poza tym jestem bezpieczeństwa. Byłem Niemcem. Ale nie jestem jeszcze obywatelem Związku Radzieckiego. W trzydziestym trzecim musiałem uciekać z Niemiec. Jako bezpieczeństwa przybyłem tutaj przez Austrię i Czechosłowację.

— Czy mam pana zapewnić, że czuję się za to współodpowiedzialny? — zapytał Grunert ostrożnie. — Do pewnego stopnia zresztą naprawdę tak się czuję, ale nie wyobrażam sobie, że chce pan ode mnie coś podobnego usłyszeć.

— Proszę pana! — rzekł dyrektor z gestem protestu. — Nie powiedziałem panu tego po to, by zaapelować do pańskich uczuć. Chodzi mi jedynie o to, by wyjaśnić moją obecną sytuację. To nieważne, że byłem Niemcem i jestem Żydem, ale dla pana chyba jest istotne, by wiedzieć, że spełniam tu tylko określoną funkcję. Mam prawo wydawać polecenia, ale nie zarządzenia.

Grunert sądził, że dokładnie zrozumiał dyrektora Gninbauma. — To znaczy — rzekł — że nie mogę u pana na nic liczyć: ani na deski, ani na gwoździe, ani na gram farby.

Grunbaum odchylił się i przymknął na chwilę oczy; jego pociągła, żółtoszara twarz zdradzała nagle, ale szybko opanowane wyczerpanie. Potem uśmiechnął się niemal ze smutkiem i trochę bezradnie. — Teraz będzie nam trudno się porozumieć — rzekł powoli. — Nie wystarczy już mówić tym samym językiem, jeśli myśli należą do innych światów.

— By raz na zawsze sprawę wyjaśnić, panie dyrektorze — rzekł Grunert z trudem — mnie jest wszystko jedno, skąd pan przybywa i dokąd zmierza, czy jest pan Żydem, chrześcijaninem czy mahometaninem. Dla mnie jest pan tylko dyrektorem fabryki.

— To chyba olbrzymi postęp! — rzekł Grunbaum z łagodną ironią. — Jakie to miłe, że nie darzy pan nienawiścią mojej rasy i wiary! Ale pozostajmy, jak pan sobie życzy, przy moim stanowisku dyrektora fabryki. No cóż, w tej sytuacji jest chyba jak najbardziej logiczne, że sprawy fabryki są dla mnie najważniejsze. A moim jedynym zadaniem jest produkcja traktorów.

— Z naszą pomocą...

— Oczywiście — rzekł dyrektor. — Dla mnie niemieccy jeńcy stanowią taką samą siłę roboczą, jak rosyjscy robotnicy. Nie widzę, a w każdym razie uczciwie staram się nie widzieć w tej sile Niemców; i to dawnych niemieckich żołnierzy, wśród których są hitlerowcy, a nawet esesmani.

— Kto? — zapytał Grunert. — Kto tu jest esesmanem? Niech pan poda nazwisko.

— Ani myślę — rzekł dyrektor otwarcie. — To, co wiem, staram się jak najszybciej zapomnieć. Pan zaś powinien wyciągnąć z tego jedynie słuszną naukę: jeśli nawet się z tym godzę, to tylko dlatego, że funkcjonowanie fabryki powinno być dla mnie sprawą najważniejszą. Niech więc pan się nie spodziewa, że uczynię osobiście coś, co mogłoby zaszkodzić mojej pracy w fabryce, której całkowicie się poświęciłem.

— To jasne i zrozumiałe stanowisko — rzekł Grunert. Miał przykre i przytłaczające uczucie, że jest tu nie na miejscu. — W takim razie mogę już sobie pójść.

— Niech się pan tak nie spieszy — rzekł Grünbaum spokojnie. I znów się uśmiechnął, ale tym razem był to uśmiech całkowicie pozbawiony goryczy. — Powiedziałem, że zrobię tylko to, co leży w interesie kierowanej przeze mnie fabryki, a to wcale nie znaczy, że nic nie chcę dla pana zrobić. Nie dostanie pan tego, co jest niezbędne dla potrzeb fabryki, ale są materiały, które w danej chwili nie są niezbędne, więc czemu nie miałbym ich panu dać?

— Wcale nie jest łatwo pana zrozumieć — powiedział Grunert szczerze. — Chyba ma pan rację, może najpierw powinienem zmienić swój sposób myślenia, abyśmy mówiąc tym samym językiem mogli się zrozumieć.

— Nie wiem, czy mam panu radzić podjęcie tego ryzyka — odpowiedział Grünbaum, a w jego uśmiechu znów pojawił się smutek. — Mam przytłaczające uczucie, że ludzie coraz bardziej się od siebie oddalają. I czynią to z zaskakującą prędkością, którą porównać można tylko z prędkością gwiazd mknących w nieskończoność. Niektórzy usiłują nie dopuścić do siebie tego zastraszającego faktu. I aby zewrzeć siły gromadzą się w masy. Myślą w milionach! A ich ostatnią nadzieją i pewnością jest, jak sądzą, zmuszenie ludzi inaczej myślących, aby przeszli na ich tory. Czy nie powinniśmy spróbować obronić się przed tym?

— A czy jeszcze możemy?

— Musimy, jeśli nie chcemy całkowicie zrezygnować z samych siebie. Rozwiązanie wydaje się nawet bardzo proste: człowiek, rodzina, przyjaciel, może także, kto wie, fabryka. Albo oddział K-5.

— Odnoszę wrażenie — rzekł Grunert po cichu, przygnębiony — że rozumiemy się przerażająco dobrze.

Dyrektor Grünbaum patrzył na blat biurka, na dokumenty i plany leżące w największym porządku. Miniaturowy model traktora lśnił jasnymi barwami. Na ścianie widniał napis: „Przyszłość należy do odważnych!”

— Nas obu dzieli chyba tylko prymitywny twór z drutu kolczastego — rzekł Grünbaum wreszcie. — Ale ludzi, któ-

rzy go wzniesli, nie tak łatwo usunąć z tego świata. Tak więc wspólnie będziemy mieli, jak sądzę, jeszcze wiele kłopotów. Ale zapewne i niejedną tajemną radość.

Grunert chciał odpowiedzieć: Ogromnie mi przykro, że jest pan tu dyrektorem, ale jednocześnie jestem szczęśliwy, że pan w ogóle jest! Nie powiedział jednak ani słowa. Słowa między nimi były zbędne. Wszystko było jasne.

Grunert czekał w milczeniu, aż Grünbaum wypisał mu zlecenie na materiały. Potem wyszedł, rzucając krótkie spojrzenie na zapisane liczby; został szczerze obdarowany.

A więc zwyciężyłem, myślał. Jako człowiek jednak nigdy nie doznał większej porażki. A co najważniejsze, ta porażka napełniała go głęboką radością.

Natłok kandydatów był zaskakujący; słowo „kultura” wydawało się mieć magiczną siłę przyciągania. Zgłosiło się prawie dwustu mężczyzn i przeszło czterdzieści kobiet. Stali przy bramach swoich baraków, zdecydowani podawać się za artystów.

Obaj Wilhelmmowie, z białymi opaskami na rękawach, przeżywali swój wielki dzień. Rozwinęli talent organizatorski, właściwy wodzom naczelnym, poza tym dowiedli niezwykłego taktu. Patrząc na nich Grunert zrozumiał, że dokonał świetnego wyboru.

Wilhelmmowie starali się przede wszystkim zmniejszyć liczbę mężczyzn za pomocą wstępnych eliminacji. Dozorca robotników klął, bo zagrożony był jego doskonale ułożony harmonogram. Swym rykiem wściekłości nie udało mu się wprawdzie wyprowadzić z równowagi Wilhelmmów, ale przyciągnął natychmiast Kriegera i Pratzkego.

— Tak nie może być — oświadczył Krieger.

— Tak może być — odrzekł Grunert, równie zaczepnie. — W końcu sam dałeś zezwolenie na takie eliminacje. Co prawda nikt nie przypuszczał, że zgłosi się aż tylu chętnych.

— Może Grunert potrzebuje naszej pomocy — rzekł Pratzke z gotowością. — Przede wszystkim przy egzaminowaniu kobiet. — Ta sprawa widać szczególnie żywo go interesowała. Przypomniał mu się film, w którym dla pewnego dyrektora teatru miarą talentu artystycznego kandydatek był obwód bioder.

Krieger odrzucił jednak propozycję Pratzkego. Nie chciał przedwcześnie się wtrącać, by tym samym nie popierać czegoś, co mogłoby okazać się niewypałem. — Bardzo proszę, aby wasze eliminacje nie zakłócały porządku w obozie — powiedział.

— Czy mam tu pozostać jako obserwator? — zapytał Pratzke.

Krieger z miejsca odrzucił tę całkiem niedorzeczną propozycję. Starał się uniknąć wszystkiego, co mogłoby tylko sprawiać wrażenie poparcia niemieckiego komendanta dla Grunerta. — Proszę poinformować mnie o ostatecznym rezultacie — powiedział tylko.

Potem odszedł. Ale nie omieszkął rzucić zdziwionego, badawczego spojrzenia na księdza Matthausa, który siedział w komisji egzaminacyjnej. Pratzke poszedł za szefem niechętnie, szepnąwszy przedtem Grunertowi na ucho, że zaszczyli ten wesóły zakład swoją obecnością, kiedy przyjdzie kolej na eliminacje pań.

Eliminacje odbywały się we wspólnym baraku. Tam, gdzie zwykle ustawiano ołtarz, mównicę lub estradę koncertową, siedzieli: ksiądz Mattheus, stolarz Wollmann i jeden z Wilhelmów. Drugi Wilhelm z dwoma energicznymi pomocnikami i protokolantem, którego już nazywał „sekretarzem”, wzywał kandydatów. Wchodzili pojedynczo lub małymi grupkami.

Objawiło się zaskakująco dużo talentów. Rzucali się do instrumentów muzycznych, które wspaniałomyślnie wypożyczył im z domu kultury pisarz komendanta radzieckiego.

Kandydaci grali na skrzypcach, dmuchali w trąby, szarpali bałajki, dęli w rogi, wyciskali powietrze z akordeonów, trzaskali talerzami, walili w bęben. Co prawda manifestowali swoje artystyczne opętanie najczęściej szarpią-

cym nerwy hałasem, ale trafiał się także czasem ktoś z wycuciem stylu.

Kiedy kandydat zademonstrował już to, co nazywał sztuką, jeden z Wilhelmów znacząco kiwał mu głową i powtarzał wciąż te same słowa: — Dziękujemy ci, kolego, za interesujący występ. Niestety, nie możemy uwzględnić wszystkich kandydatów, ale zapisałeś twoje nazwisko i w razie potrzeby damy ci znać. — I chociaż Wilhelm powtarzał to oświadczenie kilkadziesiąt razy, nigdy nie brzmiało ono obojętnie czy mechanicznie jak katarynka, lecz było pełne zainteresowania, wdzięczności i budzącej nadzieję ufności.

— Jesteś urodzonym intendentem, Wilhelmie — zapewnił go Grunert serdecznie.

Ale zanim Wilhelm mógł ujawnić swój talent, zawsze występował najpierw Wollmann dokładnie pouczony przez Grunerta. I ku zaskoczeniu Matthausa przyszedł kierownik planowanych warsztatów pytał każdego kandydata: — Jaki masz zawód?

Jeśli zapytany ujawnił, że jest rzemieślnikiem, Wollmann szczegółowo go egzaminował. Pytał, co potrafi, gdzie i jak długo pracował oraz czym się wyróżniał. Jeśli odpowiedzi go zadowalały, stawał za nazwiskiem kandydata krzyżyk.

— Co tu ma właściwie być, orkiestra czy nowa fabryka? — pytał kilkakrotnie Matthaus.

— Organizujemy teatr — odpowiadał Grunert uprzejmie. — Potrzebna jest nam więc orkiestra, ale także warsztaty do sporządzania kulis, kostiumów i rekwizytów.

Ksiądz Matthaus, mianowany rzeczoznawcą, wielokrotnie, ale zawsze ostrożnie kręcił głową. Wypełniał gorliwie swój urząd egzaminatora. Wreszcie, kiedy już wszyscy podający się za muzyków byli przesłuchani, oświadczył: — Można będzie zorganizować orkiestrę kameralną.

— Nawet coś więcej — rzekł Grunert. — Dużą orkiestrę, do której będzie należała orkiestra kameralna. Poza tym kwartet smyczkowy, solistów, orkiestrę taneczną i kapelę ludową. Może jeszcze chór męski, mieszany i małe zespoły śpiewacze.

— Ale to niemożliwe! — rzekł Matthauss niemal tracąc opanowanie. — Jeśli chce pan ważyć się na takie wątpliwe eksperymenty, nie ma co mówić o jakimkolwiek poziomie.

— To sprawa intendenta, księżu — oświadczył Grunert. — Nie utrudniajmy mu jego pracy z góry okazując brak zaufania.

Matthauss milczał — nie dlatego, że brakowało mu słów, by wysunąć celne kontrargumenty; tym, co go wciąż na nowo przerażało, była wytrwałość i upór tego dziwnego Grunerta, graniczące niemal z brutalnością. Tak więc Matthauss siedział cichy i zamyślony, cierpliwy — szyld dla nie do końca przejrzystych manipulacji Grunerta. Tak samo znosił wyzywającą, pełną zadowolenia z siebie postawę Wollmanna. Ten człowiek najwidoczniej nie miał najmniejszych wyrzutów sumienia.

— Całkiem niezłe rezultaty, jak dotąd — rzekł Wollmann. — Należy zamówić piłę tarczową i tokarkę; przydałaby się także spawarka.

— Wszystko po kolei — odpowiedział Grunert, hamując jego zapędy.

Jeden z Wilhelmów, „intendent”, nakazał drugiemu Wilhelmowi, „dyrektorowi administracyjnemu”, by wyszukał takich kandydatów, którzy mają „doświadczenie na kierowniczych stanowiskach w kulturze”. Było z kogo wybierać. Zgłosili się między innymi: pewien reżyser z teatru niemieckiego w Pradze, drugi kapelmistrz z teatru miejskiego w Bambergu, kierownik wiejskiego teatru amatorskiego w Górnej Bawarii, dyrektor hamburskiego teatru varietes, śpiewak i organizator festiwalu z Kolonii, dramaturg z Kassel i kierownik programowy radia Rzeszy Niemieckiej z Frankfurtu. Obaj Wilhelmowie promienieli z zadowolenia.

— To wszystko do niczego — mruczał Wollmann niechętnie. — Nie potrafią nawet wbić gwoźdźca do trumny.

Także następną serią kandydatów nie potrafiła przytłumić niezadowolenia Wollmanna. Zgłaszali się aktorzy, śpiewacy, konferansjerzy, pewien sekretarz stowarzyszenia aktorów i drukarze programów teatralnych. W końcu zjawił się także ktoś, kto skromnie nazywał się poetą, a po-

nieważ nigdy jeszcze niczego nie opublikował, jego oświadczenie nie brzmiało zbyt wiarygodnie. Intendent wyznaczył go do przesuwania kulis.

Wreszcie mieli co najmniej trzech Hamletów, czterech Mefistofelesów i siedmiu Faustów — jeśli wierzyć kandydatom. Wszyscy zdawali się wprost palić do działalności artystycznej. Opisywali z zapałem swoje umiejętności, wymieniali całe litanie krytyków, którzy podobno gdzieś istnieli, i jako referencje podawali dźwięcznie brzmiące nazwiska. Niestety, żaden z ich mistrzów, profesorów, przyjaciół lub wielbicieli nie przebywał w radzieckim obozie jenieckim.

— Powinniście się byli nauczyć solidnego rzemiosła — czynił im wyrzuty Wollmann. Artyści z godnością przyjmowali jego beczelne uwagi. Wilhelm grzecznie ich przepraszał.

Wreszcie wystąpił naprzód zgnębiony i zmieszany mężczyzna, na którym wisały różne części munduru. Był wycieńczony, roztrzęsiony, oczy błyszczały mu gorączkowo, rysy twarzy miał jakby wyrzeźbione grubym rylcem. Nikt nie zwrócił na niego uwagi. — Nazywam się Heinrich Wagner — powiedział.

Na pytanie Wilhelma, co potrafi, odparł pospiesznie: — Maluję srebrne kreski pod znakiem fabrycznym na traktorach; przedtem pracowałem w kamieniołomach. — Panowie z komisji egzaminacyjnej spoglądali przed siebie w pustkę.

Kiedy następnie Wilhelm zadał bardziej szczegółowe pytanie o artystyczną działalność tego — jak mu tam? — Heinricha Wagnera, ten odparł: — Nie wiem, czy jeszcze w ogóle coś potrafię, kiedyś grałem Wallensteina, Telia, Sędziego.

Członkowie komisji spojrzeli na siebie, wzrok ich jakby mówił: jeszcze jeden z tego gatunku! — Czy może nam pan coś zarecytować? Na przykład jakiś monolog?

Wycieńczony mężczyzna o pooranej głębokimi zmarszczkami twarzy skinął głową. Potem wlepił wzrok w wydeptaną, glinianą podłogę, jakby tam szukał siły i pomocy.

Następnie bardzo cicho, ledwie dosłyszalnie, tak jakby mówienie sprawiało mu silny ból, zaczął:

*Mówisz w śmiałym tonie,
Z lat młodych przyjaźń ma wolność niejaka,
Daremniesz jednak splonął chęcią taką,
Już krew płynęła*

Wilhelm przerwał wertowanie listy, ksiądz Matthaus uniósł siwą głowę i spoglądał na aktora. Grunert podszedł bliżej. Nawet Wollmann wydawał się poruszony.

Głos wynędzniałego mężczyzny nie stał się bardziej donośny, ale — początkowo tylko zmęczony i prawie obojętny — nabrał teraz przytłaczającej niesamowitości i życia; drgała w nim męka, głębokie przygnębienie zdawało się go wyniszczać. Barak, w którym się znajdowali, zamienił się w ciemną salę; otaczała ich noc rozjaśniana migotaniem świec. Przed nim stał czekający na śmierć Wallenstein.

*Snem długim dzisiaj chciałbym usnąć błogo; Miej
troskę, by mię rychło nie zbudzili.*

Aktor skończył. A kiedy podniósł zmęczony wzrok, ujrzał przed sobą nieme twarze. Milczenie to trwało dość długo. Światło, które usiłowało wedrzeć się do pomieszczenia, straciło jakby całą swoją siłę.

Wreszcie Grunert rzekł: — A więc to pan jest tym słynnym Wagnerem.

— Byłem — odparł.

I w oczach starego człowieka zamigotała wdzięczność; pocieszał go fakt, że nie był całkiem zapomniany. Wiedział, że zmienił się nie do poznania, i to nie tylko zewnątrz.

Kiedyś był wysokim, potężnym, silnym i tęgim mężczyzną. Teraz odzież na nim wisiała, miał zapadniętą z głodu klatkę piersiową, jego kroki utraciły dawną sprężystość i elastyczność, jakie nadawał krokom swoich królów i wojowników. Kiedyś oczy jego władczo błyszczały, głos

F. Schiller, *Śmierć Wallensteina*, akt V, scena 5, przekład: Jan Nepomucen Kamiński.

brzmiał niczym dzwony wzywające do szturm; teraz jego mózg był jakby z ołowiu, głowę miał zwieszoną, a plecy przygarbione. Więzień wśród setek tysięcy, milczał przez całe lata i prawie oduczył się mowy.

Grunert rzekł bardzo cicho, jak gdyby do siebie: — Dla tego jednego przeżycia opłacił się cały ten galimatias.

Kiedy jeszcze zdawał się wsłuchiwać w pogłos tych słów, od wejścia rozległ się ryk Pratzkego. — Może wreszcie przyjdzie kolej na baby, bo powoli tracę cierpliwość!

Na razie nie zanosilo się na wielką zabawę, jakiej spodziewał się Pratzke. Grunert przesunął ją na „czas nieokreślony”. W ten sposób kobietom, które się zgłosiły, zapewnił co najmniej drugi wolny dzień od pracy.

Jednak trudno było pohamować niecierpliwość Pratzkego. I jak zawsze, kiedy chciał osiągnąć własny cel, wykorzystywał cudze myśli: — Rozwaliłeś dziś cały harmonogram roboczy — nie możesz ciągnąć tego przez kilka dni. Jestem za tym, by przegląd kobiet odbył się jeszcze dziś.

— Odbędzie się dopiero jutro, mój drogi — zadecydował Grunert. — A ty powiesz to Kriegerowi oględnie i przekonywająco. Ja tymczasem porozmawiam z Hannelo-re.

— Dobrze, dobrze! — zawołał Pratzke zirytowany, z trudem zachowując spokój. — Rób, co chcesz. Ja w każdym razie nie zawaham się ani chwili i zachowam się znów po koleżeńsku — tak jak należy. I tego samego spodziewam się po tobie!

Pratzke, gniewnie mamrocząc, opuścił wspólny barak; był zdenerwowany i rozczarowany. Wprawdzie zapewnił swojej wielce obiecującej Sylwii przyjęcie do zespołu teatralnego, a Grunert ostatecznie wyraził na to zgodę, ale miał ochotę popatrzeć jeszcze na inne kandydatki. W jego oczach każda kobieta, którą ciągnęło do teatru, miała w sobie niemałą dozę rozwiązłości.

Grunert obserwował z ulgą oddalanie się niezbyt wygodnego współpracownika. Zanim jednak wdał się w szczegółową rozmowę z Hannelore na temat ojcostwa, musiał załatwić coś innego.

— Do roboty, przyjaciele! — zawołał. — Nadeszła twoja wielka godzina, Wollmann!

I oto nadciągnęli, prowadzeni przez Wollmanna, owi artyści rzemieślnicy. Wollmann przybrał odpowiednią postawę. Następnie przeprowadził swoje badania szczegółowo i z zapałem.

Podczas tej czynności Matthaus jakby wyłączył swój aparat do myślenia. Nie mógł już zrozumieć tego, co się teraz rozgrywało — zdawał się uznawać to za bezsensowne. Obaj Wilhelmowie natomiast zaniepokoiли się i bezradnie spoglądali na Grunerta. Ten jednak odczuwał w tej chwili wobec Wollmanna coś na kształt szacunku. Wytrwała dokładność połączona z przebiegłą gorliwością egzaminatora była godna podziwu. Lepszego narzędzia do zrealizowania swoich skrytych zamiarów Grunert nie mógł sobie wymarzyć.

Zdobywszy Wollmanna przeszły jego najśmielsze oczekiwania. Znaleźli się elektrycy, ślusarze i blacharze, kowal artystyczny i dwóch malarzy plakatów, mechanik urządzeń precyzyjnych i narzędziowiec. — Gdybym miał zebrać bandę włamywaczy — szepnął jeden Wilhelm do drugiego — dokonałbym podobnego wyboru.

Matthaus, z lekka zmieszany, poprosił, aby pozwolono mu odejść. Jest muzykiem na tyle, na ile pozwala mu jego urząd duszpasterza, więc nie zna się na sprawach technicznych.

Obaj Wilhelmowie podziękowali mu skinieniem głowy. Grunert poprosił go, by stawił się na pierwszą próbę orkiestry. Matthaus przyrzekł to i odszedł znużonym krokiem. Był mimo wszystko przekonany, że przysłużył się dobrej sprawie.

— Potrzeba mi narzędzi i materiałów! — zawołał Wollmann. — Ile tylko się da. Musimy jak najprędzej powiększyć mój warsztat przybudówkami — na razie wystarczy czterokrotnie. Musimy też postarać się o jak najnowocześniejsze narzędzia.

— Każ sobie sprowadzić katalog — powiedział Grunert niechętnie. — I wybierz z niego, co zechcesz; dam ci na ten cel każdą sumę.

— Przecież jesteśmy w Rosji! — zawołał Wollmann oburzony; słusznie sądził, że Grunert kpi sobie z niego.

— Racja — rzekł Grunert. — Jesteśmy w Rosji. I dlatego naucz się cierpliwości. Masz się dokładnie przyjrzeć swojej bandzie rzemieślników, wypróbować ich możliwości, szkolić i ćwiczyć tak długo, aż będą umieli wszystko: od produkcji wyściełanego fotela do naprawy transformatora. A gdyby się to okazało konieczne, muszą też umieć uruchomić lokomotywę i rozpruć kasę pancerną. Będziemy na bieżąco omawiać potrzebne efekty specjalne. Na razie tylko organizujemy.

Stolarz Wollmann, dotąd zawsze skwaszony, gderający i sprawiający wrażenie tępego, teraz zaczął nagle demonstrować swoje niezwykle zdolności. Stał się energicznym, ambitnym dyrektorem „zespołu warsztatów”, jak powiedział, a powiedział to efektownie przytłumionym, władczym głosem. „Banda” zaś okazała się na szczęście zdyscyplinowana i ochoczo ruszyła za nim.

— Tak więc chyba zakończyliśmy sprawę, można uznać, że skompletowaliśmy cały personel męski — powiedział z ulgą jeden z Wilhelmów. — Trzeba tylko sprawdzić jeszcze jedną grupę chętnych; ale nie sądzę, żebyśmy kogoś dobrali. Ale może zaprosimy ich do specjalnego programu. Chodzi o artystów.

— Mogą się przydać — zapewnił go Grunert. — W sam raz pasują do mojej kolekcji.

— Czy to ma być teatr, czy varietes? — zapytał drugi Wilhelm. Był równie zdziwiony jak jego przyjaciel. On także jeszcze nie odgadł, do jakiego dalekiego celu Grunert właściwie zmierza.

Teraz pojawili się artyści, którzy demonstrowali swą siłę, albo raczej to, co z tej siły zostało — czasem byczy kark przy wycięczonym ciele albo ręce, które jeszcze i teraz można by nazwać rękami bokserów lub zapaśników. Pochodzili z teatrów jarmarcznych i ze stołecznych varietes; znali różne sztuczki kuglarskie, potrafili podnosić ciężary.

Dołączyli do nich popisujący się zręcznością, którzy umieli zonglować.

Prawie wszyscy ci pocziwcy mieli łagodne, smutne oczy, które jakby kontrastowały z ich olbrzymią siłą fizyczną i kug-larską zręcznością. Wielu z nich trenowało nieraz całymi latami jeden jedyny trik, który potem wykonywali przez dziesiątki lat — nie umieli nic innego. Spoglądali pokornym psim wzrokiem na egzaminatorów; szukali pilnie swojego pana, który pozwoliłby im żyć stosownie do ich umiejętności.

— Bierzemy wszystkich — rzekł Grunert zachwycony.

Artyści spoglądali na niego z wdzięcznością i ufnością. Tak chyba spoglądali na Napoleona jego gwardziści, zanim cesarz poniósł klęskę — pomyślał jeden z Wilhelmów. Grunert rozmawiał z każdym z dwudziestki kandydatów. Oni zaś czuli się niczym nurkowie, którzy po długiej, zapierającej dech w piersiach pracy pod wodą znów wypłynęli na powierzchnię. Pożegnali się z wielką, lecz ostrożną serdecznością. A potem odeszli krokiem tygrysów i słoni.

— Ale co my z nimi poczniemy? — zapytał drugi Wilhelm bezradnie.

— Będą przesuwac kulisy, pilnowac porzadku na sali, zaciagac kurtyne, jest wiele mozliwosci — rzekł Grunert zamyślony. I z zadowoleniem spoglądał za znikającymi artystami.

— Zdaje się, że powoli zaczynam rozumieć — rzekł drugi Wilhelm. — Chyba wiem, co masz na myśli: nawet najtęższy umysł nie przeniesie góry, jeśli nie pojawi się jakaś mobilizująca siła.

— Trzeba być przygotowanym na różne ewentualności — i na tym chyba polega cała moja mądrość — rzekł Grunert, jak gdyby mówił o najbardziej oczywistej sprawie. Jeszcze raz przejrzał listy obu Wilhelmów i zanotował kilka liczb.

— Może — rzekł przy tym swobodnym tonem pogawędki — wszystko to, co na ogół określa się mianem wielkiego, nie jest niczym innym jak tylko krótkim zrywem ducha lub marzeniem sennym kobiet i bazarzy — przygotowanym dla naiwnych dzieci i takich, którzy chcą nimi pozostać. Siła opiera się często na głupocie, a wielkość może być zestawiona z kłamstw i złudzeń. Tak na przykład

owe sławne chłopięce słowa o gwardii, która umiera, ale się nie poddaje, brzmiały, jak dowiedziono, zupełnie inaczej. Komendant gwardii zawołał mianowicie prosto i wyraźnie: — Psiakrew! — i poddał się. Przepraszam, ale tu chodzi o historycznie udokumentowane słowo.

— Świata nie zmienisz, Grunert — rzekł z westchnieniem jeden z Wilhelmów. — Większość ludzi nienawidzi niewygodnych myśli. — I jakby chciał zaczerpnąć siły, ujął dłoń przyjaciela.

— Oczywiście — odparł Grunert niechętnie — nigdy nie da się wytepić głupoty, ale można ją zdziesiątkować.

Grunert opuścił obu współpracowników. Poszedł do komendanta radzieckiego, by kuć żelazo, póki gorące. Ale przedtem postanowił wpaść na chwilę do baraku kobiecego, do Hannelore. Miał zamiar podsunąć jej nową, być może owocną myśl.

Na ulicy obozowej panował ożywiony ruch. Ustawiały się kolumny robocze drugiej zmiany, aby udać się do hal fabrycznych. Płynęły jak leniwy, brudny, nie kończący się strumień. Był to strumień, który bez trudu dawał się regulować i nie zdradzał śladów dziko kipiącego niepokoju lub milczącej, przytłaczającej potęgi czy nawet niszczącej przemocy fal.

— Witaj, pupilku Sowietów — rzekł policjant stojący przy bramie kobiecego obozu, szczerząc zęby. Słowa „pupilek Sowietów” miały oznaczać przyjacielski żart.

— A ty może jesteś wrogiem Sowietów? — zapytał Grunert takim samym żartobliwym tonem.

— Ależ skąd! — szybko zapewnił policjant. Mógł sobie pozwolić na drobne złośliwości, ale nigdy na jawny opór; to niezawodnie spowodowałoby utratę stanowiska. Jako pocziwy niemiecki obywatel nie chciał ryzykować; był posłuszny i chciał stać po stronie silniejszego.

Grunert minął wiernego psa, nie zaszczycając go spojrzeniem. Udawał obojętność, ale wiedział, że słów „pupilek Sowietów” nie należało brać za wyraz uznania. Przeciwnie: był to sygnał ostrzegawczy i nie wolno go było lekceważyć. Bywają hasła przerażająco proste; i takie właśnie są najbardziej niebezpieczne.

Grunert poprosił jedną z kobiet, by poszła do Hannelore i powiedziała jej, że czeka na nią w pobliżu bramy. Bo jak zwykle wolał rozmawiać na dworze, gdzie wprawdzie każdy mógł się temu przyglądać, ale nie mógł podsłuchiwać. W ten sposób unikał siedzenia z rozmówczynią w kącie baraku, blisko siebie, tajemniczego szeptania w otoczeniu ludzi strzygących uszami, w atmosferze ciepłego zwierzęcego zapachu wypełniającego kobiece pomieszczenie.

Hannelore podeszła do niego. Była to ociężała, masywnie zbudowana, silna, wiejska piękność.

— Jak wam się obydwójgu powodzi? — zapytał Grunert z uśmiechem.

— Dobrze — odparła Hannelore. Nie była rozmowna, a jeśli już się odezwała, to wypowiadała najwyżej dwa, trzy słowa. Stała przed nim, spoglądała dużymi, łagodnymi oczami i milczała wyczekująco.

— Pozostajemy na razie przy tym, co uzgodniliśmy — rzekł Grunert ostrożnie, jak gdyby chciał jej dać czas na zrozumienie i zapamiętanie jego słów. — Nie zdradzisz na zwiska ojca.

— Dobrze — rzekła Hannelore, otwierając z lekka pełne usta.

— Powiesz po prostu: Nie chcę! Powiesz: Nie podam żadnego nazwiska! Nic więcej. I to tylko wtedy, gdy cię zapytają, czy ojcem jest rosyjski żołnierz.

— Co to znaczy? — spytała Hannelore. Nie było w tym pytaniu ani szczególnego zainteresowania, ani oburzenia.

— Kto ma mnie pytać o coś takiego?

— Tego jeszcze nie wiem — rzekł Grunert. — Nie wiem nawet, czy ktoś w ogóle cię o to zapyta, ale jest to możliwe. Gdyby tak było, nie zawołaj z oburzeniem: Nie! Nawet wtedy pamiętaj o tym, cośmy uzgodnili. Mów tylko: Nie chcę! Nie podam nazwiska ojca! Nie przyniesie ci to ujmy, a dzięki temu pozostaną otwarte różne możliwości. To najmądrzejsze, co możesz zrobić.

— Naprawdę? — zapytała Hannelore lekko podniesionym głosem.

— Proszę cię o to — zażądał Grunert z ostrożną natarczywością.

— Ufam ci — rzekła Hannelore po prostu.

Grunert uśmiechnął się z wdzięcznością i powściągliwą życzliwością. Hannelore odeszła ciężkim, zmęczonym krokiem. I w tej chwili Grunert patrząc za nią stwierdził z przyjemnością, że od początku przeznaczeniem tej dziewczyny była rola kochanki i matki — nic poza tym. Nie mogła więc czuć się nieszczęśliwa, nawet w tych upokarzających okolicznościach i przygnębiającym otoczeniu.

Grunert wrócił na ulicę obozową. Przepchnął się przez tłum robotników; białe opaski otaczały ich jak owczarki, podczas gdy czerwone niby pastuchy pilnowały porządku. Syrena fabryczna ostrym gwizdem oznajmiła zmianę szychty. Ludzie podnieśli w górę głowy.

Grunert spoglądał na tę ponurą, codzienną scenę rozgrywającą się w słabym świetle. I przyrzekł sobie, że nigdy jej nie zapomni. Nagle usłyszał głos: — A więc stało się, Grunert! — Odwrócił się, wytrącony ze swych ponurych myśli. Przed nim stała Katerina. Unikała jego wzroku; jej zazwyczaj ciepły, choć trochę szorstki głos brzmiał teraz twardo: — Niech pan idzie ze mną!

— Muszę teraz pójść do komendantury radzieckiej — rzekł Grunert wymijająco.

— Później pan pójdzie — zdecydowała lekarka. — Teraz pójdzie pan ze mną; być może potem sama udam się z panem do komendanta. I kto wie, czy nie będzie to pańska ostatnia droga w tym obozie. Pański dawny nauczyciel, ten Hegner, już nie ma gorączki. Teraz was skonfrontuję. I jeśli prawdą jest to, co on o panu opowiada, Grunert — to jest pan skończony.

Grunert szedł za nią na razie z gotowością i w milczeniu. Ale milczał tylko przez parę sekund, zajęty intensywnie swymi myślami. Oczywiście przygotował się na spotkanie ze swoim dawnym nauczycielem, które teraz miało nastąpić i było nie do uniknięcia. Sądził, że na wszystkie możliwe argumenty ma skuteczne

kontrargumenty; jeszcze raz szybko je przemyślał i uznał za niezłe.

— Chyba nie muszę zapewniać, jak bardzo się cieszę, ilekroć panią widzę — rzekł lekkim tonem, jakby towarzyszył młodej panie z dobrego domu na popołudniową herbatkę. — Mimo to nie mogę nie wyrazić mojego niepokoju o pani dobre imię.

— Niech pana o to głowa nie boli — odpowiedziała Kate-rina chłodno.

— Przed kilkoma minutami nazwano mnie „pupilkim Sowietów”, teraz zastanawiam się, czy ta delikatna aluzja przypadkiem nie ma coś wspólnego z pani osobą.

— Tę pomyłkę łatwo da się skorygować — rzekła Kateri-na. — Już najbliższe dziesięć minut może zaświadczyć o czymś wręcz przeciwnym. Za pół godziny będzie wiedział komendant, a potem cały obóz, że jest pan skończony. I ja to spowoduję!

Katerina szła teraz tak szybko, że Grunert z trudem za nią nadążał. Szła jak mężczyzna. Niewątpliwie, myślał Grunert, ta kobieta miała sporo chwil w życiu, kiedy musiała zachowywać się jak mężczyzna — na widok nagich mężczyzn, których badała, podczas operacji, które wykonywała w asyście gruboskórnych sanitariuszy, podczas narad, kiedy wydawała rozkazy, kiedy musiała być żołnierzem wśród żołnierzy.

Na coś takiego jak miłość, myślał Grunert dalej, chyba nigdy nie miała dość czasu.

— Dawałem już sobie radę z większymi problemami — zapewniał. — Najważniejsze jest, żeby zrozumieć, iż na tej ziemi nie istnieje nic, co miałoby tylko jedną stronę. Dla jednych słońce zachodzi w chwili, w której dla drugich wschodzi. Kiedyś szedłem oczarowany za pewną kobietą, póki nie spojrzałem na jej twarz — to, co z tyłu wydawało się pełne wdzięku, eleganckie, z przodu okazało się wielkim złudzeniem.

Katerina nie odezwała się ani słowem. A w chwili, kiedy weszła do lazaretu, jakby się zmieniła; jej powściągliwość ustąpiła wyższości — na terenie, którym władała, czuła się pewna siebie. Otworzyła drzwi do swego gabinetu i rozkazującym gestem pokazała Grunertowi, żeby wszedł.

Grunert ujrzał przed sobą swego dawnego nauczyciela. Mężczyzna zdawał się czekać na niego; wstał i przyglądał się byłemu uczniowi smutnym wzrokiem. Był drobny, skulony, jego dawna dziarskość całkowicie znikła.

— A więc w takich okolicznościach musieliśmy się spotkać — rzekł Hegner z zalem w głosie i cofnął się przed Grunertem, jakby miał przed sobą trędowatego.

— Ja także wolałbym, aby nasze pierwsze spotkanie po tym, co zaszło, odbyło się w całkiem innych warunkach.

Katerina stała oparta o ścianę w pobliżu okna. Spoglądała na obu mężczyzn z chłodną uwagą. — Możecie sobie oszczędzić zbędnego wstępu — rzekła. — Przejdźcie od razu do rzeczy.

— Przykro mi — rzekł Hegner z bezradnym, słabym wzruszeniem ramion. Wydawało się, że każde słowo boleśnie go dławilo. — Ale musiałem powiedzieć prawdę.

Grunert skinął poważnie głową. — Miał pan wysoką gorączkę.

— Ale powiedziałem prawdę — zapewnił Hegner drżącym głosem. — Prawda zawsze była dla mnie rzeczą świętą.

— Oczywiście — odpowiedział Grunert bez cienia wyrzutu. — Ale że ofiarą pańskiej prawdy padali ludzie, to już chyba nie jest ważne.

— Dopóki istnieje ludzkość — rzekł Hegner z wysiłkiem — ludzie będą umierali za prawdę. Dlatego jest ona taka cenna.

— No dobrze — rzekł Grunert zdecydowanym głosem — niech pan sobie w to wierzy. I pozostanie zwolennikiem prawdy. A brzmi ona tak: do naszej szkoły przybyła wów czas komisja. Podczas sprawdzianu naszych wiadomości celowo mówiłem nieprawdę o pańskich metodach nauzenia. Te fałszywe stwierdzenia wystarczyły, by pana urlopowano, następnie całkiem zwolniono, aż wreszcie spotkały pana i inne przykrości. Czy tak było, panie Hegner?

— Był pan wtedy jeszcze bardzo młody — rzekł Hegner szybko. — Czasy były trudne. Nie rozumiał pan, co czyni. Bo gdyby pan przewidział skutki, na pewno by do tego nie doszło, jestem przekonany.

— Ale stało się — powiedział Grunert. — I stało się dokładnie tak, jak opisałem.

— Można to usprawiedliwić na tyle sposobów — rzekł Hegner słabym głosem. — Ja panu wybaczyłem, proszę mi wierzyć. Jest mi ogromnie przykro, że to wszystko nie poszło w zapomnienie.

— Czy mój opis się zgadza, panie Hegner?

— Owszem. — Hegner spuścił głowę.

Grunert spojrział na Katerinę ze smutkiem, a zarazem z przerażeniem, ze wstydem i niechęcią.

— Wydał pan swego nauczyciela hitlerowcom, przecież on mógł skończyć w obozie koncentracyjnym! — Oczy Kateriny płonęły jak świece w ciemności.

— On był jeszcze bardzo młody — zapewniał Hegner — nie wiedział, co robi.

— Wiedziałem dokładnie — rzekł Grunert, koncentrując się na nowo wyłącznie na Hegnerze. — I teraz chyba nadeszła właściwa pora, by zaprezentować moją prawdę — drugą stronę medalu, która dla mnie jednak jest stroną pierwszą. Niech pan się teraz postara być tak samo uczciwy, jak ja byłem wobec pana przed chwilą. Zgadza się chyba, że był pan przekonany narodowym socjalistą?

Hegner drgnął; najwidoczniej dostał bolesnych kurczów żołądka. — Widzi pan to w fałszywym świetle — rzekł wreszcie, ciężko dysząc. — Nie byłem narodowym socjalistą, byłem Niemcem posiadającym świadomość narodową. To mi chyba było wolno. Także Rosjanie okazali się nacjonalistami, kiedy ojczyźnie groziło niebezpieczeństwo. — I szybko ciągnął dalej, podobny do topielca, który chwyta się brzytwy:

— Jak mogłem być nazistą, skoro oni wyrzucili mnie z pracy.

— Naziści pomylili się w stosunku do pana — rzekł Grunert opanowany — to się niejednokrotnie zdarzało.

— Grunert — powiedziała Katerina ostrzegawczo — niech pan nie próbuje wykręcać się podłymi metodami. Jeśli się pan odważy po raz drugi wpakować swojego starego nauczyciela w niebezpieczną sytuację, okaże pan tym samym całkowity brak charakteru.

— Pani doktor — rzekł Grunert — może to tak wygląda, że chcę wyciągnąć własną głowę z pętli, narzucając ją na

szuję kogo innego. Ale tak nie jest. Pomiędzy tamtymi wydarzeniami a dniem dzisiejszym upłynęło piętnaście lat, podczas których świat się zmienił; także niektórzy ludzie się zmienili — czemu my nie mielibyśmy się do nich zaliczać? Byłem wtedy młody i porywczy. On natomiast, nasz belfer Hegner, był wyzywająco nacjonalistyczny, i to w sposób całkiem niedwuznaczny; nacjonalista przepelniony nienawiścią rasową, pęczniejący od bohaterskich pieśni i śpiewów wzywających do boju, niepokonany na polu walki i w każdej chwili gotów pędzić na wschód, w żadnym innym kierunku.

— Pan mnie wtedy źle zrozumiał — rzekł Hegner zdenewrowany. — Ale nie robię panu z tego powodu wyrzutów, tylko to stwierdzam.

— Nie można było pana źle zrozumieć, panie Hegner — odparł Grunert. — Wszystko było tak jasne, że nawet nam, głupim chłopakom, nie pozostało nic innego jak pójść po rozum do głowy. Zastanawialiśmy się, w jaki sposób można by ukrócić pańskie patriotyczne, krwawe zacięcie. Chcieliśmy dać panu szansę udowodnienia swego bohaterstwa.

— I dlatego zadenuncjowaliście starego człowieka — wtrąciła Katerina.

— Wtedy nie był starym człowiekiem — odparł Grunert.

— Wówczas wobec komisji stwierdziłem, że uczył nas wierszy Heinego i w dodatku nazywał go wielkim Niemcem. Oczywiście nigdy tego nie robił — wręcz przeciwnie!

— Czy to prawda? — zapytała Katerina.

— Tak — odpowiedział Hegner załamany. — To prawda.

Katerina poleciła Hegnerowi, by odszedł. Zwiesił głowę i poczłapał na dwór. Grunert oparł się o ścianę, wyczerpany.

Milczeli oboje przez dłuższy czas. Niewielkie pomieszczenie wypełnione było odurzającym zapachem leków, zaschniętej krwi i ropy. Grunert oddychał z trudem. — Czy jest pani zadowolona? — zapytał.

Katerina skinęła głową z namysłem, ciężko i bez wyraźnej aprobaty. Potem się odezwała: — Jeśli *to* wszystko naprawdę tak było, jeśli nie użył pan teraz brutalnego

podstępny wobec tego starego człowieka, to może już wówczas był pan antyfaszystą.

— Jak już powiedziałem, byłem wtedy młody i głupi — rzekł Grunert. — Potem wydorostałem, ale nie zmądrzałem; uważam, że mądre myślenie zaczęło się dopiero tutaj. Może jestem teraz na tropie kilku niewielkich, ale liczących się mądrości.

Grunert pożegnał się. Powiedział, że musi teraz koniecznie udać się do komendanta radzieckiego. Szybko odszedł, jak gdyby pragnął jeszcze w porę opuścić niebezpieczną strefę.

Bo bliskość Kateriny — jak sobie uświadomił — zaczęła go coraz bardziej niepokoić. Przeczuwał, że byłoby to dla niego największym niebezpieczeństwem, gdyby stał się obiektem bezinteresownej miłości ze strony lekarki. Odpowiadać podstępem na zaufanie, wodzić kochającą kobietę za nos — to podłość, pomyślał. A tam, gdzie panuje podłość, nie ma miejsca na śmiech, a przecież w duchu cieszył się na ostatni, wielki, wyzwalający śmiech.

Przed lazaretem, w pobliżu wielkiej bramy pomiędzy obozem a fabryką, Grunert spotkał Pratzkego. Ten spojrzał na niego radośnie szczerząc zęby.

— Ta sowiecka kobieta — rzekł stróż porządku obozowego — chyba zawróciła ci w głowie; podejrzenie często ze sobą przebywacie. Masz nie najgorszy gust, ale ta dama jest na pewno zimna jak lód. A gdyby nawet zechciała z tobą spać, to będzie cię przy tym przepytywać z Lenina albo wygłaszać referaty medyczne.

— Przed chwilą rozmawiałem z Hannelore — rzekł Grunert. — Jeszcze nie jesteście ojcem.

Był to temat, który wciąż od nowa niepokoił Pratzkego. Od lat, właściwie odkąd sięgał pamięcią, nic podobnego mu się nie zdarzyło. Cokolwiek działo się wokół niego czy z nim, nigdy nie dotykało go zbyt mocno.

Teraz Pratzke po raz pierwszy znalazł się w trudnej sytuacji. Zostać ojcem w tych okolicznościach, pierwszym ojcem w obozie — to było dość niezwykle. Przy tym nie można było wykluczyć współników w tym wyczynie, co Pratzke odczuwał jako plamę na honorze. A co będzie, jeśli

dziecko nie okaże się krzepkim, ładnym chłopakiem, lecz jakimś bękartem o azjatyckich rysach? Nie do pomyslenia! Otrząsnął się, jakby wlał w siebie szczególnie obrzydliwą wódkę.

— Niejaki Hegner — rzekł teraz Grunert — prawdopodobnie zostanie jeszcze dziś zwolniony z lazaretu. Jak zgłosi się do was na komendanturę, załatw mu dobre, spokojne miejsce — bardzo tego potrzebuje.

— A kiedy będziemy wspólnie egzaminować baby? — zapytał Pratzke. — Bo mam słabość do występów artystycznych.

— Jutro — obiecał Grunert. — Zakładając, że w ogóle nadejdzie jutro. Ziemia ropieje, a my znajdujemy się w samym środku ropnia. Możemy tylko mieć nadzieję, że ten ropień przez noc nie pęknie.

Pratzke poszedł do Kriegera, by jak zwykle zdać mu relację ze „szczególnych wydarzeń”. Krieger słuchał z uwagą. Sprawozdanie Pratzkego składało się z rozmaitych części i punktów: żołnierze radzieccy przy bramie pomiędzy obozem a fabryką już nie przeliczają jeńców; zapisują tylko liczby i nawet nie sprawdzają wrywkowo. Kierownik obozu kobiecego usilnie prosi o dostarczenie waty. Jednego jeńca z kuchni, nazwiskiem Fust, znaleziono pijanego w piwnicy z zapasami; niewykluczone, że kradł i handlował na lewo. Baby — „kobiety”, poprawił go Krieger — będzie się egzaminowało dopiero jutro. Grunert znów dłuższy czas przebywał u Kateriny; potem polecił, aby jeńcowi o nazwisku Hegner przydzielić jakieś spokojne miejsce, by mógł się objąć.

Krieger niezwłocznie zarządził, by przyprowadzono do niego Hegnera. Ten zjawił się i stanął przy drzwiach w uniżonej postawie. Ów widok drżącego strachu i zwierzęcej nadziei nastroił Kriegera łagodnie.

— Zna pan Gnmerta? — zapytał.

Hegner skinął głową. — Niestety — wykrztusił, ale zaraz się poprawił. — To były nieszczęśliwe okoliczności.

— Bardzo mnie to interesuje — zapewnił Krieger, udając współczucie. — Proszę mi o tym opowiedzieć.

Hegner, jękając się, zaczął opowiadać. I znów, choć ostrożnie, wysunął na plan pierwszy swoją prawdę. Początkowo

robił to z wahaniem, potem całkiem zręcznie wzmocnił swoje słowa akcentami wiernoniemieckimi, narodowymi i socjalistycznymi. Wreszcie doszedł do punktu szczytowego; on wierzy w jego niewinność; to ofiara tamtych czasów!

— Niech pan to wszystko napisze — polecił Krieger z namysłem. — Proszę to dokładnie opisać, ze wszystkimi szczegółami. I niech pan się z tym nie spieszy, ma pan dość czasu. Może pan pracować u mnie w sztabie kolumny jako tłumacz, i jako taki będzie pan do mojej dyspozycji. Protokół z tej interesującej sprawy z Grunertem sporządzi pan w dwóch językach.

Hegner z wdzięcznością skinął głową; gotów był z miejsca zabrać się do swojej nowej pracy. Pratzke pociągnął Kriegera na bok. — Co ty sobie po tym obiecujesz? — zapytał. — Grunertowi chyba naprawdę udało się przekonać lekarzę, że mimo wszystko — w pojęciu Sowietów — jest człowiekiem honoru.

— Mój drogi Pratzke — rzekł Krieger zadowolony — ta Katerina może się zachowywać, jak chce, ale jest kobietą i ma swoje czułe miejsca. Grunert zawsze jakoś sobie z nią poradzi. Ale jeśli nam uda się za pomocą przekonujących dowodów wykazać, że Grunert zadenuncjował swego nauczyciela, wtedy znajdzie się ktoś, *kto* się nim zajmie. Mam na myśli komisarza Grigorija. Wraca dziś albo jutro. I jeśli ktoś sobie z Grunertem poradzi, to właśnie on. Co do tego jestem głęboko przekonany!

Komisarz polityczny Grigorij został przydzielony do obozu jeńców wojennych 13-7-13 i do fabryki traktorów „Czerwony Poranek”. Lubił mówić o sobie: „swój chłop” i rzeczywiście udawało mu się utrzymać taką opinię. Wydawało się, że nic nie jest dla niego ważne. I chociaż nigdy głośno się nie śmiał, to czasem jednak pozwalał sobie na wieloznaczny uśmiezek i żartobliwe uwagi, i to nawet na wysoce polityczne tematy.

— Kogo ja widzę, nasz poczciwy Grunert — rzekł Grigorij, kiedy kierownik oddziału K-5 wszedł do przedpokoju biura radzieckiego komendanta. — I to nie stojący samotnie w celi, tylko, że tak powiem, siedzący u stóp Marksa, Engelsa, Lenina i Stalina. Budujący widok dla idiotów.

Grigorij powiedział to tak, jakby chodziło o najzabawniejszą rzecz pod słońcem. Miał krótko ostrzyżone włosy, jego okrągła twarz przypominała kulę bilardową, na której grubymi, prostymi kreskami narysowano oczy, nos i usta. Była to twarz prawie bezbarwna i kamienna. Kiedy Grigorij się uśmiechał, rozciągał szeroko górną i dolną wargę; wówczas ukazywały się wspaniałe zęby dziadka do orzechów.

— Już z powrotem? — zapytał Grunert. Był wyraźnie za skoczony, że zastał komisarza w komendanturze; spodziewał się go dopiero za kilka dni. — Wolałby, żeby Grigorij w ogóle już nie wrócił.

— Czyżbym wrócił za wcześniej? — zapytał komisarz wesoło.

Teraz obaj się uśmiechali. Spoglądali przy tym na siebie jak dwaj starzy, dobrzy kumple, którzy po długim rozstaniu, ale bez najmniejszego wzruszenia, znów się spotykają. I zdali sobie sprawę, że przedtem chyba się nawzajem nie doceniali.

— Dobrze, że wreszcie znów pan tu jest — oświadczył Grunert, gdy udało mu się stosunkowo dobrze zamaskować pierwsze zaskoczenie. — Jest mi pan bardzo potrzebny.

— Widać nie jest wcale takie proste wymachiwanie flagą, którą się przedtem pomyliło ze szmatą do podłogi — zażartował komisarz.

— Wcale jej nie pomyliłem ze szmatą do podłogi — sprostował Grunert. — Świadomie użyłem jej do tego celu. Ale potem zacząłem się zastanawiać.

— I w ten sposób doszedłeś do przekonania, że i komunizm żywi swoich ludzi.

— Oczywiście — rzekł Grunert odważnie. — Na przykład można zostać komisarzem.

Grigorij przez kilka sekund badawczo wpatrywał się w Grunerta. Jego okrągła głowa wyglądała jak wypolerowana, podobna była do bryły lodowej błyszczącej w świetle wieczornego słońca; poczerwieniał z ukrywanej wściekłości. — W opinii radzieckiej komendantury bardzo daleko zaszedłeś — powiedział wolno. — Po tym wszystkim, co usłyszałem...

— To dopiero początki — oświadczył Grunert, starając się być uprzejmym. — A tego, co najistotniejsze, oczywiście nie poruszę, dopóki pana nie zapytam o zdanie. Bo dla mnie pan jest tu rozstrzygającym autorytetem.

— Nieźle, mój drogi — rzekł Grigorij, znów wyraźnie weselszym tonem. — Całkiem nieźle! Ofiarujesz mi wspa-
niałomyślnie coś, co już do mnie należy. Jestem po prostu
wzruszony! Jestem tu komisarzem politycznym, a ty mi mówisz
wielkodusznie, że jestem komisarzem politycznym! To smakuje
jak wódka z miodem. Czuję się wreszcie dowartościowany. Może
odśpiewamy teraz wspólnie *Międzynarodówkę*?

— Już niedługo, w naszym teatrze — rzekł Grunert — z
towarzyszeniem orkiestry.

— Ty to potrafisz! Czy naprawdę każesz ćwiczyć *Mię-
dzynarodówkę*?

— Oczywiście — odpowiedział Grunert z beztronską śmiałością.
— Skomponowalibyśmy nawet i odegralibyśmy wielostrofowy
hymn na chór i orkiestrę ku czci wielkiego Związku Radzieckiego,
gdyby nam to nakazano, zażyczo sobie lub tylko
zapropnowano.

— Tego wydarzenia oczywiście nie omieszkam zobaczyć —
zapewnił Grigorij, uśmiechając się jak najszerzej. Jego uszy
nietoperza wydawały się teraz być tuż przy zębach. — Czy masz
w zanadrzu więcej takich niespodzianek?

— Całe tuziny — zapewnił Grunert. Instynktownie wyczuwał,
że jest na dogodnej pozycji. Grigorij wykazywał cierpliwość muła.
Najwyraźniej nie zależało mu na tym, by wyrzucić Grunerta z
przedzionka świątyni bolszewizmu. — Wystarczy wyrazić
odpowiednie życzenie, a zrobimy wszystko, by je spełnić.

— Posłuchaj mnie uważnie — rzekł Grigorij, udając poufałość. — Co prawda nie całkiem kapuję, z jakich powodów chcesz wleźć na naszą arenę, ale w tej chwili jest mi to obojętne. Najważniejsze, że tkwisz już w tym wszystkim! Ale nie stanowisz tu jeszcze atrakcji. Jesteś co najwyżej ruchomą figurą, do której celuje się nożami, i wystarczy jeden fałszywy ruch, a twój globus zostanie rozłupany jak orzech.

— Nie takie to straszne — rzekł Grunert. — Ważne jest tylko, żebym znał tego, kto będzie rzucał. Jeśli poznam jego technikę i zdolności, chyba nic złego mi się nie stanie. Decydujące jest jedynie to, że poświęcę się temu cyrkowi całkowicie. Ze skórą i kopytami albo duszą i ciałem — jak pan woli.

Grigorij rozsiadł się wygodnie. Wyraźnie delektował się tą rozmową.

— Można spokojnie być komunistą, nie rozumiejąc komunizmu i nie umiejąc go wyjaśnić. Jedni widzą w komunizmie powołanie, inni dogodną okazję, jeszcze inni sensowny system lub rodzaj religii. Ale to wszystko nie jest decydujące. Decydujące, mój drogi, jest przekonanie, że partia zawsze ma rację, i należy to bezwzględnie respektować, niezależnie od tego, czy widzi się w niej przywódcę, forszę czy też boga.

Ku wielkiej uldze Grunerta nadarzyła się okazja, by przerwać tę rozmowę. Wszedł bowiem pisarz majora i zapytał Grigorija, czy może teraz pójść do komendanta. Ale zanim komisarz zdążył odpowiedzieć, major stał już w progu. Wydawało się, że chce rozpostrzeć ramiona, ale widok Grunerta powstrzymał go przed tym szerokim gestem.

— Grigorij, drogi towarzyszu! — zawołał donośnym głosem. — Na co tu czekasz? Czy jesteś lokajem, nygusem migającym się od pracy, niemieckim jeńcem? Wiesz przecież, że jestem o każdej porze do twojej dyspozycji. Możesz przychodzić i wychodzić, kiedy tylko zechcesz.

— Myśmy tymczasem, obaj z Grunertem, zabawiali się w cyrk — oświadczył Grigorij. Major poklepał go po ramieniu. Uczynił to z wielką serdecznością, ale nie wzruszyło to komisarza; był odporny.

— Ach, ten Grunert! — krzyknął major rozpromieniony. — Wreszcie i on zrozumiał, skąd wieje wiatr. Przekonaliśmy go; choć muszę przyznać, że nie wiem dokładnie, o czym go przekonaliśmy.

— Miejmy nadzieję, że przynajmniej on wie — rzekł komisarz. I poszedł z majorem do jego gabinetu, zamknawszy za sobą drzwi.

Grunert, z lekka wyczerpany, opadł na krzesło. Było twarde i niewygodne. — Za kilka dni — powiedział do pisarza komendanta — będą tu stały wygodne fotele — u pana w domu także.

— Jesteśmy skromnym narodem — rzekł pisarz, mrugając do niego. — Ale marny wyrobiony gust, jeśli chodzi o kulturę mieszkaniową.

— Nie wątpię — rzekł Grunert i przeciągnął się. Mimo twardego krzesła wyraźnie rozkoszował się nielicznymi chwilami wytchnienia. Bo przecież rozmowa z Grigorijem była bardzo wyczerpująca, a stanowiła dopiero pierwszą w długiej kolejce. — Grigorij wrócił z Moskwy o wiele wcześniej, niż było przewidziane. Czyżby mu się tam nie spodobało?

— Przywiózł ze sobą całą masę nowych zarządzeń — powiedział pisarz i zanotował z przyjemnością, że Grunert nastawił uszu. — Czy do tego pomieszczenia przewidziano dwa, czy trzy fotele?

— Jeśli o mnie chodzi, mogą być cztery! — Grunert wyciągnął nogi przed siebie, jakby oglądał swoje buty. Podobne były do olbrzymich, pokreconych, nadgniłych już ogórków. — Jakies interesujące zarządzenia? — zapytał przeciągle.

— Można by je tak nazwać — oświadczył pisarz, mrugając oczami. — Chciałbym mieć ładny stół, możliwie na wysoki połysk, z grubym blatem, najlepiej na cztery osoby.

— Nawet na sześć osób, jeśli takie jest życzenie! Z lakierowanym blatem.

— Taki blat jest bardzo dobry — oświadczył pisarz pośpiesznie. — Ale stół na sześć osób byłby za duży, nie zmieściłby się w moim mieszkaniu, chyba że składany. A co do nowych zarządzeń, to są one tajne. Nie mogę

zdradzić ani słówka. Najwyżej tyle: Jesteś na cholernie słusznej linii, Grunert! Moskwa jest teraz za udogodnieniami służącymi wzrostowi produkcji. Zaleca się nawet rozrywki w celu podniesienia na duchu siły roboczej. Koncerty, teatr itd.

Grunert na chwilę przymknął oczy, jakby chciał ukryć napływające uczucie triumfu. — To będzie wspaniały stół — rzekł — prawdziwy majstersztyk. — Ale zaraz pomyślał, że przedtem, podczas rozmowy z Grigorijem, zachował się niemal idiotycznie. Sądził, że ma powody, by czuć swoją wyższość i odwagę. A przecież w tej samej chwili w oczach komisarza był niczym więcej jak tylko użytecznym środkiem do celu.

Przez zamknięte drzwi Grunert słyszał, jak komendant wprzekrykuje jego nazwisko. Wstał i wszedł do gabinetu.

Ujrzał tam idyllę: major i Grigorij siedzieli obok siebie, przed nimi stała butelka wódki, z której pili bezpośrednio, bez przelewania do szklanki. Ich twarze wyrażały niezwykle zadowolenie. Widać było, że właśnie się dogadali.

— Siadajcie, towarzyszu kandydacie — rzekł komendant, szczerząc przyjaźnie zęby; wskazał przy tym na stołek zrobiony ze skrzyni, który stał przed nim. — Jak tam się posuwa studiowanie materializmu dialektycznego?

— Powinniśmy założyć towarzystwo przyjaźni niemiec-koradzieckiej — rzekł Grunert. Był teraz przekonany, że do pewnego stopnia może się bezpiecznie poruszać po szlaku wodnym obu swych wielkich holowników; toteż nie wahał się ani chwili, by zwiększyć tempo. — Mogłyby się wtedy odbywać odczyty, dyskusje i przyjacielskie spotkania. A gdyby wolno nam było wykorzystywać do tego normalny czas pracy, oczywiście tylko ułamek, wówczas cała ta mądrze zaplanowana wola przyjaźni przybrałaby zaskakujące formy.

— Tego rodzaju politykę porozumienia uważam na razie za przedwczesną — rzekł Grigorij. — Mogłaby się przerodzić w przedsiębiorstwo rozrywkowe, znam to. Nie wolno nam zapominać, że wówczas kobiety mogłyby również okazać zainteresowanie polityką, a ponieważ są

równouprawnione, nie można by im tego zabronić. Łatwo więc mogłyby wynikać nieoczekiwane komplikacje.

— Słusznie! — zawołał major. — Co prawda duch w nas mocny, ale ciało mdłe. A pewnych potrzeb nie da się załatwić samą polityką. — Upił potężny łyk z butelki, by wzmocnić swój i bez tego potężny głos. — Poza tym pobudzone w ten sposób uczucia przyjaźni mogłyby zostać źle rozumiane i nasi żołnierze zamiast pilnować waszych kobiet, spaliby z nimi.

— By osiągnąć takie efekty — rzekł Grunert spontanicznie — nie potrzeba żadnych politycznych ustaleń.

— Czy to jest teoria, Grunert? — zapytał bystry Grigorij z łagodną natarczywością. — Czy też twoje twierdzenie opiera się na tak zwanych konkretnych faktach?

Grunert zawahał się, zanim pochwycił tak prowokująco rzuconą piłkę. Nie był stuprocentowo pewien, czy uda mu się odrzucić ją równie celnie. Mimo to postanowił spróbować. — To niestety fakt — rzekł — iż jedna z kobiet jest w odmiennym stanie.

Major uderzył obiema rękami w blat biurka. — A to co za świństwo? — wrzasnął. — Dlaczego nic o tym nie wiem? Jeśli ktoś powinien o tym wiedzieć, to właśnie ja!

— Właściwie dlaczego? — zapytał Grigorij ubawiony. — Przecież to nie twoje dziecko. — Ale niech nasz szanowny Grunert mówi dalej, może on wie, kto jest ojcem.

— Tego nie wiem — rzekł Grunert ostrożnie. — Wydaje mi się jednak niewykluczone, że także radzieccy żołnierze mogą być podejrzani o ojcostwo.

— Co za bezczelność! — zagrzmiał major, rozkoszując się swoją wściekłością. — To obraza Armii Czerwonej! Nie puszcę tego płazem. Podejmę drakońskie środki, by zmazać tę plamę na naszym honorze. Nigdy jeszcze nic takiego się nie zdarzyło — przynajmniej w ostatnich czasach, a już na pewno nie na moim terenie. Moi żołnierze to skromni, przyzwoici ludzie, nie sypiąją z hitlerowskimi babami! A gdyby nawet tak było, to co z tego? Takie rzeczy zdarzają się we wszystkich armiach świata, częściej w wielkich, rzadziej w małych. A nasza Armia Czerwona jest największa na świecie! Możemy więc spokojnie przyjąć, że to je-

den z moich żołnierzy. Jeśli zapłacił, gotówką lub w naturze, to sprawa jest załatwiona; ryzyko ponosi kobieta. A jeśli została zgwałcona, to dlaczego nie krzyczała? Skoro jednak nie przyszła do nas ze skargą, to znaczy, że nie dopuszczono się na niej gwałtu. I jeśli ktoś twierdzi inaczej, to go każę zamknąć!

Grigorij i Grunert słuchali tego przemówienia komendanta uważnie i z pewną przyjemnością. Czekali cierpliwie, aż skończy. Potem odezwał się komisarz; — Sprawa jest delikatnej natury. I przypuszczam, że Grunert powiedział nam o tym tylko dlatego, że gotów jest i potrafi ją tak załatwić, by oszczędzić nam przykrości. A może też dlatego, że z nami współpracuje.

— Tak to mniej więcej wygląda — rzekł Grunert. Był pod wrażeniem zřeczności, z jaką major chwycił jego granat, a komisarz go odbezpieczył. Coraz wyraźniej uświałam sobie, że dobrowolnie i w pełni władz umysłowych wpakował się w zuchwałą, prawie śmiertelnie ryzykowną grę. Sytuacja, w jakiej się teraz znalazł, przypominała dziwną rozgrywkę tenisową: on, początkujący, stał naprzeciw doświadczonych graczy. Gdyby udało mu się pobić ich w pojedynkę, graniczyłoby to z cudem; takie zamierzenie było istnym szaleństwem.

Grunert pospiesznie wrócił na swoją początkową pozycję.

— Tymczasem — mówił gorliwie — rozpocząłem pierwsze przygotowania, zgodnie ze wskazówkami. Dysponuję już ludźmi na dużą orkiestrę, którą można podzielić na kilka mniejszych grup, na przykład na zespół muzyki tanecznej, ludowej i kameralnej. Montuję też chór; można go będzie powiększyć o głosy kobiet i powstanie mieszany chór operowy. Na razie jednak nie uwzględniłem kobiet w moich planach, ale zrobię to jutro. Udało mi się też zorganizować dobrych solistów i doskonałe siły aktorskie, między innymi Heinricha Wagnera, znanego aktora niemieckiego; oświadczył, że gotów jest nauczyć się rosyjskiego.

— Wcale nieźle — musiał przyznać major; przy czym rzucił krótkie, pełne zadowolenia spojrzenie na Grigorija,

co nie uszło uwagi Grunerta. Grigorij jednak nie odpowiedział na to spojrzenie. Napisał na kartce kilka liczb i dodał je.

— Nasze plany — referował Grunert szybko dalej — przewidują na otwarcie koncert muzyki Czajkowskiego — ze suitą *Dziadek do orzechów*, *Piątą symfonią* i *77 Koncertem fortepianowym*. Jako pierwszą operę wystawimy *Sprzedaną narzeczoną* Smetany; pierwszą sztuką będzie *Śmierć Wallensteina*. Jako pierwsze przedstawienie w języku rosyjskim przewidujemy *Ciotkę Karola* z Heinrichem Wagnerem w roli głównej. Tymczasem będą się odbywały wieczory rozrywkowe.

— Wspaniale — mruzczał major. W duchu widział już swój obóz wzorowym, z ożywionymi, przyzwoitymi i pogodnymi ludźmi, którzy potrafią czerpać z rozrywki wciąż nowe siły i energię do pracy. Chleb i igrzyska — brak jednego można wyrównać nadmiarem drugiego. A produkcja by rosła, w każdym razie nie zmniejszałyby się. Nowe dyrektywy z Moskwy, które niemal dokładnie przewidział, nigdzie w całej ojczyźnie nie byłyby tak przekonywająco wypełniane jak tutaj.

— Na razie chciałbym wiedzieć — rzekł Grigorij, a głos jego brzmiał całkiem niewinnie — z jak dużym personelem chcesz to organizować?

— Dwa do czterech procent — odparł Grunert. — Nie więcej. A co to jest dwa albo cztery procenty?

— Dwa albo cztery procenty to ujdzie — rzekł major, bo był przyzwyczajony do całkiem innych liczb.

— Cztery procenty z pięciu tysięcy — rzekł Grigorij przyjaźnie — to jest dwieście. A dwieście osób to już nie teatr obozowy — to prywatna armia. Wydaje mi się, że stu ludzi to aż nadto. Pięćdziesięciu powinno wystarczyć.

— Chyba masz rację — rzekł major; nie wahał się ani chwili przyznać racji swemu komisarzowi. Udawał, że usilnie liczy. — Dwieście osób to stanowczo za dużo. W żadnym wypadku nie więcej niż sto pięćdziesiąt.

— Oczywiście dostosuję się do waszych poleceń — pospiesznie zapewnił Grunert, gdyż ostatnia podana przez majora liczba była dużo wyższa, niż mógł się spodziewać.

Stary trik — podać jak najwięcej, by osiągnąć dużo, zawsze okazywał się niezawodny. — Zrobię, co tylko będę mógł. Ale potrzebne nam są instrumenty, nuty, teksty, a także drewno, gwoździe, tektura, farby i materiał.

— To sprawa komisarza — rzekł major wielkodusznie.

— Chyba się mylicie, towarzyszu majorze — rzekł Grigorij z uprzejmym uśmiechem. — Ja dysponuję jedynie biblioteką, a nie domem towarowym.

— Jeśli tak się sprawy mają — zdecydował major zwracając się do Grunerta — musicie sobie sami wszystko załatwić. Jak to zrobicie — wasza rzecz. W końcu jesteście Niemcami, nie brak wam więc talentu organizacyjnego. Kapujesz?

— Kapuję — potwierdził Grunert. Zrozumiał, że ma teraz odejść; wstał więc.

— Ale jeśli przylapię was na jakiejś machlojce — zawołał za nim major donośnie — to każę was ogolić obcęgami!

Grunert pospiesznie opuścił pokój. Kiedy zamknął za sobą drzwi, wciągnął głęboko i wypuścił powietrze. Nie bardzo zdawał sobie sprawę, co właściwie osiągnął; wiele rzeczy było niejasnych, niektóre wręcz niebezpieczne. A jedyny jego prawdziwy sukces polegał na tym, że wymieniono pewną liczbę: sto pięćdziesiąt. Z taką liczbą, na wpół oficjalnie zaakceptowaną przez majora, a w milczeniu potwierdzoną przez komisarza, można było postawić Krie-gera przed faktem dokonanym.

Pisarz komendanta wydawał się czymś zajęty przy półce. Trzymał jakiś papier pod pachą i podszedł do Grunerta.

— Na twoim miejscu — rzekł — mniej interesowałbym się tą lekarką. Grigorij niechętnie na to patrzy.

— Czy ona jest jego?

Pisarz ostrożnie pokręcił głową. — Grigorij należy do partii, a partia nie potrzebuje miłości. On chyba w ogóle nikogo nie kocha. Ale sądzę, że nie chciałby widzieć, jak ozdoba jego partii wpada w ręce, które nie są jego rękami.

— Kiedy to wszystko słyseż — rzekł Grunert zirytowany — to najchętniej wróciłbym do swojej celi. Tam było mi cholernie źle, ale miałem spokój.

Czy już? — zawołał Pratzke. Wrzasnął to na cały głos we wspólnym baraku, który ostatnio nazywano w obozie barakiem rozrywkowym. — Czy wreszcie dochodzimy do sedna sprawy? A więc zabierajmy się do bab!

Obaj Wilhelmowie spojrzeli na siebie ze smutkiem. Nie znosili wszelkiego rodzaju ordynarnych demonstracji; już sam przeraźliwy wrzask był dla nich czymś odrażającym.

— Eliminacje kobiet są już w zasadzie zakończone — oświadczył jeden z nich chłodno.

Pratzke był wyraźnie zawiedziony. — Zrobiliście to beze mnie?! — zawołał. — To wbrew umowie! Wobec tego zostałem oszukany! Podano mi zły termin. Uważam to za złamanie umowy. Gdzie jest Grunert?

Jak czołg ruszył do stołu, za którym siedziała komisja kwalifikacyjna. Jeden z Wilhelmów podniósł rękę. — Myślę, że zaszło tu nieporozumienie — rzekł. — Prawdopodobnie w różny sposób interpretujemy te same słowa.

— Co mnie to obchodzi! — zawołał Pratzke oburzony.

— Kto tu do kogo powinien się dostosować! Zapamiętaj sobie, Wilhelmie, że miarodajna jest moja interpretacja.

Jeden z Wilhelmów już miał coś na to odpowiedzieć, ale drugi położył mu łagodnie rękę na ramieniu. — Jeszcze nie zaczęliśmy — oświadczył — wybierać kobiet o zdolnościach artystycznych.

— To w porządku! — zawołał Pratzke uradowany.

— Czemu od razu tak nie mówiłeś? Wobec tego zaczyna my.

— Musimy poczekać na Grunerta.

— Ja go zastępuję — oświadczył Pratzke i rozsiadł się na krześle, za którym stał Matthaus.

— Grunert prawdopodobnie cię szuka — rzekł Wilhelm dyplomatycznie. — Myślę, że nie chciał zaczynać bez ciebie. A ty chcesz to zrobić?

— Oczywiście że nie! — zawołał Pratzke, udając obrażonego. — Oczywiście że nie chcę nikogo pozbawiać przyjemności, pod warunkiem, że i ja na tym nie stracę.

Bez żenady taksował obecnych, jakby miał zamiar ich kupić. Przede wszystkim dokładnie przyjrzał się obu Wil-

hełmom; byli w jego oczach kimś w rodzaju eunuchów w obozowym haremie. Bardzo dobry pomysł Grunerta, stwierdził, ustawić tych obu „nieprzekupnych” na kluczowych pozycjach. Należy tylko mieć nadzieję, że przez noc nie staną się znów normalni; taki rozwój wypadków mógłby prowadzić do wielu komplikacji. Równie zręczne, uznał, było mianowanie Wollmanna królem rzemieślników. To śmieszne skrzyżowanie dusigrosza z karłem myślało tylko o deskach, tekturze, farbach i ludziach-maszynkach, które umiałyby się z tym wszystkim obchodzić.

— A ksiądz? — zapytał Pratzke ciekawie. — Co ksiądz chce tym razem pobłogosławić?

— Potrzebuję jeszcze harfistki do orkiestry — rzekł Matt-haus.

— A ma pan już harfę? Bo babę, która będzie ją szarpać, z łatwością da się znaleźć.

Pastor nie pofatygował się z odpowiedzią. Jeden z Wilhelmów uczynił to za niego. — Ta sprawa jest już załatwiona — rzekł. — W tutejszym Domu Kultury znajdują się wszystkie instrumenty potrzebne dla dużej orkiestry, które od czasu do czasu będą nam wypożyczane, po uzgodnieniu z radzieckim komisarzem, komendantem i sekretarzem partii.

— Do licha! — zdumiał się Pratzke i pokręcił głową z uznaniem i szczyptą zazdrości. — To nie byle jakie manipulacje. Dorównują niemal moim zdolnościom organizacyjnym.

— Niestety — rzekł jeden z Wilhelmów — wciąż jeszcze brakuje nam fortepianu. — A jest nam bardzo potrzebny — dodał drugi Wilhelm.

Ksiądz Matthaus skinął głową zamyślony. — Wiele bym dał za fortepian — rzekł rozmarzony.

— Ustalcie tylko godziwą cenę — rzekł Pratzke wspaniało myślnie — to załatwię wam takie jęczące pudło.

Zebrani nie zdążyli jednak okazać zainteresowania tą propozycją; do szopy wpłynęło bowiem blisko pięćdziesiąt kobiet, które przyprowadził Grunert. Popychały się ze śmiechem, szepcząc i spoglądając w stronę stołu, za którym jak za szansem siedziała komisja egzaminacyjna.

— Przestańcie gęgać! — rozkazał Pratzke. — Ustawcie się w rzędach po dziesięć osób, tak jak się nauczyłyście. Jeśli natychmiast nie posłuchacie, wasza artystyczna kariera skończy się, zanim się zaczęła.

Kobiety umilkły. Widocznie nie spodziewały się po Pratzkem niczego prócz rozkazów. Ustawiły się, jak tego zażądał, i spoglądały na niego oraz na innych mężczyzn z nie ukrywanym zainteresowaniem.

Pratzke był bardzo zadowolony z wrażenia, jakie wywarł. Spoglądał z satysfakcją na swoje dzieło i na tych, którzy mu je umożliwili.

— Słuchajcie, dziewczyny — rzekł z humorem — musicie sobie wreszcie zapamiętać: nie jesteście tutaj w wesołym miasteczku. Także sztuka nie jest zabawą, lecz pracą. Kto tu się tak głupio zaśmiał? Kto to był?

— Wymiana adresów nie jest celem naszego spotkania — rzekł Grunert. — Potrzebujemy przede wszystkim sił do teatru obozowego; potrzeba nam aktorów, muzyków, rzemieślników. A więc do roboty, przyjaciele!

Obaj Wilhelmowie przystąpili niezwłocznie do akcji. Jeden podzielił kobiety na grupy zainteresowań, drugi rozpoczął egzaminowanie. Wydawało się, że nie brak talentów. Pratzke oglądał kobiety z dobrotliwym zainteresowaniem. Uznał, że jego Sylwia wyróżnia się nawet wśród tej masy — a więc dokonał świetnego wyboru.

Sylwia starała się patrzeć na wszystkich z góry, dumna jak paw. Obaj Wilhelmowie spoglądali na nią niechętnie.

— Co pani potrafi? — zapytał Wilhelm, kiedy stanęła przed nim.

— A czego pan ode mnie oczekuje? — zapytała dziewczyna bystro i uniosła z lekka głowę.

— Czy jest pani aktorką?

— Między innymi — oświadczyła Sylwia śmiało i mrugnęła do Pratzkego. — Potrafię mniej więcej wszystko, czego pan ode mnie zażąda.

— Niestety — rzekł Pratzke ze śmiechem do księdza — ta pani nie umie grać na harfie.

— Jak wyobraża pani sobie pracę w naszym teatrze obozowym? — zapytał Wilhelm zmieszany i zarazem poirytowany.

— Jak najbardziej właściwie! — zawołał Pratzke, który świetnie się bawił. — Prawda, Grunert?

— Co takiego? — zapytał Grunert, akurat zajęty rozmową z Wollmannem i kobietą, która była krawcową. Wydawało się, że wkrótce zostanie otwarty cały salon mody; Grunert nie miał więc teraz najmniejszej ochoty zajmować się czym innym. Obaj Wilhelmowie mieli dokładne wskazówki i na pewno będą wiedzieli, co robić.

— Czy ty też jesteś zdania, że Sylwia świetnie się nadaje? — zapytał Pratzke natarczywie.

Grunert rzucił krótkie, badawcze spojrzenie na dziewczynę; tak właśnie ją sobie wyobrażał. Skinął więc tylko głową obu Wilhelmom. Potem ponownie zajął się planami warsztatów.

— A więc przyjmujemy panią — powiedział Wilhelm z wysiłkiem do Sylwii.

Dyrektor Wilhelm zanotował tę decyzję z nieruchomą twarzą. Pratzke uśmiechnął się szeroko i z zadowoleniem do Sylwii, która odplynęła niczym łabędź.

Teraz ukazali się Krieger i Simoneit, przeciskając się przez tłum. Przywitali się z Grunertem i jego komisją. Zwłaszcza Krieger udawał uprzejmego.

— Wpadliśmy tu całkiem przypadkowo — oświadczył Krieger. — Musiałem coś omówić z panią Simoneit, a nara da skończyła się wcześniej, niż przypuszczaliśmy. Postanowiliśmy więc jak najlepiej wykorzystać zaoszczędzony czas i dlatego składamy wam wizytę.

Grunert przyjął w milczeniu i z wyraźną nieufnością to podejrzenie wylewne oświadczenie. — To jest mój teren — rzekł.

— Oczywiście — odparł Krieger uprzejmie. — Ale twoje pole działania znajduje się przypadkowo w obozie, którego komendantem jestem ja.

— A kobiety podlegają mnie — rzekła Simoneit, jak zwykle z rubaszną życzliwością — a więc jeden obszar łączy się z drugim. Powoli trzeba się do tego przyzwyczaić.

Krieger i Simoneit usiedli na krzesłach, które uprzejmie podsunęli im obaj Wilhelmowie. Grunert jakby nigdy nic zwrócił się znów do Wollmanna i krawcowej; odeszli

trochę na bok i dalej szeptali. Salon mody przybierał coraz realniejszy kształt. Grunert widział już oczyma wyobraźni panie z radzieckiego towarzystwa jako wdzięczne i wpływowe klientki.

— Czy w tym cyrku nie ma tancerek? — zapytał Pratzke.

Zgłosiło się sześć dziewcząt podając, że są tancerkami.

Pratzke zażądał natychmiast, aby pokazały nogi. Intendent Wilhelm ostro się temu sprzeciwił, co Simoneit przyjęła z aprobatą. Krieger natomiast spojrział na niego życzliwie.

— To dla mnie coś zupełnie nowego — zdziwił się Pratzke.

Wilhelm nie dał się zbić z tropu. Po intensywnym wypytywaniu doszedł do następujących wniosków: dwie spośród dziewcząt były rzeczywiście wyszkolone w tańcu klasycznym; jedna asystowała w jakimś numerze w varietes; inna była mistrzynią w gimnastyce na szczeblu okręgowym; dwie ostatnie cieszyły swym widokiem czy żądnych piękna gości w nocnych lokalach. Ale wszystkie już od lat nie ćwiczyły.

— Postaramy się tym paniom, które zechcą, umożliwić trening — zdecydował Wilhelm. — Następnie ocenimy wasze kwalifikacje i ewentualnie je wykorzystamy.

Krieger skinął głową potakująco. Potrafił docenić zręcznie sformułowane oświadczenie, które brzmiało rozsądnie i obiecująco, a nie zawierało przy tym żadnych wiążących obietnic. Także pani Simoneit uznała Wilhelma za człowieka bardzo taktownego. Właściwie tylko Pratzke był niezadowolony, bo uniemożliwiono mu ciekawy widok; spoglądał teraz niechętnie w stronę Grunerta, którego cała ta scena w ogóle nie interesowała. Planował już daleką przyszłość, co prawda nie mając o niej najmniejszego pojęcia.

Następnie przed komisją kwalifikacyjną stanęła Maria. Wyszła z najdalszych rzędów kobiet i z wahaniem zbliżyła się do stołu. Jej mała, delikatna, dziecięca twarzyczka była lekko zarumieniona. Obaj Wilhelmowie spoglądali na nią z życzliwością. Krieger na jej widok wyprostował się nieco; był to ledwo widoczny objaw prawdziwego zainteresowania, co nie uszło uwagi zawsze bystrego Pratzkego.

— No, moja droga — rzekł Wilhelm niezwykle przyjaźnie — co możemy dla pani zrobić?

— Myślę — rzekła Maria odważnie — że byłabym niezłą aktorką; mogłabym zagrać na przykład Małgorzatę albo Dziewicę, albo Kasię z Heilbronn.

— A więc młodocianą bohaterkę — rzekł Wilhelm i uśmiechnął się jak starszy brat. — Może da się coś zrobić, zakładając, że ma pani talent. — Spojrzał przy tym pytająco w stronę Grunerta.

Na dźwięk głosu Marii Grunert przerwał rozmowę na temat warsztatu i pracowni kostiumów. Z niedowierzaniem podniósł wzrok i spojrzał na Marię, jakby była sarną otoczoną przez sforę psów. Zbliżył się powoli, nie spuszczać oczu z dziewczyny, która patrzyła na niego odważnie.

— Czego tu chcesz? — zapytał z nie ukrywaną niechęcią.

— Pracować — odparła dziewczyna. — Grać.

— Kto cię do tego namówił?

— Nikt. To moja własna decyzja.

— Tu nie przedszkole — rzekł Grunert ostro. — Jesteś za młoda na takie zajęcia.

— Nie jestem za młoda! — zawołała Maria z uporem. — Nie jestem już dzieckiem.

— Co ty sobie właściwie myślisz? — zapytał Grunert twardo, przy czym starał się nie patrzeć jej w oczy, które cały czas zwrócone były w jego stronę. — Może masz nadzieję na zabawę, przyjemną rozrywkę czy też lekką pracę? Wobec tego jesteś w błędzie. A jeśli naprawdę myślisz poważnie o teatrze — to i tak nie jest zajęcie dla dzieci. Czy uczyłaś się kiedykolwiek recytacji? Czy umiesz się prawidłowo poruszać? Czy wiesz, co to znaczy obnażać swą duszę wobec setek ludzi? Nie masz o tym pojęcia!

— Wiem, czego chcę — rzekła Maria po prostu.

— Ja także wiem! — zawołał Grunert gwałtownie.

— I dlatego cię nie przyjmę.

Obecni przysłuchiwali się w napięciu. Nikt dobrze nie wiedział, jaki był powód wzburzenia Grunerta. Jedyne prymitywne mózgi Pratzkego był najbliżej prawdy.

— To, co mówi Grunert — rzekła Simoneit z namysłem — brzmi przekonywająco. Maria jest rzeczywiście za młoda.

— Na Wschodzie — rzekł Pratzke ubawiony — dziewczyny mając dwanaście lat wychodzą za mąż.

— To niech pan tam pojedzie! — zawołała Simoneit zaczepnie.

— Po co ta okrężna droga? — zapytał równie zaczepnie Pratzke.

— A ja uważam — rzekł Krieger ostrożnie — że wszystko zależy od tego, czy ta panienka ma talent — jej szczerzej woli nie da się zaprzeczyć. Lecz tą uwagą absolutnie nie mam zamiaru wkraczać na obcy teren. Proszę jedynie potraktować kandydaturę Marii z całą powagą i odpowiedzialnością.

— Ja się temu stanowczo sprzeciwiam — rzekł Grunert.

— To już raz powiedziałeś — Krieger uśmiechnął się do Grunerta po koleżeńsku; następnie rzucił na Marię krótkie, życzliwe spojrzenie. — Rozumiem twoje wątpliwości i sam bym je podzielał, gdyby nasza panna wpadła w wątpliwe towarzystwo ludzi z teatru, ale tego chyba nie trzeba się obawiać. A może się mylę? Jeśli tak, to wszystko byłoby pożałowania godne i oznaczałoby koniec całego przedsięwzięcia. Ale myślę, że właśnie przed tym potrafisz się ustrzec, Grunert. Wobec tego nie rozumiem twoich wątpliwości!

— Niech pokaże, co potrafi! — zawołał Pratzke, który nie zawahał się wygrywać Kriegera przeciwko Gruner-towi. Utajone walki mężczyzn o kobiety zawsze go bawiły; a jeśli doprowadzały do otwartych bitew, sprawiały mu rozkosz.

Grunert protestował powściągliwie; Krieger uznał, że propozycja Pratzkego jest doskonała. Matka Simoneit raczej przyznawała słuszność Grunertowi. Matthaus rzekł kilka słów o sprawiedliwości. Wollmann oświadczył, że nie ma zdania na ten temat. Obaj Wilhelmowie czekali na decyzję Grunerta. Maria sama zdecydowała.

— Powiem wam coś z *Kasi z Heilbronn*.

Pochyliła zarumienioną dziecianną twarzyczkę, aby się skoncentrować. Następnie podniosła wzrok z upartą stanowczością; jej oczy szukały Grunerta. Zaczęła cicho:

Zabierz mi, Panie, życie, jeśli zbłądziłam.

*Co zaszło w piersi cichym gnieździe,
A Pan Bóg nie ukarał,
Tego niech nie wie żaden człowiek,
Bo jest okrutny, kto mnie o to pyta.*

— Brawo, brawo! — zawołał Pratzke, kiedy Maria skończyła, i głośno zaklaskał.

— Moje uznanie — rzekł Krieger.

Grunert natomiast odwrócił się, by ukryć wzburzenie. Było to dla niego udręką, że mówiła tak przed tymi wszystkimi ludźmi. A to, co powiedziała, brzmiało prawdziwie, jak gdyby nie uczyła się tego na pamięć, tylko tak sama myślała i odczuwała. I dlatego, że tak było, ogarnął go strach — o nią, o siebie, o to, co zamierzał uczynić.

— Moim skromnym zdaniem jest to niewątpliwy talent, którego nie wolno zlekceważyć — rzekł Krieger jakby z pewnym podziwem.

Maria znalazła nieoczekiwanego orędownika — Pratzke czuł to wyraźnie — może nawet ukrytego protektora. Ale wiedział też z doświadczenia, że bardzo często właśnie to, co wyglądało u Kriegera na spontaniczną wypowiedź, okazywało się później jedynie celową reakcją.

Pratzke w każdym razie uznał za słuszne z rozbijającą szczerością manewrować od razu w obydwu kierunkach: chciał zaskarbić sobie życzliwość zarówno Kriegera, jak i Grunerta. Oświadczył więc: — Jestem wielkim admiratorem sztuki. Moim zdaniem talenty należy popierać. Dziewczyna musi znaleźć się w teatrze, Grunert. A jako rekompensatę załatwię fortepian.

— *To byloby wspaniale* — oświadczył żywo Wilhelm.

— Bardzo jest nam potrzebny fortepian — rzekł Matt-haus.

— Zgoda, Grunert? — zapytał Pratzke i mrugnął do niego.

— No dobrze — rzekł Grunert po krótkim wahaniu i dodał: — Czemu nie, jeśli dziewczyna koniecznie chce i jeśli mogę się w ten sposób przysłużyć Kriegerowi? — Następnie podszedł do okna, nie oglądając się już na Marię.

Simoneit poszła za nim i stanęła tuż obok. — Muszę ci coś powiedzieć — rzekła z namysłem. — Mam nadzieję, że fortepian nie jest dla ciebie ważniejszy niż człowiek.

— Mamy tu pięć tysięcy ludzi, ale ani jednego fortepianu — rzekł Grunert zirytowany.

— A więc nie chodzi o człowieka, tylko o to, żeby ubić interes? — rzekła Simoneit. — Będę o tym pamiętała, kiedy ciebie będą chcieli wymienić na fortepian, pralkę albo coś podobnego. Ostrzegam cię, Grunert. Jeśli małej Marii stanie się najmniejsza krzywda, ciebie pociągnę do odpowiedzialności. Inne dziewczyny dadzą sobie same radę, ale ona jest jeszcze dzieckiem, i ty dobrze o tym wiesz, sam to przecież powiedziałeś. Gdybyś miał o tym kiedyś zapomnieć, to przy najbliższej okazji wymienię cię na funt mydła.

Grunert patrzył przez okno na zmurszałe, sklecone z desek baraki obozu. Za nim recytowano Schillera. Na dworze blada, wilgotna mgła rozsunęła cienki welon nad nędzą więzienia; we wnętrzu patetycznie płonęły urywki słów i rozplywały się w nicości.

Teraz Maria podeszła do niego, wiedział o tym, ale się nie odwrócił. Poznał jej drobne, wahające się kroki. Zatrzymała się za nim.

— Nie powinieneś się obawiać — rzekła ostrożnie.

— Jeśli się w ogóle kiedykolwiek obawiałem — powiedział Grunert niechętnie — to było to całkiem zbyteczne.

— Nie będę występowała w teatrze, jeśli tego zażadasz — rzekła dziewczyna. — Chciałam to zrobić tylko dlatego, żeby ci jakoś pomóc.

— Mnie zapewne nikt nie pomoże.

— Owszem — oświadczyła Maria nieśmiało, ale stanowczo. — Myślę, że mogłabym, bo wiem, dlaczego to wszystko robisz. Długo się nad tym zastanawiałam, wreszcie doszłam do wniosku, że nie jesteś zły, chyba nigdy nie byłeś zły. Dla mnie zawsze pozostaniesz wzorem, choćbyś nakładał nie wiem ile masek.

Grunert odwrócił się i spojrział dziewczynie w twarz. Jego uśmiech wydawał się niemal zły, wykrzywiony. — Nie powinnaś zaprzętać swojej ładnej główki takimi problemami — rzekł ostro. — Myśli, jakie ci przysły do głowy, są niebezpieczne, ale jeszcze bardziej niebezpieczne jest wypowiadanie ich. Tutaj nawet powietrze ma uszy.

Maria spojrzała na niego z podziwem i pokorą swymi wielkimi, dziecięcymi oczami. — Powinieneś wypróbować — rzekła niemal gorączkowo — jak dalece możesz na mnie polegać.

— Nie lubię, kiedy dzieci bawią się dynamitem — rzekł Grunert twardo. — A jeśli pozwalam ci występować w tea trze, to tylko dlatego, że bardzo jest mi potrzebny fortepian. A teraz się opanuj, za trzy sekundy nie będziemy już sami.

Podszedł do nich Krieger. — Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — rzekł z uprzejmym uśmiechem. — Dla naszego przyjaciela na pewno nic innego nie istnieje poza dla mnie nie całkiem jeszcze jasnym zadaniem, które sobie postawił.

Krieger jak zawsze sprawiał wrażenie człowieka wyniosłego, opanowanego, a zarazem koleżeńskiego, nie pozwalając jednocześnie zapomnieć, kto tu jest przełożonym. „Kolega wśród kolegów, ale na wiodącym stanowisku” — tak określił kiedyś swoją szczególną pozycję.

— Chyba ci się tutaj podoba — rzekł Grunert równie uprzejmie jak Krieger.

— Zaskoczył mnie talent naszej małej Marii — powiedział Krieger z zyczliwością, która wydawała się szczera.

— W ostatnim czasie spotkaliśmy się z całą masą zaskakujących próbek talentu — rzekł Grunert.

— Miejmy nadzieję, że nie było ich za wiele — rzekł Krieger niezmiennie uprzejmie. — Przede wszystkim mamy tu budować traktory; a dodatkowo na rozbudowanie przemysłu rozrywkowego nie możemy sobie niestety pozwolić.

— Odchodzę — rzekła Maria niemal z wyższością. — Nie interesują mnie rozmowy o technice i zarządzaniu.

Skinęła obu mężczyznom i odeszła małymi, pełnymi gracji krokami. Krieger spoglądał za nią. Grunert obserwował go uważnie.

— Wydaje się, że jest inteligentna — rzekł Krieger wreszcie.

— Ma godne uwagi kwalifikacje — przyznał Grunert z pewnym trudem — niezwykle kwalifikacje.

— Czy znam je wszystkie? — Uprzejmy uśmiech Kriegera stał się jeszcze uprzejmiejszy. Widocznie chciał dać do zrozumienia, że jego ostatnia uwaga mogła uchodzić za drobny żart koleżeński.

Grunert nie odpowiedział. Czuł wyraźnie, że Krieger pod pozorem niewinnie brzmiących uwag chce rozpocząć decydującą rozmowę. Zgodnie z niezawodną taktyką usiłował więc od razu zapewnić sobie dogodną pozycję wyjściową. — W każdym razie cieszy mnie twoje widoczne zainteresowanie naszymi wysiłkami. I jestem zadowolony, że mogłem spełnić twoje osobiste życzenie.

— Muszę cię trochę skorygować — rzekł Krieger łagodnie. — Nie chodzi tu oczywiście o żadne osobiste życzenie, lecz jedynie o nie zobowiązującą propozycję, która bynajmniej nie jest natury osobistej.

— A ja sądziłem — powiedział Grunert lekkim tonem pogawędki — że nasza mała Maria wywarła na tobie szczególne wrażenie. Byłaby zawiedziona, gdyby się dowiedziała, że tak nie jest.

— Oczywiście uważam, że jest interesująca. Wydaje się uduchowiona na sposób niemiecki. A tym samym uosabia szczególne cechy naszego narodu. Obecność takich osób w zespole teatralnym daje mi pewne gwarancje, że nasze zasadnicze wartości narodowe i rasowe będą odpowiednio uwydatnione. Mówię to jedynie po to, by wzbogacić twoje starania o kilka czysto teoretycznych sugestii, nie zaś po to, by wprost stawiać jakieś żądania. Wiem, że jesteś świadomy odpowiedzialności i na tyle mądry, by kierować się mentalnością i wymaganiami swojej publiczności — to zadanie każdego intendenta. Ale to tylko tak na marginesie.

Ruszyli zgodnie obok siebie. Idąc wzdłuż ścian, okrążyli kobiety i komisję egzaminacyjną, która wciąż jeszcze pracowała. Jakaś kobieta śpiewała pieśń Schuberta; miała cienki, przenikliwy głos, którego nie mogły stłumić nawet deski baraku; ale obaj mężczyźni jej nie słyszeli.

— Chyba nie chcesz mi radzić, abym tu, w środku Rosji, założył wielkoniemiecki teatr narodowy.

Krieger jakby nie dosłyszał tego pytania. Oczywiście, że właśnie tego chciał, a Grunert o tym wiedział. Tylko że Krieger obok patriotycznego serca posiadał również porcję zdrowego rozsądku i przemocą posługiwał się jedynie tam, gdzie miał władzę na dłuższą metę.

— To, co mnie w danej chwili interesuje, to nie wielkie zamierzenia, lecz konkretna liczba.

— Chcesz wiedzieć, ile osób liczy mój personel? — zapytał Grunert i udał, że jest trochę zdziwiony. A przecież dobrze wiedział, że dotarli do punktu, który na obecnym etapie był najbardziej niebezpieczny. Nabrał głęboko tchu i rzekł alarmująco łagodnym głosem: — Sam jeszcze nie znam ostatecznej liczby. Dopiero kiedy będą znane wyniki eliminacji kobiet, będę mógł ci podać tę liczbę w przybliżeniu.

— A mężczyźni? — dopytywał się Krieger. — W tym wypadku masz już chyba jakieś bliższe dane?

— I tu ostateczna liczba nie jest jeszcze ustalona.

— Nawet w przybliżeniu?

— Nawet w przybliżeniu.

Kości policzkowe Kriegera zaczęły się poruszać, jego uśmiech stał się groźnie nieruchomy, ale jeszcze się opanowywał. Nie zmieniając taktyki spróbował podejść z drugiej strony: — Uważam, że pięćdziesiąt, sześćdziesiąt osób wystarczy.

— A ja wcale tak nie uważam — rzekł Grunert, zaskoczony zrecznością Kriegera. Zrozumiał, że dłużej nie może unikać podania choćby przybliżonych liczb. Toteż powiedział tonem nie znoszącym sprzeciwu: — Trzykrotnie więcej.

Uśmiech Kriegera znikł. Jego oczy jakby się zwężyły. Powiedział: — Chyba się przesłyszałem. Już raz wymienileś tę groteskową liczbę, a ja z całą życzliwością cię przestrzegłem. Teraz powtarzam ci, a jest to żądanie zobowiązujące: taka liczba nie wchodzi w grę.

— Ale stała się faktem, Krieger.

— Tego rodzaju fakty dają się zmieniać. I tak też się stanie — w pełnej zgodzie, jeśli będziesz rozsądny. Wspólnie

przejrzymy listy; pięćdziesiąt, sześćdziesiąt, może nawet siedemdziesiąt — tyle ostatecznie ujdzie, ale więcej nie ma mowy!

— Sto pięćdziesiąt! Ani o jedną osobę mniej.

— Bądź rozsądny — rzekł Krieger ostrzegawczym tonem; mówił cicho, skrzypiącym głosem, który brzmiał tak, jakby ugniatano świeży śnieg. — Mnie nie wolno bezkarnie prowokować.

— Czy to groźba?

— Ostrzeżenie, Grunert. — Krieger spojrział na swego rozmówcę przenikliwie. — Moją zasadą jest regulowanie wszelkich niezgodności w obrębie obozu. Nie radziłbym zmuszać mnie do tego, abym fatygował radzieckiego komendanta.

— Nikt cię do tego nie zmusza — rzekł Grunert i dodał ze spokojem grając swym wielkim atutem. — I byłoby to daremne. Komendant radziecki wie o stu pięćdziesięciu osobach i nawet je już zatwierdził. Komisarz także.

Krieger przyjął ten cios zachowując nienaganną postawę. Tylko powieka mu drgnęła, poza tym jego wyraz twarzy się nie zmienił. Przez chwilę stał nieruchomo, wydawało się, że na wskroś przeszywa Grunerta wzrokiem. Potem nabrał powietrza, odwrócił się gwałtownie i odszedł wyprostowany.

— Pratzke! — zawołał ostentacyjnie głośno. Ale Pratzkego nie było już w baraku. Odszedł, by zająć się transportem obiecanego fortepianu.

Krieger szedł z demonstracyjną hałaśliwością do wyjścia. Tu wydał rozkaz stojącym policjantom obozowym. Następnie zatrzasnął za sobą drzwi tak głośno, że kobieta, która podawała się za śpiewaczkę, wystraszona przerwała znięcanie się nad Mozartem.

— Niech panie się nie dekoncentrują z powodu drobiazów — zawołał Grunert z podkreślaną wesołością.

Jeden z Wilhelmów, który uważnie chodził wokół kobiet i uciszał każdy hałas, przerwał swoje zajęcie i podszedł do Grunerta. — Co się stało? — zapytał z niepokojem.

— Solo poza konkursem — odpowiedział. Usiłował ukryć przykre, dławiące uczucie, które opanowało go po

ostentacyjnym wyjściu Kriegera. Zostało rzucone wyzwanie! Nie było ono niespodziewane; zaskakująca była tylko gwałtowność, z jaką to się stało.

— Przypadkiem usłyszałem polecenie, jakie Krieger wydał policjantom przy drzwiach — powiedział Wilhelm. — Brzmiało ono: Wszyscy mężowie zaufania zgłoszą się do mnie dziś wieczorem na naradę! Chyba zdajesz sobie sprawę, Grunert, co to znaczy.

Grunert skinął głową; dobrze wiedział, co to znaczy. Krieger wzywał swoją klikę, aby ją urobić. A więc wystawiał swoje doborowe szeregi wojska; bitwa mogła się rozpocząć. Prawdopodobnie będzie bezpardonowa, a kapitulacja, jak zazwyczaj, bezwarunkowa.

— Należy przyspieszyć pozostałe egzaminy — zarządził Grunert. — Najdalej za godzinę przejrzymy wszystkie listy. Dziś jeszcze zaangażujemy personel. Zaraz potem rozpoczniemy pracę.

Jego słowa przerwał stłumiony hałas. Otworzyły się drzwi baraku i stanął w nich Pratzke. Za nim ośmiu mężczyzn dźwigało owinięty plandeką kanciasty przedmiot. Potrącili nim o framugę drzwi, tak że dźwięcznie jęknął.

— O, sprowadził pan fortepian — rzekł Wilhelm z podziwem.

— My tak pracujemy! — zawołał Pratzke z triumfem. Wilhelm od razu podbiegł do grubo owiniętego fortepianu. Kobiety chętnie powitały małą przerwę w nerwowym oczekiwaniu. Utworzyły koło i żywo rozmawiały z Pratzkem, który czuł się jak bohater. Żartował i jednocześnie wydawał rozkazy. Wilhelm przerwał koło i podbiegł do Grunerta.

— To naprawdę fortepian — rzekł niemal bez tchu.

— Teraz mamy zupełnie inne zmartwienia — powiedział Grunert. Był niezadowolony z tego prowokującego hałasu, który przeszkadzał mu w jego strategicznych posunięciach prewencyjnych.

— Co ty mówisz! — szepnął Wilhelm podniecony. — Czy wiesz, co to za fortepian? To fortepian z kantyny fabryki „Czerwony Poranek”.

— Cholerny świat — Grunert zrobił się wściekły.

— Daj spokój — błagał go Wilhelm. — Przecież to nie my go zwędziliśmy, zrobił to ktoś z niemieckiej komendantury obozowej. A to znaczy, że niemiecka komendantura zrobiła coś na lewo, a więc ci faceci, chcąc nie chcąc, jadą z nami na jednym wózku.

— Chłopie — rzekł Grunert, czując pismo nosem. — Może i masz rację! Jeśli to zręcznie rozegramy, Krieger będzie mógł mówić o szczęściu, jeśli zechcemy go tolerować jako sojusznika.

Kiedy komisarz Grigorij szedł przez obóz, można by sądzić, że jest takim samym jeńcem wojennym jak inni. Jego zniszczona odzież nie różniła się od ubrań pozostałych jeńców, płaska czapka jakby podkreślała tępotę twarzy i wielkość uszu. Ale jego bystre oczy rejestrowały wszystko, co widziały; nic nie uszło jego uwagi.

— Czy widziałeś gdzieś Grunerta? — zapytał policjanta. I poszedł dalej, nie czekając na odpowiedź. Zdał sobie sprawę, że tamten nic nie wie, zanim jeszcze otworzył usta.

Niektórzy jeńcy uważali Grigorija za dziwaka, może nawet trochę ograniczonego. Wydawał im się raczej nieszkodliwy; wyblakły na twarzy, o słabym głosie i przeważnie melancholijnym spojrzeniu; stale wygłaszał obowiązkowe monologi polityczne, które nudziły nie tylko słuchaczy, ale także jego samego.

Grigorij spokojnym truchtem jeńców skierował się do wspólnego baraku; ale nie wszedł głównym wejściem, okrążył barak i udał się na tyły, przyciągnięty hałasem ożywionej pracy. Zobaczył, że jedna ściana z desek została rozebrana; przeciągnięto nową belkę, która sterczała w kierunku cmentarza. Tutaj Grigorij się zatrzymał, jak spacerowicz, który ma dużo czasu i staje przed jakąś budowlą.

Rzemieślnicy zdziwili się na jego widok, ale pracowali spokojnie dalej, jak gdyby nie było to dla nich ważne. Ale

Wollmann, czujny jak pies, wziął jednego z budowniczych na bok i powiedział: — Biegnij do Grunerta i powiedz mu, że mamy gościa.

Grunert zjawił się natychmiast. Grigorij odwrócił się tyłem do budowli i zamyślony spoglądał na cmentarz.

— Podziwia pan naszą przybudówkę, panie komisarzu? — zapytał Grunert uprzejmie. Z trudem ukrywał wściekłość i niepokój; ten Grigorij, kierując się niezawodnym węchem, bardzo szybko odkrył miejsce, które miało pozostać przed nim jak najdłużej ukryte. — Poszerzamy nasz warsztat i budujemy pomieszczenia na garderoby.

— Sztuka osiedla się w pobliżu cmentarza — rzekł Grigorij zamyślony.

— Czyżby tego rodzaju związki miały być zastrzeżone tylko dla polityki i Kościoła? — zapytał Grunert.

— Masz rację — zgodził się Grigorij zaskakująco szybko. — Nic na świecie nie jest tak pewne jak śmierć, ona jedynie jest niezawodna i wspólna wszystkim. Czemu mielibyśmy odczuwać wobec śmierci lęk, grozę czy też szacunek? Podczas wojny niejedną noc musiałem spędzić wśród trupów; dlatego nie robi to na mnie wrażenia, kiedy ludzie płodzą dzieci w trumnie.

Grunert przeraził się, kiedy ostatnie słowa Grigorija dotarły do jego czujnego umysłu. Znowu został zaalarmowany; musiał wy badać, czy ma do czynienia z dobrze poinformowanym, logicznie myślącym człowiekiem, czy też cwany pokerzystą albo tylko efektownym straszakiem. Aluzja do trumny była tak niebezpiecznie bliska rzeczywistości, że trudno było przypisywać ją jedynie natchnieniu.

— Czyżbym powiedział coś, co wprawilo cię w zakłopotanie? — zapytał Grigorij z irytującą uprzejmością. — Ostatecznie wszystko jest możliwe! I właśnie najbardziej absurdalne rzeczy zdarzają się częściej, niż się na ogół przypuszcza. Świat pełen jest absurdalnych zjawisk, przed którymi drży każdy ład społeczny.

— Również pański, komisarzu? — zapytał Grunert spontanicznie.

Grigorij zamarkował uśmiech. Zawsze cieszył się, kiedy udało mu się tak sprowokować rozmówcę, że nie mógł on

powstrzymać się od szczerzej, impulsywnej odpowiedzi. — Mój drogi — rzekł z podkreślaną życzliwością — chętnie odpowiem na twoje pytanie; jest ono łatwiejsze, niż ci się wydaje. Po prostu nasz ład społeczny nie drży przed niczym! Nie dlatego, że jest niezwykle mocno ugruntowany lub rozbudowany za pomocą wszelkich możliwych środków władzy — nie. Opiera się on tylko na szczególnie mądrych założeniach. Możemy o tym pogadać — jeśli zechcesz i jeśli nie przeszkodzi ci to w twoich szeroko zakrojonych planach budowy.

Grunert zapewnił, że marzy o pouczającej rozmowie z komisarzem. Tak więc na znak Grigorija ruszyli w kierunku ulicy obozowej.

Komisarz kroczył spokojniej niż zazwyczaj. Czasem nawet przystawał, jakby chciał nabrać tchu albo zatrzymać na czymś dłużej wzrok: na maszcie, z którego niebezpiecznie nisko zwiisał przewód elektryczny; na pętlach z drutu, które wydawały się rozrywać niebo; na baraku z desek, który wiatr mocno pochylił — wreszcie na twarzy Grunerta, która była prowokująco pozbawiona wyrazu. Wielu jeńców spoglądało za nimi; najwidoczniej intencją komisarza było dostarczenie im tego widoku.

— Mam nadzieję, że moje towarzystwo nie jest ci przykre — rzekł komisarz. — Jeszcze kilka dni temu siedziałeś u nas zamknięty, a teraz idziemy, że tak powiem, ramię w ramię przez obóz. Czy twoi koledzy nie poczują się sprowokowani?

— Nie — odparł Grunert. — Nie mogą już sobie pozwolić na taki luksus. Ja zaś już dawno przestałem się zastanawiać, co się o mnie myśli, bo to najbardziej bezsensowne zajęcie pod słońcem. Znałem wielu ludzi, którzy twierdzili, że mnie kochają i będą mi wierni. A wkrótce potem byłem w ich oczach podstępny i zakłamanym osobnikiem.

Grigorij przyspieszył kroku. — To wcale nie jest proste przejrzeć cię, Grunert — rzekł. — Chyba nie jesteś naiwny, ale i nie zawsze jesteś sprytny czy wyrafinowany. Właściwie, kiedy mówiliśmy o ładzie społecznym, powinieneś powiedzieć coś ładnie brzmiącego, na przykład, że komunizm jest czymś więcej niż tylko ładem społecznym, on jest

po prostu ładem — lub coś podobnego. Kiedy cię spytałem, czy moje towarzystwo nie jest ci niemiłe, spodziewałem się, że usłyszę używane zazwyczaj zapewnienie: To dla mnie wielki zaszczyt i przyjemność. Ale nic podobnego nie usłyszałem.

— Z pewnością wzięłby mi pan to za złe, gdybym próbował pana zanudzać — rzekł Grunert odważnie. — Możemy sobie darować wzniosłe frazesy, którymi karmi się głupców.

— Doskonale! — zawołał Grigorij. — Zbliżamy się coraz bardziej do moich myśli, bo pojąłeś, że trudno zbliżyć się do mojego serca. To już postęp, który może wiele uprościć. Bardzo mnie to cieszy i uważam, że ktoś jeszcze powinien dzielić tę radość. Chodźmy więc do Kateriny. Ona wie, że przyjdziemy.

Wolfgang Grunert nie miał wyboru, musiał iść z Grigorijem. Uczynił to z wahaniem. Na próżno starał się zrozumieć, co sobie obiecywał Grigorij po tym spotkaniu, które z pewnością od dawna już przygotowywał. Jedno było pewne: Grigorij nie był człowiekiem chętnym do niewinnych pogawędek. A już na pewno absurdalne byłoby przypuszczenie, że dążył do popierania kontaktów pomiędzy Rosjanką a jeńcem wojennym. Katerina już na nich czekała. Jej pokój w lazarecie był niemal odświętnie przygotowany na przyjęcie „gości”. Trzy krzesła stały dokoła stołu przykrytego białym płótnem — zapewne prześcieradło z lazaretowych zapasów. W kącie syczał samowar, a obok stały filiżanki bez zbędnych spodeczków.

— Powinieneś jej przynieść kwiaty, Grunert — rzekł ko misarz żartobliwym tonem.

Katerina włożyła śnieżnobiały fartuch, wydawała się surowa i sprężysta jak zawsze, pachniała mydłem do prania i słodkawymi oszołamiającymi lekami. Jej ciemna twarz miała kobiecy wyraz, a tak pewne zazwyczaj ręce zdradzały lekkie zdenerwowanie. — Chętnie przystałam na twoją propozycję, Grigorij — rzekła. — Mam co najmniej godzinę do dyspozycji, cieszę się na naszą rozmowę.

— Już ją rozpoczęliśmy — powiedział Grigorij. Przez kil ka sekund odgrywał światowca. Niemal czułym gestem

przysunął Katerinie krzesło, przyjaźnie wskazał miejsce Grunertowi, po czym sam usiadł.

— Właśnie tłumaczę Grunertowi, dlaczego nasz ład społeczny nigdy nie zadrży: bo jest niewzruszony! A jest tak po prostu dlatego, że mobilizuje on serca apelując do rozumu. Serce bowiem — co Katerina chętnie ci potwierdzi — jest niczym więcej jak tylko drgającym mięśniem pompującym krew. I dlatego zrozumiałe są reakcje „pochodzące z porywów serca”, raz pędzą jak szalone, podnosząc ciśnienie krwi, to znów opadają bezsilnie. W każdym razie serce jest niezawodnym politycznym barometrem.

Grunert powoli zaczynał rozumieć, do czego Grigorij tym razem zmierza. Ten wyrafinowany, pozornie niewinny, obojętny kłusownik o na wpół azjatyckiej twarzy ma zamiar zastawić na niego sidła. Grunert pił wolno herbatę i zastanawiał się nad swoją sytuacją. Następnie pochwalił jakość herbaty i sposób jej przyrządzenia, co Katerina przyjęła z radosnym uśmiechem. Wreszcie rzekł ostrożnie, zbliżając się do sideł: — Wielu ludzi ma serce, ale tylko nieliczni posiadają rozum.

— Otóż to — rzekł Grigorij zadowolony, widocznie usłyszał oczekiwane hasło. — Tych niewielu z prawdziwym rozumem powinno więc myśleć za tych wielu, którzy mają tylko serce. W praktyce wygląda to mniej więcej tak: każę namalować transparent z napisem: „Przez pracę do wolności!” albo: „I ty zostań bojownikiem o pokój!” To kompletne bzdury, ludzie rozumni od razu to spostrzegą. Ale wkrótce spostrzegą też coś jeszcze. Te bzdury to oliwa do maszynki, którą jest serce. Ludzie prymitywni bardzo chętnie w to wierzą. Dla nich jest to jak balsam; wyzwala od uciążliwego, kradnącego czas myślenia. I chętnie ulegają naszemu porządkowi, gdzie na pierwszym miejscu jest do brze wyćwiczony rozsądek. Kto jest inteligentny, ten ze chce do nas należeć; kto jest tylko istotą funkcjonalną, ten będzie musiał do nas należeć.

Katerina siedziała wyprostowana, kurczowo trzymała filiżankę w rękę, jakby czekała, aż fotograf uwieczni ją na zdjęciu. Komisarz spoglądał na Grunerta z udawaną życzliwością, był przekonany, że usłyszy żywą twierdzącą odpowiedź.

Ale Grunert widział teraz wyraźnie zastawione przez Grigorija sidła. Jeśli przykłaśnie wywiodom komisarza, będzie skończony w oczach Kateriny; jeśli nie przykłaśnie, Grigorij będzie miał podstawy przypuszczać, że prowadzi podwójną grę.

Milczał. Czuł, że znajduje się w opałach. Nie mógł sobie pozwolić na utratę sympatii Kateriny ani zrezygnować z cennego zainteresowania Grigorija. Szukając możliwie najskuteczniejszego wybiegu, był zarazem pełen podziwu dla artystycznej wprost zręczności komisarza. Pozycja Grigorija była niepodważalna, niezależnie od tego, czy Grunert zaaprobuje jego teorię, czy też nie. Bo komisarz w każdej chwili mógł oświadczyć Katerinie, że była to jedynie prowokacja — nic poza tym; już Lenin stosował taką taktykę.

Grunert postanowił możliwie jak najzręczniejszą się wykręcić. — Chyba muszę się jeszcze wiele nauczyć — rzekł z trudem.

— I mnie się tak wydaje — odparł Grigorij zawiedziony.

— On jest początkujący — stwierdziła Katerina; powiedziała to bynajmniej nie obraźliwie, raczej starając się obronić Grunerta. — Zna zaledwie nasz alfabet; nie potrafi jeszcze rozwiązywać skomplikowanych zadań myślowych.

— Bardzo się staram — odważył się powiedzieć Grunert. — Ale może jestem tylko „sercowcem”, któremu pilnie potrzeba jasnego, kierującego umysłu.

— Nie rozpędzaj się zbyt — rzekł Grigorij ostrzegawczym tonem. — Bo może ci zabraknąć tchu. A wtedy nikt ci nie pomoże, nawet taki lekarz jak Katerina.

Upłynęły dwadzieścia cztery godziny, zanim kierownik kantyny fabryki „Czerwony Poranek” wpadł na pomysł, by zainteresować się pianinem. Należało ono do inwentarza owych pomieszczeń, które mu przydzielono, ale nie stało na zwykłym miejscu. — Gdzie ono może być? — zastanawiał się.

Pytanie to skierował także do swych współpracowników. Ci wzruszyli ramionami. Nikt nie wiedział, gdzie się podziało pianino. A jeśli nawet ktoś wiedział, to się nie przyznał — z czystej złośliwości.

Tak więc kierownikowi kantyny nie pozostawało nic innego, jak dalej się zastanawiać. W końcu tylko on ponosił odpowiedzialność. Zdarzało się niekiedy, że wypożyczano pianino — na przykład na wieczorki rozrywkowe dla załogi, na koncerty w domu dyrektora fabryki, na uroczystości partyjne, na zabawy z wódką, kobietami i śpiewem u radzieckiego komendanta.

Po dłuższym namyśle kierownik uznał za stosowne zatelefonować do wszystkich wchodzących w grę miejsc. — Proszę uprzejmie o zwrot pianina, ponieważ jest pilnie potrzebne. — Mówił to grzecznie, ale stanowczo.

Z doświadczenia wiedział, że tak trzeba działać. Najpierw uprzejmie: nie należało towarzyszy zaskakiwać gru-biańskim zachowaniem; choć kierownik kantyny jest osobą ważną, to jednak nie posiada władzy. Potem bardziej konkretnie; towarzysze, którym zależy na opinii i ogólnym szacunku, mogliby jego słowa potraktować jako podejrzenie, może nawet jako oskarżenie, należało więc działać ostrożnie, pozostawiając sobie zawsze otwartą furtkę. Wreszcie w formie żądania: towarzysze nie powinni sądzić, że on o niczym nie wie; sami bowiem mogliby oświadczyć, że o niczym nie wiedzą, byle tylko zatrzymać dla siebie pianino.

Zawsze był przeciwny temu pianinu. Jego zdaniem brzmiało ohydnie. On wołał instrumenty szarpane. Poza tym to pudło było zawalidrogą, zabierało miejsce i, co najgorsze, znajdowało się poza jego kontrolą. Kiedy opuszczał kantynę, mógł wszystko trzymać pod kluczem — talerze, sztućce, butelki, papierosy, ale nie pianino. Dlatego też zdarzało się, że wypożyczano je w czasie jego nieobecności, na rozkaz jakiegoś partyjnego bonzy. Co prawda zawsze dotąd otrzymywał pokwitowanie.

Kierownik klął i przysięgał, że założy na pianinie mocny łańcuch, jak tylko znajdzie się ono z powrotem w jego posiadaniu. Telefonował więc, z trudem starając się zachowy-

wać uprzejmie, na razie bezskutecznie, przy czym niejednokrotnie musiał wysłuchiwać twardej, szyderczych słów.

Dyrektor „Czerwonego Poranka”, łagodny Grünbaum, był stosunkowo uprzejmy; kazał powiedzieć, że chodzi tu chyba o jakąś pomyłkę. Mężowie zaufania różnych działów byli mniej uprzejmi. Pisarz komendanta udawał okropnie oburzonego: co za świństwo, mówił, tylko wyjątkowo silne poczucie solidarności powstrzymywało go przed zawiadomieniem majora. Komórki partyjne groziły niezwłocznym śledztwem i sądem partyjnym, jeśli natychmiast nie cofnie tego dyskryminującego oświadczenia. Co kierownik niezwłocznie uczynił.

Po godzinie rozpaczliwego telefonowania kierownik kantyny był bardziej bezradny niż kiedykolwiek. Uważał, że lekkomyślnie sprowokował pół świata i czeka go teraz seria kłopotów i przykrości. Błady i zdenerwowany spoglądał przez okno na hale montażowe, z których niemieccy jeńcy wytaczali gotowe traktory — obojętnie i wytrwale. Widok tych szarych pszczoł-robotnic nasunął mu nowy, zbawienny pomysł.

Zadzwonił do szefa niemieckiej grupy roboczej. Teraz także mówił grzecznie i ostrożnie, ale uważał, że wobec tego rozmówcy może być mniej uprzejmy. Dlatego powiedział: — Wczoraj twoi ludzie zabrali nasze pianino. Chcę wiedzieć, na czyje polecenie i dokąd je zabrano.

Niemiecki kierownik grupy roboczej był łbskim facetem, dlatego dano mu to stanowisko i pozostawał na nim tak długo. Nie powiedział ani tak, ani nie. Natychmiast wyczuł, że coś tu jest nie w porządku; oświadczył więc: — Sprawdzę w moich papierach. Potem zadzwonię.

Po tej rozmowie niezwłocznie udał się do Kriegera. Zdał mu sprawę z rozmowy i zapytał, co ma robić; jeśli trzeba, może dać odpowiedź negatywną. Twarz komendanta zdradzała to, co przypuszczał jego współpracownik: coś tu było nie w porządku! Bo oczy Kriegera zabłysły chytrze; wysunął podbródek do przodu, po czym otworzył usta: — Ja sam załatwię tę sprawę — powiedział.

— Czy mam to powtórzyć facetowi z kantyny?

Krieger skinął głową i zawołał Pratzkego, ale go nie było. Komendant udał się niezwłocznie do wspólnego baraku. Tutaj się rozejrzył i wykrył w kącie z tyłu wysoki kanciasty przedmiot w kształcie pudła, starannie przykryty. Nie zwracając uwagi na nikogo przeszedł całe pomieszczenie, zatrzymał się przed pudłem i zerwał plandekę. Ujrzał to, czego się spodziewał — poszukiwane pianino. Spoglądał na nie z ukrywanym triumfem.

— Gdzie jest Grunert? — zapytał.

— W komendanturze radzieckiej — odpowiedział jeden z Wilhelmów i zaciekawiony podszedł bliżej wraz z drugim Wilhelmem.

— To się dobrze składa — oświadczył Krieger ze złośliwym zadowoleniem w głosie. Odwrócił się i energicznym krokiem opuścił pomieszczenie. Poszedł prosto do radzieckiej komendantury.

Tu spotkał Grunerta, a wraz z nim Wollmanna i dwóch innych pomocników. Wszyscy krzatali się w pomieszczeniach komendantury z całówkami i innymi przyborami do mierzenia; wymierzali ściany, podłogi, wykrzykiwali do siebie cyfry, zapisywali je i sporządzali szkice. Pisarz komendantury, zaufany człowiek majora i jego prawa ręka, przyglądał się temu z figlarnym uśmiechem. Krieger patrzył na tę zaskakującą scenę, przy czym pozwolił sobie na niewybaczalne zaniedbanie, po prostu ominął wzrokiem pisarza. — Co to znowu ma znaczyć! — zawołał oburzony.

— A ty czego się tu drzesz? — zapytał z miejsca pisarz siedzący na parapecie.

— Przepraszam — wykrztusił Krieger. Natychmiast zdał sobie z tego sprawę, że popełnił błąd, i jego wściekłość skupiła się na tym, kto ten błąd sprowokował. Ale widok Grunerta i jego ludzi, krzątających się swobodnie po baraku, nie zważając na niego, jakby był pluskwą pełzającą po podłodze, zagrażał utratą resztek jego samodyscypliny. — Przychodzę w pilnej sprawie, chodzi o skradzione pianino!

— Tu go nie ma — rzekł pisarz i obrzucił Kriegera złym spojrzeniem.

Grunert podszedł do Kriegera, stanął tuż przed nim i rzekł: — Radzę ci, żebyś nam tu nie przeszkadzał. Wy-

mierzamy pomieszczenie komendantury na nowe meble, które w najbliższych dniach dostarczymy. A co do pianina, mój przyjacielu i łaskawco, to pozwolę sobie udzielić ci pewnej wskazówki. Powinieneś najpierw zapytać o to swoich najbliższych współpracowników, dopiero potem grupę K-5, a na końcu radziecką komendanturę. Bo założę się, że nie porozumiałeś się dotąd z Pratzkem w sprawie instrumentu. Więc radzę ci to zrobić. Pratzke zawsze dużo wie; a w tym konkretnym przypadku nawet więcej niż ty.

Krieger od razu pojął aluzję, ale nie mógł w to uwierzyć. Twarz mu się napięła, jak zawsze kiedy w głowie szalały mu myśli. Dopiero po chwili powiedział: — Chyba nie odważysz się wygrywać moich ludzi przeciwko mnie!

— Jakżebym śmiał! — rzekł Grunert ostrożnie.
— W końcu jestem ci winien wdzięczność! Ty i twoi ludzie pomogliście mi w stopniu, jakiego nawet nie oczekiwałem.

Krieger znikł jak kukielka w teatrze lalek. Grunert natychmiast popędził gapiących się ludzi do roboty. Pisarz komendanta spozjrzał na niego nieufnie.

— Ty, Grunert — rzekł wreszcie — chodź no tu do mnie.
— A kiedy Grunert podszedł i stanął przed nim, zapytał:
— Zwędziłeś pianino?

Grunert zaprzeczył beztrzesko i całkowicie zgodnie z prawdą. Starął się demonstrować wesołość, ale jego uśmiech wydawał się wymuszony. Dodał: — Nic nie wiem o żadnym pianinie.

— Miejmy nadzieję, że tak jest — rzekł pisarz. Spozjrzał przez okno i zobaczył, że Krieger niezwykle szybko idzie w stronę obozu.

Głośno wołał Pratzkego. Siedmiu policjantów, którzy mieli służbę, musiało wyruszyć na poszukiwania. Jeden z nich znalazł go na nowym zapleczu wspólnego baraku. Pratzke asystował tu przy ćwiczeniach baletowych wybranych kobiet, z czystego poczucia odpowiedzialności, jak mówił, by zapobiec ewentualnym przesadnym wymaganiom tancerek. Mimo tak interesującego zajęcia, usłuchał i niezwłocznie udał się do Kriegera.

— To nie może być prawdą, Pratzke! — zawołał Krieger.

Co nie może być prawdą, nie jest prawdą — odparł Pratzke beztrzesko. Wydawał się niewzruszenie przekonany o tym, że miał jak najlepsze zamiary i zamiary te realizował. Jak zawsze miał czyste sumienie. — Kto tym razem coś przeszkrobał?

— Czy ty masz coś wspólnego z pianinem z kantyny? Powiedz, tak czy nie?

— Jasne — rzekł Pratzke spokojnie i z dumą. — To ja je zwędziłem.

Krieger długo nie mógł wydobyć z siebie głosu. Pratzke spoglądał na niego z niepokojem i widział, że to wielki cios dla Kriegera, ale nie mógł tego zrozumieć. — To moja robota i jak zawsze sprawna i czysta — rzekł. — Wystarczyło jedno twoje słowo.

— Moje słowo? — osłupiał Krieger.

— Oczywiście! — rzekł Pratzke zdziwiony. — Fortepian za Marię! To była twoja propozycja, miałem twoją zgodę. Wiec szybko wszystko załatwiłem.

— Pozwoliłeś sobie na niezły żart — powiedział Krieger.

— Ależ, szefie — rzekł Pratzke z łagodnym wyrzutem — chyba ty najlepiej znasz się na moich żartach.

— A ty — odparł Krieger z zimną wściekłością — powinieneś przynajmniej wiedzieć, kiedy mówię serio, i tym się kierować. Jeśli tego nie potrafisz albo nie chcesz, to nasza dalsza współpraca nie ma sensu.

Pratzke przełknął tę groźbę pozornie obojętnie. Ale jego głos już nie brzmiał tak poufale. — Przykro mi, że cię źle zrozumiałem.

— Masz się natychmiast zająć zwrotem instrumentu — rozkazał Krieger. — Nasza komendantura nie ma z tym ab solutnie nic wspólnego. Zrozumiano? Chcę najdalej za go dzinę z czystym sumieniem poinformować, że w obozie nie ma żadnego pianina! Jak to zrobisz, to twoja sprawa. Ale masz to zrobić; albo nie należysz do komendantury.

Z tymi słowy Krieger pozostawił swego przybocznego. Pratzke stał jak przybity. Potem udał się na poszukiwanie Grunerta.

— Musisz mi pomóc, Grunert — błagał. — Chodzi o mo ją posadę: apeluję do twojej przyjaźni. Ty także nie mo-

żesz sobie pozwolić, bym stracił wpływy. W ciągu godziny muszę zameldować, że w obozie nie ma pianina.

— Możesz to zameldować — rzekł Grunert spokojnie. .

— Naprawdę? — zapytał Pratzke z ufnością. — A dlaczego mogę?

— Bo pianino to nie fortepian! Po prostu. W obozie rzeczywiście nie ma pianina tylko fortepian. A o fortepian nikt nie pytał. Idź więc spokojnie i zamelduj o tym, o czym ja już zameldowałem komendantowi radzieckiemu, który jest nam obecnie tak życzliwy, mianowicie że: w obozie nie ma żadnego pianina.

Dni w obozie jenieckim 13-7-13 płynęły zazwyczaj tak, jakby montowano je na ruchomej taśmie. Dwa razy dziennie do „Czerwonego Poranka” przybywały kolumny robocze, jeńcy niemieccy z jednej strony, robotnicy radzieccy z drugiej. Pracowali, ramię przy ramieniu, a wokół nich chodzili brygadziści, majstrowie, kierownicy hal i strażnicy. Wszystkich zaś otaczał drut kolczasty.

Pięć tysięcy jeńców, pięć tysięcy Rosjan — podzielonych na dwie zmiany: od szóstej do czternastej i od czternastej do dwudziestej. Dobra organizacja, precyzyjny harmonogram pracy — „Czerwony Poranek” wypełniał swoją normę bez trudu. Toteż zażądano, by ją przekraczać.

Tak zażyczyła sobie Moskwa i dlatego dążenie do podniesienia wydajności pracy znalazło swój wyraz w poczynaniach kierownictwa fabryki — na wielu odcinkach. Dyrektor Grünbaum i jego inżynierowie pracowali nad udoskonaleniem planów montażowych i przygotowywali radykalną reorganizację stanowisk pracy. Postanowiono wysunąć niemieckich specjalistów przed robotników radzieckich o niższych kwalifikacjach, byle tylko podnieść wydajność pracy.

Aby tego rodzaju nowatorskie posunięcia przeprowadzić możliwie bez komplikacji, trzeba było przyznać Niemcom

pewne ulgi, które podniosłyby ich zapał do pracy. Ten problem radziecki komendant częściowo chciał rozwiązać w ten sposób, że zamiast podwyższonej racji chleba zezwolił na większą swobodę w spędzaniu wolnego czasu. To pierwsze wchodziłoby w grę dopiero przy większym przekroczeniu normy.

Do obowiązków komisarza Grigorija należało koordynowanie dążeń kierownictwa fabryki i komendantury oraz troska o niezbędny entuzjazm do pracy. Stosował on niezawodną metodę: początkowo piętrzył trudności, po czym stopniowo szedł na pewne ustępstwa, które w ten sposób wyglądały na wielkoduszne przywileje. Bywały chwile, kiedy uważano go za dobroczyńcę!

— Robię wszystko, co w mojej mocy — oświadczał. — Zdarza się nawet, że czasami nie waham się przekroczyć moich uprawnień, jeśli uważam to za celowe. Nie spodzie wam się wdzięczności, pragnąłbym tylko, by nie zapomiano o tym natychmiast.

Niemiecka komendantura reagowała na te plany jak zwykle niezawodnie. Większa wydajność dzięki mądrym podziałowi pracy, a więc bez zwiększonego, bezwzględnie wykorzystywania jeńców — to było rozsądne, zwłaszcza że obiecywano zwiększone racje żywnościowe. Krieger nie wahał się ani chwili, by udowodnić radzieckiemu komendantowi, że jego organizacja jest bez zarzutu.

— Przyjaciele — rzekł do swoich ludzi — dotąd byliśmy tu zaledwie użytecznymi przedmiotami, teraz zdaje się nadarzać okazja obsadzenia nami kolejnych, może nawet decydujących, kluczowych stanowisk.

— A ten cyrk w środku obozu? — zapytał któryś z jeńców.

— Nie spuszczać go z oka — powiedział Krieger. — Jeśli zauważycie cokolwiek, co wyda wam się nie całkiem w porządku, od razu mi meldujcie. Ale przede wszystkim postarajcie się o specjalne stanowiska w fabryce. Jeśli tam uda nam się zdobyć ważne tereny, to może i inne sprawy same ułożą się pomyślnie.

Teatr obozowy pozostał utajoną troską Kriegera, i to tylko dlatego, że zakotwiczył tam Grunert. Już chociażby ze

względu na liczbę ta trudna do objęcia kontrolą armia organizatorów wolnego czasu stanowiła niebezpieczeństwo. On, Krieger, jako niemiecki komendant dysponował personelem liczącym sto dwadzieścia osób: zarząd, policja, służba wewnętrzna, kuchnia i pralnia. Grunert natomiast już teraz dysponował o wiele większą liczbą ludzi. Przy tym rozpoczął on działalność, która na razie w wyrafinowany sposób zdawała się nastawiona wyłącznie na dostarczanie przyjemności; jego prywatna armia spędzała czas w sposób nader miły. Ci zorganizowani złodzieje czasu całymi godzinami grali, śpiewali i recytowali, podczas gdy inni ciężko pracowali. Kto miał czelność uważać się za artystę, wstawał późno, a kładł się spać wcześniej; dzielkowali Bogu za to wspaniałe życie trutni.

Ten bezużyteczny wspólny barak wciąż na nowo odtrącał, a zarazem przyciągał Kriegera. Kiedy tamtędy przechodził, nigdy nie omieszkął choć na chwilę zajrzeć. I tym razem skierował kroki do baraku kultury.

Zaskoczył go panujący tam zgiełk: mężczyźni i kobiety stali w grupach, robili piekielny hałas, który jednak wcale im nie przeszkadzał. Ksiądz Matthaus wymachiwał rękami przed grupą, która siedziała na skrzyniach i stołkach i wydawała dźwięki brzmiące istotnie jak muzyka.

Maria podeszła do Kriegera. Nigdy nie omieszkała go przywitać, kiedy tylko znalazł się poblizu. Widocznie uważała go za przyjaciela i dobroczyńcę i przynajmniej w ten sposób chciała okazać mu swoją wdzięczność.

— Cieszę się, że pana tu widzę — rzekła z ufnym dzie cięcym uśmiechem. — To ładnie, że interesuje się pan naszą pracą.

Na nogach miała tekstylne obuwie własnej roboty, ubrana była w wąskie brązowe spodnie, przerobione z kalesonów. Krieger uznał, że są zbyt obcisłe, za bardzo opinały jej zaokrąglone już po kobiecemu biodra. Stary sweter wojskowy, który zręcznie sobie dopasowała, wydał mu się wyzywający.

— Uważaj na siebie, mała — rzekł życzliwie. — Uważaj, żebyś nie znalazła się pod kołami. Tak łatwo o potknięcie.

— Tego rodzaju niebezpieczeństwo na naszym terenie nie istnieje — rzekł Wilhelm. Zbliżył się, ponieważ był

ważnym stróżem porządku. Ścisłe trzymał się wytycznych Grunerta: kogoś, kto nie należy do zespołu teatralnego, należało obserwować, jak tylko się pokaze — oczywiście dotyczyło to przede wszystkim Kriegera i jego ludzi.

— Prywatne rozmowy zazwyczaj w porę ucinamy — mówił dalej. — Z doświadczenia wiadomo, że stwarzają one we wewnętrzne konflikty, a tych chcemy uniknąć. — I wiedząc, że przeszkadza, pozostał obok nich i nie odchodził.

— Proszę znów kiedyś do nas przyjść — rzekła Maria serdecznie do Kriegera. Uśluchała nakazującego wzroku Wilhelma. — Muszę teraz iść do pracy — rzekła i odeszła kołyszającym się krokiem, zgrabna, długonoga.

— Słuchaj no, Wilhelm! Czy to może Grunert nakazał ci, byś trzymał mnie z dala od Marii? — zapytał Krieger.

— Dlaczego tak uważasz?

— Wydaje mi się, że bardzo dobrze się czujesz w roli stróża haremu.

Wilhelm jakby nie dosłyszał tej prostackiej obelgi. Ani na chwilę nie zrezygnował ze swej wzorowej postawy. Po prostu odszedł od Kriegera bez słowa. Z godnością zbliżył się do grupy, która siedziała na podłodze i przepowiadała sobie rosyjski. Grunert nakazał przeegzaminowanie wszystkich członków zespołu i sprawdzenie, ilu posiada zdolności językowe — z nich zamierzano utworzyć oddział specjalny.

Krieger tymczasem rozejrzał się zamyślony. Przez jakiś czas z nieruchomą twarzą przysłuchiwał się tak zwanym pierwszym krokom artystycznym. Mieszanię głosów i instrumentów zagłuszały teraz mocne uderzenia młotków; to specjalne warsztaty Grunerta pracowały na pełnych obrotach.

Tę powstałą z niczego, w ciągu jednej nocy, prywatną fabrykę Krieger uważał za szczególnie niepokojącą, zwłaszcza że Grunert właśnie tutaj przebywał najczęściej, co było podejrzane. Krieger przeszedł przez powiększone drzwi w tylnej ścianie. Warsztaty rozbudowano jeszcze bardziej! Na całe przedsiębiorstwo składały się teraz cztery duże pomieszczenia; przeszło trzydziestu ludzi pracowało tu niemal bez przerwy. Grunert z Wollmannem po-

chyłał się nad szkicami. Krieger zaciekawiony podszedł do nich. Na rysunku widać było krzesło z wysokim oparciem.

— Chyba nie masz zamiaru produkować takiego monstrum — ironicznie odezwał się Krieger do Grunerta — po to, by odbywać w nim popołudniową drzemkę?

Grunert jakby trochę zeszywniał, ale nie zmieszał się. Nie podniósł głowy ani się nie wyprostował, zbyt dobrze znał głos Kriegera. — To krzesło — rzekł — jest przeznaczone dla radzieckiego komendanta; kazał nam je wykonać. Masz coś przeciwko temu?

— Ale chyba nie potrzebuje więcej niż jednego krzesła. Czy może masz zamiar pracować nad tym meblem kilka miesięcy z trzydziestoma robotnikami?

— To zrobi dwóch ludzi w trzy dni — oświadczył Wollmann; urażona została jego ambicja rzemieślnika.

— A cała okazała reszta? — zapytał Krieger. — Co chcecie jeszcze zrobić? I skąd weźmiecie surowce?

— Przede wszystkim — oświadczył Grunert powoli się prostując — powiększyliśmy warsztat. Następnie wykonaliśmy zapasowe trumny. Teraz jedna grupa robi stołki dla kolegów, inna stoły, jeszcze inna łózka. Pozostałe grupy montują scenografię — z kurtyną, kulisami i oświetleniem. Specjalne zamówienie radzieckiego komendanta wykonamy w wolnych chwilach.

Krieger nie zareagował ani słowem na wywody Grunerta; jego plan był doskonały i dlatego właśnie niebezpieczny. Nie można mu zabronić wysiłków służących poprawie tych okropnie prymitywnych warunków życia kolegów; przeciwnie: należałoby go za to pochwalić i poprzeć. Ale tego rodzaju uznanie, pomyślał Krieger, mogłoby wyglądać na wstęp do deklaracji kapitulacji; chyba że udałoby się te wysiłki zmierzające do poprawy warunków życiowych przedstawić jako jego własne. Ale na to właśnie Grunert nigdy nie pójdzie.

Krieger rozejrzał się. Im uważniej obserwował, co się wokół działo, tym bardziej rozjaśniała mu się twarz. Teraz był przekonany, że znalazł słaby punkt w kalkulacjach Grunerta.

— Wszystko pięknie — rzekł niemal pogodnie. — Ale do wykonania tych planów potrzeba ci materiału, a tego

nie dostaniesz — chyba że potrafisz czarować albo stanie się jakiś cud. A w państwie Sowietów, jak wiadomo, cuda się nie zdarzają.

Z tymi słowy Krieger odszedł. Był przekonany, że jego końcowa puenta była bardzo efektowna. Grunert przez jakiś czas się nie odzywał.

— On ma rację — rzekł Wollmann ponuro. — A potrzeba nam nie tylko materiału, ale także maszyn — co najmniej jednej piły tarczowej i tokarki, może jeszcze frezarki i strugarki. I to nie jutro, tylko jeszcze dziś.

— Dobra, dobra — rzekł Grunert gwałtownie. — Nie musisz mnie popędzać. Już idę.

Udał się niezwłocznie do budynku dyrekcji i administracji „Czerwonego Poranka”. Niedobór materiałów w jego warsztatach był ogromnie niebezpieczny, zwłaszcza że Krieger też to rozumiał.

Dyrektor Grünbaum od razu przyjął Grunerta. Poprosił go, by usiadł. — Nie sądzę — rzekł — że przyszedł pan tu po to, by porozmawiać ze mną o Berlinie czy Frankfurcie.

— To przy sposobności — rzekł Grunert zmieszany.

Grünbaum uniósł swoją znużoną, melancholijną twarz, jego oczy jakby się uśmiechały. — Nie musi się pan wysilać. Nie mogę, niestety, przydzielić panu dalszych materiałów, a przecież tylko o to panu chodzi.

Grunert skinął głową. Z góry zrezygnował z duchowego pojedynku z Grünbaumem, który zdawał się odczuwać do niego sympatię. — Materiały — rzekł — są dla mnie sprawą niemal życia i śmierci.

— Wierzę panu — zapewnił Grünbaum. — Ale oficjalnie niewiele mogę dla pana zrobić. Stos desek, kilka wiader farby, dwie, trzy paczki gwoździ — to mniej więcej wszystko, na co oficjalnie mnie stać. A to przecież tylko ułamek tego, czego panu potrzeba.

Grunert milczał, słuchał uważnie słów dyrektora. W tej odmowie, uprzejmej, ale jednoznacznej, było jednak coś szczególnego. Grunert wyłuskał z niej jedno, ostrożnie podkreślane słowo, słowo decydujące, które brzmiało: „oficjalnie”.

Oficjalnie Grünbaum prawie nic nie mógł zrobić. Jako dyrektor „Czerwonego Poranka” mógł oczywiście czynić to, co uważał za słuszne, ale każda z jego słownych czy pisemnych decyzji podlegała kontroli i Grünbaum mógł być za nie pociągnięty do odpowiedzialności. A podejrzenie o konspiracyjną współpracę z jeńcem niemieckim, w dodatku kosztem zakładu i Związku Radzieckiego, oznaczało wyrok śmierci.

— Za dużo drutu kolczastego nas dzieli — rzekł Grünbaum zamyślony. — Gdziekolwiek idziemy, gdziekolwiek patrzemy, cokolwiek robimy, nie wolno nam zapominać o istnieniu tego drutu.

Grünbaum rozłożył na biurku mapę, na której widniała fabryka traktorów „Czerwony Poranek” i należący do niej obóz jeńców wojennych 13-7-13. Zachęcił wzrokiem Grunerta, aby obejrzał plan dokładniej; ten pochylił się z ciekawością. Mapa, którą miał przed oczami, była wyraźniejsza i dokładniejsza od wszystkich planów kompleksu, które dotąd widział.

Fabryka i obóz stanowiły całość otoczoną drutem kolczastym. Kształtem przypominało to wszystko dużą ósemkę. Górne kółko to fabryka, dolne — obóz, kontury między nimi to druty kolczaste.

— Kiedy organizowano ten obóz — rzekł Grünbaum po woli, z metodyczną dokładnością dobrego pedagoga, który wyjaśnia podstawowe formuły — działo, się to kosztem terenu fabrycznego. Dobrowolnie się ścieśniliśmy. Widać to wyraźnie po torach kolejowych — jeden z nich sięga bowiem aż do obozu. Niech się pan dobrze przypatrzy. Tor ten należy do naszej stacji załadunkowej. Przepuścimy, że na tej stacji stoi wagon z deskami i innymi materiałami. I przypadkowo będzie tam stał jeden, który ma być jutro albo pojutrze rozładowany.

— Cały wagon? — zapytał Grunert z niedowierzaniem.

— Pomiędzy stacją załadunkową a końcem torów na terenie obozu jest, jak pan widzi na mapie, niewielki spadek terenu. Jeśli wagon zostanie uruchomiony, to szybko stoczy się do obozu — drut kolczasty nie będzie dla niego stanowił przeszkody.

Grunert ciężko oddychał; wywody Grünbauma mocno go poruszyły. To było coś w jego guście, okazała się warta ryzyka.

— To — rzekł z trudem — jest jak jaskółka Kolumba.

Grünbaum odchylił się do tyłu z zamkniętymi oczami.

— Żałuję — rzekł — naprawdę żałuję, że nie mogę nic dla pana zrobić, panie Grunert. A wszystko mogłoby być takie proste, gdybyśmy nie żyli w dwóch różnych światach, w bliskim sąsiedztwie wprawdzie, ale oddzieleni drutem kolczastym.

— Dziękuję panu — rzekł Grunert.

— Niech pan nie marnuje czasu na drobiazgi — powiedział Grünbaum ze słabym uśmiechem. — Lepiej niech pan pamięta, że wagon towarowy to nie fortepian, który wzięto za pianino. Bo łatwo może pan dostać się pod koła.

Był to dzień jak każdy inny. Jeńcy drzemali na swych pryczach albo pracowali w hali fabrycznej. Jak każdego dnia starali się wmawiać sobie, że o nich nie zapomniano. Ale większość obawiała się napadów nostalgii, uważając tego rodzaju uczucie za luksus.

Tego dnia w obozie nie zmarło więcej ludzi niż zwykle — to jednak, co stało się później, w godzinach wieczornych, należałoby wpisać do rubryki: „Wydarzenia szczególne”. Lekarka Katerina dokonała dwóch zabiegów operacyjnych, które się udały, trzeci zakłócił drobny wypadek: na kilka minut zgasło światło na całym terenie fabryki i obozu; było to prawda oświetlenie awaryjne, ale nie działało. Elektryk z warsztatu Grunerta przesunął dźwignię, jak było uzgodnione, nie zdając sobie sprawy, że może w ten sposób zgasić ludzkie życie.

Przerwy w dopływie prądu zdarzały się od czasu do czasu; robotnikom były one bardzo na rękę. Dlatego też w hali fabrycznej od razu rozległo się wesołe szeptanie. Artyści Grunerta pod osłoną ciemności zdjęli tylny zderzak, zaś

obaj Wilhelmowie weszli do wypełnionego po brzegi wagonu, by sprawdzić jego zawartość.

Grunert tymczasem zagadywał radzieckiego komendanta i komisarza Grigorija. Informował swych uważnych, lecz nieufnych protektorów o postępach i najnowszych osiągnięciach oddziału K-5. — Wkrótce odbędzie się pierwszy koncert poświęcony Czajkowskiemu.

Major mruknął kilka słów uznania i spojrzął na Grigorija; ten skinął przyzwalająco. Obaj zdecydowani byli przekazać przełożonym informację o szybkiej realizacji planów kulturalnych, każdy z nich chciał je przedstawić jako rezultat własnych wysiłków. Ale nie mieli o to do siebie pretensji; taki tu był zwyczaj, a poza tym każdy z nich należał do innej placówki. Czemu do zwycięstwa armii nie mieliby dołączyć także zwycięstwa partii?

— Byłoby dla nas szczególnym zaszczytem — zapewnił Grunert — gdyby w tym pierwszym wielkim koncercie wzięli udział delegaci komendatury radzieckiej, miejscowe kierownictwo partii i dyrekcja fabryki.

— To jest możliwe — obiecał major. — Osobiście przekażę zaproszenie kierownictwu partii.

— Możemy to zrobić wspólnie — zaproponował czujny Grigorij.

Major wyraził zgodę, ale opornie, nie spodobało mu się, że Grigorij chce odebrać mu część wawrzynów. Był oburzony i jakoś musiał wyładować swoją złość; a ponieważ nie mógł zaatakować komisarza, zwrócił się do Grunerta.

— Ale jedno ci powiem, Grunert! Wystarczy jedna fałszywa nuta, a uznam to za szkodnictwo kulturalne. Bo musisz wiedzieć, że jestem wielkim amatorem muzyki i zrobię ci dziką awanturę, jeśli będziecie tak fałszować naszego Czajkowskiego, że nie da się go odróżnić od Richarda Wagnera. Wsadzę was do karceru i będziecie się gniesć jak sardynki w puszcze.

— Zanim jednak odbędzie się ten koncert — rzekł Grigorij — obejrzę sobie dekorację sali. Jeśli już się zgadzamy, abyście korzystali z naszych dóbr kulturalnych, to niech się to odbędzie w sposób jak najbardziej uroczysty.

— Tak jest — rzekł Grunert — jesteśmy przygotowani: co najmniej trzy transparenty! Słowa Lenina, Stalina i Grigorija. A cała scena obita czerwonym sukniem.

— Ale bez radzieckiej gwiazdy, Grunert! Ani sierpa, ani młota. To nie pasuje.

— Muszę iść do miasta — rzekł major. — Mam tam do załatwienia różne sprawy służbowe i partyjne. Przy okazji mogę także przekazać wasze zaproszenie na koncert.

— Pójdę z wami, towarzyszu — rzekł Grigorij ochoczo i wstał z miejsca.

Wyszli, rozmawiając i szczerząc zęby po koleżeńsku, jakby wszystko było w najlepszym porządku.

Wolfgang Grunert pozostał w pokoju, ci dwaj jakby o nim zapomnieli. Z ukrytą satysfakcją obserwował wymarsz sił stanowiących podporę państwa. Zastanawiał się, co by mógł zrobić, żeby zapobiec ewentualnemu obsunięciu się gruntu.

Wszedł pisarz komendanta i mrugnął do Grunerta.

— Zamierzasz się tu zadomowić? Jeśli masz za dużo czasu, moglibyśmy zagrać w szachy — stawiam butelkę wódki za jeden mebel.

— Niewątpliwie jest pan dobrym szachistą — rzekł Grunert i wstał. — Poddaję się, dlatego od razu zatroszczę się o meble. Czy mógłbym dostać ciężarówkę?

— Po co? Czyżbyś się tak rozleniwił, że nie możesz przejść na piechotę tych kilkuset metrów do obozu?

— Chciałbym dostarczyć pierwsze meble do komendantury.

— To co innego. W takim razie nic nie stoi na przeszkodzie naszej wielkoduszności. Za dziesięć minut podjedzie ciężarówka.

Mały lisek z zapalem rozmawiał przez telefon z działem transportu fabryki. Tymczasem Grunert z zainteresowaniem oglądał papiery na biurku. Leżała tam teczka z napisem: „Kultura”.

Grunert udając, że się nudzi, zaczął z pozornym roztargnieniem wertować kartki w teczce. Nagle pisarz rzekł:

— Działasz mi na nerwy swoim grzebanieniem, Grunert.

Powiedział to nie odwracając się, nie przerywając swe go zajęcia, bez wyrzutu, raczej z lekka ubawiony. — Sądzi-

łem, że jesteś inteligentniejszy. Nie wiesz, że w tych papierach najważniejsze są ostatnie wydarzenia? Musisz więc zacząć od tyłu, jeśli chcesz wiedzieć o tym, co istotne.

— Może któregoś dnia zagramy w szachy — obiecał Grunert.

Następnie zabrał się do przeglądania ostatnich notatek. Najnowsza skierowana była do generała, któremu podlegał „okręg obozu jenieckiego wraz z robotnikami fabrycznymi”. Dokument ten zapowiadał prawdziwy zalew kultury mającej służyć podniesieniu morale i chęci do pracy.

— Jak tak dalej pójdzie — rzekł pisarz o lisiej twarzy — to wkrótce będę się do ciebie zwracał „towarzyszu”.

— Byłaby to najpiękniejsza chwila w moim życiu — oświadczył Grunert. — *Międzynarodówkę* umiem już w czterech językach, może zaśpiewamy?

Pisarz zaprotestował z uśmiechem. Właśnie nadjechała ciężarówka. Kierowca, cywil, zameldował się po wojskowemu. Po komendzie „spocznij” pisarz powiedział: — To jest Grunert, pracuje dla nas. On ci powie, dokąd masz jechać, nie potrzeba specjalnego pisemnego skierowania, bo to tylko jazda w celu zaopatrzeniowym w obrębie fabryki i obozu.

Kierowca skinął głową i poszedł za Grunertem, nie odzywając się ani słowem. Grunert zwrócił się do niego jakby od niechcenia po niemiecku, ale tamten tylko wzruszył ramionami i uśmiechnął się. Oświadczył, że dobrze nie zna nawet rosyjskiego, bo pochodzi z Bałkanów.

— Niech będzie błogosławiona wieża Babel — powie dział Grunert.

Niebo było jeszcze bezchmurne, ale gwiazdy już pogasły. Mgła, która dzień i noc rozpościerała swój cienki woal, teraz zaszyła się w zagłębieniach ziemi. Widoczność na niewielką odległość była dobra. Ludzie oswojeni z ciemnością, bez trudu mogli wykonać kilka prostych ruchów. Poza tym nieustannie wiał ostry wiatr zagłuszający wszelkie szmery. Bóg pogody zdawał się tym razem nie sprzyjać silniejszemu.

Na dworze, przed wejściem do komendantury, stał jeden z Wilhelmów; skinął do Grunerta. — Artyści usunęli

tylny zderzak — rzekł. — Wagon stoi na właściwym torze, jest w nim pełno materiałów bardzo dla nas przydatnych. Znaleźliśmy także miejsce, gdzie zaczyna się spadek, ale kilka osób nie da rady przesunąć pełnego wagonu.

— Właśnie udaję się po posiłki — rzekł Grunert.

Wsiedli do ciężarówki i pojechali w stronę bramy obozu. Wartownik zaniechał kontroli: prawdopodobnie został uprzedzony przez pisarza. Pojechali dalej do wspólnego baraku.

— Potrzebne mi wszystko, co przypomina meble — rzekł Grunert.

Wollmann odmownym gestem wysunął ręce do przodu.

— Nie dam rzeczy, które nie są jeszcze gotowe! — zawołał jak zawsze urażony w swej dumie rzemieślnika. — Stół i je dno krzesła jeszcze ujdą, ale inne sprzęty nie mają polity, a niektóre nie są nawet zabezpieczone.

— Nie mogę na to zważać — rzekł Grunert. — Dziś jeszcze meble muszą znaleźć się u radzieckiego komendanta. To bardzo ważne.

Wollmann znów podniósł w górę ręce. Zapewne nauczył się tego od księdza Matthausa w czasach wydawałoby się tak odległych, kiedy był jeszcze zakrystianem, trumniarzem i grabarzem. Teraz znów zaczął mówić o honorze rzemieślnika i o odpowiedzialności jako kierownik warsztatów. — Ja także jestem w pewnym sensie artystą — dodał.

— Co jednak nie przeszkadzało ci działać w charakterze burdelpapy — rzekł Grunert ostro.

Wollmann umilkł urażony. Potem z rezygnacją wzruszył ramionami. — Dobrze — rzekł wreszcie. — Jeśli uważasz, że to takie ważne, dostaniesz te meble. Potem możemy je zabezpieczyć i pomalować już na miejscu.

Tak więc opór Wollmanna został pokonany, ale nie było zgody na współpracę. Starał się piętzyć trudności i walczył o każdy mebel. Wreszcie załadowano cztery krzesła, stół i regał na dokumenty.

— Potrzebuję dwunastu silnych mężczyzn do transportu — powiedział Grunert.

— Wykluczone! — zawołał Wollmann przerażony. — Nie mogę z nikogo zrezygnować. Każdy ma już przydzielone

zadanie na później, kiedy nadejdzie wagon, wszystko jest dokładnie zaplanowane, zgodnie z twoim zarządzeniem, i opracowane teoretycznie.

— Uspokój się — rzekł Grunert. — Do tego czasu będziesz miał swoich dwunastu dzielnych ludzi z powrotem.

Wsiadł ze swoją drużyną do ciężarówki i kazał się zawieźć przez bramę obozu do fabryki. Znowu nie było żadnej kontroli, tylko reflektor przesunął się po samochodzie, który nieco zwolnił tempo. W pobliżu stacji załadunkowej Grunert kazał się zatrzymać.

— Potrzebujemy kilku pasów do noszenia i drągów — rzekł do kierowcy. — Zaraz wracam.

Dwunastu mężczyzn wysiadło i ostrożnie przeszło na boczny tor; prowadzili ich Grunert i Wilhelm. Okrążyli słabo oświetloną rampę, minęli magazyn traktorów i przesuwali się wzdłuż ścian szopy. Wreszcie połączyli się z artystami, którzy na nich czekali. Razem podeszli do wagonu.

Panowała cisza. Stacja załadunkowa była podczas drugiej zmiany między czternastą a dwudziestą terenem niemal wymarłym. Większe załadunki odbywały się tylko za dnia ze względu na lepszy nadzór i kontrolę. W porze wieczornej dyżurował tu tylko jeden dozorca.

— Trzeba będzie przesunąć tylko o jakieś dwadzieścia metrów — szepnął Wilhelm. — Potem będzie spadek. Tam zablokujemy wagon płozem hamulcowym — we właściwym czasie wystarczy go wyjąć, następnie lekko pchnąć wagon i całe pudło potoczy się w kierunku obozu.

— A my potoczymy się razem z nim — rzekł jeden z artystów. Stanowił kiedyś sensację cyrku występując jako „żywy pocisk”. Czuł się teraz w swoim żywiole.

Grunert wskazał mężczyznom ich miejsca; „żywy pocisk” przejął ze znanstwem kierownictwo. Wspólnymi siłami udało się wprawić wagon w ruch, potoczył się powoli w kierunku płozu hamulcowego. Ostry wiatr zagłuszał dudnienie wagonu i sapanie pchających.

Wykonali zadanie w ciągu kilku minut. Artyści z Wilhelmem pozostali na miejscu, przypomniano im tylko dokładny czas — tuż przed zakończeniem ostatniej zmiany. Grunert z resztą ludzi podszedł do czekającej ciężarówki,

kazał kierowcy jechać do komendantury. Tutaj wylądowano meble. Ich widok wprawił pisarza w szczerzy zachwyty.

— Nieźle, wcale nieźle! — zawołał. — Kiedy major to zobaczy, oniemięje ze zdumienia.

— Miejmy nadzieję, że tak będzie — rzekł Grunert. — To jeszcze nie wszystko.

— Róbcie tak dalej, towarzyszu — powiedział pisarz, dotykając z zachwytem mebli.

Grunert wrócił zaraz do obozu, by raz jeszcze omówić ze swoimi ludźmi cały plan, aż po najmniejsze szczegóły. Wszystko wydawało się wspaniale przygotowane. Miejsce, gdzie wagon miał być zatrzymany, było dokładnie określone. Spec od kolejnictwa, który w orkiestrze był waltor-nistą, skonstruował już urządzenie hamujące. Kolumny transportowe były dokładnie wybrane i poinstruowane, zdobyty w ten sposób materiał miał być na razie ukryty na cmentarzu pomiędzy grobami. Ta część przedsięwzięcia: „Hamulec” podlegała nadzorowi drugiego Wilhelma.

Około dziewiątej trzydzieści wieczorem najbardziej niezawodni współpracownicy oddziału K-5 byli na swoich stanowiskach. W obozie panował spokój. Reflektory leniwie przesuwaly się po drucie kolczastym; wartownicy nawet nie patrzyli, co oświetlają.

W halach fabrycznych tempo pracy osłabło; kierownicy jak zwykle opuścili już fabrykę. Ich zastępcy należeli do „drugiej kategorii”; oni także czekali na koniec zmiany. Ludzie niemieckiego komendanta przygotowywali się do odprowadzenia jeńców z drugiej zmiany do baraków.

O tej porze Wilhelm wyciągnął płóz hamulcowy z szyn. Artyści bez większego wysiłku popchnęli wagon; powoli zaczął się toczyć. Wskakiwali na niego jeden po drugim. Jako ostatni, kiedy wagon nabierał już rozpędu, wskoczył „żywy pocisk”, sapiąc z zadowolenia.

— Trzymajcie się mocno! — zawołał. — Ale nie napinajcie mięśni. Całe ciało musi być przygotowane na to, że rzuci nim do przodu.

Wagon nabierał prędkości. Dość mocny spadek sprawiał, że stał się kafarem o potężnej sile: rozerwał drut kolczasty niczym pocisk. Rozległ się potężny, głuchy trzask,

następnie krotki jęk drżących drutów i zaraz potem leniwo dudnienie wyłamywanych słupów, po czym wagon z cennym ładunkiem wtoczył się do obozu.

— Udało się! — zawołał Wilhelm z dzikim entuzjazmem. Nie mógł przewidzieć, że były to jego ostatnie w życiu słowa.

Na razie nic szczególnego się nie wydarzyło, w każdym razie nic, co można by uznać za niebezpieczne. Wagon nabierał rozpędu, toczył się po szynach, przerwał drut kolczasty — no cóż, paskudne świństwo, ale nic poza tym.

Kiedy zdarzyła się ta dziwna historia, Grunert na pozór przypadkiem był u wartownika w bramie. Przerwał pogawędkę po rosyjsku na temat zdobyczy kulturalnych i udał zdziwienie, kiedy wagon wpadł na druty i przerwał je, a następnie spokojnie potoczył się dalej, aż znikł za barakiem.

— Coś takiego! — powiedział Grunert do rosyjskiego żołnierza, z którym rozmawiał. Ów żołnierz sprawował jednocześnie nadzór nad wszystkimi posterunkami wokół obozu. — Co się stało?

— Czyżby sabotaż? — zapytał żołnierz niespokojnie i sam się trochę przeraził własnym przypuszczeniem.

— To chyba z powodu burzy — snuł przypuszczenia Grunert, udając beztroskiego. — Może nastawnia źle funkcjonuje. Albo hamulce nawaliły. A może po prostu ktoś źle przestawił zwrotnicę.

Telefon w dyżurce posterunku gwałtownie zaczął dzwonić.

Strażnik z najbliższej wieży meldował dokładnie to, co dyżurny sam już zobaczył. Dodatkowo stwierdził: — Nie widać próby uciezki.

Grunert się roześmiał: — Ciekawe, jak on to sobie wyobraża? — zapytał. — Kto by wpadł na taki głupi pomysł, by uciekać z obozu do fabryki!

To przekonało żołnierza na posterunku. Uspokoił swojego zdenerwowanego podwładnego, potem telefonicznie starał się złożyć meldunek oficerowi dyżurnemu.

Ale zanim się dodzwonił, minęły trzy albo cztery minuty; oficer był w latrynie. Kiedy wreszcie ostrożnie go zawiadomiono, zarządził: — Reflektory na uszkodzone miejsce! Ustawić dwa dodatkowe posterunki. Mieście oczy otwarte i meldujcie mi, jeśli zauważycie coś niezwykłego.

Ale strażnicy nie dostrzegli niczego szczególnego. Oświetlone miejsce, gdzie druty zostały przerwane, nie było zbyt rozległe, w pobliżu nie widzieli nikogo, a wagon stał gdzieś między barakami.

— Grunert! — ryknęło kilka dobrze zgranych głosów.

— Gdzie jest Grunert! Niech natychmiast idzie do niemieckiego komendanta.

— Potrzebny mu widać jakiś środek uspokajający — rzekł Grunert do żołnierza, a ten ze zrozumieniem wyszczerył zęby. — Dam mu jakąś pigułkę, ostatecznie nie każdy ma takie mocne nerwy jak pan i ja.

W kilka sekund po tej rozmowie Grunert wpadł na Krie-gera.

— Czyś ty zwariował! — krzyknął komendant.

— Czego się denerwujesz? — zapytał Grunert. — Powinieneś cieszyć się razem ze mną, taka dogodna okazja nieprędko się nadarzy. Cały obóz na tym skorzysta.

— Twoi ludzie nie słuchają moich rozkazów — wściekał się Krieger.

— Co ty powiesz? — zdziwił się Grunert. — Może niedokładnie usłyszeli, bo są bardzo zajęci. A może twoje rozkazy nie są zbyt sensowne. Albo może oni sądzą, że nie podlegają tobie, tylko bezpośrednio komendantowi radzieckiemu. Wiesz, Krieger, chyba najlepiej, żebyś im nie przeszkadzał. Później, kiedy wszystko minie, możemy w spokoju pomówić o tej sprawie.

— To będzie cię drogo kosztowało, gwarantuję ci! — zawołał Krieger.

Następnie oddalił się w pośpiechu; dość już widział i słyszał — wiedział wszystko, co i jak. Dla niego cała akcja była jasna; od dawna zaplanowana, precyzyjnie przeprowadzona i bardzo niebezpieczna. Bo zaledwie wagon zo-

stał zatrzymany, natychmiast znaleźli się tam ludzie Grunerta i wyciągali z niego, co się tylko dało.

Krieger zastał przed swoim barakiem grupę policjantów obozowych: Pratzke na jego rozkaz zaalarmował ich natychmiast. Powiedział do swoich ludzi: — Za kilka minut się zacznie. Przygotujcie się. — Następnie pobiegł do baraku.

Pratzke siedział przy biurku i usiłował się gdzieś dodzwonić. Nie mógł dostać połączenia albo też na kogoś czekał, kogo miano przywołać do aparatu. Położył dłoń na mikrofonie słuchawki i rzekł do Kriegera: — Niegłupi chłop ten Grunert, co?

— Już my go załatwimy — zaczął się odgrażać Krieger. — Obsadzimy naszymi ludźmi teren wokół wagonu. Następnie zarekwirujemy zabrany towar. Kto zechce nam w tym przeszkodzić, temu połamiemy kości.

— Nie ma mowy! — rzekł Pratzke śmiało. — To by ludzi rozwścieczyło, nie możemy do tego dopuścić. Wszyscy w obozie powiedzą, że jesteśmy na usługach Sowietów. Pamiętasz tę ciężarówkę z chlebem, którą przed dwoma miesiącami przez pomyłkę przywieziono do naszego obozu? Kazaliśmy ją wyładować i natychmiast rozdzieliliśmy chleb. Byliśmy wówczas bohaterami dnia. Nawet radziecki komendant śmiał się i powiedział: „Przecież nie wypompujemy im chleba z żołądków”.

— A teraz — rzekł Krieger — Grunert zgarnie wszystkie laury.

— On nie zna żadnych przeszkód — powiedział Pratzke z nutą uznania w głosie — to trzeba mu przyznać. Ma głowę na karku. A czy my jesteśmy gorsi?

— No właśnie — przytaknął mu Krieger. — I dlatego nie możemy udawać, że o niczym nie słyszeliśmy i niczego nie widzieliśmy. Musimy coś zrobić, aby się nie zbłamać.

Pratzke skinął głową potakująco. — Właśnie zamierzam zbadać sytuację — oznajmił. — W każdej chwili może zgłosić się do telefonu kierownik zmiany. Wysłałem go, aby spenetrował teren stacji załadunkowej.

— Powie nam to, co sami już wiemy: Grunert kazał remontować zderzak na bocznym torze.

— Jasne — rzekł Pratzke, który znał cały teren fabryczny i jego urządzenia. — Ale jeśli już tak się fatygował, to dlaczego i my nie mielibyśmy na tym skorzystać?

Krieger spojrział na Pratzkego z wahaniem. Wiedział, że miał on pomysły równie śmiałe, jak zatrącające kryminałem.

Pratzke uzyskał wreszcie połączenie, na które tak długo czekał. — No gadaj! — zawołał. Potem słuchał, zaczął się uśmiechać i mrugnął do Kriegera. — Złoty z ciebie chłopak — rzekł wreszcie. — Będziesz mi mógł na to konto postawić butelkę wódki.

— Co tam? — zapytał Krieger gniewnie. — Czyżbyś ubijał interes, kiedy tu takie piekło?

— Posłuchaj — rzekł Pratzke. — Na lewym torze bocznym stoją dalsze dwa wagony i oba są pełne. W jednym znajdują się części maszyny, ten nas nie interesuje. A drugi jest pełen ziemniaków!

— Możemy zaryzykować? — zapytał Krieger; od razu zrozumiał, do czego Pratzke zmierza. — Dwa wagony na raz to trochę za duża dawka. Obawiam się, że radziecki komendant tego nie strawi.

— Jeśli będzie do tego zmuszony, strawi jeszcze wiele innych rzeczy — rzekł Pratzke z przekonaniem. — A co nam się może stać? Czy to my usunęliśmy zaporę? Czy to my zrobiliśmy dziurę w drucie? To był pocisk Grunerta. Jeśli major nie będzie mógł tego strawić, wina spadnie na Grunerta; to on się tym udławi.

— To brzmi całkiem nieźle — rzekł Krieger ochoczo.

— A jacy my wówczas będziemy ważni! — zawołał Pratzke. Cieszył się już na tę niezwykłą przygodę, która mogła kosztować życie Grunerta albo Kriegera, a może obu razem — ale nie jego, jego bezpośrednio nie można było pociągnąć do odpowiedzialności. — Pomyśl tylko, Grunert może ofiarować jedynie deski, a tym nikt się nie nazre. A ludzie są przede wszystkim głodni, a dopiero potem chcą lepszego siedzenia i legowiska. Przemówimy im więc do żołądków. Ofiarujemy im cały wagon ziemniaków.

— No to jazda! — zawołał Krieger zdecydowany.

— Zrobione! — rzekł Pratzke zadowolony. — Rozdział ziemniaków odbędzie się za dziesięć minut.

Pratzke ze swoją grupą policjantów wyruszył natychmiast. Przy bramie obozowej zameldował jak zwykle o tej porze: — Oddział w celu przyprowadzenia robotników. Koniec drugiej zmiany. — Następnie skręcił w prawo w stronę słabo oświetlonej stacji załadunkowej. Tutaj ekipa dyżurna grała w szachy; nie wiedzieli jeszcze o zniknięciu wagonu ani też niczego nie zauważyli.

Pratzke z całą gorliwością uświadomił im, co zaszło. Udawał, że jest zatroskany, ale z trudem ukrywał radość. A podczas tej rozmowy jego ludzie zrobili, co należało: wagon z ziemniakami zaczął się toczyć!

Toczył się w stronę obozu, przez dziurę w drucie kolczastym. Strażnicy widząc ten wagon-widmo, byli zaskoczeni; z powodu burzy rytmiczny stukot kół był ledwie słyszalny. Wagon toczył się o wiele szybciej niż ten pierwszy, bo ludzie Pratzkego popchnęli go mocniej. A poza tym nie miał przeszkody w postaci drutu kolczastego, przemknął więc jak pocisk.

Przeraźliwy huk zakończył jazdę; głucho dudnienie, zgrzyt metalu, trzask drewna. A potem kilka sekund ciszy, wreszcie gardłowy krzyk mężczyzny, który niby fontanna wystrzelił w niebo. Następnie jęki, przekleństwa, wrzaski.

— Zabierajcie się do ziemniaków! — zawołał ktoś głośno.

Z baraków napływali ludzie, potykając się, padając i znów się podnosząc — z koszami, kartonami, wózkami. Rzucili się na kartofle z rozbitego wagonu. Chwytały je, podnosili, chowali za pachę, wpychali do kieszeni spodni, do kalesonów.

— Sanitariusze! — wołał Grunert wymachując latarką. — Dajcie nosze!

Ale nikt go nie słuchał. Jego ludzie w gorączkowym pośpiechu przenosili resztę materiału. Dla pozostałych nie istniało na świecie nic innego poza ziemniakami. Wreszcie znalazło się kilku ludzi, którzy pomogli Grunertowi, wśród nich dwaj ranni.

Spod złomowiska wyciągnięto dwa trupy i cztery ciężko ranne osoby, ułożono je z boku. Wszyscy byli z grupy Grunerta. Jeden dostał się między zderzaki obu wagonów, jego tułów był zmiażdżony. Inni byli poranieni rozlatującymi się żelaznymi częściami, odłamkami drewna i spadającymi skrzyniami; jedna ofiara miała obciętą głowę, dwóch mężczyzn dostało się pod wagony.

— Gdzie drwa rąbią, tam wióry lecą! — zawołał Pratzke.

Grunert milczał przerażony. Stał nieruchomo, blady, cały drżący. Trup leżący przed nim miał powykręcane kończyny, był bez głowy, cały zalany krwią — jeden z Wilhelmów.

Pratzke pracował teraz na złomowisku; jego banda energicznie mu pomagała. Surowo przestrzegał sprawiedliwego rozdziału ziemniaków, osobiście ukrócał wszelkie przejawy zachłanności, aby ci, którzy przybyli później, także coś dostali.

— Biada temu, kto kradnie drewno! — wołał. — Żeby mi nie brakowało ani jednej deski! Wszystkie wagony kolejowe są własnością państwa radzieckiego i pod tym względem Iwan nie zna żartów; ja zresztą także nie. Kto będzie próbował rozmontowywać wagony albo weźmie do kieszeni choć jeden gwóźdź, dostanie takiego kopniaka w dupę, że zaświecą mu w oczach wszystkie radzieckie gwiazdy.

Po jakimś czasie przybył oficer dyżurny w otoczeniu uzbrojonej gromady. Rozejrzał się przerażony, widząc tylko wraki wagonów, trupy, ciężko rannych i kilku porządkowych z czerwonymi i białymi opaskami. Materiał był zabezpieczony, ziemniaki rozdane.

— Co się tutaj dzieje? — zawołał zdenerwowany oficer dyżurny.

Pratzke wzruszył ramionami. — Niech pan zapyta o to kogo innego — rzekł. — Kiedy to się stało, byłem na terenie fabryki. A komendant niemiecki wciąż jeszcze tam jest, bo właśnie kończy się druga zmiana.

— Zamknij gębę! — zawołał grubiańsko porucznik. — Chcę wiedzieć, co tu się stało.

— Nieszczęśliwy wypadek — oświadczył Pratzke urażony. — Wypadek kolejowy. Dopóki istnieją koleje, będą się zdarzały wypadki kolejowe.

— Zamknij gębę! — wrzasnął porucznik. — Sam mam oczy.

Pratzke skinął głową. Takiego człowieka jak on niełatwo było wyprowadzić z równowagi. Nie spieszył go widok kilku trupów, a już na pewno nie widok porucznika, którego głowy, zapewne nazajutrz, zażąda major. W jego oczach cała akcja się powiodła i to go nastrajało ugodowo.

Nadeszła lekarka, a za nią sanitariusze. — Gdzie są ranni? — zapytała.

Nie zważała na nikogo, nawet na porucznika; także Gru-nert na razie nie zwrócił jej uwagi. Uklęka przy ludziach leżących na ziemi. Zbadała wszystkich szybko i dokładnie. Jej polecenia brzmiały spokojnie i jasno. Obecni patrzyli na nią niemal z czcią.

Gdy odtransportowano ciężko rannych, Katerina podeszła do Grunerta, który nie ruszał się z miejsca. — Co pan ma z tym wspólnego? — zapytała.

Grunert nie odpowiedział, spojrzął tylko na nią. W jego wzroku było tyle bezradności, że Katerina cofnęła się przerażona. — Ja tego nie chciałem — rzekł Grunert z trudem.

Tej nocy wielu nie mogło zasnąć, inni natomiast nie chcieli spać. Niepokój ogarnął obóz i fabrykę. Za zasłoniętymi oknami migotały światła; włączone reflektory wyraźnie zaznaczały granicę pomiędzy wolnością a więzieniem.

Tej nocy na terenie obozu nie było prawie żadnych kontroli, albowiem Krieger i jego ludzie mieli inne, ważniejsze sprawy na głowie. Pogodzili się z faktem, że od razu rozpoczął się tajny handel wymienny, przez druty wymieniano żywność i wiadomości.

Krieger dobrze wiedział, co nastąpi nazajutrz z rana. Komendant radziecki zainscenizuje trybunał inkwizycyjny

i rozpocznie bardzo uciążliwe przesłuchania. On zaś, Krieger, uczyni wszystko, by zrzucić z siebie winę, co oznacza, że musi znaleźć kozła ofiarnego. A więc chodziło o to, by majorowi przedstawić możliwie najjaśniejszy obraz i wykluczyć niebezpieczne sprzeczności. Toteż taktyk Krieger dokładnie punkt po punkcie prześledził ze swymi ludźmi przebieg wydarzeń.

— Powtórzmy wszystko jeszcze raz — rzekł. — Każdy z was musi wiedzieć, gdzie znajdował się podczas katastrofy, co robił i z kim przebywał. Czy jest wśród was ktoś, kto nie ma alibi?

— Czy muszę tę próbę teatralną przerabiać do końca? — zapytał Pratzke. — Czy też mogę zabawić się gdzie indziej?

Krieger natychmiast udzielił mu zezwolenia, bo jego najbliższy współpracownik otrzymał specjalne polecenie. Pratzke wyszedł. Przechodząc koło posterunku na wieży rzucił kilka żartobliwych słów. Żołnierz się zaśmiał. Potem Pratzke ruszył w stronę wspólnego baraku.

Przez okna prześwitywało światło. Pratzke stanął na palcach, ale nie mógł nic zobaczyć. Podeszedł do drzwi, otworzył je ostrożnie i ujrzał trzy postacie siedzące na podłodze; przed nimi leżały podłużne tłumoki. Latarnia, która stała na skrzyni, rzucała długie, ciemne, pełgające cienie.

Pratzke zaciekawiony podeszedł bliżej. Poznał Grunerta, Wilhelma i Marię. I zobaczył, że przed nimi leżą trzy trupy.

— Mam nadzieję, że nie przeszkadzam — rzekł.

Grunert podniósł głowę. — Prawdopodobnie nie przyśedłeś tu z wyrazami współczucia?

— Dlaczego? — zdziwił się Pratzke. — Przyszedłem tu nie jako żalobnik, lecz jako szef policji. I muszę stwierdzić, zresztą bez większego zdziwienia, że chyba ćwiczysz scenę nocnego obozu pod Grenadą z Marią w roli głównej.

Maria spojrzała na niego z wyrzutem. — Nie ma pan szacunku wobec śmierci?

— Nie — odparł Pratzke zgodnie z prawdą. — Niby dla czego miałbym mieć? Jeden umiera, drugi się rodzi, za wsze na świecie jest za dużo ludzi. Depczą sobie po pię-

tach, kopią groby dla innych, a czasem sami do nich wpadają. Co to ja chciałem powiedzieć — czy ktoś nie widział Sylwii?

Grunert wstał powoli i podszedł do Pratzkego. — A czy kazałeś jej tu przyjść?

— Jasne. Okazja była dogodna jak nigdy. Dziś w nocy i tak wszystko w obozie stoi na głowie.

— Ale przecież nie możesz...

— Jeszcze jak mogę! — Pratzke nie uznawał żadnych subtelnych uczuć. — Mogę równie dobrze jak ty, ale jestem bardziej wielkoduszny. Czy na widok twojej Marii zacząłem ci prawić morały? Nic z tych rzeczy — wykazuję całkowitą wyrozumiałość.

— Ale to coś zupełnie innego! — wykrzyknął Grunert oburzony.

— To kwestia temperamentu — oświadczył Pratzke. — Możliwe, że ona się tylko z tobą modli, ale to twoja wina, jeśli tak jest.

Grunert usiłował się opanować. Wiedział, że nie ma sensu dyskutować z Pratzkem o tych sprawach; ten miał swoje własne pojęcie moralności. — Dziwny z ciebie żartowniś

— rzekł Grunert. — Ale po tym, co się dziś stało, nie po trafię chyba właściwie ocenić twoich szczególnych zdolności.

— Bądź co bądź mieliście szczęście w nieszczęściu — rzekł Pratzke.

— Jak to rozumiesz? — zapytał Grunert.

Pratzke wskazał na trupy leżące na podłodze. — Dwa wagony — rzekł — to całkiem dobry argument, ale trzy trupy — także. Same wagony mogłyby uchodzić za sabotaż, ale trupy są dowodem katastrofy — wypadku w zakładzie. Kupę złomu da się jakoś wytłumaczyć, nawet zniknięcie materiałów. A może uważasz, że major będzie starał się przekonać Moskwę, iż na jego terenie dokonano sabotażu?

— To bardzo interesujący sposób myślenia — rzekł Grunert.

— Ja zawsze miewam dobre pomysły — zapewnił Pratzke.

— I dlatego tu jestem. Sądzę, że Sylwia jest w warsztacie.

Pratzke odszedł kołysząc lekko biodrami. Otworzył drzwi do warsztatu i poświecił latarką. — No więc! — zawołał zadowolony. Wszedł i zatrzaskał za sobą drzwi.

— Co za okropny człowiek — rzekła Maria z odrazą.

— Wielu jest takich jak on — powiedział Grunert, który z powrotem usiadł koło Wilhelma i Marii. — I inni byłiby tacy sami, gdyby tylko mieli dość odwagi i siły. Wśród pełzającego robactwa on jest ogromną dziką świnią. Dla niego to tylko trzy trupy, nie zaś ludzie, którzy nie żyją.

Maria spojrzała na Grunerta szeroko otwartymi oczami. On jednak nie odpowiedział na jej spojrzenie, patrzył na Wilhelma. Zobaczył, że siedzi on sztywno, jak nieżywy, trzymając dłoń martwego Wilhelma. Oczy miał zamknięte, twarz bladą.

Grunert skinął na Marię. Wyszli oboje. Ostrożnie oddalili się od Wilhelma i zmarłego. Usiedli na skrzyni.

— Dziękuję ci, że przysłaś — rzekł Grunert.

— Musiałam przyjść — odpowiedziała Maria.

— Więc wiesz dokładnie, co się wydarzyło — rzekł Grunert ochryplym głosem. — A poza tym powinnaś wiedzieć, że ja także mimo woli stałem się winny. Wina czyha wokół nas wszystkich i na każdego może spaść. Na każdego.

— Czego się boisz? — zapytała Maria.

Spojrzał na nią. Słabe światło nie rozjaśniało jej twarzy. Grunert ujął jej głowę i pochylił się, by lepiej się jej przyjrzeć.

— Ile masz lat? — zapytał.

— Wystarczająco dużo.

— Jesteś jeszcze dzieckiem — rzekł, zmuszając się, by brzmiało to twardo. Odsunął od siebie jej głowę, opuścił ręce. Maria usiłowała ująć jego dłonie, ale wyrwał je gwałtownie. — Jesteś jeszcze dzieckiem.

— Dzieckiem, które wie o wszystkim, co ludzie mogą uczynić ludziom, które widziało wszystko, co ten świat ma do zaoferowania — nędzę, samotność i brud.

— Mario — rzekł Grunert z trudem, cofając się, jakby szukając schronienia w ciemności. — Może dużo widziałas i dużo wiesz, ale masz jeszcze nadzieję.

Dziewczyna skinęła głową. — Czy inaczej bym tu przyszła?

— Ach, nie ma szczęścia doskonałego — rzekł Grunert. — Nie wierz w to! Możesz tylko starać się uchwycić koniuszek tej doskonałości — nic poza tym, nigdy! Bo nie jesteś sama na tym świecie, nie jesteś też nigdy sama z drugim człowiekiem. Jesteś ziarnkiem piasku na pustyni i kroplą wody w morzu...

— Raz — rzekła — raz jeden chcę być szczęśliwa.

— Nie zapominaj o ludziach — rzekł Grunert. — Nikt nie może żyć tak, jak chce. Może próbować poprawić warunki życiowe — na krótko, na przeciąg jednego tchnienia. Jeśli mu się uda, świat dzięki temu staje się lepszy. Ale jakie to trudne, jakie nieskończenie trudne.

— Kocham cię — rzekła Maria.

— Co to jest miłość? — zapytał Grunert, patrząc w stronę Wilhelma.

Wilhelm powoli uniósł głowę. Nasłuchiwał w ciemności otaczającej jego i mężczyznę, który był treścią jego życia. Usłyszał Sylwię i Pratzkego, usłyszał nagły pisk kobiety dobiegający z warsztatu.

— Mógłbym ich wszystkich zamordować — rzekł Wilhelm.

Grunert podszedł bliżej. — Wilhelmie — rzekł — co chcesz zrobić?

Wilhelm spojrział na niego, nie wypuszczając z ręki dłoni przyjaciela. — Grunert — zapytał — kto tu ponosi winę?

— Nie wiem — odpowiedział Grunert. — Może ja. To ja go posłałem tam, gdzie poniósł śmierć.

— Mordercą jest ten, kto popchnął drugi wagon na pierwszy, nie zachowując środków ostrożności, bez uprzedzenia. Kto to był? Zabiję go!

— Czy on chciał zabić? — zapytał Grunert bezradnie.

— Ale zrobił to!

W pokoju obok znów zapiszczała kobieta. Maria spuściła głowę i ciężko dyszała. Grunert zgnębiony spoglądał w pustkę.

— Morderca musi umrzeć — rzekł Wilhelm — nawet jeśli ja przy tym ginę.

Dzień, który nastął po tym wielkim nieszczęściu, jak gdyby nie przyjmował do wiadomości tego, co się stało. Niebo było niemal pogodne; i choć cienkie smugi mgły nie ustępowały, to jednak fabryka i obóz połyskiwały w porannej rosie.

— Dziś potoczą się głowy! — zawołał komendant radziecki otwierając drzwi do swych pomieszczeń biurowych.

— Każcie od razu wykopać kilka grobów!

— Tak jest, panie majorze — rzekł jego pisarz z nieruchomą twarzą.

— Czy ja jestem w obcym biurze? — zawołał major. Dopiero teraz zobaczył nowe meble. Obejrzał je krytycznym okiem, nawet mu się spodobały, ale to właśnie zwiększyło jego irytację. — Chyba nie od tego Grunerta?

Pisarz skinął głową. — Dostarczył je wczoraj wieczorem. Dobra robota, facet zna się na rzeczy.

— Dostanie za swoje! — krzyczał major. Następnie zbadał poszczególne meble okiem znawcy. Poklepywał i obmacywał oparcia i nogi krzeseł coś przy tym mruczając.

— Widziałem już lepszą robotę — rzekł wreszcie.

— Ale chyba nie na naszym terenie — odparł pisarz. Zaczął przypuszczać, że major uczył się stolarstwa, zanim prowadził Armię Czerwoną od zwycięstwa do zwycięstwa.

— Krzywe i nierówne! — zawołał major i odsunął jedno krzesło. — Wszystko tu jest krzywe i nierówne. Zaraz zacznę heblować, aż iskry się posypią; a jedno już teraz mogę powiedzieć: takich wiórów świat jeszcze nie widział!

Pisarz sprawiał wrażenie, jakby we wszystko uwierzył.

— Meldunki leżą gotowe w nowej teczce. Za pół godziny będą tutaj towarzysz komisarz i towarzysz dyrektor.

— W porządku — rzekł major. — Ale przedtem chcę dać porucznikowi do wiwatu. A następnie niech przyjdą Krieger i Grunert. Tylko nie proponować im krzeseł, zro zumiano? Nie wolno im nawet oprzeć się o ścianę. I zaka zuję, by między sobą rozmawiali. Każdy ma stanąć w in nym kącie.

— Twarzą do ściany? — zapytał pisarz z powagą. Major uznał odpowiedź za zbytęcną, to znaczy, że była by ona negatywna. Gdyby to od niego zależało, najchętniej

kazały im nałożyć łańcuchy i przytroczyć kule do nóg, jak za czasów carskich. Ale tego rodzaju środki były przedwczesne; nie mógł w ten sposób załatwić obydwóch swoich najważniejszych ludzi. Wystarczy, jeśli jeden ucierpi. Tego rodzaju myśli były jakby przyznaniem się do tego, że nawet jego władza nie jest nieograniczona — pomyślał o tym z żalem i irytacją.

Na to, by pozbyć się narastającej irytacji, nie czekał długo: przyszedł porucznik. Major wrzeszczał na niego tak głośno, że porucznik na zmianę to bladł, to się czerwienił i nie mógł wydobyć słowa na swoje usprawiedliwienie.

— Czy pan kogoś aresztował? — krzyczał. — Czy kazał kogoś zakuć w kajdany? Czy kazał kogoś rozstrzelać? Na pańskich oczach ma miejsce rewolta połączona z sabotażem, a pan rozpiera się na sienniku? Nie przeszkodził im pan, nie złapał na gorącym uczynku. Nie dostarczył mi pan winnych, ani jednego. Ale ja muszę mieć winowajcę i pan nim będzie. Bo jeśli to całe draństwo działo się na pańskich oczach, a pan nie może znaleźć winnego, to należy przypuścić, że pan sam nim jest.

W tym stylu i takim tonem major wrzeszczał przez całe dziesięć minut. Porucznik nie mógł nawet wtrącić: „Tak jest”. Wcale by się nie zdziwił, gdyby major kazał mu zdjąć mundur i otdąć wegetować wśród jeńców.

Z lekka oszołomiony porucznik opuścił pokój komendanta; teraz naprawdę czuł się winny, był przygotowany na każdy wyrok. Potykając się minął pisarza, który uznał za zbędne zauważyć oficera; udał, że jest bardzo zajęty. Tymczasem komendant wydawał dźwięki, które można by uznać na śpiew bojowy.

Pisarz szczerzył jeszcze chytrze zęby, kiedy nadeszli Krieger i Grunert. Powitał ich niejasnymi słowami nie skierowanymi bezpośrednio do żadnego z nich. Potem przekazał, jakby żartem, rozkaz komendanta. — Do kąta, moi panowie, macie tam stać i milczeć jak grób! Wszelkie próby porozumiewania się są zakazane pod groźbą kary śmierci.

— I tak nie mamy sobie nic do powiedzenia — rzekł Grunert.

Krieger zaś dodał z ironią: — Szkoda każdego słowa, jakie już zamieniliśmy.

Pisarz z zainteresowaniem spoglądał to na jednego, to na drugiego przeciwnika, obaj wydawali się nieprzejednani; wyglądali, jakby jeden dla drugiego nie istniał.

— Zamierzacie się wzajemnie obciążyć? — zapytał pisarz z ciekawością. — Na pewno byłoby lepiej, gdybyście wzajemnie próbowali uwolnić się od winy. Może wówczas znalazłoby się coś trzeciego, czemu można by przypisać winę — na przykład przypadek, pogoda albo jakaś usterka techniczna. A może palicie się do tego, żeby ujrzeć, jak jeden z was, ale nie wiadomo który, zadynda na szubienicy?

Krieger i Grunert spojrzeli na siebie obojętnie. Potem, jakby przyłapani na gorącym uczynku, znów skierowali wzrok na jakiś przedmiot. Obaj wyczuli, że rada pisarza bynajmniej nie była głupim gadaniem; ostatecznie żaden z nich nie miał czystego sumienia. Ale jednocześnie każdy był przekonany, że ten drugi zdradzi go bez wahania, jeśli tylko nadarzy się dogodna okazja. Znów spojrzeli na siebie obojętnie, na pozór przelotnym, badawczym wzrokiem.

Komisarz Grigorij ukazał się razem z dyrektorem Grünbaumem; wydawali się prowadzić poufną rozmowę, którą natychmiast przerwali wchodząc do pokoju. Komisarz widocznie osobiście poszedł po Grunbauma, by zawczasu otrzymać informacje; położył opiekuńczo i nakazu-jąco swoją dłoń na ramieniu dyrektora.

Widok Kriegera i Grunerta, którzy stali oddzielnie w milczeniu, ubawił Grigorija. — Który z was przeżyje? — zapytał. I sam sobie odpowiedział: — Niekoniecznie ten mądrzejszy.

Grunbaum spojrzął na Grunerta. Jego wzrok zdradzał smutek i współczucie, ale nie obawę czy strach. Powiedział zwracając się do Grigorija: — To naprawdę godny pożałowania wypadek. Kosztował tyle ofiar. — I po tych słowach Grunert zrozumiał, że skierowane one były nie do komisarza, lecz do niego.

Tymczasem major został zawiadomiony przez pisarza, że narada może się już zacząć; wyszedł więc i powitał towa-

rzyszy. Kriegera i Grunerta jakby w ogóle nie widział. Poprosił dyrektora i komisarza do siebie. A zanim sam wszedł, rzekł ostrym, rozkazującym tonem do pisarza: — Dwa posterunki przed domem, dwa przy drzwiach. I przygotować cele — prawdopodobnie dokonamy kilku aresztowań.

Ale zaledwie znalazł się w swoim gabinecie, usiadł wygodnie i rzekł do towarzyszy: — Rozluźnijmy się, przyjaciele. Czego się napijemy, a może coś zjemy? Mamy dużo czasu, musimy być bardzo dokładni. A im dłużej to potrwa, tym bardziej obaj skruszeją. Dobrze ich podhajcowa-łem, teraz duszą się we własnym sosie.

Grigorij przyklasnął. Tego rodzaju rozmiękczające metody zawsze znajdowały u niego uznanie, nawet wówczas, gdy ten, kto je stosował, nie posiadał jego całkowitej zgody. Grunbaum nic nie powiedział, przerzucał papiery, które ze sobą przyniósł. Major otworzył butelkę wódki, napełnił trzy szklanki i rzekł: — Na zdrowie!

Wypili, major od razu prawie całą szklankę. Dyrektor Grunbaum tylko umoczył usta i chciał odstawić szklankę, ale widząc badawcze spojrzenie towarzyszy, wypił do dna.

Ponownie napełniając szklanki major zaczął mówić. Powiedział, że wydarzenia ubiegłej nocy zaalarmowały go. Dlatego natychmiast intensywnie zajął się sprawą.

— Szanowni towarzysze — rzekł — sprawdziłem wszystkie raporty, przesłuchałem całą masę świadków, wśród nich także najważniejszego dla nas naocznego świadka — porucznika. Ale mimo to muszę przyznać, że cała sprawa nie wydaje mi się absolutnie jasna.

— Doprawdy? — zapytał Grigorij przeciągle. — Co, waszym zdaniem, jest w tej całej sprawie niejasne?

Major wzmacnił się sporym łykiem wódki. Pijąc spoglądał w twarz Grigorija i Grunbauma; na jednej malowała się nieufność, na drugiej uwaga. Dwa do jednego, pomyślał komendant i odstawił szklankę. Początek był zupełnie dobry.

— Jedno, co mnie zastanawia — rzekł, jakby dokonał wielkiego wysiłku intelektualnego — i czego nie należy lekceważyć, to fakt, że są ofiary śmiertelne, co wydaje się

wskazywać na to, że chodzi tu o nieszczęśliwy wypadek, o cały splot przypadków, a zatem nie o działanie planowe. Bo dość dobrze znam naszych jeńców, mam wieloletnie doświadczenie w obcowaniu z nimi. Zapewne, można się po nich spodziewać wszystkiego, ale na pewno nie będą się wzajemnie zabijać! W każdym razie nie w taki sposób! Może się zdarzyć, że tu czy tam kogoś ukatrupią, ale nie tak masowo. Tego jeszcze nigdy nie było.

— To brzmi przekonująco — wtrącił Grigorij. — Ale chciałbym zwrócić uwagę na kilka szczegółów, którym należałoby się bliżej przyjrzeć. Przede wszystkim ci trzej ciężko ranni to ludzie wyłącznie z oddziału K-5, a więc ludzie Grunerta. Pomiędzy pierwszym wagonem, który się stoczył, a drugim, który pchnięto na niego, był odstęp prawie piętnastominutowy. Pierwszy wagon był chyba przyczyną tego, że wprowadzono w ruch drugi. Ale ponieważ pierwszy był opróżniony wyłącznie przez ludzi Grunerta, należy przypuszczać, że drugi puścił w ruch jego rywal Krieger.

— Gdyby tak było — rzekł major — sprawiłoby mi to wielką ulgę. Jeśli chłopcy w obozie naprawdę walczą ze sobą na śmierć i życie, nawet po trupach, nie mam nic przeciwko temu. Walka konkurencyjna sprzyja podnoszeniu wydajności. Byłbym jednak zaniepokojony wiedząc, że obaj jadą na tym samym wózku — przeciwko nam.

— Pewien Niemiec powiedział kiedyś: „Oddzielnie marszerować, wspólnie uderzać!” — rzekł Grigorij. — Ci Niemcy zawsze byli niebezpiecznym narodem. Ale gdyby kiedykolwiek przyszło im do głowy to, czego nigdy nie udało im się dokonać, mianowicie wykorzystać swój zdrowy rozsądek, trzeba wykazać jak największą czujność. A tego Grunerta podejrzewam o to, że chce nas wykiwać, unieszkodliwić naszymi własnymi metodami.

— Ja także — zapewnił major — jestem z natury człowiekiem nieufnym, a już najmniej ufam Niemcom. Najpierw zerwali pakt o przyjaźni, a potem podstępnie na nas napadli. Ale ten Grunert to bynajmniej nie nazista — już raczej Krieger bardziej na takiego wygląda. I czyż to nie Grunert proponuje nam kulturalno-polityczną szansę nie do odrzu-

cenia? Czy mamy go po prostu odstawić, kiedy przekazaliśmy już dalej meldunki o sukcesach? I czy kierownictwo partyjne nie zostało już zaproszone na koncert — przez nas obu?

Grigorij milczał zamyślony. Oczywiście był to ważny, być może decydujący punkt. Tymczasem postawili na Gru-nerta. I obaj pomyśleli, że dobrze wyjdą na jego zamierzeniach. I kto wie, może ten Grunert jest naprawdę niewinny? Może to Krieger ponosi winę? Albo obaj? Albo żaden z nich? U tych Niemców wszystko było możliwe.

Major czekał uprzejmie na odpowiedź Grigorija. Ale komisarz milczał dalej. Obaj spojrzeli potem na Grünbauma. Dyrektor się uśmiechnął.

— Szanowni towarzysze — rzekł cichym, uprzejmym tonem. — Pozwólcie, że przedstawię swój punkt widzenia. Przede wszystkim w chwili obecnej nie można z całą pewnością stwierdzić, co zawierały oba wagony; dokumenty przewozowe, jak to się często zdarza, jeszcze nie nadeszły. Następnie: nie można z całą pewnością dowieść, czy oba wagony zostały puszczane w ruch mechanicznie, czy zrobili to ludzie. Burza również mogła tu odegrać pewną rolę, a także spadek terenu. Możliwe jest też uszkodzenie hamulców lub błąd techniczny nastawni. Wszystkie badania, jakie zostały podjęte, nie dały jak dotychczas dowodów na to, że dopuszczono się tu sabotażu lub czegoś podobnego.

— Towarzyszu dyrektorze — rzekł major niemal pokojowo — zawsze miałem zaufanie do naszych techników i inżynierów. I teraz także stwierdzam: pan również mnie nie zawiódł.

Grünbaum zaprotestował skromnie. — Zrobiłem, co mogłem — rzekł.

— Mnie nie tak łatwo przekonać — powiedział Grigorij.

— Mnie również nie, drogi towarzyszu — przyznał major. — Ale nie mogę sprzeciwiać się faktom. Jednego możemy być pewni, tu nasze poglądy są zgodne: będziemy tych Niemców przyciskali do muru, aż skruszeją. W końcu każdy z nich ma nieczyste sumienie — dlaczego nie mielibyśmy im ulżyć?

W baraku rozbrzmiewała muzyka Czajkowskiego. Odbywał się pierwszy koncert, swoista gala, wieczór inauguracyjny.

Przybyli prawie wszyscy miejscowi prominenci. To, że niektórzy musieli stłumić wściekłość i rozgoryczenie, nie zmieniało faktu, iż jednak się stawili. Bo zaproszenia, które przyjęto przed „katastrofą”, nie można było zignorować, nie budząc podejrzeń.

Tak więc siedzieli pozornie w zgodzie w pierwszym rzędzie: radziecki komendant i Grigorij — jego komisarz; miejscowy sekretarz partii, pełnomocnik do spraw kultury i dwaj towarzysze z tajnej policji; Grünbaum, dyrektor fabryki traktorów „Czerwony Poranek” ze swymi głównymi inżynierami; i lekarka Katerina. Siedzieli na razie pełni rezerwy na krzesłach wypożyczonych w mieście i w fabryce przez grupę K-5. Oficjalnie ludzie Grunerta pokwitowali wypożyczenie dwudziestu ośmiu krzesel; ponieważ było ich czterdzieści sześć, już z tego powodu można by określić wieczór jako udany, zanim jeszcze się rozpoczął.

Spośród tych osiemnastu dodatkowo zdobytych krzesel osiem zaproponował Grunert niemieckiej komendanturze. Ale Krieger odmówił; nie da się przekupić, powiedział. Natomiast za znacznie ważniejszą uznał ofertę Grunerta, by wygłosił słowo wstępne; Krieger na krótko tylko się zawahał, po czym wyraził zgodę. — By nie manifestować przed Sowietami niemieckiej niezgody! — powiedział.

Obaj rywale bardzo szybko zdali sobie sprawę z tego, że wbrew własnej woli jadą na tym samym wózku. I dopóki major, co pokazało śledztwo, nie dał do zrozumienia, kto ma zostać kozłem ofiarnym, Krieger i Grunert musieli zachowywać się powściągliwie, choć czujnie i ostrożnie.

„Wieczór galowy” rozpoczął się od wejścia jeńców. Przybyło blisko osiemset osób, w tym prawie dwieście kobiet — ze stolkami, skrzyniami, kłocami do siedzenia. Napierali tłumnie, mrucząc, z ponurymi minami. Porządkowi Grunerta, grupy aktywistów, artyści, zapaśnicy i magicy mieli pełne ręce roboty. Także Pratzke, widocznie przysłany przez Kriegera, pomagał wraz ze swoimi ludźmi zachować porządek. Udało się tak to urządzić, że elita nie-

bezpiecznej kliki Kriegera, oprócz tych, którzy byli w fabryce, znalazła się na samym przedzie, w gęstym tłumie, tuż za kobietami.

— Czy to nie ryzykowne? — zapytał Wollmann Gruner-ta. Bo taki układ wydawał się zbyt przejrzysty, przypominał wyzywającą demonstrację siły Kriegera. — Oni potrafią zdemolować całą moją budę.

— Należy się z rym liczyć — przyznał Grunert — ale nie dziś. Jestem przekonany, że ta banda przy pierwszej lepszej okazji zacznie rozróbę, ale nie nadeszła jeszcze ich godzina. Dziś, w obecności radzieckiego komendanta, Krieger nie pozwoli sobie na awanturę, zwłaszcza że na moją propozycję, aby wygłosił mowę inauguracyjną, odpowiedział pozytywnie. Ale na wszelki wypadek ulokujemy w pobliżu kilku artystów i silnych rzemieślników.

Krieger, który stał obok Grunerta przy wejściu, od razu spostrzegł ten nowy układ i zareagował pobłażliwym uśmiechem. — Tylu ludzi pozostaje teraz bez zajęcia — powiedział. Jak pogodzić to spiętrzenie próżniactwa z niemiecką dokładnością, oszczędnością i talentem organizacyjnym — tego nie rozumiem.

— Bo to wcale nie jest konieczne — odparł Grunert.

Ukazanie się komendanta radzieckiego na czele honorowych gości uchroniło oba czupurne koguty od dalszej sprzeczki. Krieger natychmiast przestawił się, wchodząc w rolę troskliwego, superwzorowego niemieckiego komendanta. Wyszedł majorowi na spotkanie, zatrzymał się o pięć kroków przed nim, tak że ten miał dość czasu, by przystanąć. Zasalutował służbiście. — Melduję tysiąc czterdziestu ośmiu jeńców, wraz z występującymi artystami, zebranych na uroczystym koncercie.

— Serdecznie witamy! — zawołał Grunert za plecami Kriegera. Major ani jednym gestem nie zdradził, jak bardzo lubi takie militarne przedstawienia. W tej chwili znów miał to rozkoszne wrażenie, że należy do elity świata. Zasa lutował, obrzucił Grunerta nieufnym spojrzeniem i ruszył dalej.

Krieger szedł przodem. Dwóch specjalnie wyznaczonych policjantów otworzyło szeroko drzwi szopy. — Pan

komendant nadchodzi! — zawołał Krieger. Jeńcy wstali i w milczeniu, wyprężeni, spoglądali na majora, który mijał ich wraz ze swymi gośćmi.

I znów Krieger ruszył przodem w stronę pierwszego rzędu. Tutaj poprosił prominentów o zajęcie wyznaczonych miejsc, przemyślanych bardzo dokładnie, z zachowaniem hierarchii: tak więc najgodniejszy, czy też najpotężniejszy — major, miał siedzieć na krześle w samym środku; inni po prawej i lewej stronie. Tutaj odbyło się małe, żartobliwe intermezzo pomiędzy komendantem a sekretarzem partii; każdy pozornie chciał drugiemu odstąpić honorowe miejsce, wreszcie usiedli, tak jak było zaplanowane. Grunert siedział za Kateriną; obok Kateriny siedział Grigorij.

Krieger poprosił o pozwolenie rozpoczęcia uroczystości. Major skinął głową, po czym szepnął coś żartem do sekretarza partii. Kateriną obejrzała się jakby przypadkowo i spojrzała na Grunerta. Ten pochylił się lekko i już miał się do niej uśmiechnąć, ale nie był pewien, czy ona zechce to zauważyć.

— Panie majorze! Szanowni goście! Drodzy koledzy! — rozpoczął Krieger donośnym głosem swoje przemówienie. Jego tłumacz stał o dwa kroki za nim, tłumaczył zdanie po zdaniu prymitywnym językiem.

Krieger nie ociągając się oświadczył, że już od dawna życzeniem wielu spragnionych dóbr duchowych jeńców, a zwłaszcza kierującego nimi komendanta, było kultywowanie wartości kulturalnych. Bo dobra kultury — kwiaty ducha — wyrastają ponad wszelkie niesnaski narodowościowe i należą do całej ludzkości, jeśli obdarzona jest ona dobrą wolą i gotowa walczyć o prawdziwy pokój!

Grigorij odwrócił się do Grunerta i wyszczerzył zęby. Grunert odważemnił uśmiech i szepnął: — Moja szkoła!

Mowa Kriegera była małym arcydziełem. Bo przede wszystkim, ukazał kolegom niewzruszony obraz idealnego przełożonego i Niemca-patrioty, człowieka niezwyklej kultury. Jednocześnie jednak udało mu się pokazać prominentom radzieckim, że jest właściwym człowiekiem, zdolnym osiągnąć pożądane porozumienie, połączone z dumną

wdzięcznością i bohaterską wiarą w przeznaczenie — ku ogólnej radości i korzyści. Słowem: kultura — jego pragmatyzmem, teatr obozowy — jego dziełem!

— My natomiast — rzekł Grunert, kiedy przyszła kolej na niego — staraliśmy się tylko tę piękną ideę przemienić w czyn.

Grunert swoją zapowiedź wygłaszał na przemian po niemiecku i po rosyjsku, a w jednym języku mówił niezupełnie to samo co w drugim. Przemawiał tonem gawędziarskim, zawile, szybko, dlatego nawet ci, którzy znali oba języki, nie zawsze mogli nadążyć za jego słowami.

Wydawało się, że mówi o Czajkowskim, którego geniuszowi poświęcony był ten wieczór; w istocie mówił jednak o osiągnięciach swoich ludzi, którzy zasłużyli na uznanie. Wreszcie kazał porozdzielać „radzieckim przyjaciółom i protektorom” programy ozdobione subtelnymi rysunkami, „na pamiątkę wieczoru ku czci nieśmiertelnej rosyjskiej kultury”.

— Bravo! — zawołał sekretarz partii, bo należał do tych nielicznych gości, którzy nie mieli pojęcia o kulisach katastrofy i jej ewentualnych skutkach.

Pod spojrzeniem Grunerta artyści zaczęli klaskać. Kilku jeńców przyłączyło się do nich. Wreszcie Krieger, widząc skierowany na siebie wzrok Grigorija, też kilkakrotnie zaklaskał. Jego klika uznała to za znak i urządziła głośny aplauz. Wreszcie wszyscy obecni przyłączyli się do oklasków.

Grunert nieco wyczerpany usiadł znów za Kateriną. Lekarka odwróciła się do niego i rzekła: — Ciesz się, Grunert, że to dochodzenie, jak widać, pana nie obciąża.

— Z czego to wnosisz? — zapytał Grigorij, który się przysłuchiwał. — Jeszcze niczego nie dowiedziono, a najmniej jego niewinności.

Katerinę jakby przeraziło to stwierdzenie. Spoglądała wzburzona to na jednego, to na drugiego. — Ale — rzekła z trudem — jeśli tak jest naprawdę, to czemu bierzemy udział w tej uroczystości?

— Jest to tylko jedno z wielu pytań, na które trzeba odpowiedzieć za pomocą wszelkich sposobów i środków — zapewnił Grigorij z niebezpiecznym uśmiechem.

Grunert nie miał czasu, aby się zastanawiać nad tą krótką, złowieszczą rozmową. Od razu zrozumiał, że ostatnie uwagi Grigorija wybiegają znacznie dalej niż jego zwykle, dwuznaczne słowa. Wyglądało to tak, jakby komisarz zdjął maskę — dla Kateriny.

Ale inne troski były obecnie ważniejsze. Członkowie orkiestry, a w szczególności dyrygent, buntowali się, i to, jak twierdzili, z czysto artystycznych powodów. Przyczyną była śmierć jednego z Wilhelmów, po której drugi Wilhelm zobojeźniał na wszystko. Trudno go było zmusić do czegokolwiek; oplakiwał przyjaciela. Nie interesowała go sztuka.

Także teraz, kiedy dyrygent wszedł na podium, Wilhelm stał w warsztacie, zamienionym dziś w garderobę, i spoglądał na cmentarz, gdzie pochowany był jego przyjaciel.

— Nic na to nie poradzimy — rzekł Grunert podchodząc z tyłu do Wilhelma. — Musisz to zrozumieć, potrzebuję dziś twojej pomocy bardziej niż kiedykolwiek.

— Po raz ostatni — rzekł Wilhelm głucho i bez słowa ruszył na swoje miejsce między garderobą a sceną.

Grunert odetchnął z ulgą i pobiegł z powrotem do baraku. Tutaj ksiądz Matthaus, tym razem jako dyrygent, uniósł swoją pałeczkę. Grunert zobaczył, że ręce starego człowieka drżą, a oczy wznoszą się ku niebu, jakby błagały o pomoc.

W programie było napisane: Piotr Czajkowski, *Symfonia Nr 6 h-moll, op. 74 (Patetyczna)*. A dalej: Część pierwsza: *Allegro molto vivace*. Ale to wszystko było oszustwem, szantażem, gwałtem. Matthaus cierpiał z tego powodu piekielne męki, a orkiestra groziła buntem — przede wszystkim buntowali się ludzie grający na instrumentach dętych, bo oni szczególnie czuli się zdegradowani i poniżeni. Może też niektórzy zostali przekupieni albo zastraszeni przez Kriegera i dlatego pierwszy lepszy dysonans był okazją do odmowy posłuszeństwa.

Tego rodzaju incydenty, jak wyjaśnili Grunertowi ludzie obeznani ze światem artystycznym, zdarzały się na wszystkich scenach, nazywano je intrygami, kaprysami gwiazd. Primadonna czuł się już nawet ten, kto uderzał w kotły czy talerze. Tu jednak, w tak napiętej sytuacji, każde nieporozumienie groziło katastrofą. Dlatego Grunert zagroził

wszystkim członkom orkiestry, że odeśle ich do najcięższej pracy w fabryce, jeśli nie będą bez zastrzeżeń słuchać jego poleceń.

To poskutkowało. Koncert musiał się odbyć i wzbudzić co najmniej zadowolenie, jeśli nie entuzjazm — to było najważniejsze. Dyrygent Matthaus jednak, podstępnie podburzony przez konkurującego z nim kolegę, odmówił najpierw ze względu na krótki czas prób, zaprezentowania swojej orkiestry „publiczności”. Grunert powiedział:

•— Najważniejsza jest muzyka, i tak nie możemy konkurować z filharmonikami leningradzkimi.

Potem Matthaus oświadczył, że *Szósta* Czajkowskiego jest zbyt trudna, zwłaszcza dla początkujących. Na to Grunert odpowiedział: — To niech ksiądz uprości partyturę, od czego ksiądz jest dyrygentem? Poza tym musi to być *Szósta*, bo nie dostaliśmy żadnych innych nut.

Wkrótce potem Matthaus zaklinał się na wszystkie świętości, że początek jest absolutnie nie do pokonania: instrumenty dęte zawiodą z całą pewnością. Na to Grunert, wygłosiwszy niepochebną uwagę na temat owych muzyków, powiedział: — Wobec tego niech ksiądz opuści tę część, i tak jest w niej za mało ognia, a nam potrzebny jest porywający wstęp. Im muzyka będzie głośniejsza, tym mniej będzie słyszalna wasza nieudolność.

Te bezsensowne sprzeczki, które Grunert kończył niemal brutalnie, doprowadziły do tego, że pierwsza część wypadła, a zamiast niej zagrano część trzecią, fantastycznie brzmiący *Marsz E-dur*. Potem nastąpiła część druga, *Allegro eon gracia*, wreszcie część czwarta, finał. — Nikt tego nie zauważy — twierdził Grunert. I tak w istocie było.

Orkiestra mozolnie podążała za batutą pedantycznego dyrygenta. Od czasu do czasu, przeważnie pod koniec, wymykała się spod jego prowadzenia i pozwalała sobie na piękne indywidualne tony. Mimo to należało stwierdzić, że skrzypce podczas *Adagio lamentoso* łkały wprost rozdzierająco. Czajkowski odniósł triumf mimo wszystko.

— Bravo, bravo! — wołał sekretarz partii. Po czym pogratulował radzieckiemu komendantowi tego „niezwykłego, podnoszącego na duchu wyczynu”.

Major przyjął gratulacje z godną postawą, ale wyraźnie mu to pochlebiało. Katerina wydawała się wzruszona. Grigorij siedział jak skamieniały. Grunbaum wyglądał, jakby miał ochotę zaszyć się w mysią dziurę; kochał bowiem muzykę i znał się na niej.

Publiczność szalała, dyrygent był rozpromieniony; miał łzy wzruszenia w oczach. Muzycy siedzieli dumni, jak gdyby ani przez chwilę nie wątpili w swoją genialność. Gru-nert nie miał jednak czasu, by spocząć na laurach.

Wbrew programowi wstał teraz Krieger. Podeszedł do komendanta radzieckiego. — Obecnie, panie majorze, przewidziana jest mała przerwa — rzekł. — Jeśli pan major pozwoli, to jeńcy przedstawią panu oraz pańskim dostojnym gościom kilka drobnych prac rzemieślniczych i artystycznych wykonanych w wolnym czasie.

Major udzielił Kriegerowi zezwolenia. Grunert zobaczył triumfalny błysk w oczach Kriegera. Ten podstępny typ gotów zapisać swój sukces na swoje konto, pomyślał, nie mogąc do tego dopuścić.

Przedstawione „arcydzieła" powstałe w wolnym od pracy czasie zainteresowały widzów. Ustawiono je na czterech małych stolikach przed zebranymi prominentami. Artyści stali obok, gotowi do udzielania wyjaśnień. Ta efektowna miniaturowa wystawa, co Grunert musiał nie bez zazdrości przyznać, była brawurowym wyczynem.

— Widzę, że nieźle ze sobą konkurujecie — rzekł Grigorij, który wyraźnie delectował się sytuacją.

— Proszę się nie obawiać, panie komisarzu — rzekł Grunert. — Moje najlepsze numery zostawiłem na koniec. Ale jak się panu podobają osobiście przeze mnie wybrane hasła?

— Gówno — powiedział Grigorij z przekonaniem. Grunert udał zaskoczenie. — A wydawało mi się, że do konałem szczególnie trafnego wyboru.

— Bo tak jest — odparł Grigorij. — Czy nie słyszałeś, że nazwałem je gównem? To u mnie największy komplement. A tym razem zasłużyłeś na niego uczciwie.

Grigorij podszedł do towarzyszy, którzy powstali z miejsc i otoczyli wystawione „arcydzieła”. Były tam popielniczki, kubki, patery, kasetki, klamry do pasa, naszyjniki z blasza-nek. Następnie sztuce, talerze, tace, okładki z drewna, niektóre sklepane z małych kawałków. Były też obrazki, płytki mozaikowe, ale główną atrakcją stanowił kolorowy portret, pachnący jeszcze świeżą farbą, przedstawiający majora.

— Wspaniale — pochwalił sekretarz partii. — Czy można by wykonać również mój portret?

— Oczywiście — powiedział Krieger. — Jeśli pan major pozwoli, wydam odpowiednie polecenia. — Nie omieszkał też zapewnić szanownych gości pana majora, że wszystkie przedstawione tu prace zostały wykonane w wolnym czasie i tylko z materiałów, które jeńcy mieli do dyspozycji i które można nazwać odpadkami.

Komendant radziecki uśmiechnął się po raz pierwszy tego wieczoru. Bo to oświadczenie dowodziło, że na jego terenie nawet z odpadków powstają dzieła sztuki.

— U nas — rzekł do sekretarza — z zasady robi się więcej niż trzeba. Nie mówię tego, by się chwalić, stwierdzam po prostu fakt.

Dyrektor Gninbaum podczas oglądania wystawy zbliżył się do Grunerta. — Znalazłem się przez pana w okropnej sytuacji — rzekł.

— Szczerze tego żałuję — powiedział Grunert. — Ale nie mogłem przewidzieć katastrofy.

— Przypuszczam, że ma pan na myśli ten nieszczęśliwy wypadek, bo to był zapewne nieszczęśliwy wypadek. Tak, to okropne. Ale moja uwaga dotyczy koncertu, który pan zorganizował — ponieważ, niestety, znam się na muzyce.

— No to jest pan ciężko doświadczany — rzekł Grunert. — Druga część będzie jeszcze gorsza.

— Tak przypuszczam — odparł Grünbaum z pokorą — zasłużyłem na karę.

Tymczasem oglądanie „arcydzieł” trwało dalej. Major z trudem oderwał wzrok od swego portretu. Goście zaczęli

dotykać poszczególnych przedmiotów. Jeden z ochroniarzy sekretarza bez skrupułów schował do kieszeni popielniczkę. Krieger widział to, ale oczywiście nic nie powiedział, wyraz jego twarzy wskazywał, że jest zadowolony z przebiegu pokazu.

— Wspaniała — rzekła Katerina i podniosła w górę bransoletkę. — Czy to można kupić?

— Zechce pani doktor przyjąć ją jako skromny wyraz naszego uznania — powiedział Krieger.

— Ależ nie mogę — Katerina się zarumieniła.

— Byłaby to dla nas wielka radość — zapewnił Krieger. — Zawsze z wdzięcznością myślimy o wzorowej opiece lekarskiej w tym obozie.

Katerina była zmieszana. Spojrzała bezradnie na komendanta, który skinął przyzwalająco głową. Spojrzała więc na Grigorija. Ten rzekł: — Nie mam nic przeciwko temu, towarzyszko. Możecie przyjąć tę bransoletkę. Temu, kto to wykonał, przyśle jako zapłatę coś do jedzenia.

Jeńcy, którzy przyglądali się tej scenie, zaczęli klaskać. Katerina, jeszcze bardziej zmieszana, gwałtownym ruchem odłożyła bransoletkę z powrotem. Grigorij podszedł i wziął ją.

— Czy możemy rozpocząć drugą część?

Komendant radziecki skinął głową z godnością i udał się na swoje miejsce. Reszta gości poszła za jego przykładem.

Tymczasem dokonano pewnych zmian. Orkiestra opuściła podium i ustawiła się z boku. Czerwona kurtyna oddzielała teraz scenę od widowni. A za kurtyną, która, jak sądził Grigorij, była uszyta ze sztandarów, rzemieślnicy ustawili kulisy.

Teraz program podawał: Piotr Czajkowski, Suita *Dziadek* do orzechów, op. 71 a, w wykonaniu orkiestry symfonicznej obozu nr 13-7-13 pod dyrekcją Adalberta Matthausa; w wolnej przeróbce baletowej i inscenizacji, w wykonaniu zespołu. Kostiumy i dekoracje zrobiono we własnych warsztatach.

Ale zanim oczekiwany z takim napięciem występ się rozpoczął, Grunert pozwolił sobie na krótkie, ale efektowne,

wysoce polityczne intermezzo: rozległ się delikatny werbel, światła zgasyły; rozbłysły trzy wypożyczone od strażników reflektory. Skoncentrowały się na trzech transparentach, które głosiły w językach rosyjskim i niemieckim: „Nie ma kultury bez pokoju”, „Nie ma pokoju bez wolności”, „Nie ma wolności bez Związku Radzieckiego”.

— Wspaniale! — zawołał sekretarz.

Jeńcy zaczęli bić brawo, i to w tak demonstracyjny sposób, że czujny Grigorij podniósł głowę, nasłuchując. Gru-nert dał więc szybko znak do rozpoczęcia drugiej części. To, co się na razie działo, znacznie podnosiło ogólny nastrój: przed kurtynę wyszła dziewczyna w klasycznym stroju greckim z niemal przezroczystej gazy. Dyrektor Grunbaurn poznał natychmiast, że to gaza służąca w fabryce jako materiał uszczelniający. Ale delikatna dziewczyna wzbudziła ogólny zachwyty. Była nią Maria.

Maria ukloniła się nisko i dostała brawa, zanim jeszcze otworzyła usta. Major na jej widok zaniechał swej obojętnej postawy, także sekretarz zaczął się uśmiechać. Nawet surowy wzrok Grigorija jakby trochę złagodniał.

Maria znów się ukloniła, co wywołało pełne podziwu okrzyki, a nawet pomruki uznania. Dziewczyna z trudem mogła zacząć swój prolog. To *Posłanie do prześwietnego audytorium* wyszło spod pióra dawnego poety SA, Ra-mmachera. Dwóch ekspertów przełożyło je na język rosyjski. I Maria, podekscytowana i nie wszystko rozumiejąc, z trudem nauczyła się go na pamięć.

„Poemat” zaczynał się od słów:

Radośnie i z ochotą dużą

Przyszli wszyscy ci, co Muzom służą.

Co prawda chleba nie dają kamienie,

Lecz często konieczność w cnotę się zmienia.

I w takim mniej więcej stylu prolog ciągnął się dalej. Na razie Maria musiała pokonać pięć spośród dwudziestu jeden zwrotek; reszta miała być recytowana w przerwach między tańcami i na zakończenie jako epilog. Maria wykonywała swoje zadanie odważnie i z wdziękiem. A kiedy

myliła się w rosyjskiej wersji, major uśmiechał się do niej zachęcająco, inni goście także.

Podczas uwertury rozsunęła się kurtyna, ukazując skąpo, ale tajemniczo oświetloną scenę. Przedstawiała ona zaczarowany las z dziwnie powykręcانymi drzewami i sową z żarówkami w oczach. Szczególną atrakcję stanowił dzik, którego dwukrotnie przeciągano przez scenę.

Potem estradę ożywił baśniowy ludek, który rozpoczął „tańce charakterystyczne”. To także było zaplanowane. Co prawda inscenizatorzy z Grunertem na czele rozpoczęliby najchętniej porywającym tańcem zespołowym, ale było za mało osób. Tak więc trzeba się było zadowolić w miarę umiejętnie wykonanymi solówkami. W *Marszu* jednak, pierwszym tańcu charakterystycznym, wzięły udział prawie wszystkie kobiety. Pięciu karłów otulonych w plandeki kołysało się groteskowo po scenie i przedstawiało wojskowe żarciki: wykonywali ćwiczenia z muchomorami. Następnie podniosło się pięć kobiet, które dotąd siedziały skulone, rzuciły plandeki i w skąpych kostiumach maszerowały po proscenium przy aplauzie widowni.

Taniec chiński dziewczęta z nocnych lokali wykonały wspaniale. A *Taniec arabski* był występem solowym kołyszącej się w biodrach Sylwii — gorąco oklaskiwanej; musiała nawet bisować.

Taki szczęśliwy rozwój przedsięwzięcia, które początkowo wydawało się wątpliwe, uradowało Grunerta. Pochylił się w stronę Kateriny. Widział jej ręce poruszające się niespokojnie na kolanach. Przyjrzał się dokładniej i stwierdził, że bawiła się bransoletką, którą przedtem zabrał ze stolika komisarz. Grunert był zdziwiony, że Katerina przyjęła prezent od Grigorija. To go zabolalo.

Mijając wzrokiem Katerinę, spojrzal na majora, który się uśmiechał, gdyż znów ukazała się Maria.

— Majorowi najwidoczniej spodobała się twoja Maria — rzekł Krieger do Grunerta.

— Ona nie jest moja — odparł Grunert.

— Tym lepiej.

Maria zapowiedziała teraz trepaka, rosyjski taniec ludowy. W tym punkcie organizatorzy byli zgodni, że graniczy-

ło niemal z szaleństwem demonstrowanie Rosjanom czegoś, co i tak musiało okazać się tylko żalostną imitacją.

Sekretarz był ogromnie ubawiony, nawet Grigorij uśmiechał się chytrze. Major nie spuszczał oczu z Marii. Tylko Grünbaum patrzył przed siebie melancholijnie.

Trepak okazał się triumfem artystów i magików Gruner-ta. Na czarnym tle pokazali oni taniec szkieletów w dziwnych drgawkach, wzbudzając wielki entuzjazm.

Entuzjazm trwał jeszcze podczas Tańca kwiatów, w którym połączyli się wszyscy soliści. Sylwia gorliwie kołysała biodrami, dziewczyny z nocnych lokali żwawo podskakiwały, a dziewczęta z baletu powiewały woalem zmieniającym barwy w świetle reflektorów.

Tłum szalał, Grunert i Krieger uśmiechali się, spoglądając na siebie wrogo.

Major czekał na ukazanie się Marii, a kiedy ją wreszcie zobaczył, głośno zaklaskał.

— Brawo, brawo! — wołał sekretarz, a jego towarzysze bez żenady gapili się na nogi tancerzek. Sukces był fenomenalny.

Major wstał, kiedy Maria opuściła scenę, i podszedł do Grunerta. — Nieźle — rzekł; zwracając się do Kriegera powtórzył: — Nieźle.

Sekretarz mu zawtórował. — Nadzwyczajnie — powiedział z uznaniem do Grunerta. — Czy mógłby pan pokazać ten program w mieście, dla naszych towarzyszy i ich rodzin?

— Oczywiście — odpowiedział Grunert. I dodał: — Jeśli pan major pozwoli.

— Kiedy możemy rozpocząć pracę nad portretem? — zapytał Krieger sekretarza. — W każdej chwili jesteśmy do dyspozycji. Jeśli pan major pozwoli.

Major był w dobrym humorze; pozwolił na gościnny występ „jego” trupy, a także na zwolnienie „jego” portrecisty. Idąc za przykładem sekretarza, podał także rękę Grunertowi i Kriegerowi. Obaj promienieli, jakby szczęśliwie uniknęli klęski żywiołowej.

— Nie cieszcie się za wcześnie — rzekł Grigorij, uśmiechając się nieznacznie.

Grunert ani przez chwilę nie miał uczucia triumfu. Końcowa uwaga Grigorija brzmiała zbyt groźnie. A że istotnie nie miał powodu do najmniejszej choćby radości, przekonał się już nazajutrz, kiedy wszedł do wspólnego baraku. Zamiast zadowolonych artystów zastał ludzi w buntowniczych nastrojach.

— Rezygnuję z funkcji dyrygenta — oświadczył Matthauss z patosem. — Moje poczucie odpowiedzialności artysty nie pozwala mi...

— To znaczy — rzekł Grunert, który natychmiast zrozumiał, do czego zmierza jego dyrygent — że przy całej miłości bliźniego chce mi ksiądz narzucić warunki. Jakie to warunki?

Matthauss z miejsce odrzucił podejrzenie, że chce wymusić korzyści materialne. Grunert uspokoił go, uznając całą sprawę za rzecz całkiem normalną. Wobec tego Matthauss wysunął swoje żądania: człowiek, który jest przewidziany jako drugi dyrygent orkiestry obozowej, musi mu bezpośrednio podlegać. Poza tym Matthauss musi mieć spokój podczas prób; hałas panujący we wspólnym baraku jest nie do przyjęcia.

— Chyba nie myśli ksiądz serio, że mogę dokonać cudu — powiedział Grunert.

Równie kuriozalny był drugi epizod tego przedpołudnia. Sylwia nie chciała dalej uczestniczyć w próbach baletu, póki nie przyzna jej się tytułu solistki. — Mam do tego prawo — rzekła z dumą. — Ludzie byli zachwyceni moim *Tańcem arabskim*. A Pratzke także mówi, że należy mi się ten tytuł.

Ostatnią uwagę Grunert uznał za zbyt daleko idącą, zwłaszcza że padła w obecności całej grupy baletowej. Początkowo chciał przyznać Sylwii ten tytuł; ostatecznie jakie to miało znaczenie w obecnej sytuacji? Ale Sylwia naprowadziła go na pewną myśl. Za ten tytuł Pratzke musi zapłacić.

— Szanowna pani — rzekł do Sylwii — jestem skłonny uwierzyć w pani szczególne kwalifikacje, ale w naszym obopólnym interesie pragnę uniknąć podejrzenia, że tra ktuję panią wyjątkowo, co mogłoby spowodować przy krości.

— Wcześniej czy później — rzekła Sylwia stanowczo — nie da się tego uniknąć. Nas, artystów, nie można mierzyć zwykłą mieszczańską miarą. A wczoraj wieczorem zdałam sobie sprawę ze swego talentu. Dojrzałam w ciągu minionych lat, czuję się powołana do wielkich zadań. Dlatego muszę skorzystać z szansy: balet powinien dostosować się do mnie; następnym razem pragnę zatańczyć Śpiącą Królową i umierającego łabędzia.

Grunert z trudem powstrzymywał się od śmiechu. Ta pier-siasta i biodrzasta piękność o kwalifikacjach w sam raz dla podrzędnych nocnych lokali widać zasmakowała w powodzeniu; okłaski kilkuset mężczyzn oszołomiły ją jak alkohol. Prawdopodobnie sprawi Pratzkemu jeszcze niejedną niespodziankę. Ale tymczasem była wygodną figurą w grze.

Następnym, który tego przedpołudnia usiłował wyprowadzić Grunerta z równowagi, był Wollmann. Ten zasłużony kierownik warsztatów, który w ciągu kilku dni z burdel-taty i grabarza zmienił się w energicznego organizatora, aż pękał od nowych pomysłów.

— Przede wszystkim chcę ci powiedzieć — rzekł — że wśród materiałów z naszego wagonu znajdują się dwie małe skrzynki ze specjalnymi śrubami. Wilhelm, który się na tym zna, powiada, że to ważny detal do montowania głowic cylindrowych. Co z tym zrobić? Zwrócimy je, czy też po staramy się wymienić?

Grunert myślał przez chwilę. Miał pewien niejasny pomysł, ale go odrzucił, choć nie mógł się go całkiem pozbyć. Uśmiechał się przy tym chytrze. Wreszcie rzekł:

— Czy to wszystko, co masz mi do zaproponowania?

— Byłbym gotów bez wahania — rzekł Wollmann — przyjąć jeszcze stanowisko intendenta i dyrektora na czelnego.

— Naprawdę chcesz się poświęcić?

— Ktoś musi to robić — oświadczył Wollmann. — Sprawa wygląda tak: ty dajesz wskazówki artystyczne, masz do dyspozycji siły pomocnicze, dyrygentów, reżyserów, dramaturgów; potrzeba ci tylko kogoś, kto dopilnuje tego całego bajzlu, a nie znajdziesz lepszego organizatora ode mnie. W tej stajni świetnie się orientuję.

— O ile mnie pamięć nie myli, w tym wypadku zginął tylko jeden Wilhelm — rzekł Grunert.

— Ale jest jasne, że raczej nie możesz już liczyć na drugiego — odpowiedział Wollmann.

Grunert w towarzystwie Wollmanna udał się od razu do warsztatu, gdzie wrzała gorączkowa praca. Stanęli przy oknie wychodzącym na cmentarz i spoglądali na groby jeńców. Pracował tam samotnie Wilhelm. Z miłością uklepywał mogiłę ukochanego przyjaciela.

Grunert podszedł do Wilhelma, który nie słyszał jego kroków. Wyglądał deską powierzchnię kopca.

— Wilhelmie — rzekł Grunert spokojnie i bez wyrzutu — czy ty tego nigdy nie przebolejesz?

— Nie — odparł Wilhelm, nie podnosząc wzroku.

— Kiedy znów podejmiesz u mnie pracę?

— Nigdy — rzekł Wilhelm i spojrzał na Grunerta. Jego smutna twarz wyrażała łagodne, lecz stanowcze postanowienie. — Przykro mi, że cię rozczarowuję, ale nie mogę być tam, gdzie jest muzyka, tańce, śpiew i panuje wesołość. Za bardzo mnie boli przebywanie wśród ludzi, dla których śmierć Wilhelma jest tylko krwawym przypadkiem, o którym należy jak najszybciej zapomnieć, bo jest kłopotliwy. Czy ty to rozumiesz?

Grunert skinął głową. — A co chcesz teraz robić?

— Znaleźć winowajcę — odparł Wilhelm. — Czekać, aż znajdzie się winowajca. I ty mi w tym pomożesz. Przysięgłeś mi. Jak tylko będziesz wiedział, wyjawisz mi jego nazwisko.

— Jak tylko będę miał dowody.

— Zrobię wszystko, by ci pomóc — rzekł Wilhelm. Wstał, spojrzał na Grunerta raczej błagalnie niż rozkazująco. — Powiedz mi, co mam robić. Ale proszę, uwolnij mnie od tej całej głupiej, zakłamej, jałowej teatralnej krzątaniny.

Grunert spoglądał przed siebie, ponad grobami. Widział unoszące się i powiewające strzępy dymu i mgły, które z uporem, wciąż od nowa, ale daremnie, usiłowały otulić fabrykę traktorów. I rzekł raczej do siebie: — Musi-

my się odważyć rozbić tę klikę. — Niemal bezpośrednio potem zapytał: — Chyba dość dobrze znasz się na montażu traktorów, prawda?

— Trochę — odparł Wilhelm. — Moją specjalnością było montowanie bloków cylindrowych. Miałem zostać brygadzystą, ale nie należałem do kliky.

— Czy brak śrub może unieruchomić fabrykę?

— Tak, jeśli są to specjalne śruby produkowane przez zakłady kooperujące. Zwykłe śruby od biedy można produkować w naszych fabrycznych warsztatach. Dlaczego cię to interesuje?

— Jeszcze dokładnie nie wiem, wiem tylko tyle, że teraz spróbuję zarzucić kotwicę i znaleźć mocny grunt. Muszę go znaleźć, jeśli nie chcę ryzykować nowej, ostatniej już katastrofy. — Po czym Grunert udał się z powrotem do warsztatów. Tutaj Wollmann już na niego czekał.

— Niewykluczone — rzekł do niego Grunert — że zgodzę się na tę twoją propozycję i mianuję cię intendentem. Tymczasem możesz już działać w tej roli.

— Dobrze — rzekł Wollmann, jakby otrzymał zwykłe zlecenie na dostarczenie jeszcze trzech dodatkowych krzeseł. — Więc zgadzasz się, bym mianował artystów inspicjentami i puścił ich między poszczególne grupy jako czujne psy myśliwskie?

— Całkiem niezła myśl — rzekł Grunert z uznaniem. — Potem opracujesz ten plan szczegółowo.

— Krieger już przedtem tu węszył — powiedział Wollmann, jakby wiedział, co Grunerta szczególnie interesuje — i zaglądał w twoje gary.

— Znów był w warsztatach?

— Nie tylko, ciągnęło go szczególnie do Marii. Rozmawiał z nią całe piętnaście minut. Czy mamy na przyszłość ukrócić tego rodzaju próby zbliżenia?

Grunert natychmiast zaprzeczył. — Maria nie zasługuje na to, abyśmy jej nie ufali — rzekł. I od razu dodał: — Ale to nie przeszkadza w tym, żebyśmy uważali. Ostatecznie to jeszcze duże dziecko.

Grunert szybkim krokiem przemierzył szopę, wzrokiem szukając Marii. Stała z boku i wiernym psim wzrokiem

śledziła z uśmiechem każdy jego ruch. Ten irytujący widok sprawił, że Grunert przyspieszył kroku.

Odszukał Pratzkego. Leżał wygodnie na sienniku i odpoczywał po wydarzeniach poprzedniego dnia i wysiłkach ostatniej nocy. — Nie przeszkadzaj mi — rzekł do Gruner-ta. — Widzisz, że jestem zajęty.

— Ta twoja Sylwia jest nieprawdopodobną dziewczyną

— rzekł Grunert i przysiadł się do niego.

— Komu ty to mówisz!

— Chce koniecznie, by mianować ją solistką.

— Wiesz, Grunert — powiedział Pratzke z namysłem — znałem dużo kobiet, cholernie dużo, możesz mi wierzyć. Ale takiej jak Sylwia jeszcze nie spotkałem.

— Wierzę ci!

— Nie będę cię zanudzał szczegółami — rzekł Pratzke.

— Ale solistka to słabe określenie na to, co ona naprawdę potrafi.

— I nagle, unosząc się nieco, zapytał podejrzliwie:

— Czy nie chcesz sprawić jej tej przyjemności?

— Uważam — odparł Grunert z uśmiechem — że sam powinienes jej przekazać moją zgodę.

— Ale ile mnie to będzie kosztowało?

— Robię to z przyjaźni.

— A co ja mam zrobić dla ciebie z przyjaźni?

— Nic szczególnego, tylko drobiazg. Wilhelm nie chce już u mnie pracować.

— Czyżby śmierć jego miłości złamała mu serce artysty?

— zapytał Pratzke.

Grunert miał dość rozsądku, by nic na to nie odpowiedzieć. — Wilhelm chce wrócić do fabryki — rzekł — na dawne miejsce, na montaż bloków cylindrów. Czy możesz to załatwić?

— Jasne — rzekł Pratzke. — To najprostsza rzecz pod słońcem. Majster Aleksiej, któremu podlega ten wydział, niemal płakał, że zabrano mu Wilhelma. Narobi w portki z radości, jeśli on do niego wróci.

— Jako brygadzysta?

Pratzke spojrział na Grunerta zmęczonym wzrokiem. Stawiska brygadzystów były w fabryce zastrzeżone wyłącz-

nie dla kliki i Grunert o tym wiedział; jeśli mimo to wysunął takie żądanie, nie działo się to bez powodu.

— Jestem Wilhelmowi bardzo zobowiązany — pospieszył Grunert z wyjaśnieniem. — Pragnę, aby mu się dobrze wiodło, żeby miał dobre warunki. Zasluguje na współczucie, jest załamany.

— No więc dobrze. Ostatecznie nie jestem drobiazgowy. A jeśli moja Sylwia zostanie solistką, warte jest to stanowiska brygadzysty.

— Jeśli o mnie chodzi — rzekł Grunert — możemy Sylwię nazywać nawet primabaleriną.

— To brzmi całkiem niezłe — powiedział Pratzke zadowolony. — Po latach będę mógł powiedzieć, że miałem romans z primabaleriną, i to w Rosji.

— Myślisz, że ludzie od razu ci uwierzą — rzekł Grunert ubawiony.

— Z tobą daje się pracować — zapewnił Pratzke. — I nigdy nie będziesz mógł powiedzieć, że ci się nie zrewanżowałem. Dlatego dam ci wskazówkę, tylko po przyjacielsku: Krieger starał się dziś rano wleźć Grigorijowi w dupę, nie rezygnując ze swej wzorowej postawy, a to niemała sztuka.

— Chyba omawiali sprawy ogólne — rzekł Grunert, którego ta wiadomość zaniepokoiła.

— Możliwe — rzekł Pratzke przeciągle — ale niekoniecznie prawdopodobne. Krieger na tę rozmowę zabrał kilka kartek i o ile wiem, nie przyniósł ich z powrotem. A wśród tych kartek było oświadczenie złożone pod przysięgą, które wystawił twój dawny belfer; oświadczenie, w którym się stwierdza, że go wówczas zadenuncjowałeś. Nieprzyjemna sprawa, co?

Grunert poczuł, że musi sobie ulżyć, a jednocześnie posłuchać „głosu ludu”. Poszedł więc do latryny C. Pora była dogodna. Pierwsza zmiana skończyła pracę, robotnicy zjedli ciepły posiłek; teraz odbywały się swobodne rozmowy, które w obozie nazywano

„stolcem duchowym”. Miejsce, jakie sobie Grunert wyszukał, było jednym z ostatnich w rzędzie, bardzo dogodne i jeszcze nie zajęte. W ciągu kilku minut latryna była już pełna ludzi.

— Ta baba — rzekł ktoś marzycielskim tonem — miała tylek jak perszeron. Co za sztuka! Jeśli tak dalej pójdzie, to może i na nas przyjdzie kolej.

— Wykitować — to jedyne, co tu wolno. A jeśli sam tego nie potrafisz, to niektórzy koledzy ci dopomogą — narzekał ktoś inny.

— Zawsze widzisz wszystko czarno — robił mu wyrzuty ten pierwszy. — Może będziesz miał szczęście. Podczas tamtego wypadku tylko dwóch zginęło, trzeciego te łachudry nie mogły postawić na nogi, ale czterej pozostali mają się teraz jak panowie. Nie muszą pracować, wylegają się na pierwszorzędnych łózkach, mają lazaretową wyżerkę, zostaną pewnie zwolnieni wcześniej niż my wszyscy.

— Czy nie możesz zmienić tematu? — zawołał tamten oburzony.

— Nie — odparł marzyciel. — Dodatkowe ziemniaki to dobra rzecz, a jeśli do tego doszłoby jeszcze wygodne siedzenie, byłoby całkiem niezłe. Skaczące baby są również nie do pogardzenia. Ale nie ma nic lepszego niż niewielka katastrofa, która na resztę niewoli odstawiłaby cię w stan spoczynku.

Rozmowa ta, do której powoli przyłączali się inni jeńcy, ciągnęła się dalej. Koncentrowała się coraz częściej na występach baletowych, które najwyraźniej cieszyły się największym powodzeniem.

— Powoli — rzekł wodzirej — zaczyna nam się coraz lepiej powodzić. Jeszcze przed tygodniem wszystkie listy do obozu kobiecego trzeba było transportować jako papierowe łódki przez kanał odpływowy albo podczas nabożeństw przekazywać je z ręki do ręki. Dziś ten ogólny barak to istny urząd pocztowy.

— Biada nam — rzekł któryś — jeśli Sowietci to zauważą.

— Sowietci to nic w porównaniu z naszymi własnymi „opiekunami”! — zawołał któryś głosem spiskowca. — Wiercie mi, to śmierdzieć! A policjanci obozowi podobno

wyposażeni mają być w drewniane pałki — przeciwko komu? To chyba jasne!

Grunert wyszedł zamyślony. Nigdy chyba tak dużo i tak głośno w tym miejscu nie rozprawiano. To nie był dobry znak, bo zazwyczaj głównym tematem było wyjście na wolność, wspomnianie młodości, no i kobiety. Tym razem niektóre sformułowania wydały się Grunertowi wyraźnie podejrzane.

Opuścił obóz i udał się na teren fabryczny. Najpierw chciał się zatrzymać w komendanturze radzieckiej. Zajrzał do pokoju, gdzie siedział pisarz.

— Wejź, wejź — rzekł pisarz — nie ma tu nikogo z twoich przyjaciół — ani komisarza, ani Kriegera; już sobie poszli.

— Czy mieli naradę z komendantem? — zapytał Grunert.

— Jak idzie produkcja mebli? — zapytał pisarz.

— Jutro dostarczę — obiecał Grunert. — Przed wieczorem. Czy dostanę ciężarówkę?

— Do miasta? — zapytał pisarz wyczekująco. A kiedy Grunert twierdząco skinął głową, wyszczerzył zęby z zadowoleniem. A więc miały być dostarczone meble dla niego. — W porządku — rzekł. — A co do narady komendanta i komisarza, przy której był także Krieger, to możesz być średnio spokojny — przynajmniej na razie. To, czego major nie chce usłyszeć, tego woli nie słuchać.

— Czego na przykład woli nie słyszeć?

— To człowiek, który kocha kulturę. — Pisarz spojrzał w niebo. — I interesują go ludzie o zacięciu artystycznym.

— Czy pytał na przykład o Marię?

— To nie było potrzebne — odparł pisarz, zacierając ręce. — Krieger sam szczegółowo opowiedział mu o Marii, bez pytania. To wcale niegłupi facet, ten Krieger. Wcale by nie szkodziło, gdybyś spróbował być trochę mądrzejszy od niego, także pod tym względem. Bo major, mój drogi, jest jednak trochę ważniejszy od komisarza. A ponieważ Grigorij nie jest twoim przyjacielem, i chyba nigdy nie będzie, postaraj się przynajmniej zaskarbić sobie względy komendanta. Nie mówię tego ze względu na ciebie, Grunert, lecz chodzi mi o meble, mam bowiem słabość do kultury mieszkaniowej.

Tymi słowami pisarz pożegnał swego gościa, zapewniając raz jeszcze, że ciężarówka będzie podstawiona jutro wieczorem. Grunert wyszedł i zastanawiał się, do kogo teraz pójść. Zdecydował się na Katerinę.

Zastał lekarkę w lazarecie. Stała pochylona nad rannym i opatrywała mu ranę. Gdy spostrzegła Grunerta, szybko się wyprostowała, jakby chciała odrzucić włosy, które opadły jej na czoło. Wydawało mu się, że w jej oczach maluje się radość. Potem pracowała dalej.

Kiedy skończyła opatrunek, powiedziała: — Dość na dziś! — Niemiecki sanitariusz wyprowadził rannego. Katerina wygładziła fartuch i podeszła do Grunerta. Wyciągnęła do niego rękę. Zawahał się przez chwilę, bo miała na niej bransoletkę wykonaną przez niemieckiego jeńca, którą Grigorij dla niej zabrał.

Katerina jakby nie zauważyła jego wahania, jej oczy spoglądały przyjaźnie, uścisk dłoni był mocny. — Cieszę się — rzekła — że udał wam się ten wieczór.

— Niech pani za wcześniej mi nie gratuluje — rzekł Grunert ostrzegawczo. — Są ludzie, którzy potrafią wykonać potrójne salto na trapezie i wcale to im nie przeszkadza pośliznąć się na skórcie od banana i skręcić sobie kark.

Katerina wskazała mu miejsce i sama usiadła. — Jestem zadowolona, że wszystkie przypuszczenia, które początkowo mi się narzucały, nie sprawdziły się. Major jest zdania, że pan wraz ze swymi artystami bardzo nam pomogliście i nadal będziecie pomagać. Także dyrektor Grünbaum jest tego zdania.

— Niestety — rzekł Grunert ze smutkiem — nie wszyscy podzielają tę pozytywną opinię.

— Pan ma na myśli Grigorija — rzekła Katerina poważnie. — I niestety pod tym względem ma pan rację. Komisarz jest bardzo ostrożny. Nigdy nie było łatwo go przekonać. Na pewno ma swoje powody, że taki jest, ale nie znam ich.

— A ja sądzę, że je znam — rzekł Grunert ostrożnie. Spoglądał przy tym na Katerinę tak przyjaźnie, że nieco się zmieszala. Wyprostowała się, jakby broniąc się przed czymś, czego jeszcze nie знаła. Unikała jego wzroku, nie

odpowiedziała na jego przyjazne spojrzenie. Ale jej głos brzmiał trochę ciszej, kiedy powiedziała: — Czy zechce mi pan wytłumaczyć powody, które według pana sprawiły, że Grigorij jest taki ostrożny?

— Nie wiem — Grunert był mocno zmieszany — czy mogę odważyć się na szczerość.

— Proszę pana o to.

— No dobrze — zdecydował się Grunert. — Będę zawsze starał się czynić to, czego pani sobie życzy, nawet gdybym miał być źle rozumiany. Na pewno nie jestem doskonałym komunistą, a nawet gdybym nie wiem jak się starał, w tak krótkim czasie nie byłoby to możliwe.

— To prawda — Katerina była wyraźnie zadowolona z jego wypowiedzi, którą uznała za szczerą. — I dobrze, że zdaje pan sobie z tego sprawę.

— Uważam, że *to* rozumiałe — zapewnił Grunert.

— A tak doświadczony człowiek jak komisarz zapewne jeszcze szybciej doszedł do takiego wniosku. Nie może się już teraz spodziewać po mnie wspaniałych wyczynów komunistycznych. Na razie musi mu wystarczyć to, że się stał ram. A więc w tej dziedzinie nie należy szukać powodów jego niechęci. A tu chodzi o niechęć, którą określiłbym nawet jako wrogość.

— Proszę dalej.

— Być może Grigorij nie zgadza się z komendantem i dyrektorem. Ale że poza tym reprezentuje całkowicie odmienne poglądy — to daje do myślenia. Tu muszą istnieć jakieś szczególne powody.

— Jakie?

— No cóż — rzekł Grigorij przeciągle i długo zdawał się wahać, przy czym zmieszany wpatrywał się w podłogę.

— Mogłoby tu chodzić o polityczne nieporozumienie albo, co uważam za całkiem prawdopodobne, ale ledwie ośmiem lam się powiedzieć: o sprawę natury prywatnej.

— Dlaczego? — zapytała Katerina niemal podniecona; oddychała szybciej niż zwykle.

— Prosiła mnie pani o szczerość — rzekł Grunert z troską w głosie — i sądziłem, że nie powinienem się wahać i spełnić pani prośbę. Ale proszę mi pozwolić, bym na

razie pozostał przy tej politycznej różnicy zdań. Czy pamięta pani rozmowę, jaką odbyłem z komisarzem w pani obecności, tu, w tym pokoju? Wtedy ze strony Grigorija padły dość śmiało sformułowania, tak że nawet ja, laik, zdumiony zastanawiałem się, czy to świadoma prowokacja, czy rzadka chwila szczerości.

— Bardzo dobrze to pamiętam. I ja uznałam jego wypowiedź za szokującą.

— Czy on pani potem coś wyjaśniał?

— Nie, nie było sposobności.

— Ach tak!

— Miałam dużo pracy — rzekła Katerina ostrym tonem.

— Proszę mi wybaczyć! — zawołał Grunert. — Proszę zrozumieć moje zdenerwowanie. Staram się przekonująco wytłumaczyć to, co niepojęte. A że komisarz niewątpliwie jest człowiekiem mądrym, przypuszczam raczej, że nie chodzi tu o nieporozumienie natury politycznej, lecz całkiem innej.

— Niech pan mówi wyraźniej!

— Nie mam odwagi. Nie chcę, aby mnie pani źle zrozumiała. Nie mogę ryzykować, że stracę pani życzliwość.

— Mimo to niech pan mówi!

— No dobrze — rzekł Grunert ulegle. — Więc nie będę się wykręcał. Powiem z całą szczerością. Sądzę, że wrogość komisarza wynika z powodów osobistych.

Katerina wstała, Grunert wstał również z uprzejmym gestem proszącym o wybaczenie. Katerina zaczęła niespokojnie chodzić po pokoju. Wreszcie przystanąła i oparła się o drzwi, jakby chciała zagrozić mu wyjście. Spojrzała na niego rozkazująco: — Proszę mi to bliżej wytłumaczyć.

Grunert czuł, że jest spocony. Obawiał się, że za daleko się posunął. Nie wiedział już, czy Katerina jest oburzona, czy też zdenerwowana. Wiedział tylko jedno: że jest bardzo piękna i pociągająca z tymi swoimi dziko błyszczącymi oczami i rozplamioną twarzą, z wyzywającą postawą i jakby bezradnie zwisającymi rękami.

Jeszcze raz zmusił się do koncentracji; jeśli teraz, w tej chwili popełni jakieś głupstwo, będzie zgubiony. A może właśnie w ten sposób wszystko zyska. Jego twarz wyrażała bezradność.

— Niech pani myśli o mnie, co chce — rzekł szybko. — I choć to brzmi banalnie: jestem także człowiekiem, mężczyzną! Może pani nie spostrzegła tego, co spostrzegł Grigorij, albo nie uznała za możliwe. Jest pani w tym wypadku całkiem niewinna. Ale też nie może pani tego wykreślić.

— A co to jest? — zapytała Katerina cicho. I widać było, że dobrze zna odpowiedź i zdecydowana jest ją usłyszeć. — Czego nie da się wykreślić?

— Faktu, że panią kocham.

Katerina nie odezwała się. Odchyliła się, jakby szukając oparcia. Przymknęła oczy, sprawiając wrażenie znużonej.

— Widzę — rzekł Grunert — jakie to bezsensowne. Nie wolno pani odwzajemnić tej miłości, nawet gdyby pani te go chciała. Ale nigdy pani nie zechce. Bo, rzecz jasna, uczuciem darzy pani Grigorija nie mnie, nosi pani bransoletkę od niego.

Katerina otworzyła wielkie, lśniące oczy. Uniosła lewą rękę i uśmiechnęła się. Po czym prawą dłonią ujęła bransoletkę, odpięła ją i upuściła na podłogę.

W hali numer trzy fabryki traktorów „Czerwony Poranek” montowano silniki Diesla. Znów pracował tu Wilhelm. Aleksiej, władca hali, podczas pierwszych godzin nie spuszczał z niego wzroku. Wreszcie uznał, że może być pewny, iż ruszyła dobrze funkcjonująca maszyna.

Aleksiej był krępkim mężczyzną o smutnej twarzy foki.

— Wilhelm — powiedział — u nas teraz przywiązuje się wielką wagę do etosu pracy.

— A więc chodzi o podniesienie wydajności — rzekł Wilhelm i z namysłem spoglądał na specjalne śruby leżące w małych skrzynkach na krawędzi taśmy montażowej. Widział niedawno takie śruby: wypełniały dwie duże skrzynie. Znalaziono je w uprowadzonym wagonie i leżały teraz w kącie obozowego cementarza.

— Właśnie ponownie zmodernizowaliśmy cały zakład — rzekł Aleksiej niemal z dumą.

— Wreszcie zrozumieliście — odpowiedział Wilhelm — że chodzi o produkcję, a nie o narodowość czy legitymacje partyjne.

— Jesteśmy ludźmi bez uprzedzeń, jesteśmy najbardziej wielkodusznym i najbardziej postępowym narodem świata! — rzekł Aleksiej. — I dlatego nie wahamy się dawać takiej samej szansy jeńcom niemieckim, jak naszym własnym towarzyszom.

Wilhelm wiedział dokładnie, co to ma znaczyć: taka sama wydajność pracy, natomiast inne traktowanie, nie mówiąc już oczywiście o wynagrodzeniu. W ciągu tych niewielu dni, kiedy nie było go w fabryce, zaszły tu znaczne zmiany. Panowała podejrzana zasada współzawodnictwa: jeńcy niemieccy tworzyli własne grupy robocze i planowo wygrywano ich przeciwko grupom radzieckim, a każda z grup starała się ze wszystkich sił nie być gorsza od konkurencji. Produkcja więc rosła, powoli ale stale przekraczali normy.

— Oczywiście to wszystko jeszcze za mało — rzekł Aleksiej; bardzo pochlebiało mu uchodzenie za teoretyka. — Bo jeśli postawię dwie jednakowe grupy robocze na takim samym stanowisku pracy, które będą konkurować ze sobą, to każda z nich zadowolony się minimalnym wyprzedzeniem grupy konkurencyjnej. Przy tym marnują za dużo czasu na wzajemne obserwowanie się. Byłoby ideałem, gdyby cała zmiana niemiecka współzawodniczyła z całą zmianą radziecką.

Wilhelm powoli zaczął rozumieć, co się tu dzieje: w gruncie rzeczy chodziło o nakaz podniesienia produkcji, albowiem od jej stałego wzrostu zależało być albo nie być nie tylko całego obozu, lecz także dyrektorów, komisarza, jak również komendanta. I pod tą potężną presją podejmowano naciski i stosowano ulgi, które wydawały się niemal wielkoduszne, ale były niczym innym jak tylko wyrachowanymi posunięciami.

To więc było właściwym powodem tego, że Aleksiej powitał Wilhelma niemal ze wzruszeniem, kiedy ten został do niego przydzielony. Nie wahał się ani chwili, by wyzna-

czyć go na brygadzystę. Dotychczasowego brygadzystę, który w oczach Aleksieja był dociekliwym niemieckim uparciuchem, Pratzke na szczęście zabrał do siebie i zrobił go policjantem obozowym. Tak więc teraz Wilhelm był brygadzystą. A jego grupa montażowa nosiła dumną nazwę: Brygada Wilhelma z „Czerwonego Poranka”.

Aleksiej poklepał swego nowego pracownika po ramieniu. A ponieważ Wilhelm znał też dobrze rosyjski, Aleksiej oświadczył, że mu ufa i ma nadzieję, że nie zawiedzie on tego zaufania.

Po czym majster polecił swemu zaufanemu pracownikowi, aby poszedł z nim do magazynu. Wilhelm chętnie to uczynił.

— To tutaj jest szczególnie ważne — tłumaczył Aleksiej. Stali w szopie, gdzie piętrzyły się części przeznaczone dla hali montażowej numer trzy. — Zaopatrzenie musi działać bez zarzutu i zawsze tak u mnie działa. Te zapasy wystarczą na co najmniej czternaście dni roboczych.

Wilhelm rozejrzał się badawczo. Szybko znalazł to, czego szukał: zapas specjalnych śrub. Zaczął obliczać, podzielił zapas na dzienne porcje. — To się chyba nie zgadza — rzekł wreszcie.

Aleksiej również zaczął liczyć i podczas tej czynności krew uderzyła mu do głowy. Krzykiem wezwał magazyniera. Ten przywłókł się niechętnie.

Aleksiej zaczął wymyślać posługując się przy tym bogatym repertuarem słów zapożyczonym najwidoczniej od majora. Wreszcie przeszedł do sumienia, poczucia odpowiedzialności, honoru i partii. — To sabotaż! — wołał. — Sabotaż wobec macierzystego zakładu, sabotaż wobec Związku Radzieckiego, wobec naszej hali montażowej!

— Co się tu dzieje? — zapytał magazynier zaskoczony. Dopiero od niedawna był na tym stanowisku, nie należał do partii, a więc nie mógł sobie pozwolić na to, by lekceważyć starego, doświadczonego robotnika radzieckiego na ważnym stanowisku.

— Śruby specjalne typu „M-17”! — krzyczał Aleksiej wściekły. — Zapasu wystarczy najwyżej na siedem dni, a może tylko na pięć, jeśli produkcja dalej będzie rosła w tak szybkim tempie.

— To wykluczone — rzekł magazynier.

— Jak mam to rozumieć? — wykrztusił Aleksiej, jakby nie dowierzał własnym uszom. — Masz śmiałość wątpić we wzrost naszej produkcji? To podważanie etosu pracy, honoru naszej klasy robotniczej!

— Nie to miałem na myśli — tłumaczył się magazynier. — Śruby typu „M-17” zostały zamówione już przed czterema tygodniami. Przed trzema tygodniami przyszło potwierdzenie, przed dwoma zostały wysłane — więc musiały nadejść w ciągu ostatniego tygodnia.

— A nadeszły? — zapytał Wilhelm przyjaźnie, ale bez uśmiechu; tego się już zdążył nauczyć.

Aleksiej i jego magazynier nagle się uspokoili. Natychmiast zaczęli sprawdzać wszystkie papiery, co praktycznie oznaczało tyle, że magazynier przeglądał, zbierał i układał wszystkie dokumenty dla Aleksiej a.

Ten tymczasem wrócił z Wilhelmem do taśmy montażowej. — Widzisz — rzekł — jak ja tu muszę uważać i że potrzeba mi pracownika, na którym mógłbym polegać. W każdym razie miej oczy otwarte, to ci się opłaci. Dostaniesz potem bochenek chleba.

Tym chlebem Wilhelm podzielił się z Grunertem, kiedy po zmianie wrócił do baraku. Przekroił bochenek na dwie połowy.

— Czy ten facet nie ma tego więcej? — zapytał Grunert.

Wilhelm skinął głową. — Aleksiej ma układy prawie we wszystkich kołchozach w okolicy. Jest szefem tak zwanego ochotniczego komitetu przyjaźni.

— A to co znowu? — zapytał Grunert odłamując kawałek chleba.

— To jeden ze związków, jakie wymyśliła partia — odpowiedział Wilhelm. — Ma na celu popieranie sojuszu robotniczo-chołopskiego. W praktyce wygląda to tak: kiedy traktorzyści w kołchozach rozwalają swoje traktory, co dość często się zdarza, wtedy Aleksiej bierze do galopu swoich ludzi, którzy naprawiają szkody.

— Za żywność?

— Oficjalnie nie, bo to się robi z czystej przyjaźni. Ale Aleksiej to gość przy żłobie. Gdzie bowiem zdarza się naj-

więcej defektów? Przy silniku! A gdzie montuje się silniki? W hali numer trzy. A kto ma tam dostęp do wszystkich części? No więc! A pompę wtryskową, śruby czy uszczelki bardzo łatwo wynieść w teczce.

— Zastanawiam się — rzekł Grunert kładąc się na przy ccy — ile żywności dałby nowy traktor?

I podczas gdy Grunert patrzył przed siebie, widział w duchu, jak traktor zamienia się w żywą świnię, następnie w krowę, a obok krowy stoi beczka masła i wielka skrzynia chleba, w worku zaś tłusta kiełbasa.

— Wszystko to marnowanie czasu — rzekł Wilhelm głucho. Odwrócił się. Za nim wciąż jeszcze leżały rzeczy ukochanego przyjaciela starannie poskładane. — Chciałbym tylko spotkać faceta, który ponosi za wszystko winę, reszta jest mi obojętna.

— Wiesz — rzekł Grunert po cichu — jeśli w fabryce brakuje jednej ważnej części, której nie da się wykonać we własnym warsztacie, na przykład śruby „M-17” — to cała produkcja staje.

— I co wtedy?

— Wtedy szuka się winowajcy i znajduje się go. A na kogo mogłaby spaść lawina? Na niemiecką komendanturę i klikę Kriegera, która, jak wiadomo, ma w rękach wszystkie kluczowe stanowiska w fabryce! To mogłoby się stać, gdybyśmy zręcznie manewrowali i wykorzystywali każdą nadarżającą się okazję. Jeśli nam się uda, drogi Wilhelmie, to ustrzelimy przy tym tych, co zawinili. I zniszczymy ich.

— A więc tak zrobimy — rzekł Wilhelm.

Ale zanim mogli szczegółowo omówić rodzący się plan, przeszkodził im Wollmann. Oznajmił: — Przyjechała ciężarówka z tym samym kierowcą. Meble są już załadowane.

— W porządku — rzekł Grunert. — Wobec tego jedziemy.

— Czy mogę pojechać z wami? — zapytał Wollmann. — Chciałbym przy okazji załatwić parę drobnych sprawunków. Bo czas to pieniądz.

Grunert zgodził się. — Wprost trudno cię poznać, Wollmann — rzekł. — Wyglądasz ostatnio jak wielki przedsiębiorca, który w porę zrozumiał, że pieniądze leżą na ulicy.

— Od ciebie się tego nauczyłem — rzekł Wollmann. — A kiedyś także będę umiał dobrze mówić po rosyjsku; to oszczędzi ci wiele pracy. Bo musisz wiedzieć, że jak raz coś zacznę, to nie skończę tak prędko. Moje zakłady za wsze były wzorowe. Taką mam ambicję.

Podeszli do ciężarówki. Grunert przywitał się z artystami, którzy już siedzieli pod plandeką. Sprawdził ładunek. Potem zamienił kilka przyjaznych słów z kierowcą, który tym razem wyglądał szczególnie zawadiacko i na szczęście okazał się bardzo ograniczony. Pojechali do fabryki. Tutaj dosiadł się do nich pisarz komendantury, bez słowa, jakby wypełniał polecenie służbowe.

Opuścili teren fabryki. — Specjalny transport komendantury. Nie kontrolować! — zawołał pisarz do wartownika. Pojechali w stronę miasta. Zapadał już zmierzch. Reflektory oświetlały zniszczoną drogę, a ich słabe światło ślizgało się po przydrożnych brzozech.

Miasto składało się z szeregu drewnianych domów, wśród których wznosiły się betonowe bloki. W skąpym oświetleniu przypominały groteskowy obrazek z bajki.

Miasto żyło z kilku fabryk; wśród nich znajdował się „Czerwony Poranek”. Było ono miejscem przeladunku produktów rolnych, miało nowoczesne ciężkie więzienie, pałac kultury, siedem kin, koszary i cztery obozy szkoleniowe. Ludzie na ulicy poruszali się obojętnie.

Dom, w którym mieszkał pisarz, był mały i dość zniszczony. Pulchna kobieta o przyjaznych oczach i dwójka ciekawskich dzieci w podnieceniu czekały już pod drzwiami. Na ich widok pisarz przyjął wobec jeńców ostry wojskowy ton; krzyczał, wskazywał, rozkazywał, wyraźnie chciał zaimponować rodzinie. Żona i dzieci patrzyły na niego z dumą i uznaniem. Meble szybko rozładowano, znikły we wnętrzu domu wśród okrzyków zachwytu całej rodziny.

— Załatwione — rzekł pisarz — jesteście wolni! — I dodał po niemiecku, zwracając się do Grunerta: — Pierwszorzędna robota! — Po czym znikł.

— No — rzekł Wollmann — a teraz do rzeczy.

— Co chcesz zrobić? — zapytał Grunert.

— To, co najlepsze — zapewnił Wollmann, artyści zaś się roześmieli.

— No dobrze — rzekł Grunert zaciekawiony, czuł bowiem, że Wollmann aż się pali, by zademonstrować swe szczególnie umiejętności. — Pokaż więc, co potrafisz. Dam się zaskoczyć.

Kiedy ciężarówka ruszyła, Wollmann oświadczył: — Pracujemy ściśle według twoich metod, Grunert. Wszystko zostało dokładnie zaplanowane i wypróbowane. Twoja rola polega na tym, by obaj Rosjanie — kierowca i konwojent, jechali przed siebie. Resztę załatwimy sami.

Kierunek jazdy, jaki podał Wollmann, Grunert przekazał kierowcy. Temu było całkiem obojętne, dokąd pojedzie, konwojentowi również.

— Nasz nieszczęśny Wilhelm — wyjaśnił Wollmann — na krótko przed śmiercią podczas jednej z wypraw po żywność odkrył w bocznej uliczce stolarnię, która nie pracuje pełną parą. Chcemy tam wypożyczyć kilka narzędzi.

— Tylko bez żadnych wybryków — ostrzegł Grunert.

— Oczywiście bez gwałtu, najwyżej siłą — zapewnił Wollmann prostodusznie.

Zatrzymali się przed parkanem, za którym było podwórze. W otwartej szopie leżało kilka stosów desek, za szopą, z warsztatu dochodziły słabe odgłosy pracy.

Wollmann rzekł: — Teraz uważaj, Grunert, twoja szkoła! — Powiedział to bez szczególnego nacisku, raczej mimochodem.

Akcja przebiegała niemal bezgłośnie. Akrobaci, zonglerzy i magicy z „żywym pociskiem" na czele weszli na podwórze. Dwóch otworzyło bramę i zabezpieczyło ją. Dwaj inni otworzyli szerokie drzwi do warsztatu i założyli haczyki. Następnie weszli do środka.

Grunert bez zdziwienia śledził dokładnie przebieg akcji. Potem usłyszał kilka słów, które brzmiały tak: „W imieniu Armii Czerwonej". Widocznie było to wszystko, czego nauczono artystów po rosyjsku. Grunert uznał, że dość tego przyglądania się. Pospieszył, by przyłączyć się do zabezpieczenia akcji. Postawił przy bramie strażnika i nakazał kierowcy, by wjechał tyłem na podwórze. Przy sposobności

spojrzał na numer wozu i oznakowanie grupy. Obydwa oznaczenia były mocno zabłocone, a więc nieczytelne.

Wewnątrz warsztatu pod fachowym kierownictwem Wollmanna zaczęto demontować maszyny i zbierać narzędzia. Wollmann chciał przede wszystkim zabrać piłę i heblarkę, a także stół stolarski. Poza tym wziął serię wiertel, dłut i pras do drewna.

Obaj stolarze stali osłupiali. Jeden odważył się zaprotestować. Wollmann odprawił go swoim stereotypowym: „W imieniu Armii Czerwonej”, co zrobiło wrażenie. Darował sobie dalsze informacje. A ponieważ miał na sobie, podobnie jak jego towarzysze, stary rosyjski płaszcz wojskowy, oświetlenie zaś było bardzo skąpe, mógł przypuszczać, że przez jakiś czas będą mogli bezpiecznie działać. Dobrze zgrana brygada transportowa pracowała gorliwie.

Protestujący Rosjanin podszedł do Grunerta. — Nie możecie tego zrobić — rzekł.

— Owszem, możemy — odparł Grunert. — Jak widać, możemy.

— Złożymy zażalenie.

— Składajcie. Obawiam się, że będzie to bezcelowe.

— Dlaczego to robicie?

— Tu te narzędzia są mniej potrzebne niż gdzie indziej

— odparł Grunert uprzejmie. Podziwiał przy tym swoich ludzi, którzy zwijali się, by jak najszybciej zakończyć zała dunek.

Strażnik przy bramie jakby znieruchomiał. Kierowca siedział znudzony za kierownicą. Wollmann zawołał: — Nie zapomnijcie pasa transmisyjnego!

Kiedy Grunert zobaczył, że protestujący stolarz opuścił podwórze, widocznie w poszukiwaniu pomocy, zarządził:

— A teraz koniec! Zapuścić silnik. Zdjąć wartość. Wsiadać. Wollmann usiłował zaprotestować. Ma co prawda maszyny i narzędzia, ale nie może zostawić tych pięknych desek, zbutwieją tu, co z pewnością nie jest zgodne z planem pięcioletnim. Grunert rzekł krótko: — Nie! — kazał ruszać i skręcić w prawo.

— To zły kierunek! — zawołał Wollmann. — Trzeba je chać w lewo.

— Głupcze! — rzekł Grunert. — Właśnie dlatego, że obóz położony jest na lewo, kazałem skrócić w prawo.

Zrobili mały objazd, ominęli główną drogę i powoli pojechali w stronę obozu. Kiedy już byli za miastem, Grunert przesiadł się do WoUmanna i jego ludzi. Śmieli się głośno, widać któryś z nich opowiedział szczególnie dobry dowcip.

— Jak nowicjusze! — rzekł Grunert z naganą w głosie.

— Nie wolno wam było powiedzieć ani słowa po niemiecku. Teraz będą wiedzieli, kto to zrobił.

— Spokojna głowa — Wollmann z trudem powstrzymał śmiech. — W tej okolicy jest dużo niemieckich jeńców. Pracują w obozach szkoleniowych, przy uprzątnięciu ulic i w okolicznych kołchozach. I chyba nikomu nie przyjdzie do głowy przypuszczać, że byli to ludzie z „Czerwonego Poranka”. Bo w końcu nasza fabryka traktorów jest dumą kraju, a maszyn i tak jest pod dostatkiem. — I znów się roześmiał, a artyści mu zawtórowali.

Grunert potrząsnął głową. Jego żywa wyobraźnia nie pozwoliła mu podzielać triumfu kolegów.

— Gdybyś wiedział, cośmy tymczasem odkryli — rzekł Wollmann — pękłbyś ze śmiechu.

— A cóż takiego odkryliście?

— Grunert — powiedział Wollmann — trzymaj się mocno. — Prawie wszystkie maszyny i narzędzia, które zabraliśmy, pochodzą z Niemiec! A więc po demontażu dokonaliśmy tylko niewielkiego montażu.

— Spróbuj to wytłumaczyć Sowietom — rzekł Grunert.

— A szybko zrozumiesz, że twój śmiech jest przedwcześnie.

Tak kiedyś ponury wspólny barak stał się niemal atrakcyjnym miejscem, w którym wrzało jak w ulu. Scena miała teraz zaciąganą kurtynę, na którą naszyto śmiejące się i płaczące maski z żółtego płótna. Kulisy były dwukolorowe, czerwono-żółte, aby wywo-

łać wesoły nastrój, i niebiesko-zielone do uroczystych programów.

Ściany wygładzono i wybito owym papierem do pakowania, który miał być wykorzystany do gotowych traktorów. Ale nikt tego nie kwestionował, bo te niezwykle tapety pomysłowy artysta zamalował niecodziennymi obrazami. Ich tematem było ściśle powiązanie traktorów ze sztuką.

Były tam więc olbrzymie pięciolinie, na których zamiast nut tańczyły walca piękne traktory. Dalej widoczna była postać na wzór Wallensteina, który swym traktoem w bardzo efektywny sposób mijał wrogów. Była tam też Królowa Śnieżka i siedem krasnoludków, które jako żwawi traktorzyści walczyły z czarownicami. I wreszcie był doktor Heinrich Faust, który rozmyślał w swym gabinecie nad konstrukcją traktora.

Te arcydzieła wzbudziły wielkie uznanie. Inżynierowie z fabryki przybyli wraz z gośćmi, aby je obejrzeć. Wykonano pocztówki z reprodukcjami tych obrazów, przygotowywano nawet specjalny katalog.

Wollmann przechadzał się wśród tych cudów dumny jak paw. Ze zgnuśniałego trumniarza przeobraził się w niemal eleganckiego mężczyznę, bo w swej pracowni krawieckiej kazał sobie uszyć bardzo modnie wyglądający garnitur.

Jego ulubionym miejscem w tym baraku było dość szerokie podium obok sceny. Widział stąd całą salę, a także część warsztatów. Tutaj niby pan na zamku mógł ze swej wieży obserwować krzątanie artystów odbywających próby. Tu słyszał ożywiony hałas i pilnował, by nikt nie próżnował i nie prowadził towarzyskich rozmów.

Szczególną nieufność budziła w Wollmannie działalność tak zwanego zespołu teatralnego. Jeden z reżyserów wciąż tylko gadał, ale był chyba jedynym, który sprawiał wrażenie, że jest całkowicie zajęty pracą. Dwie, trzy osoby wypowiadały dziwne, górnolotne słowa. Cała reszta aktorów gapiała się przed siebie albo czytała książki, tak jakby czytanie było pracą. Widok ten denerwował Wollmanna i mobilizował go do zdwojonej czujności. Zmuszał się jednak do tego, by przestrzegać wskazówek Grunerta.

I kiedy tak pilnował swych poddanych, zobaczył Kriegera. Rozglądał się, szukając kogoś. Potem wydawało się, że dostrzegł tego, kogo szukał. Podeszedł do Marii z serdecznym uśmiechem i wyciągniętą dłońią.

— Zawiadom Grunerta — rzekł Wollmann bez chwili wahania. — Lis znów zakradł się do kurnika.

Wollmann powiedział to do jednego ze swoich artystów, który jako strażnik i goniec siedział na dolnym stopniu podium. Teraz wstał, by odszukać Grunerta, i był pewien, że go znajdzie w warsztatach, gdzie najchętniej przebywał.

Także Wollmann opuścił tymczasem swój tron. Podeszedł do Kriegera i Marii, którzy odsunęli się nieco na bok, jakby prowadzili ważną poufną rozmowę. Wollmann, zwracając się do Kriegera, rzekł: — Nasz drugi program, który poświęcony jest wesołej muzyce, będzie dziś grany po raz ostatni. Dla trzeciego programu przewidujemy jeszcze trzy powtórki.

— Dobrze — rzekł Krieger niechętnie.

— Program pierwszy natomiast — oświadczył Wollmann, który postanowił przerwać tę najwidoczniej prywatną rozmowę — wieczór Czajkowskiego, będzie w przyszłym tygodniu pokazany cztery razy w kantynie fabryki i dwa razy tu, na miejscu.

— Dobrze — rzekł Krieger.

— Jeśli cię to nie interesuje, to w przyszłości chętnie zrezygnujemy z informowania cię o szczegółach...

— Owszem, interesuje mnie, ale nie teraz!

— Czyżbym przeszkadzał?

Tak zazwyczaj opanowany Krieger nie znalazł odpowiednich słów, kosztowało go wiele trudu, by pokonać zdziwienie z powodu agresywności Wollmanna. Wpływ Grunerta był okropny, wydawało się naprawdę konieczne usunięcie go. — Posłuchaj — rzekł — przyjmij wreszcie do wiadomości, że nie pozwolę sobie przeszkadzać, nawet tobie.

— Jak chcesz — rzekł Wollmann zaskakująco łagodnie, bo spostrzegł, że nadchodzi Grunert.

Grunert skinął głową wiernemu sojusznikowi. Spojrzał badawczo na Marię, po czym stanął przed Kriegerem. — Co cię do nas sprowadza?

— Nic, co by ciebie obchodziło — odparł Krieger oschle.
— Czy rzeczywiście nie powinno mnie to obchodzić, Mario?
— zapytał Grunert.

Spoglądali na siebie wszyscy troje, nieufnie, jakby zaczajeni. Każde z nich czekało na to, aż ta druga osoba zacznie mówić, nikt nie chciał być pierwszy. Dokoła panował hałas.

— Wcześniej czy później — rzekł Grunert — i tak się dowiem.

— Możliwe — powiedział Krieger.

Maria spoglądała na obu mężczyzn, którzy stali naprzeciw siebie jak czupurne koguty; początkowo była zdziwiona, potem zaczęło ją to bawić. Pragnęła dowiedzieć się czegoś więcej, niż oni chcieli zdradzić. — Dlaczego właściwie nie mówimy o tym otwarcie — zapytała. — Czy to tajemnica albo coś podejrzanego?

— Oczywiście że nie — odparł Krieger od razu, chcąc być panem sytuacji. — Mówiliśmy o sprawie, która co prawda jest do pewnego stopnia interesująca, ale bez szczególnego znaczenia.

— Tym lepiej — rzekł Grunert. — Dlaczego więc wahasz się mi to wyjaśnić?

— Wcale nie — odparł Krieger. — Nie ma mowy o wahaniu. Jeśli nie uznałem za konieczne powiedzieć ci o rym, to dlatego, że nie dotyczy to ciebie osobiście. Taką przynajmniej mam nadzieję.

— Podejrzanie dużo kręcisz — stwierdził Grunert. — A chyba nie chcesz, bym się stał podejrzliwy?

Maria cofnęła się trochę, jakby z daleka chciała się lepiej zorientować, o co chodzi. Oparła się o ścianę. I stąd ubawiona obserwowała spór o swoją osobę, który stawał się coraz gwałtowniejszy.

— To wszystko jest bardzo proste — rzekł Krieger niemal obojętnym tonem. — Komendant radziecki ma zamiar zatrudnić u siebie niemiecką siłę pomocniczą. To byłoby dobre i opłacalne zajęcie. Pomyślałem więc o Marii.

— Bawisz się w stręczyciela! — zawołał Grunert z oburzeniem.

Krieger lekko drgnął. Jego usta jeszcze bardziej się zacisnęły. Wsunął ręce do kieszeni kurtki i rzucił badawcze spojrzenie na Marię; wydawało się, że odczuwa ulgę, albowiem Maria nadal się uśmiechała.

— Grunert — rzekł teraz Krieger zduszonym głosem — miałbym ochotę dać ci w gębę za twoją cyniczną uwagę. Ale co by to miało za sens?

— Bardzo słusznie — odparł Grunert, starając się także opanować wzburzenie.

— Obecnie — rzekł Krieger — uznałem, że lepiej będzie, ze względu na Marię, odpowiedzieć szczerze na twoje podejrzenia.

— To chyba najlepsze, co możesz zrobić.

— Naturalnie. A może myślałeś, że z wściekłości wycofam się po twoich impertynencjach, abyś mógł spokojnie narzucić Marii swoje zdanie?

— Niekoniecznie tego oczekiwałem, ale całkiem nie traciłem nadziei.

— To nie jest jedyna nadzieja, którą będziesz musiał pogrzebać — zapewnił Krieger. — Ale do rzeczy: gdyby ktoś z naszych szeregów pracował bezpośrednio u radzieckiego komendanta, byłoby to dla nas dużą pomocą.

— Ale dlaczego właśnie Maria ma służyć do twoich szpiegowskich celów?

— Nie podoba mi się to sformułowanie, Grunert.

— Bo też wcale nie ma ci się podobać.

— Major sam — rzekł Krieger, który postanowił nie dać się odwieść od tematu — pomyślał o stworzeniu takiego miejsca dla kogoś zaufanego i sam pomyślał, by to miejsce dać Marii. Oczywiście w interesie naszej społeczności nie odradzałem mu tego, lecz przyklasnałem. I także wobec Marii z naciskiem podkreśliłem swoje zdanie. Nie ma to nic wspólnego ze stręczycielstwem. Maria może się zgodzić albo odmówić — to wyłącznie jej decyzja.

— Ale mocno jej doradzałeś, by się zgodziła.

— Oczywiście!

— I serio twierdzisz, że wierzysz w to, jakoby major tylko dlatego chciał zatrudnić Marię, by mieć lepszy kontakt

z jeńcami? Chyba nie jesteś aż tak naiwny, by myśleć, że będzie jej dyktował listy czy grał z nią w szachy.

— To chyba moja sprawa — wtrąciła Maria nagle. — Jeśli nie mam na coś ochoty, to tego nie robię. Ostatecznie czasy gwałtów minęły. Dziś grozi za to ciężkie więzienie. Poza tym major jest człowiekiem kulturalnym, więc czego miałabym się obawiać?

— Oszalałaś? — zawołał Grunert.

— A czy twój stosunek do lekarki jest zasadniczo czymś innym? — zapytała Maria po cichu.

Grunert umilkł zmieszany. Spojrzał na Marię niemal bezradnie, ale ona unikała jego wzroku, wciąż obrażona, jakby nie był wart, by zwracać na niego uwagę. Grunert zaś zaczął się zastanawiać, skąd ona wie o czymś, co było dotychczas tajemnicą wyłącznie dwojga ludzi.

Krieger natychmiast spostrzegł zmieszanie Grunerta, ale zastanawiał się długo, co go do takiego stanu ducha doprowadziło; ze zwykłym zdecydowaniem natychmiast podjął rozmowę: - - Tak jest! — zawołał. — Maria nigdy nie pozwoli się zmusić do czegoś, do czego nie jest przekonana. A gwarantuję, że będzie miała moje poparcie w takim stopniu, w jakim to się okaże potrzebne.

— Przecież nie możesz tak się dać sprzedać, Mario — rzekł Grunert niemal żalonym tonem.

— O tym nie może być w ogóle mowy! — zawołał Krieger. — I nie staraj się mierzyć Marii swoją miarą. Bo Maria nie szuka osobistych korzyści. Należy do tych niewielu ludzi, którzy dobrze wiedzą, co to jest obowiązek i odpowiedzialność wobec wspólnoty. Cóż wy, pozbawieni moralności realności, wiecie o tym, co dzieje się w idealistycznie nastawionej istocie?

— Chyba nie wierzysz, Mario, w tę gadaninę? — zapytał Grunert.

— Wierzę w to, co wiem — odparła Maria i szybko ominęła go wzrokiem.

— Jakże niewiele w gruncie rzeczy Grunert wie o nas wszystkich — rzekł Krieger. Czuł wyraźnie, że pozycja przeciwnika z jakichś powodów jest mocno zachwiana. — Twoje myśli, Grunert, są niezdrowe, bo nie rozumiesz już,

co oznacza ojczyzna i wspólnota narodowa. Chcesz tylko wygrywać! Nie pojmujesz, że trzeba ponosić ofiary, świadomie i z całą bezinteresownością. Powiem wyraźniej: nie jesteś już prawdziwym Niemcem.

— Zaczynam już mieć dość tych twoich komplementów — rzekł Grunert gniewnie.

— Każdy z nas — rzekł Krieger wzniosłym tonem — musi uczynić wszystko, co jest w jego mocy, jeśli chcemy przeżyć. A potęga kobiet zawsze była wielka w sytuacjach, kiedy tylko im wiadomymi metodami i środkami osiągały rezultaty niemożliwe do osiągnięcia siłami męskimi. Dalila pokonała Samsona, Judyta unieszkodliwiła Holofernesa, Cezar klęczał przed Kleopatram, a Napoleon ustąpił przekonany przez królową Luizę.

— A Maria ma unieszkodliwić majora, czy tak uważasz, ty świnię?

— Będzie mogła uczynić dla nas wszystkich dużo dobrego — zapewnił Krieger tonem wyższości. — I to tylko mądrością, uwagą i przebiegłością. Nikt nie wymaga od niej ofiary cielesnej. Królowa Luiza także nie musiała się poświęcać. To, że spodobała się majorowi, o niczym nie świadczy. W końcu Maria wszystkim się podoba, a nigdy nie zapomnielibyśmy o należnym jej szacunku. Sądzę, że Maria to wyraźnie czuje. I dlatego jestem przekonany, że teraz się nie zawaha i wyrazi zgodę.

— Może naprawdę będę mogła pomóc bliskim mi ludziom — powiedziała Maria. — I spojrzała przy tym na Grunerta. Ale on miał opuszczoną głowę i wpatrywał się w podłogę.

— A więc nie zwlekajmy — rzekł Krieger radośnie i po ciągnął Marię za sobą.

Grunert nie spojrzał za nimi. Wśród hałasu i ożywionego ruchu poczuł się osamotniony, jakby znalazł się na bezludnej wyspie. Wydawało mu się, że stoi zmarznięty na dworze, z dala od ostatniego człowieka, w którym mógł pokładać nadzieję.

Ale niedługo pozostawał sam. Nadszedł Wollmann. Ten zazwyczaj taki ważny władca baraku był błądy i zdenerwowany, głos mu drżał z oburzenia i wściekłości. — Mam tego dość! — zawołał.

— Co znowu się stało? — zapytał Grunert i wydał się sobie niczym Hiob, na którego spadają nieszczęścia. Nie mógł pojąć, co tak na ogół gruboskórnego człowieka jak Wollmann mogło wyprowadzić z równowagi.

— To bydlę, tę Sylwię — zażądał — trzeba natychmiast wyrzucić.

— Znowu się stawia?

— Przeciwnie, usiłowała mnie uwieść.

— Iz tego powodu tak się denerwujesz? — zdziwił się Grunert. I roześmiał się, ale raczej smutno; po poprzedniej rozmowie stan jego ducha nie pozwalał na wybuch wesołości. — Czy ten fakt nie powinien ci sprawiać satysfakcji?

— Jestem starym, siwym, szacownym mężczyzną, mam dzieci i wnuki. Poza tym jestem tu osobą szanowaną. A ta dziwka zachowywała się tak bezczelnie, że mało mnie szlag nie trafił. Co tu gadać — niewiele brakowało, żeby mnie zgwałciła, i to zaraz po tym, kiedy ją złapałem z drugim kapelmistrzem. Na skrzyni do instrumentów.

— Miejmy nadzieję, że nie uszkodzili instrumentów.

— Tę dziwkę trzeba wyrzucić — zażądał Wollmann.

— Nie tak zaraz, Wollmann — rzekł Grunert. — Ostatecznie od początku byliśmy przygotowani na niejedno. I nie zapominajmy, że jest ona protegowaną Pratzkego.

— Trzeba więc wytłumaczyć Pratzkemu, że to dziwka — rzekł Wollmann nieprzejednany. — Niech jej urządzi burdel, ale niech z nas nie robi sutenerów.

— Dawniej byłeś o wiele bardziej tolerancyjny.

Ale Wollmann nie dał się ułagodzić. — Wszystko we właściwym czasie — rzekł. — Wtedy było to kwestią ceny, ale dziś ta dziwka psuje nam opinię. A robi to z czystej kalkulacji. Od kapelmistrza chciała szczególnie efektywnej oprawy instrumentalnej, ode mnie — specjalnej oprawy; jak tak dalej pójdzie, zabierze się do ludzi od świateł, żądając, by tylko na nią kierowali reflektory.

— Nie wiem doprawdy, jak mam to powiedzieć Pratzkemu — rzekł Grunert z namysłem.

— Ja także nie wiem. Ale musisz to zrobić. Bo jedno

z nas musi odejść — ona albo ja. Muszę tego żądać, jeśli nie chcę stać się pośmiewiskiem. I jedno ci powiem: jeśli tej dziwki nie utracimy, zrobi z nas wszystkich błaznów.

Lisia twarz pisarza komendantury przypominała teraz twarz szczura. Chodził niespokojnie po poczekalni majora jak w klatce. Od drzwi do okna i od okna do swego biurka, na którym leżało pismo z tutejszej policji. Czekał na Grunerta.

Grunert wiedział, że pisarz czeka na niego niecierpliwie, i dlatego się nie spieszył. Odszukał Wilhelma w hali montażowej; w dalszym ciągu trwały tam gorączkowe i bezskuteczne poszukiwania śrub. Potem chciał się zobaczyć z Kateriną, ale przeprowadzała właśnie skomplikowaną operację i nie wolno jej było przeszkadzać. Grunert sądził, że świadomie go unikała, i nie mógł się zorientować, czy to dobry, czy zły znak.

Powoli, puszczając wodze swym pogmatwanym myślom, Grunert udał się wreszcie do komendantury. Tutaj pisarz rzucił się na niego z sykiem: — Wszystko się zgadza! — zawołał.

— Jeśli wszystko się zgadza, wobec tego wszystko w porządku — odparł Grunert nieporuszony; postanowił się nie poddawać.

— Czas dokładnie się zgadza! — zawołał pisarz i wyciągnął ku niemu oskarżającym gestem jakąś kartkę. — Typ ciężarówki też się zgadza. I liczba ludzi.

— No to powinieneś się cieszyć — rzekł Grunert. Wyjął kartkę z ręki pisarza i popatrzył na nią bez zbytniego zainteresowania. Zastanawiał się, jak ten szczwany lis przyjął jego „ty”; ale urzędnik jakby nie zauważył tego podejrzenia poufalego zwrotu.

— Naprawdę obrobiliście stolarnię?

— Nie obrobiliśmy, tylko wypożyczyliśmy z niej kilka przedmiotów — skorygował Grunert uprzejmie.

— To jest kradzież! — zawołał pisarz przerażony. To napad rabunkowy. Zapłacisz za to głową.

— Ja? — zapytał Grunert przeciągle.

Pisarz zrozumiał. Liczył się z tym, że będzie mu można zarzucić pośredni współudział, ale że ten Grunert uzna jego dowiedzioną współpracę za rzecz najbardziej naturalną pod słońcem, tego się nie spodziewał. Zatkąło go. Oczy mu zabłyśły z wściekłości.

— Czy mam mówić wyraźniej? — zapytał Grunert uprzejmie. — Bo gdyby wykryto, kto wypożyczył maszyny i narzędzia, zaczęto by dociekać, kto podstawił ciężarówkę z konwojentami i w jakim celu.

— Wiem to! — zawołał pisarz ze złością. — Nie musisz mi tłumaczyć.

— Tym lepiej — powiedział Grunert. Pisarz wobec swych przełożonych nie mógł sobie pozwolić na przyznanie się do wypożyczenia żołnierzy i samochodu Armii Czerwonej i do tego, że wykorzystał swoje stanowisko dla osobistych korzyści.

— Mam wielką ochotę — oświadczył — posłać was na szubienicę, ale jestem tylko człowiekiem.

— I to jakim człowiekiem!

— I dlatego tym razem będę was bronił. Złożę meldunek, że w czasie, o który chodzi, żaden pojazd ani nikt z personelu nie opuszczał terenu fabryki czy obozu. Czego to ja dla was nie robię!

Grunert się roześmiał. — Jak cię znam, to ani ciężarówki, ani konwojentów nie zażądałeś oficjalnie — w końcu masz swoje dobre układy. A więc całe przedsięwzięcie nie zostało nigdzie zarejestrowane. Jeśli coś wyjdzie na jaw, czemu za wszelką cenę postaram się zapobiec, od ciebie będą się chcieli dowiedzieć, w jakim celu był ten kurs i dlaczego nie został zarejestrowany. Nie chciałbym się wówczas znaleźć w twojej skórze. Bo może się okazać, że my, bezradni, zniewoleni wskutek pobicia jeńcy staliśmy się ofiarami pozbawionego skrupułów funkcjonariusza.

Pisarz bezsilnie opadł na krzesło.

— Żebyśmy się dobrze zrozumieli — mówił Grunert

wielkodusznie dalej. — Nie chcę stoftttWaĆ Bi&ntttitf. tylko zależy mi na ścisłej współpracy.

— Czego więc jeszcze chcesz?

— Do tej budy przyjdzie pewna dziewczyna, nazywa się Maria. Uważaj na to dziecko. Bo gdyby jej się coś przydarzyło, coś nieprzyzwoitego, wtedy dobrowolnie zgłoszę się jako ten, kto ogołocił stolarnię — choć byłoby mi bardzo przykro z twojego powodu.

Z tymi słowy Grunert opuścił pisarza. Był przekonany, że w przyszłości w komendanturze radzieckiej jego słowa znajdą większy posłuch niż dotąd. I jako mały dowód wdzięczności postanowił, że każde szczególnie starannie pomalować szafę przeznaczoną dla pisarza.

Poszedł powtórnie do lazaretu i zapytał o Katerinę. Ale lekarka nie mogła go przyjąć, bo, jak mu powiedziano, ma następną operację. To nie była wymówka; kiedy Grunert się o tym przekonał, odszedł z ulgą i udał się do obozu kobiet.

Matka Simoneit wydawała się go oczekiwać. Wyszła od razu ze swego baraku i rzekła: — Spodziewałam się tego, Grunert, ale ty nie chciałeś mi wierzyć. To skandal!

— Dalej więc — rzekł Grunert — niech się pani nie krępuje i opowie mi najnowsze skandaliczne historie.

— Daj mi dojść do słowa — rozkazała Simoneit. — Ostrzegałam cię przed Sylwią.

— Ach! — zawołał Grunert z odrazą. — Niech pani sobie da z nią spokój, i tak się ją wyleje z hukiem. Tylko jeszcze nie wiem kiedy.

— Nie przerywaj mi. Ostrzegałam cię nie tylko w związku z Sylwią; przede wszystkim chodziło mi o to, by nie pakować Sylwii i Hannelore do jednej grupy. No i teraz wyszedł klops!

— Kto komu wydrapał ślepią?

— Tej Sylwii — opowiadała Simoneit — coś się nie udało. Aby się odegrać, wyladowała całą złość na Hannelore, która siedzi w pracowni krawieckiej. Sylwia początkowo wyśmiewała się z ciężarnej, potem zaczęła ją obrzucać ordynarnymi wyzwiskami, wreszcie Hannelore straciła panowanie nad sobą i dała jej w twarz.

— Tylko raz? — zapytał Grunert trochę rozczarowany.

— Wtedy Sylwia rzuciła się na nią i tłukła jak szalona; z trudem mogliśmy j'ę rozdzielić. A teraz zapowiada się przedwczesny poród.

— A gdzie ona jest?

— U mnie. Kazałam ją położyć na moim łóżku. — Simoneit była zadowolona z widocznego współczucia i zainteresowania Grunerta. — Czy możemy liczyć na pomoc lekarską? Przedwczesny poród nigdy nie obywa się bez komplikacji.

— Zaraz porozmawiam z lekarką — zapewnił Grunert. — I o ile ją znam, na pewno pomoże.

Simoneit skinęła głową i trochę się uspokoiła. — I jeszcze coś, Grunert. Kto jest ojcem dziecka? Chciałeś to wytropić; udało ci się? Powinieneś wiedzieć, że Hannelore nie tylko ci ufa, ona w ciebie wierzy. Byłaby szczęśliwsza, byłoby jej o wiele lżej, gdyby dziecko miało ojca.

— Załatwimy ojca dla tego dziecka — zapewnił Grunert niemal uroczyście.

— Jeśli ci się to uda — rzekła Simoneit z ulgą — to cię chyba uściskam. Na co jeszcze czekasz? Hannelore powinna jak najszybciej znaleźć się w lazarecie, a ojciec powinien się dowiedzieć, jakie szczęście go czeka; to naprawdę będzie spory kawał roboty!

Grunert skinął głową i szybko odszedł. Po raz trzeci udał się do lazaretu. Spotkał tu niemieckiego zarządcę i poprosił o widzenie z Kateriną.

— Ona operuje — brzmiała stereotypowa odpowiedź.

— Powiedz jej, że to pilna sprawa.

Zarządca wyglądał jak chuda, zmęczona szkapa; a najwidoczniej zależało mu na tym, by uważać go za wyścigowego konia. Zmierzył Grunerta niemal pogardliwym wzrokiem. — Co ty sobie myślisz? Tutaj nie hebluje się stołów, tu się operuje ludzi. U nas to sprawa życia i śmierci.

— Dla ciebie to również sprawa twojego koryta — odparł Grunert ostrym tonem. — I jeśli natychmiast nie pójdziesz, to już niedługo pozostaniesz na tłustym lazaretowym wikcie. A więc jazda! Chcę się widzieć z le karką.

— Ależ, mój drogi — zarządca wyraźnie złagodniał i starał się być uprzejmy. Szybko zrozumiał, że nie ma sensu, a może nawet jest niebezpieczne, manifestowanie swojej wyższości wobec tak wpływowej osoby jak Grunert.

— Wiem, że lekarka od razu by cię przyjęła, gdyby miała czas. Ale ona naprawdę operuje i w takim wypadku nie wolno jej przeszkadzać.

— Ale to bardzo ważne.

— Czy chodzi o chorego? Jeśli tak, to będę mógł podjąć odpowiednie kroki. Zawsze tak robię, kiedy lekarka jest nieobecna albo, tak jak teraz, nie wolno jej przeszkadzać. A więc śmiało możesz zwrócić się do mnie, zrobię, co będę mógł. — Po czym jakby z lekka uśmiechnął się do Grunerta i rzekł: — Twoje życzenia zostaną oczywiście uwzględnione, a będzie to z pewnością po myśli lekarki.

— No dobrze — rzekł Grunert po krótkim wahaniu — Chodzi o pacjentkę. Przedwczesny poród.

— Co!? — zawołał zarządca zaalarmowany.

— Kobieta będzie rodzić.

— Wykluczone!

— Nic na to nie poradzisz.

— Wykluczone, żebyśmy ją do nas przyjęli! Takiego przypadku regulamin lazaretu nie przewiduje, wierz mi! Orientuję się w tym bardzo dobrze. Nic się na to nie poradzi. Nawet major nie może zmienić tego regulaminu; nawet on musi mieć zezwolenie generała — a o ile jestem dobrze poinformowany, nigdy nie starano się o taką zgodę, a więc zarządzenie nigdy nie zostało uchylone.

— Zamknij się — rzekł Grunert ostro. — Podczas gdy ty wygłaszasz głupi monolog, kobieta być może się wykrwawia.

— Spełniam tylko swój obowiązek.

— Natychmiast zwolnisz łóżko i pošlesz dwóch sanitariuszy do obozu kobiet. Jest to twoim psim obowiązkiem.

— To nie jest moim obowiązkiem — bronił się zarządca.

— To sprzeczne z regulaminem lazaretu. I ani myślę robić coś wbrew przepisom. Mogę ci tylko dać dobrą radę: po czekaj, aż lekarka skończy operować.

— Jak długo to może potrwać?

Mężczyzna wzruszył ramionami, był obrażony i uznał dalsze słowa za zbędne. Zaczął przerzucać kartki brulionu i udawał obojętnego. — Poza tym — rzekł wreszcie — nie mamy wolnego łóżka.

Grunert ruszył zdecydowanym krokiem; szedł korytarzem w stronę pomieszczenia, gdzie przeprowadzano operacje. Spojrzał na tabliczkę na drzwiach; napis po rosyjsku i po niemiecku brzmiał: „Operacja! Wstęp wzbroniony!”

Ostrożnie otworzył drzwi i wszedł. Kilka par oczu spojrzało na niego z wyrzutem. Zamknął za sobą drzwi i podszedł do stołu operacyjnego. — Co to ma znaczyć! — napadł na niego niemiecki lekarz.

— Nie przeszkadzaj sobie — rzekł Grunert. Obszedł do koła stół i stanął naprzeciw Kateriny.

Lekarka miała prawą rękę zanurzoną w brzuchu pacjenta, przesuwając ją ostrożnie, widocznie chciała coś uchwycić, przytrzymać i przesunąć. Pracowała intensywnie, jej ruchy były spokojne, oczy zmrużone. Czoło pokrywały krople potu.

Grunert spoglądał na nią z ukrywanym podziwem i wzruszeniem. Głęboka powaga malująca się na jej twarzy sprawiała, że była przerażająca, a zarazem budziła współczucie.

— Chyba się udało — rzekła wreszcie z trudem. Jej ręka jeszcze raz zanurzyła się ostrożnie w jamie brzusznej operowanego, by sprawdzić położenie jelit. Potem szeroko otworzyła oczy. A kiedy ujrzała Grunerta, na jej jakby zastygłej twarzy pojawił się cień uśmiechu.

— Niewielu mogłoby się z panią porównać, pani doktor — rzekł niemiecki lekarz, który jej asystował, ze szczerym podziwem. — Znam tylko jednego lekarza, który ważył się na tego rodzaju zabiegi, ufając wyłącznie swemu wyczuciu — był to profesor Spatz z Królewca.

Katerina teraz się uśmiechnęła i sięgając po następny instrument rzekła: — Czytałam wszystko, co opublikowano o profesorze Spatzu, on jest dla mnie wzorem. I zawsze żałowałam, że polityczne konstelacje nie pozwoliły mi studiować czy nawet pracować u niego.

— Czy operacja już skończona? — zapytał Grunert.

— A **czy** coś się stało? — odpowiedziała Katerina pytaniem, nie przerywając pracy.

— W obozie kobiet leży kobieta; krwawi. Chyba przedwczesny poród.

— Czemu nie przywieziono jej do lazaretu? — zapytała Katerina, jakby to było samo przez się zrozumiałe.

— Ten przemądrzalec zarządca nie chce jej przyjąć. Twierdzi, że regulamin lazaretu nie przewiduje takiego przypadku. Poza tym nie ma wolnego łóżka.

Katerina podniosła wzrok; jej oczy uśmiechnęły się do Grunerta. — Łóżko w moim pokoju jest wolne. Za dwadzieścia minut skończę ten zabieg, wtedy zajmę się ciężarną. Zadowolony?

— Bardzo — zapewnił Grunert z wdzięcznością. Wy szedł, by dłużej nie przeszkadzać lekarce w pracy.

W korytarzu wpadł na czatującego, z lekka zmieszanego zarządcę. — Pospiesz się, gnojku! — zawołał do niego. — Twój regulamin można podrzeć na strzępy i porozwieszać w latrynie. Teraz chorzy są ważniejsi niż paragrafy.

— Widać wywarłeś na niej mocne wrażenie — rzekł mężczyzna kwaśno. — Jesteś niezastąpiony. Biuro komisarza również cię poszukuje; Grigorij chce się z tobą widzieć.

— Jaka szkoda — rzekł Grunert po krótkim namyśle — że nie mogłeś mi przekazać tego wezwania; niestety byłem już nieosiągalny. Zrozumiałeś? Bardzo się spieszę i nawet nie mam czasu, by pozbawiać cię twojej wygodnej posady.

Grunert szerokim łukiem ominął biuro komisarza. Poszedł przez stację załadunkową do komendanta radzieckiego. Tutaj w poczekalni rezydował pisarz, którego lisa twarz jakby się skurczyła na jego widok.

— Jesteś sam? — zapytał Grunert zyczliwie. — Nie chcę ci oczywiście przeszkadzać, ale będę rad, jeśli poświęcisz mi małą chwilę.

— Czego znowu ode mnie chcesz? — zapytał pisarz.

— Chcę tylko z tobą pogawędzić — zapewnił Grunert i przysiadł na biurku. — Gdybyś wiedział, drogi przyjacielu, ile rzeczy w ostatnim czasie się na mnie zważyło, współczułbyś mi, zapłakałbyś nade mną.

— Nie sądź. Zresztą tę sprawę ze stolarnią udało mi się odkręcić. Na razie z tej strony nie należy się niczego obawiać.

— Istny skarb z ciebie — zapewnił go Grunert radośnie. — Bądź nadal taki. Ale czy przypadkiem nie wiesz, czego chce ode mnie komisarz?

— Chce cię wykończyć — rzekł pisarz z triumfalnym uśmiechem. — A jeśli się to komukolwiek może udać, to tylko jemu.

— Szkoda by było wówczas nas obu — rzekł Grunert z udaną beztróską. — Jeśli idzie o mnie, nie jest to takie straszne, ale ty masz żonę i dzieci, bardzo udane dzieci; poza tym masz dom i piękne meble. Ale nie martw się, jeśli będziemy się trzymać razem, nic nam się nie powinno stać. Musimy temu zapobiec. I dlatego dobrze by było, gdybyś wywęszył, co Grigorij ma przeciwko mnie.

— Obym cię nigdy nie spotkał! — wykrztusił pisarz żalonym tonem.

— Nie powinienes tak mówić. Ja osobiście błogosławię dzień, kiedyśmy się spotkali. Czy masz coś do picia?

— Butelka stoi w szafie na dokumenty.

— Zabiorę ją — rzekł Grunert. Otworzył szafę i bez trudu znalazł butelkę. — Na szczęście jest jeszcze pełna. Dziękuję ślicznie. Nie omieszkam wypić za twoje zdrowie. I możesz być pewien, że ta wódka posłuży dobrym celom. Wzbudzę dzięki niej ojcowską zazdrość.

Grunert poklepał pisarza po ramieniu i niezwłocznie ruszył do wspólnego baraku. Tutaj polecił jednemu ze swoich zaufanych ludzi, członkowi arabskiej grupy skoczków z Saksonii, aby poszedł do Pratzkego i poprosił go „na szklaneczkę” do tylnego pomieszczenia warsztatów, w którym Woll-mann urządził sobie dość luksusowe „biuro konstrukcyjne”.

Pratzke przybiegł z wywieszonym językiem, bo na wódkę nie trzeba go było dwa razy zapraszać.

— Serdecznie gratuluję! — zawołał — widzę, że znalazłeś nowe źródło — trzeba to uczcić. I jedno ci zdradzę: nie istnieje nic równie ważnego jak wódka. Za butelkę wódki nawet radziecki wartownik będzie ci salutował.

Grunert napełnił dwie szklanki, które wyjął z kieszeni spodni. Były to szklanki z komendantury.

— Stajemy się coraz bardziej wytworni! — zawołał Pratzke.

— Pozwalamy sobie na coraz większą swobodę — rzekł Grunert i trącił się z Pratzkem. — Ale nie zbliżyliśmy się ani o krok do wolności.

— Czy źle się czujesz? — zapytał Pratzke. — Brzuch cię boli, masz szum w uszach, a może wzrok ci się mąci? Niejeden z nas to miewa. To sprawa ogólnego niedożywienia. Prowadzimy tu pieski żywot, nawet ja nie jestem codziennie najedzony.

— Czasami — Grunert znów napełnił szklankę — zastanawiam się, czy te wszystkie moje wysiłki mają jakikolwiek sens.

— Jeśli od czasu do czasu zdobędziesz butelkę wódki, to znaczy, że życie jeszcze nie całkiem straciło sens.

— Możliwe — ciągnął Grunert dalej — że tobie czy mnie udaje się niekiedy ulżyć swemu bytowaniu; i kilku innym także. Może nawet stu pięćdziesięciu ludzi, a więc cały oddział K-5, ma uczucie, że życie ostatnio stało się dla nich bardziej znośne. Ale cóż to jest! Wegetuje tu pięć tysięcy osób. I jest to niemal zdrada wobec tych pięciu tysięcy, kiedy garstka stara się, w końcu ich kosztem, wygodniej i syciej żyć.

— Może potrzebna ci kobieta?

— Aby do rozczarowań normalnego życia dołączyć jeszcze kłamstwo tak zwanej miłości?

— To prawda! — zawołał Pratzke, chwytając butelkę. To szczerza prawda.

— No widzisz — Grunert udał współczucie — nawet człowiek twojego formatu nie jest pozbawiony udreki. Któż może twierdzić, że rozumie świat? Ty wyglądasz świetnie, jesteś przystojnym mężczyzną, masz wpływy i władzę, poza tym tryskasz siłą i energią, jesteś wytrzymały...

— Wszystko się zgadza — zapewnił Pratzke ze skromną dumą.
— A mimo to — rzekł Grunert znacząco.
— Tak. — Pratzke się skulił. Alkohol sprawił, że jego doświadczenia życiowe wydały mu się dramatyczne. — Ta Sylwia to moja ruina.
— Nie jest ciebie warta. — Grunert chętnie odstąpił Pratzkemu większą część wódki. — I mimo jej wyjątkowych kwalifikacji...
— O tak, ona je niewątpliwie ma — zapewnił Pratzke z przekonaniem.
— ...nie jest kobietą odpowiedniego formatu.
— Nie jest mnie godna — zgodził się Pratzke. Albowiem szacunku, jaki czuł do samego siebie, nie zdołała umniejszyć nawet taka przykra porażka. — Brak jej najistotniejszych cech: wierności, poczucia honoru i dumy. Jest jak kocica, jak suka w czasie rui...
— Przejrzałeś ją na wylot — rzekł Grunert. — Mężczyzna mniejszej klasy zaczęłyby teraz narzekać, ale nie ty. Poznałeś prawdę i jesteś gotów wyciągnąć z tego konsekwencje.
— Jakie konsekwencje? — Pratzke znów spojrzał poządliwie na wódkę.
Grunert udał, że się zastanawia. — Kiedy to wszystko się kiedyś skończy, kiedy i ja będę miał wojnę za sobą i znów znajdę się w ojczyźnie, kupię sobie domek gdzieś wśród lasów albo w górach, nad samotnym jeziorem. Rozejrzę się wówczas za kobietą i założę rodzinę. Bo czyż może być coś wspanialszego niż wolność, przyroda i dzieci?
— To niezłe, owszem — przyznał Pratzke bez przekonania.
Grunert napełnił szklanekę Pratzkego i zachęcił go do wypicia.
— Ciebie niełatwo pokonać — rzekł. — Ty uporasz się ze wszystkimi problemami. A jeśli zechcesz, to i Sylwia przestanie dla ciebie istnieć.
— Ale przedtem spiorę ją po pysku. — Tę całkiem usprawiedliwioną potrzebę Grunert skwitował przyzwalającą milczeniem. Potem rzekł: — Jesteś tu w obozie szanowaną osobą, kimś więcej niż tylko zastępcą niemieckie go komendanta. No i oczywiście masz wrogów.

— Drżą przede mną!

— Możliwe. Ale jedno jest pewne, że nie tylko twoi wrogowie, ale też przyjaciele są zgorszeni twoim stosunkiem do tej wulgarnej osoby. Rzecz jasna, nikt nie miałby ci za złe, gdybyś się od czasu do czasu zabawił. Ale w tym wypadku nie wzięłeś pod uwagę tego, co najbardziej imponuje Niemcowi.

— A co to takiego?

— Godność. Niemiec pragnie być człowiekiem godnym, szczęśliwym, troskliwym i wiernym ojcem rodziny. Wzorowe życie prywatne zawsze wzbudza w ludziach zaufanie i szacunek. To jest kierunek, jaki powinieneś obrać. Albowiem pewnego dnia, a być może ten dzień nastąpi wkrótce, zostaniesz komendantem obozu.

— Wszystko pięknie — Pratzke ciężko dyszał — ale ostatecznie nie żyjemy tutaj w normalnych warunkach. Nie da się stworzyć rodzinnej idylli.

— A dlaczego nie? — zawołał Grunert z pozornym entuzjazmem.

— Czy zamierzasz kpić sobie ze mnie? — zapytał Pratzke, którego nigdy nie opuszczała podejrzliwość.

Grunert nalał resztę wódki do szklanki Pratzkego. — Zapomniałeś o dobrej, poczciwej Hannelore? To kobieta bliska sercu naszego narodu: prosta, zdrowa i w sposób naturalny piękna — idealny typ budzącej zaufanie matki i żony. I teraz, być może właśnie w tej chwili, rodzi dziecko.

— Już teraz? — Pratzke był zaalarmowany. — To coś nie tak.

— Przedwczesny poród — uspokoił go Grunert. — A teraz spróbuj sobie wyobrazić taką sytuację. Jedna z naszych kobiet rodzi dziecko, pierwsze dziecko w naszym obozie, oczywiście na tym dziecku skupi się cała nasza sympatia; nawet najbardziej zatwardziali mężczyźni zmiękną i wyrażą zgodę, jeśli się zaproponuje, by cały obóz przejął opiekę nad noworodkiem. Ale największe współczucie i największy szacunek będzie udziałem matki, która w takich okolicznościach dała życie wspaniałemu dziecku. Biedna, dzielna matka — będą mówić. I oto przychodzisz ty; i jednym niezrównanym gestem bierzesz matkę i dziecko pod swoją

osobistą opiekę; jako człowiek honoru przyznajesz się do ojcostwa.

— Wcale nieźle to brzmi — stwierdził Pratzke.

— Zastanów się nad tym — rzekł Grunert i wyszedł pod pretekstem załatwienia jakiejś sprawy. Przeszedł przez warsztaty, teraz zamienione w garderoby dla artystów; odbywało się właśnie wieczorne przedstawienie. Na scenie pianista grał *Sonatę księżycową*. Prawie tysiąc osób patrzyło przed siebie rozmarzonym wzrokiem.

— Grigorij cię szuka — szepnął Wollmann.

— Szkoda, że nie może mnie znaleźć. Wyjdę tylnym wyjściem, muszę jeszcze pójść do lazaretu; być może pozostanę tam całą noc.

— Czy aż tak daleko sprawy zaszły? — zapytał Wollmann, chcąc dodać: między tobą a lekarką.

Ale myśli Grunerta były już przy Pratzkem i Hannelore, dlatego skinął potakująco: — Dziś w nocy być może wszystko się rozstrzygnie.

Wrócił do biura, gdzie Pratzke siedział w nie najlepszym nastroju i zamyślony gapił się przed siebie.

— No i co? — Grunert udał wesołość. — Zastanowiłeś się?

— Czy masz jeszcze więcej wódki? — Kiedy Grunert zaprzeczył, Pratzke zapytał: — A jeśli to wcale nie moje dziecko, to co wtedy? Jeśli spojrzy na mnie azjatycki bękart? Na tym świecie wszystko jest możliwe. A ja nie chciałbym stać się pośmiewiskiem.

Grunert westchnął ciężko. Z całym poświęceniem i przekonaniem zaczął wyliczać zasługi i zalety Pratzkego. Wychwalał jego szczególną osobowość, którą niewątpliwie odnajdzie w dziecku. Oczywiście nie musi kupować kota w worku, niech sobie obejrzy noworodka, zasięgnie rady przyjaciół i ekspertów, a potem się zdecyduje. — Chodźmy do lazaretu.

— Możemy zaryzykować? Czy lekarka nie wyrzuci nas na zbity łeb?

— Jeśli ja będę przy tym, to nie wyrzuci.

— To Katerina zrobi dla ciebie wyjątek? — Pratzke na stawił uszu zdziwiony.

— Myślę, że tak.

Pratzke patrzył na człowieka, którego uważał za swego najbliższego sojusznika, ze wzrastającym zainteresowaniem. Imponowała mu sprawa z Kateriną. — Nie sądziłem — powiedział — że ktokolwiek tego dopnie. Do tego potrzeba odwagi. Ale nie należy lekceważyć wynikających z tego korzyści.

— Bardzo cię proszę, abyś nie rozumiał tej sprawy opacznie — poprawił go Grunert. — Lekarka jest bardzo przychylna moim wszelkim poczynaniom, nic więcej. Może nawet istnieje pewna wzajemna nić sympatii, ale nie ma to nic wspólnego ze stosunkiem osobistym.

— Rozumiem, rozumiem — zapewnił Pratzke mrugając okiem. — Znałem kiedyś pewną damę, która nawet w łóżku kazała mówić do siebie „łaskawa pani”. A do mnie zwracała się „Otokarze”, bo tak nazywał się jej mąż. Ale żarty na bok. Powiedziałeś przedtem, że jestem odpowiednim człowiekiem na stanowisko komendanta tutejszego obozu. Czy to był żart?

— Mówiłem jak najbardziej serio — zapewnił Grunert. — W tej sprawie zawsze możesz na mnie liczyć.

— Wobec tego — rzekł Pratzke żywo — mam nadzieję, że twoja lekarka swoją sympatię ku tobie w tym szczególnym przypadku przeniesie również na mnie. Majora także uda nam się wspólnymi siłami przekonać. No to naprzód, zobaczymy, co tam przyniósł bocian.

Informacja, że chodzi o szczególnie skomplikowany poród, ani na chwilę nie zaniepokoiła Pratzkego. Na razie czuł respekt i ufność, albowiem lekarka nie zawahała się wpuścić nocnych gości do lazaretu. Spojrzała na obu życzliwie, na Grunercie zatrzymała wzrok nieco dłużej, następnie umieściła ich w sali operacyjnej i kazała poczekać.

— Jeszcze się nie zaczęło — powiedziała najwidoczniej dobrze usposobiona. — Ewentualni ojcowie i inni interesanci proszeni są o cierpliwość.

Pratzke mrugnął do Grunerta porozumiewawczo i z uznaniem. Po czym zaczął przeszukiwać pokój; zaglądał do szafek na instrumenty, pod stół operacyjny i do wiadra na odpadki.

— Nędzna buda — rzekł rozczarowany. — Sala operacyjna bez alkoholu, czy coś takiego w ogóle jest możliwe?

— Czyś się zastanowił, jakie imię nadasz swemu dziecku?

— Jasne. — Pratzke odsunął nieco szafkę od ściany; miał wrażenie, że jest od tyłu otwarta; wsunął tam rękę i poma cał. — Jeśli to będzie chłopak, dam mu na imię Peter, a jeśli dziewczynka, nazwę ją Petra. Peter Pratzke, to brzmi całkiem nieźle.

Grunert skinął głową z pewnym niepokojem obserwując aktywność Pratzkego, która w dodatku powodowała hałas.

— Jeśli koniecznie musisz się pokrzepić wódką — rzekł — to po co tyle zachodu? Zwróć się od razu tam, gdzie bije źródło, ostatecznie jeden z twoich ludzi jest tu zarządcą.

— Posłuchaj — odpowiedział Pratzke z naganą — nie po trebęję wódki do pokrzepienia. Ale może pragnę powitać to radosne wydarzenie na sposób, że tak powiem, starogermański. W każdym razie niech ten typ tu przyjdzie!

Grunert natychmiast spełnił życzenie Pratzkego. Był zadowolony, że ten oschły, grubo ciosany urzędniczyzna wpadnie w łapy Pratzkego. Poszedł do biura, gdzie zarządca miał w nocy swoje legowisko; leżał otulony w nowe koce, na czystym pościeliu i lekko chrapał.

Grunert zbudził go i przekazał polecenie Pratzkego. Mężczyzna wstał posłusznie i ruszył przed siebie, mrużąc przekleństwa. Począł przez korytarz i wszedł do sali operacyjnej.

Pratzke dobrze znał swoich ludzi i wiedział, jak należy z nimi postępować. Nie zaczynał od żadnych wstępów ani grzeczności. Rzekł prosto z mostu: — Przynieś nam coś do picia.

— Chyba nie alkohol? — zarządzający udał oburzonego.

— Przyjacielu — rzekł Pratzke ostrzegawczym tonem — chyba nie powiesz mi, że nie jesteś gościnnie? Macie tu na pewno masę alkoholu. A ty jesteś chłoptasiem, którego

umieściłem przy żłobie. Albo załatwiłeś sobie wódkę i nie chcesz jej dać spróbować — byłoby to w najwyższym stopniu niekoleżeńskie. Albo nie odlałeś alkoholu dla siebie i przyjaciół — a to znaczy, że jesteś idiotą. Ja zaś nie potrzebuję ani niekoleżeńskich współpracowników, ani wyjątkowych głupców. Zrozumiałeś?

Zarząda widać dobrze zrozumiał. Wybiegł z sali i po kilku minutach wrócił. Przyniósł pękata butelkę po lekarstwie do połowy wypełnioną zielonkawo połyskującą cieczą. Były to rozpuszczone w alkoholu cukierki miętowe. Kilka torebek takich „cukierków od kaszlu” znaleziono ostatnio przypadkiem w lazarecie i zarządca zarekwirował je dla siebie, co uznał za słuszne; jak bowiem podzielić kilka setek cukierków między pięć tysięcy jeńców?

Pratzke zabrał butelkę, powąchał i spróbował. — Wcale nie jesteś taki niezguła, jak się obawiałem — rzekł. Następnie kazał zarządcy odejść, oczywiście bez butelki.

Pili obaj z Grunertem z przyjemnością, na razie w milczeniu. Potem Pratzke zaczął wychwalać pomysłowość i talenty organizacyjne wybranych przez siebie ludzi; taką wódkę pił tylko we Francji. Grunert opowiadał o chrzcinach, na jakie był kiedyś zaproszony w Bawarii, piwo lało się tam strumieniami, a na uroczystość upieczono połowę wołu.

— Kiedy już do tego dojdzie, będziemy się musieli zadowolić prosiakiem — rzekł Pratzke.

— Gdyby nam się udało opylić na lewo nowy traktor, — a jest to możliwe, zbadałem już teren, wtedy moglibyśmy sobie pozwolić na uroczystość, jaka niecodziennie się zdarza nawet w Bawarii. Jak już zostaniesz ojcem, upieczemy całego wołu na rożnie. Poza tym urządzimy specjalne przedstawienie.

— Miejmy nadzieję, że naprawdę jestem ojcem tego dziecka. — Widać było, że Pratzke powoli zaczyna wcielać się w nową rolę, do czego wydatnie przyczynił się alkohol.

Zanim przyszła lekarka, upłynęło dość dużo czasu, a zielonkawy płyn w butelce prawie znikł. Katerina wyglądała na bardzo zmęczoną, ale zadowoloną. Uśmiechnęła się do Grunerta i rzekła: — No to udało się!

— Niczego innego się nie spodziewaliśmy — Grunert odpowiedział na jej uśmiech.

— To oczywiście chłopak — rzekł Pratzke powoli; wiedział, że teraz nastąpi decydująca chwila.

Katerina skinęła głową lekko ubawiona. — Żaden mężczyzna nie ma pojęcia, ile cierpień musi znieść kobieta. Jest to męka i zarazem wyzwolenie. Jeśli tylko jest iskierka nadziei, przetrzymamy wszystko.

— Czy się bała? — zapytał Pratzke.

— No wiesz! — zawołał Grunert. — Hannelore jest silną, zdrową kobietą, prawdziwą matką. Zasługuje na podziw.

— Dziecko jest zdrowe — rzekła Katerina. — Matka czuje się dobrze.

— Czy można zobaczyć chłopca? — zapytał Pratzke.

Katerina zgodziła się i wyszła. Pratzke wzmocnił się, wychylając resztę zielonkawego płynu. Grunert wydawał się zamyślony, uznał, że Katerina zmieniła się w niezwykle, zaskakujący sposób.

— Już niejedną burzę przeżyłem — rzekł Pratzke. — Ale w końcu jest się tylko człowiekiem.

Lekarka znów się pokazała. Otworzyła szeroko drzwi i wpuściła panią Simoneit, która niosła na rękach zawiniątko. Była to pomarszczona, czerwona istotka. Jasny skrzeczący głosik rozległ się w pokoju.

Obecni spojrzeli na Pratzkego. Ten niemal ze strachem wpatrywał się w dziecko, jakby to była bomba zegarowa. Wszyscy milczeli w oczekiwaniu, że Pratzke jako domniemany ojciec pierwszy przemówi.

— Czy to prawdziwy człowiek? — zapytał wreszcie.

— Chyba pan zwariował! — zawołała Simoneit oburzona. — To pytanie należałoby raczej zadać mając na myśli pana. To wspaniały dzieciak! Widziałam w życiu dużo noworodków, ale żaden wcześniak nie był taki silny i zdrowy.

— Czy naprawdę tak pani sądzi?

Pratzke spojrział bezradnie na Grunerta. Ten także zaniemówił na widok noworodka. Nie miał doświadczenia w tym względzie, a jego zazwyczaj tak żywa wyobraźnia tu akurat zawodziła.

— Wspaniały — rzekł jękając się — wspaniały!

— Nigdy jeszcze nie słyszałam u niemowlęcia tak silnego głosu — rzekła Simoneit.

— To chyba po mnie — oświadczył Pratzke.

— Także kolor oczu ma po panu — rzekła teraz Katerina, która gotowa była przyłączyć się do tej dość zabawnej gry. I uśmiechnęła się do Grunerta.

— W ogóle — odezwał się teraz Grunert, który odrzucił wszelkie hamulce — uważam, że chłopak jest podobny do ciebie jak dwie krople wody, taki sam stanowczy podbródek, mocne pięści. No i włosy!

— To on ma już włosy? — zapytał Pratzke, wciąż jeszcze bezradny i w coraz większej rozterce. Mimo najlepszych chęci nie mógł się doszukać podobieństwa między niemowlęciem a sobą, ale gotowość uwierzenia w nie wzrastała.

— W młodości na pewno miałeś takie jedwabiste jasne włosy — oświadczył Grunert.

— Może i tak — przyznał Pratzke z wahaniem. — Matka mówiła zawsze, że miałem włosy jak młody Siegfried.

— No widzisz! — triumfował Grunert. — I takie same włosy ma Peter.

Pratzke przysunął się trochę bliżej do skrzeczącej istoty i wyciągnął palec wskazujący. Malec nagle zamilkł. Pratzke ujął małą rączkę w swoją wielką, niezbyt czystą dłoń. Wtedy niemowlę wykrzywiło się, a Pratzke wziął to za uśmiech i oznakę instynktownej sympatii. Korciło go, aby uznać, że malec rozpoznał w nim ojca.

Pratzke uśmiechnął się radośnie podniecony. Pozostali śmiali się z ulgą.

— Cóż to za kameralne przedstawienie? — zapytał ironiczny głos od progu.

Obecni odwrócili się do mężczyzny, który teraz wszedł do pokoju. Był to Grigorij. Podszedł bliżej i obrzucił wszystkich wzrokiem. Wreszcie zatrzymał badawcze spojrzenie na noworodku.

— Doprawdy dramatyczna historia — rzekł przeciągle i dodał złośliwie: — Czy to może twoje dziecko, Grunert?

— Nie — napuszył się Pratzke. — Ja jestem jego ojcem.

— Wiesz to na pewno?

Katerina mocno się zarumieniła, odwróciła się i wyszła. Simoneit podążyła za nią wraz z dzieckiem. Pratzke po krótkim wahaniu poczłapał za nimi.

Grigorij z nieruchomą miną obserwował odejście obrażonych osób, tylko oczy błyszczały mu wesołością. Dwa zwięzłe zdania zrobiły swoje. Przynajmniej w tej chwili mógł być z siebie zadowolony.

Następnie zwrócił się do Grunerta i rzekł: — Kazałem cię szukać. Powiesz teraz, że o niczym nie wiedziałeś. Mógłbym jutro sprawdzić, czy mówisz prawdę, a wiesz, że mam na to sposoby. Sądzę jednak, że mogę sobie oszczędzić fatygi. Bo już wiem, jak się tu z tobą sprawy mają.

— A jeśli pan się myli, panie komisarzu?

— Ja się nigdy nie mylę — zapewnił Grigorij. — Moje stanowisko wyklucza wszelkie omyłki, przynajmniej jeśli chodzi o ciebie i tobie podobnych. Ale ponieważ wielokrotnie już mnie ubawiłeś, wielkodusznie dam ci możliwość przyznania się. Szczere i w porę złożone zeznanie zawsze może liczyć na pewną łagodność.

— A do czego, pana zdaniem, miałbym się przyznać?

— Mój drogi Grunert — rzekł Grigorij i przysiadł na stole operacyjnym. U jego stóp zabrzęczało szkło. Grigorij pochylił się i podniósł opróżnioną, ale jeszcze połyskującą zielonkawo butelkę. Powąchał ją i odstawił z lekceważącym uśmiechem. — Twój repertuar jest dość bogaty — od katastrofy kolejowej do przedwczesnego porodu, od zadenuncjowania własnego nauczyciela do żartów ze Związku Radzieckiego.

— To przykre, że pan mi to wszystko przypisuje — powiedział Grunert.

— Nie mam w gruncie rzeczy nic przeciwko temu — rzekł Grigorij powoli. — Jedno tylko mi się nie podoba, i to jest najważniejsze: nie podążasz moim torem! A jeśli czasem z musu to robisz, nie zważasz wówczas na mój rozkład jazdy ani na moją sygnalizację. A tego ci nie wolno. A już na pewno nie pozwolę, byś swoje brudne paluchy pakował w moje[^] najbardziej osobiste sprawy.

Grigorij wyrzucił te ostatnie słowa z taką nieoczekiwaną gwałtownością, że Grunert się przeraził. Początkowo czuł

się zagrożony, ale jeszcze w miarę pewny, bo sądził, że Grigorij blefuje; co prawda miał przeciwko niemu dowody, ale niedostateczne lub nieprawdziwe.

Dopiero ostatnie zdanie wykazało całe niebezpieczeństwo jego sytuacji. Grigorij był mocno dotknięty. Grunert milczał.

A Grigorij miał ochotę powiedzieć coś więcej: że Kateri-na bez słowa oddała mu bransoletkę. I że była to wina Grunerta. Ale nie powiedział tego. Było to zbędne. Grunert czuł, że nic się nie da naprawić, niczego nie da się wymazać. Grigorij był nieprzejednany.

Zabiję tego łotra — rzekł Wilhelm, a powiedział to takim tonem, jak gdyby stwierdzał, że wieje łagodny wiatr. — Mam tylko jedno pragnienie, by Krieger nie doczekał jutra. — Nonsens — powiedział Grunert.

Stali w swoim baraku i spoglądali w noc, w stronę jaskrawych reflektorów, które rozjaśniały niebo. Ale nie widzieli ani białych świateł, ani bladego lśnienia, tylko nasłuchiwali w ciemności. Ale poza własnym oddechem nie słyszeli nic. Byli sami.

— Przysiękłeś mi...

— Jak ty to sobie wyobrażasz? Czy mam go trzymać, podczas gdy ty rozplątasz mu czaszkę?

— Nie, zrobię to sam. — Jestem to winien mojemu zmarłemu przyjacielowi.

— Daj spokój — rzekł Grunert ostro. — Chyba nie chcesz zaprowadzić tu wendety, konkurować z Nibelunga-mi albo hołdować germańskiemu kultowi zmarłych. Także żywym jesteś potrzebny, im także jesteś coś winien. Zawsze jesteśmy coś winni innym, choć nie zawsze o tyra wiemy. Wszędzie czyhają na nas sidła współodpowiedzialności. Możesz być odpowiedzialny za złą drogę, na której rowerzysta skręci sobie kark, albo za wojnę, na której zginą miliony.

— Nie wyperswadujesz mi mojej decyzji.

Grunert pociągnął Wilhelma dalej w ciemność. Nie widział jego twarzy, ale wiedział, jak wygląda, znał wyraz podniecenia malujący się na niej i wiedział, że jest blada i zdecydowana.

— Wilhelmie — rzekł przeciągle — na twoim miejscu bałbym się, bałbym się odpowiadać na przestępstwo przestępstwem. To pociąga za sobą łańcuch brutalnych gwałtów. To prosta droga prowadząca do zbrodni. Czy nie lepiej byłoby ten łańcuch przerwać?

— Tu chodzi o sprawiedliwość.

— Wielu mówi o sprawiedliwości, a myśli o odwecie albo zemście. Uważam, że to wielkie i mądre, kiedy się robi kreskę, kiedy się przerywa łańcuch zemsty.

— Jesteś zmęczony, Grunert.

— Śmiertelnie zmęczony.

— Strach cię obleciał?

— Może.

— Albo stchórzyłeś.

— Może stchórzyłem, jeśli przeciwieństwem tchórzostwa jest oszalamiająca gotowość na śmierć.

— Dla mnie wszystko jest puste — rzekł Wilhelm. — Nie chcę już dłużej żyć, ale przedtem zginie Krieger.

— Nawet w wypadku Kriegera — rzekł Grunert z udawaną pasją — istnieje sto powodów, które go tłumaczą. Zaczynaj od jego młodości, dodaj do tego Niemcy, nie zapominaj o Sowietach, pomyśl o wojnie, weź pod uwagę także kobiety, pomyśl też o dobrej woli i szczyrych wysiłkach, o ciężkim położeniu i trudnych czasach. Jeśli to wszystko uwzględnisz, zrozumiesz, że jest on winowajcą wśród tysięcy innych. Wreszcie ja sam ponoszę do pewnego stopnia winę za śmierć twego przyjaciela.

— Jeśli naprawdę myślisz tak, jak mówisz, to skąd weźmiesz odwagę i siłę, by swoją grę doprowadzić do końca?

— Sam sobie zadaję to pytanie.

— Czy chcesz zrezygnować?

— Może teraz, w tej chwili moja gra się skończyła, może wyrok już zapadł i znajduję się na liście z dopiskiem: załatwiony! I to być może tylko dlatego, że zawiódł rozsądek

i pozwolił przemówić uczuciom. Wilhelmie, każdy człowiek ma swoje czułe miejsce, każdy, bez wyjątku. Każdy ma miejsce, gdzie go można śmiertelnie ugodzić. A kto to miejsce wykryje, może człowieka zmielić na kotlet.

— Komu ty to mówisz?

— I dlatego, przyjacielu, powinniśmy się wycofać, jeśli nie chcemy się wykrwawić. Kto chce jako tako przyzwoicie żyć, powinien żyć samotnie. Dokoła ciasny krąg, dalej mur, którego nikomu nie wolno przesadzić, którego my sami także nie powinniśmy przesadzać. Bo zetknięcie się z brudem brudzi, miłość niszczy, a nieustanne działanie wysysa ci szpik z kości.

Wilhelm milczał. Jaskrawe światło reflektorów było przesłonięte, bezgwiazdne niebo jakby się od nich oddaliło. Dokoła czaiła się cisza.

— To wszystko daremne — rzekł wreszcie Wilhelm. — Ty nie wierzysz w to, co mówisz. I ja także nie. Nie uda ci się wyperswadować mi mojej decyzji. Zabiję Kriegera.

— Tylko Kriegera? A może też Pratzkego i policjantów obozowych? I wszystkich innych, dla których ważniejsze były ziemniaki niż życie ludzkie. Tylko Kriegera, a innych nie?

— Tylko Kriegera. On dał rozkaz. A jeśli nawet zaprzecza, że dał rozkaz, to jednak zaakceptował ten mord. To jest pewne! Mógł zapobiec temu, co się stało. On jest odpowiedzialny za to, nie jego pomocnicy. Krieger musi za to zapłacić.

— A jeśli będę próbował ci w tym przeszkodzić?

— Jak chcesz to zrobić?

— Mógłbym cię unieszkodliwić.

Teraz Wilhelm się roześmiał. Jego śmiech rozlegał się w ciemności, pełen drżącej męki. I nagle zamarł. Słychać było tylko ciężkie dyszenie.

— Musiałbyś mnie zabić, Grunert, jeślibyś chciał zapobiec śmierci Kriegera.

— Może powinienem to wziąć pod uwagę — rzekł Grunert z trudem. — Patrząc na sprawę trzeźwo, twoja śmierć nie spowodowałaby gorszych skutków dla reszty niż śmierć kogokolwiek innego w tym obozie; śmierć Kriegera

natomiast może spowodować konsekwencje nie do przewidzenia.

— Jeśli nastąpi ona w nieodpowiednim czasie — uzupełnił Wilhelm.

Grunerta poruszyły te słowa. Milczał długo, wreszcie za pytał: — Dlaczego to mówisz?

— Bo chcę ubić z tobą interes.

— Chyba oszalałeś.

— Możliwe — rzekł Wilhelm i dodał po chwili: — Ale nie jestem aż taki szalony, by nie wiedzieć, co o tobie sądzić. Rzecz jasna, potrafiłbyś mnie unieszkodliwić, ale też nie zawahałbyś się w najbardziej odpowiednim czasie unieszkodliwić Kriegera. Więc wyznacz ten czas. Ale musisz mi zagwarantować, że to ja własnoręcznie zlikwiduję tego Kriegera.

— To szaleństwo — powiedział Grunert głucho.

— Przejrzałem cię — rzekł Wilhelm zatrważająco cicho. — Zrozumiałem, do czego zmierzasz. Będziesz się wahał tylko parę minut. Myślę, że przed ostateczną decyzją raz jeszcze ogarnie cię strach. Ale nie będziesz się już mógł wycofać, jeśli nie chcesz narazić własnej głowy. Teraz pójdziesz na całość. Tak samo jak ja. Weź te dwie sprawy pod uwagę i pomyśl, jak się z nimi uporać.

— Wynos się! — wrzasnął Grunert.

Wilhelm pozostał. — Wszyscy kiedyś spoczniemy w tej ziemi, wcześniej czy później. Czemu więc mamy z tym zwlekać?

— Mój Boże — rzekł Grunert cicho — do czego to doszliśmy.

Grunert — rzekł major i pochylił się do przodu — broń się. Postaraj się wytłumaczyć mi, o co tutaj chodzi.

Grunert spojrział na komendanta radzieckiego i niemal obojętnie wrzucił ramionami. Stał przed wielkim biurkiem, masywnym, lśniącym meblem, unikając badawczego wzroku majora.

— Jeśli mi nie dasz wreszcie rozsądnej odpowiedzi — wrzasnął major — każę dla ciebie sporządzić krawat ze sznura. Jeśli natychmiast nie odpowiesz, już nigdy nie będziesz mógł nic powiedzieć. A jeśli to, co powiesz, nie będzie trzymało się kupy, będą to twoje ostatnie słowa. Zrozumiano?

— Jak mogę odpowiedzieć — rzekł Grunert wreszcie — jeśli nie wiem, czego chce się pan ode mnie dowiedzieć. Jak mam się bronić, jeśli nie wiem, o co się mnie oskarża. Nie wiem nawet, przed kim mam się bronić.

— Nie masz nic na sumieniu? — Major był niemal zaskoczony.

— A kto dziś nie ma nic na sumieniu? — zapytał Grunert.

Major otworzył usta, co zapowiadało potężny ryk, ale zaraz je zamknął. Do pokoju weszła Maria. Szła z demonstracyjnie uniesioną głową, minęła Grunerta nie zaszczycając go ani jednym spojrzeniem. Podeszła do majora, uśmiechnęła się do niego i położyła na biurku kartkę.

— Dziękuję ci, moja droga — rzekł komendant zaskakująco łagodnie. I skinął Marii, która zaraz odeszła. Zerknął na kartkę, która go chyba niezbyt interesowała, po czym zapytał: — Na czym to stanęliśmy?

— Na nieczystym sumieniu.

Major przez chwilę był zaskoczony, wydawało się, że zaraz wybuchnie głośnym śmiechem. Ale opanował się i zawołał:

— Masz sumienie jak wiadro na odpadki, jak ścierka do zmywania, jak sracz. Jak śmiesz patrzeć mi w oczy? Że też cię nie dusi, kiedy słyszysz choć jedno słowo po rosyjsku! Co z ciebie za człowiek — idiota czy przestępca? Gangster czy też beczelny kapitalista? I w dodatku bez odrobiny kultury!

— Panie majorze, czasem wydaje mi się, że kulturę tutaj ja, że tak powiem, wynalazłem — wspólnie z panem, oczywiście.

— Grunert, Grunert. — Major był teraz tak zmartwiony, jakby spotkało go wielkie nieszczęście. — Jak pan mógł mi to zrobić? To tak odwzajemnia pan moją dobroć? Tak odpowiada pan na moją przyjaźń?

Grunert uniósł się ostrożnie na palcach, by zajrzeć do akt, w które major uderzył pięścią. Były alarmująco grube,

czerwonej barwy i miały dużo stempli, co wyglądało groźnie.

— Nazistowskie knowania, podżeganie do buntu, próba sabotażu, łżenie Związku Radzieckiego! — wołał major. — To wszystko zaś służbowo i oficjalnie zgłoszone, częściowo potwierdzone przez świadków. Broń się, człowieku!

— Kłamstwo, nieporozumienie, oszczerstwo albo pomyłka — odparł Grunert bez wahania. — Proszę mi dać możliwość usprawiedliwienia się i wystawienia moich świadków. — I chociaż Grunert zdawał się znać odpowiedź, zapytał mimo to: — I proszę mi powiedzieć, kto wystąpił z tego rodzaju oskarżeniami?

— Komisarz.

Grunert skinął głową. — Wiedziałem, że to on — stwierdził. — I dziwię się nawet, że brak tu jeszcze jednego oskarżenia szczególnego rodzaju i nie mniej istotnego.

— Jakiego?

— Dotyczącego zakazu obcowania z obywatelami radzieckimi.

— Owszem, jest takie!

— No to co do tego punktu proszę o zeznanie lekarki.

— Ty się przed niczym nie cofniesz! — ryknął major. — Jesteś nawet gotów wytrzeć swoje brudne łapy o towarzyszkę Katerinę. Czy nigdy nie słyszałeś o rycerskości? Ja osobiście nigdy nie twierdziłem, że jestem rycerski, ale mimo to jestem. Owszem, chętnie sobie używam, ale zawsze o tym milczę! Uszczęśliwiłem niejedną kobietę, ale nigdy nie przyszło mi do głowy wyciągać z tego politycznych korzyści. To powinno dać ci do myślenia i przypomnieć, że także jesteś mężczyzną, miejmy nadzieję, rycerskim.

— Zeznanie lekarki... — zaczął Grunert ostrożnie.

— Przyjacielu — przerwał major. — Jeśli i pod tym względem mnie rozczarujesz, stracę resztki życzliwości, jaką cię darzę, i cofnę moją osłaniającą cię dłoń. Co to oznacza, sam rozumiesz; masz dość wyobraźni. Każdy w końcu popełnia głupstwa, ale trąbić o nich — to jakby popełnić samobójstwo. Jasne?

Grunert skinął głową z lekka zmieszany. Jak zawsze, tak i tym razem nie udało mu się przejrzeć majora. Pozostawa-

ło niejasne, co było życzliwością, a co wyrachowaniem, gdzie kończyła się wielkoduszność, a zaczynało działanie celowe.

— Przesłuchanie lekarki — rzekł Grunert — zapewne wykazałoby, że wszystkie inne oskarżenia są także atakami natury osobistej. Mam na myśli to, że czysto osobiste po wody mają doprowadzić do całkowitego politycznego wyeliminowania mnie.

Major usilnie się zastanawiał. Wziął do ręki kartkę, którą przyniosła Maria, przeczytał raz jeszcze, potem rzekł: — Grunert, niech ci nigdy nie przyjdzie do głowy wygrywać mnie przeciwko moim współpracownikom. My wiemy, czego chcemy; stanowimy jedność spiętą najlepszą, najpewniejszą klamrą, jaka istnieje na tej ziemi — naszym wspólnym światopoglądem. To tak jakby pies sikając na skały sądził, że je rozsądzi. — Major zrobił lekceważący gest, jakby reszta świata była dla niego tylko śmietniskiem. Na zakończenie wydał krótki głośny ryk, po czym zawołał: — Wezwać lekarkę!

Milczał dłuższy czas. Z widoczną odrazą spoglądał na kartkę przyniesioną przez Marię. Potem w milczeniu spojrzął na Grunerta tak przenikliwie, jakby miał zamiar go sportretować.

Wreszcie nadeszła Katorina. Starając się nie patrzeć na Grunerta, podeszła do majora i przywitała się z nim z umiarkowaną serdecznością. — Czekamy na was — rzekł major znacząco. — Potrzebna mi wasza opinia.

— Jako lekarki?

— Jako towarzyszki. Ostatecznie podczas nieobecności komisarza pełniła towarzyszka funkcję jego zastępcy.

Wziął do ręki czerwonej akta i podał Katerinie. Wzięła je do ręki i zaczęła kartkować. Grunert obserwował ją zdenerwowany, zdawało mu się, że lekarka się zarumieniła. Major rozsiadł się w swym nowym fotelu i spoglądał na nią z widocznym zainteresowaniem.

— No i co, towarzyszka, co wy na to? — zapytał.

— Panie majorze — odparła Katerina zaskakująco mocnym głosem — niektóre z tych spraw są mi znane, ale nie zgadzam się z wnioskiem towarzysza Grigorija. Przeciwnie:

w jednym wypadku, dotyczącym nauczyciela Hegnera, który dokładnie zbadałam, doszłam do całkowicie przeciwnego wniosku. Jestem przekonana, że Grunert jest anty faszystą.

— Bardzo by mnie to cieszyło — rzekł major z nagłą życzliwością. — Ale oto pytanie bardziej wyraźnie sformułowane: Czy sądzicie, towarzyszeko, że tak wyraźna antypatia towarzysza Grigorija opiera się na całkowicie osobistych, by nie powiedzieć intymnych powodach?

— Tak — Katerina ani chwili się nie zawahała. — Tak sędzę.

— A co, nie mówiłem? — zawołał Grunert. — Powody osobiste. I to całkowicie nieuzasadnione!

— Uzasadnione — rzekła Katerina po prostu.

Grunert przełknął ślinę. Major siedział nieruchomy jak posąg w swoim fotelu. Katerina uśmiechnęła się. Zapanowała taka cisza, że słychać było hałas dochodzący z fabryki.

— Wynocha! — ryknął major. — Wynocha stąd, Grunert!

Grunert odszedł tak szybko, jakby musiał uciekać.

Wpadł do poczekalni. I tutaj powiedział do pisarza: — Wódki!

Pisarz uśmiechnął się do Grunerta, potem do Marii. Napelił szklankę wódką i podsunął Grunertowi, mówiąc: — Masz, bracie, więcej szczęścia niż rozumu. Normalnie już byś teraz wisiał. Ale na ten luksus chwilowo nie możemy sobie niestety pozwolić. Bo znów jesteś tu pilnie potrzebny. Generał zapowiedział swoje przybycie — chce obejrzyć najnowsze osiągnięcia radzieckiej kultury.

Generał był postawnym, eleganckim mężczyzną. Towarzyszył mu pułkownik, milczący, ponury człowiek o badawczym spojrzeniu, nawet jego mundur wydawał się o jeden stopień ciemniejszy niż mundur generała. Szedł jak czujny pies ze swoim panem, który zmierzał do bramy obozu.

Generał miał niezawodny wzrok, jeśli idzie o lustrację obozów jenieckich — podlegało mu kilkaset takich obozów. Na pierwszy rzut oka widział, że komendant ostro zabrał się do ludzi albo też postarał się zmobilizować gromadę łagodnymi metodami; widać to było po czystości panującej na ulicy obozowej, po postawie ludzi i liczbie transparentów. Widok tego obozu mógł z powodzeniem spowodować szybsze bicie jego serca — gdyby to było możliwe.

Po lewej stronie generała szedł pułkownik, po prawej major. Za nim miarowymi krokami podążali oficer dyżurny, dyrektor Grünbaum i Katerina. Grigorij, komisarz fabryki i obozu, był nieobecny, omawiał z komisarzem generała nowoczesne środki bezpieczeństwa.

Im byli bliżej bramy obozu, tym bardziej rozjaśniała się twarz generała, a tym samym, jakby automatycznie twarze otaczających go osób. Bo brama była przybrana świeżą zielenią. Sierp i młot oraz gwiazda radziecka lśniły, jakby były ze szczerego złota. A wszędzie wisiały transparenty. Zaprezentowała się również komendantura niemiecka, a także czołówka grupy K-5. Chór śpiewał ze wzruszającą serdecznością po rosyjsku: *Witaj, nasze słońce*.

Generał zatrzymał się, bo także był muzykalny, a w każdym razie zależało mu na tym, by za takiego uchodzić. Jeden z ostatnich rozkazów z Moskwy określał kulturę jako sprawę godną poparcia. Tak więc słuchał teraz razem ze swoją świtą wesołej pieśni, oglądając przy tym obóz; wszędzie widział porządek i czystość i wyczuwał dobrą wolę. To go cieszyło i zdawał się życzliwie uśmiechać.

Jednak po kilku chwilach twarz mu spochmurniała. Ponieważ pieśń składała się z pięciu strof, mógł nie tylko cieszyć się widokiem licznych transparentów, ale także miał dość czasu, by je przeczytać. A to, co tam widniało, rozgniewało go.

Bo przeczytał nie tylko: „Praca daje wolność”, nie tylko: „Uczcie się rosyjskiego, a będziecie mieli więcej z życia”, nie tylko: „Dziękujemy ci, za wszystko, Kraju Rad” — słowa, które były jako tako zrozumiałe, choć niekoniecznie można było je określić jako idealne. Ale przeczytał także: „Obudź się Rosjo, zgińcie Niemcy!”

Gdy chór skończył swoją pieśń, generał zapytał lodowato i z wyraźnym naciskiem: — Kto nasmarował to zdradzieckie gównno?

Krieger wystąpił i oświadczył: — Pozwolę sobie zameldować, że transparenty nie podlegają moim kompetencjom. — Po tych słowach cofnął się i spojrzął na Grunerta.

Grunert uśmiechnął się z trudem. — To my napisaliśmy te hasła, ale ułożył je komisarz Grigorij.

Generał stanął jak wryty, pułkownik nieco się pochylił. Twarz majora zaczerwieniła się, Katerina zbladła. Dyrektor Grunbaum uśmiechał się słabo.

— Tak jest — rzekł dobitnie Wollmann — to są hasła, które nam wpoił komisarz Grigorij.

Po tych słowach Pratzke także skinął głową, wezwany spojrzeniem Grunerta. Nie zawahał się ani chwili, by pogrążyć Grigorija, który tak szyderczo zakwestionował jego ojcostwo, a tym samym zranił jego honor. A przecież Pratzke był człowiekiem honoru!

Generał spoglądał badawczo na niemieckich jeńców, którzy niemal ufnie patrzyli mu w oczy. Potem zwrócił się do towarzyszących mu osób i rzekł ostro: — Co mam o tym sądzić? Zewnętrzne wrażenie jest bardzo korzystne. Czuję dobrą wolę i nawet przyjazne uczucia. Stwierdzam zdyscyplinowanie i radzieckie zamiłowanie do czystości i porządku. Ale irytują mnie te niebezpiecznie głupie i zdradzieckie hasła. Pytam pana, panie majorze: Czy uważa pan za możliwe, by Grigorij coś takiego zainspirował?

— Wszystko jest możliwe — rzekł major wymijająco. Generał odszedł z grupą trochę na bok i stłumił głos, by jeńcy znający język rosyjski nie rozumieli jego słów.

— Panie poruczniku, a jakie jest pana zdanie?

Oficer dyżurny wydał się sam sobie ogromnie ważny. Rzekł równie cicho, niemal jękając się z podniecenia: — Jeniec niemiecki, który kłamie w obecności oficera radzieckiego, naraża swoje życie, a ponieważ o tym wie, nie będzie kłamał.

— A towarzyszka? — zwrócił się do lekarki.

Katerina spojrzała na generała szczerze i rzekła: — Komisarz Grigorij wygłasza nieraz opinie, które można by

nazwać szokującymi, jeśli nie podejrzanymi; z obowiązku meldowałam już o tym towarzyszkowi majorowi.

— Zgadza się — rzekł major pod badawczym wzrokiem generała.

— To niezwykle interesujące — powiedział generał. I skinął do swego pułkownika, ten również skinął mu zamyślony. — Porozmawiajcie natychmiast z towarzyszem Grigorijem — szepnął.

— Czy mam rozkazać, by go z miejsca odtransportowano? — zapytał tak samo szeptem pułkownik. Czy też mam go na razie aresztować?

— Zróbcie to, co uważacie za słuszne. — Głos generała znów stał się donośny.

Pułkownik zasalutował i odszedł. Generał z powagą na twarzy ruszył dalej i zaczął przeglądać obozu. A to, co zobaczył, spodobało mu się. Drogi były dokładnie wytyczone, baraki wydawały się mniej zaniedbane niż w innych obozach. Tu i ówdzie lśniła świeża farba, przeważnie czerwień. Dobra opinia, jaką cieszył się „Czerwony Poranek”, wydawała się słuszna. Generał uśmiechnął się do majora; ten odetchnął z ulgą.

Grunert nabrał odwagi i wystąpił naprzód. Udając usłużną gotowość, powiedział: — Jeśli pan generał pozwoli, nasze obozowe siły artystyczne byłyby zaszczycone, gdyby mogły zaprezentować sztukę teatralną.

— Tak? — rzekł generał z namysłem. — Całą sztukę teatralną?

— Po rosyjsku, oczywiście — zapewnił szybko Grunert.

— Jakiegoś tak zwanego klasyka? — zapytał generał nieufnie.

— Komedję. Pod tytułem: *Ciotka Karola*.

— Aha — generał jeszcze się wahał, czy warto poświęcać czas na dłuższą imprezę artystyczną. — To zapewne kapitalistyczny autor?

— Adaptacja jest zgodna z linią — oświadczył Grunert śmiało. — Ze wstawkami baletowymi i śpiewem.

— Czemu nie! — powiedział generał. Zwrócił się do swojej świty i zapytał: — No, co panowie na to?

— Naprawdę warto zobaczyć — zachęcał major. — Dwie godziny występów skróciłyby inspekcję. A dziewczęce nogi z pewnością wywrą miłsze wrażenie niż prycze w barakach i latryny, choćby nie wiadomo jak starannie były wysprzątane.

Po krótkiej przerwie, wykorzystanej na pobieżną i życzliwą inspekcję kuchni, odbyło się przedstawienie. Wielki aktor Heinrich Wagner grał Ciotkę Karola z ogromnym komizmem. Kiedy wyszedł po raz pierwszy na scenę w kobiecym przebraniu, generał omal nie spadł z krzesła, a gdy Wagner uniósł spódnicę, by sięgnąć do kieszeni spodni, aż dusił się ze śmiechu. Major promieniał z zadowolenia. Był tak zachwycony, że nawet skinął przyjaźnie Grunertowi, co Kriegera wprowadziło w przerażenie.

I podczas gdy w komendanturze pułkownik według wszelkich reguł sztuki rozpracowywał komisarza, generał z przyjemnością słuchał wstawek muzycznych. Balet wzbudził jego szczególnie zainteresowanie, klaskał z ożywieniem i dwukrotnie zawołał: „Brawo!”.

Major sądził, że bitwa została wygrana. Generał wstał w dobrym nastroju i wyraził majorowi swoje uznanie. Potem wyraził swoje zadowolenie także Grunertowi i Kriegerowi. Następnie rzekł z szerokim gestem: — A teraz pragnę osobiście podziękować artystom.

Gdy Krieger to usłyszał, zaczął się alarmująco uśmiechać. Grunert od razu zdał sobie sprawę, co wzbudziło tak żywą radość „przyjaciela”. Jeśli generał uda się za scenę, zobaczy warsztaty, tę tajną fabrykę obozu, gdzie prywatnie wykonywano meble. I na ten widok generałowi spadną łuski z oczu. Czekają ich drakońskie kary.

— O Boże! — powiedział Wollmann i znikł.

Także major zaczął przeczuwać, co może teraz nastąpić, i z zatroskaną twarzą spojrzął na Grunerta, jakby szukając pomocy. Nawet dyrektor Grünbaum przestał się uśmiechać; jego głowa także była w niebezpieczeństwie.

Generał, niczego nie przeczuwając, ruszył za scenę. Ucisnął dłoń Wagnerowi i powiedział „nadzwyczajne” i „bardzo przyzwoite”. Spoglądał przy tym na nogi i piersi dziewcząt. Wreszcie ujrzał ukryte warsztaty obozowe.

— Jasna cholera! — mruknął major. Grunert spuścił głowę, Wollmann wyczerpany oparł się o ścianę. Krieger beczelnie szczyrzył zęby.

Generał wszedł do warsztatu krawieckiego, do stolarni i ślusarni, do pracowni malarskiej — wszystko bez słowa. Widział kostiumy, obrazy, rozmaite meble: łóżko, fotel, kanapę, regał, szafę. A wszystko to było solidne, bogato zdobione, pachniało farbą olejną, lakierem i pokostem.

Wreszcie zatrzymał się i rzekł: — Czegoś podobnego jeszcze nigdy nie widziałem.

Dookoła panowało milczenie, Wollmann zdjął czapkę i ocierał sobie głowę kolorową chustką.

— Kto jest za to odpowiedzialny? — zapytał generał. Grunert wystąpił naprzód.

Generał spojrzął na niego: — Czy mógłby pan wykonać dla mnie stół konferencyjny, mniej więcej dwa na sześć metrów?

— Tak jest — rzekł Grunert zmieszany.

— I do tego osiem krzeseł?

— Tak jest.

— Mój drogi — rzekł generał do majora. — Wykonał pan wspaniałą robotę. Trudno wyrazić, jaki jestem zadowolony. Powiadomię o tym odpowiednie władze — na pewno dostanie pan awans. Tylko tak dalej!

Tej nocy rzekomego triumfu także ulice obozowe były jasno oświetlone. W barakach paliły się żarówki godzinę dłużej niż zazwyczaj. Major kazał wydać specjalne racje, do których należały również herbata i wódka. Załoga kuchni urznęła się pokaźną resztką trunku. Radziecki personel nadzorujący brał w tym czynny udział.

We wspólnym baraku odbył się tajny wieczorek taneczny po ciemku. Wilhelm siedział w kącie, którego uparcie bronił przed miłosnymi parkami i księdzem Matthausem. Podczas gdy kapłan się modlił, jakaś kobieta piszczała,

ktoś grał na fortepianie. Wilhelm ponuro patrzył przed siebie.

Ta tajemna orgia mogła się odbyć tylko dlatego, że Gru-nert był zajęty gdzie indziej. A Wollmann ze swymi ludźmi, działając niezawodną metodą, zmobilizował do współpracy pisarza komendanta. Polecił mu załatwić samochód osobowy, i to wóz majora. A mogło do tego dojść tylko dlatego, że major był zajęty innymi sprawami.

Wollmann siedział ze swymi wypróbowanymi współpracownikami w najwytworniejszym lokalu miasta, zarezerwowanym tylko dla miejscowych dygnitarzy i ważnych gości. On zaś był „gościem z zagranicy”, wyjątkowo dobrze ubranym i w dobrym nastroju. Zaledwie usiadł, zażądał:

—Kawior, szampan krymski, przedtem kieliszek wódki.

Pisarz komendanta siedział błąd jak ściana. Bąkał coś o gościach z Niemiec — ze strefy radzieckiej oczywiście.

— Nasi towarzysze są tu w celach naukowych.

— Tak jest — grzmiał Wollmann. — I zaczniemy oczywiście od studiowania jądłospisu.

Tej nocy Grunert siedział w mieszkaniu dyrektora Grünbauma, a raczej w małym pokoiku, który ten zajmował; wisiały tu na ścianach pocztówki z Luwru, było trochę książek i szkiców fabryki. Grunbaum pakował walizkę.

— Odjeżdżam jeszcze dziś w nocy — rzekł.

— Będzie mi pana brakowało — powiedział Grunert. Dokąd pan się udaje?

— Pnę się po szczeblach w górę — rzekł Grünbaum. — I to pewnie również dzięki panu. Stale rosnąca produkcja „Czerwonego Poranka”, wspaniałe sprawozdania i udana inspekcja generała spowodowały ponowne wezwanie mnie do Leningradu, na tamtejszą politechnikę. Nie waham się teraz ani chwili, by przyjąć tę propozycję, bo jutro, jak mi się zdaje, może być za późno.

— To całkiem możliwe — przyznał Grunert.

— Kocham moją pracę — rzekł Grünbaum pochylony nad walizką. — A w tym kraju jest mi prawie obojętne, gdzie pracuję, jeśli mogę osiągnąć choć strzęp wolności osobistej. Ale pan, drogi Grunert, rozwinął swój tajemny sztandar i usiłuje pokonać swych przeciwników własnymi metodami. Jak będzie dalej? Jak pan sobie wyobraża rozwiązanie tej sprawy? Czy zawsze jeden konflikt ma pociągać następny? Czy zawsze nowe ofiary mają zastępować poprzednie? Czy sądzi pan, że droga ku lepszemu prowadzi po trupach?

— Ale co robić, jeśli nie ma innej drogi?

— Grunert — rzekł Grünbaum z naciskiem — musi istnieć inna droga i pan musi jej poszukać. Proszę mi to obiecać. Prawdopodobnie nigdy już się nie spotkamy, ale zawsze pragnę myśleć o panu przyjaźnie i nigdy pana nie zapomnę. Jeśli jednak nie znajdzie pan innej drogi przez dżunglę morderstw, będę musiał uznać, że nie zawaha się pan również przed poświęceniem przyjaciela; byle osiągnąć swój cel.

— Mógłby mnie pan o to posądzić?

— Nie uważam tego za całkowicie wykluczone, bo czyż inaczej usuwałbym się przed tym, na co się tutaj zanosi?

Major siedział w swoim pokoju zatopiony we wspaniałym fotelu. Obok stało ciężkie czerwone słodkawe wino, które przysłał do Związku Radzieckiego „bratni naród” węgierski. Popijał je niemal z nabożeństwem, myśląc przy tym: oni wszyscy nas pokochają, muszą nas tylko lepiej poznać.

— Chodź do mnie, Mario — rzekł.

Maria wstała posłusznie ze swego miejsca przy piecu. Wzięła swoją szklaneczkę i stółek i usiadła u stóp majora. Nie drgnęła, kiedy poczuła jego ciężką dłoń na swoim ramieniu.

Major powąchał wino i zaczął popijać. — Pociągał czerwony płyn i przytrzymał go w ustach, zanim połknął.

— Jesteśmy narodem kulturalnym — rzekł. — Ale nie mamy czasu oddawać się naszym zamiłowaniom, bo każdy, kto jest dobry i wielki, ma wrogów. Chętnie byśmy jedli jak Francuzi, żyli beztrosko jak Włosi, byli zimnokrwieści jak Anglicy — ale jesteśmy skazani na to, by we wszystkich istotnych punktach upodabniać się do was, Niemców, do waszej cholernej dzielności, waszego zamiłowania do dobrej organizacji, do waszych głupich ideałów, wyczynów, pracy i działania. To mnie czasem bardzo martwi.

— Może — rzekła Maria — byłby to powód, by nas zrozumieć?

— Cholera — rzekł major ociężale — o to właśnie chodzi. Kochamy Niemców! Kochamy Francuzów, Włochów, nawet Amerykanów — kochamy cały świat! Ale cały świat odpycha nas od siebie. Dla tego świata jesteśmy barbarzyńcami, krwawymi psami, głupimi bestiami. Nikt nas nie kocha!

Major opuścił ciężką od wina głowę. Jego ręka spoczywała na karku Marii i niemal odruchowo przesuwiała się do nasady włosów.

— Nie powinien pan od razu sięgać do gwiazd — rzekła Maria. — Nie wolno być tak nieumiarkowanym, nie należy zbyt przesadzać z okazywaniem miłości. W ten sposób obudzi pan wzajemność.

— Czy mogłabyś mnie pokochać? — zapytał major; jego ręka, spoczywająca dotąd lekko na karku Marii, jakby zeszywniała.

— A czy pan mnie kocha? — Maria z napięciem spojrzała na niego.

— Tak — rzekł z trudem.

— I Niemkę we mnie kocha pan także?

Major patrzył przed siebie ponuro. Wino szumiało mu w głowie. Pochylił się, ciężko dysząc.

— Dobry z pana człowiek. Mógłby pan zrobić ze mną, co tylko by pan chciał; mógłby pan mnie bić, zmuszać do wszystkiego. Ale pan tego nie robi.

— Bo pragnę kochać — rzekł major. I dodał ledwo do słyszalnie: — Bo pragnę być kochany.

Krieger zebrał swoją klikę. Ludzie spoglądali na niego zdecydowanie. U jego boku siedział Pratz-ke, szef policji oraz tak zwany minister pracy. Krążyły butelki z wódką.

— Nie mamy wyboru — rzekł Krieger. — Musimy skończyć z tym draniem Grunertem i jego bandą.

— Jutro może być za późno — rzekł nadzorca robotników. — Bo jutro kończą się śruby typu „M-17” — a tym samym stanie cała produkcja w „Czerwonym Poranku”.

— Z winy Grunerta!

— Możliwe — rzekł ów organizator pracy w fabryce. — Prawdopodobnie tak jest. Ale to nie zmienia faktu, że nie możemy Grunertowi niczego dowieść, chyba że przemocą. Ale nawet to nie przyniesie nam korzyści w postaci potrzebnych śrub. A jedno jest pewne: tylko my jesteśmy odpowiedzialni za przebieg pracy — my: ja, Krieger i majstrowie. Wszyscy bez wyjątku, którzy siedzą na kluczowych stanowiskach, to nasi ludzie. My wszyscy, którzy teraz gapimy się na siebie, zostaniemy pociągnięci do odpowiedzialności.

Wódka krążyła coraz prędzej. Świece oświetlały bezradne i pełne wściekłości twarze. Krieger ponuro patrzył przed siebie. Tylko Pratzke się uśmiechał. Miał genialny pomysł.

— A więc przyjaciele — rzekł — zastanówmy się spokojnie! Po pierwsze, brak specjalnych śrub „M-17” do montażu. Po drugie, bez tych śrub „Czerwony Poranek” stanie i wtedy koniec z nami, bo muszą się znaleźć winowajcy, a tym razem my nimi będziemy. Poza tym, w takim decydującym momencie nie możemy sobie pozwolić na żadną awarię. Po trzecie, musimy zdobyć te śruby, choćby wyciągnąć je diabłu spod ogona. Po czwarte, gdzie są te śruby? Tylko w gotowych traktorach stojących w szopie przy stacji załadunkowej. Po piąte, wniosek stąd jest taki: dziś w nocy wymontujemy te śruby z gotowych traktorów, przyniesiemy do hali, tak że jutro będziemy mieli dostateczną ich liczbę. Tylko w ten sposób utrzymamy zakład w ruchu.

— Do jasnej cholery! — rzekł „minister pracy”. — To najbardziej zwariowany pomysł, z jakim się kiedykolwiek

zetknąłem, ale jest sensowny. I jedyny, jaki może wchodzić w rachubę.

Krieger zgodził się po krótkim wahaniu. Podziękował Pratzkemu za jego wspaniały pomysł i natychmiast rozkazał zebrać grupę demontażową. Wyraził zgodę na wydanie dodatkowych pięciu butelek wódki ku ogólnemu pokrzepieniu.

— Przyjaciele — rzekł ufnie — najpóźniej jutro wieczorem Grunert i jego oddział przestaną istnieć. Postawimy mu ultimatum; zażądamy, by oddał swoje warsztaty pod nadzór niemieckiej komendantury. To znaczy nasz. Jeśli się nie zgodzi, damy mu popalić. Rozwalimy mu budę; nie oglądając się na straty; resztę zainkasujemy sami.

Co z nami będzie? — powiedziała Katerina i swoimi wielkimi oczami spojrzała pytająco na Grunerta. Siedzieli na łóżku w pokoju Kateriny. Lekarka zdjęła swoją bluzę mundurową; w białej bluzce wyglądała bardzo kobieco i wręcz niepokojąco krucho. — Co z nami będzie? — zapytała ponownie.

— Nie wiem — rzekł Grunert zgodnie z prawdą.

— Chyba musisz o czymś myśleć, o czymkolwiek?

— Moje myśli nie sięgają dalej niż do tej chwili. Nie mam nawet odwagi pomyśleć o najbliższej przyszłości, a już zupełnie nie o tym, co będzie jutro. Grigorij się nie uspokoi, dopóki mnie nie wykończy.

— Grigorij już ci nic nie zrobi — powiedziała Katerina.

— A to dlaczego?

— Zeznałam na jego niekorzyść.

— Obciążyłaś go, a tym samym wydałaś na niego wyrok? — rzekł Grunert z niedowierzaniem. I nie wiedział, czy ma być wdzięczny, zdumiony, czy oburzony. — Pomogłaś go wykończyć, i to wbrew własnemu sumieniu?

— Wybrałam pomiędzy nim a tobą. — Katerina nie spuszczała oczu z Grunerta. — Nie miałam innego wyjścia.

— Dlaczego — rzekł Grunert spuszczać głowę — istnieje tylko taka alternatywa? Dlaczego nie możemy myśleć po ludzku i postępować rozsądnie?

— Czuję tylko miłość — powiedziała Katerina.

Doc zakończyła się głośnym śpiewem. Wollmann i jego najbliżsi współpracownicy dotarli do bramy obozu. Pisarz komendanta z musu im towarzyszył; stanął zmieszany przed wartownikiem i zameldował: — Powrót specjalnego komanda!

Wollmann i jego ludzie, wypełnieni najszlachetniejszym krymskim szampanem, podnieśli głosy. Śpiewali głośno i bardzo ckliwie *Międzynarodówkę*. Ale podłożyli pod tę melodię nowy, własny, niemiecki tekst; był on co prawda pokojowy, ale niestety dość świński.

Pisarz niemal skręcał się ze wstydu, bo przecież rozumiał po niemiecku. Strażnik, który na szczęście nie znał niemieckiego, śmiał się wesoło i klaskał w dłonie.

— Niech żyje! — wrzeszczał Wollmann. — Niech żyje! — Kto ma żyć, pozostawił sprawą otwartą.

Dzajutrz wszyscy mieli ciężkie głowy, byli ospali i odczuwali niepokój. Na razie było tak, jakby nic szczególnego się nie działo. Ranna zmiana „Czerwonego Poranka” była na posterunku, druga połowa jeńców leżała w oczekiwaniu na pryczach. I nawet radzieccy strażnicy wykonywali swoje obowiązki ospale i z niechęcią.

Krieger natomiast musztrował ludzi ze swojej kliki. Narysował na podłodze szkic wspólnego baraku. Pomagając sobie tym szkicem po raz trzeci dokładnie omówił ułożony plan. W trzech miejscach starannie zamknąć, od strony cmentarza upozorować włamanie, potem przedostać się do

magazynu trumien. Cel pierwszy: pozbyć się z magazynu ludzi Grunerta. Cel drugi: unieszkodliwić i zamknąć Grunerta, Wollmahna i Wilhelma — wszelkimi środkami. Cel trzeci: przejąć siłą warsztaty i teatr obozowy przy pomocy specjalnie do tego celu przewidzianych i wyszkolonych ludzi.

— A jeśli Grunert będzie na tyle sprytny, że uniknie przemocy? — zapytał Pratzke.

— Ma tylko dwie możliwości: albo do godziny dwudziestej przekaże mi cały oddział K-5, albo przejmemy jego i jego bandę siłą. — Krieger uważał, że to całkiem proste. — Major się nie wtrąci, ma co innego do roboty, a Grigorij zdaje się wyjechał.

Pratzke skinął głową. Przyglądał się jeszcze chwilę przygotowaniom, potem opuścił barak niemieckiej komendantury, gwizdząc po drodze. Udał się prosto do wspólnego baraku w poszukiwaniu Grunerta.

Znalazł go w pobliżu sceny, na której odbywała się próba *Śmierci Wallensteina*, akt piąty, scena druga:

MACDONALD: *Do Chebu wieść go — przed nami się chlubił.*

BUTTLER: *Tom wszystko uczynił, bym go pewniej zgubił.*

DEVEROUX: *To — tak? Rozumiem!*

MACDONALD: *Rzeczy w innym szyku.*

— Krieger wykończy cię dziś wieczorem podczas przedstawienia *Śmierci Wallensteina* — powiedział Pratzke prosto z mostu. Ja zaś będę musiał spełnić swój obowiązek i wziąć w tym udział. Mówię ci o tym, bo jesteś moim przyjacielem.

Na scenie aktor grający Deveroux wołał: fr.»;w

Fortuna hasłem, myśmy jej żołnierze, Kto więcej daje, ten nas pierwszej bierze.

— Pratzke — rzekł Grunert życzliwie — ponieważ jesteś moim przyjacielem, a poza tym do pewnego stopnia ojcem rodziny, muszę cię ostrzec: — Grigorij nie wyjechał, tylko został aresztowany. Major patrzy z sympatią na moje po-

czynania, bo słucha Marii, która z kolei słucha mnie. Lekarka, która teraz znów przejęła funkcję komisarza, jest po naszej stronie. Następca dyrektora Grünbauma najpóźniej jutro będzie całkowicie zdany na nas, bo tylko my możemy się postarać o to, by „Czerwony Poranek” nie został unieruchomiony. Jasne?

I podczas gdy Pratzke się zastanawiał, na scenie dalej odbywała się próba; wciąż scena druga piątego aktu:

BUTTLE: *Już po nim teraz, zgasło szczęście jego.*

MACDONALD: *Czy pewnie?*

BUTTLE: *Nigdy nie zatleje, ubogi jak my.*

MACDONALD: *On? Jak my ubogi?*

DEVEROUX: *No, Macdonaldzie, słyszysz, co się dzieje?
Opuścić trzeba, bierzmy za pas nogi!*

— Jeśli jest tak, jak mówisz — rzekł Pratzke wreszcie — to jest to już tylko kwestia honoru.

— No właśnie — odparł Grunert.

Pratzke skinął głową. Następnie dokładnie wyłożył Gru-nertowi plan Kriegera; od siebie udzielił jeszcze bliższych wyjaśnień i kilku rzeczowych rad. — Mam nadzieję

— rzekł — że docenisz moje zaufanie, ale taki już jestem, zawsze staję po stronie słusznej sprawy.

Po czym znów powędrował do komendantury. Krieger kończył właśnie udzielanie instrukcji. Klika została podzielona i zaopatrzona w pałki. Specjalne racje były zapewnione, poza tym kusiły nowe intratne stanowiska. — Drodzy koledzy — rzekł Krieger — stoimy przed ważną decyzją. Za kilka godzin okaże się, kto jest prawdziwym panem w tym obozie. I wierzę, że nikt z was nie zawaha się spełnić swojego obowiązku, zwłaszcza że ja nie waham się mianować jako waszego przywódcę w tej walce naszego najlepszego i najpewniejszego człowieka — Pratzkego.

Wszystkie oczy skierowały się na Pratzkego, który poczuł się nagle zaskoczony. Najwyższy czas, pomyślał, pozbyć się tego Kriegera, staje się coraz bardziej niebezpieczny. Bo jasne jest, do czego zmierza przez organizowanie tego napadu. Nie ufał mu i chciał go unieszkodliwić.

— Mój drogi kolego — rzekł Pratzke — twoje wyróżnienie bardzo mi pochlebia, ale niestety nie mogę się podjąć tego zadania.

— Odmawiasz?

— Bardzo mi przykro — zapewnił Pratzke. — Ale ostatecznie jestem ojcem rodziny i nie mogę zapominać o swoich obowiązkach wobec matki i dziecka.

— Czy to twoje ostatnie słowo?

— Przedostatnie — odpowiedział Pratzke z udaną niefrasobliwością. Spoglądał na Kriegera rozpromieniony. — Zresztą wiem dobrze, co wypada, bo pod względem koleżeństwa nikt mi nie dorówna. Nie mogę odbierać ci sławy. Wycofuję się, byś sam mógł pokierować całą akcją.

Krieger zbladł. Patrzył na Pratzkego, jakby chciał się na niego rzucić. Grupa śledziła ten dziwny spór z mieszanymi uczuciami.

— A może nie chcesz? — zapytał Pratzke z łagodną ironią.

Krieger rzekł głucho i zdecydowanie: — W porządku! Osobiście pokieruję akcją.

Wilhelm niemal z lubością spoglądał na swoją kanciastą pałkę, którą sam, z całym poświęceniem, wystrugał.

Role były ostatecznie podzielone.

Doradzał przy tym sam Pratzke, który, jak mówił, „poświęcał się dla swojej drogiej rodziny”. Artyści z „żywym pociskiem” na czele czatowali w magazynie trumien. Zespół operowy miał zablokować drzwi do garderoby. Na cmentarzu ukryli się członkowie kapeli tanecznej, zaopatrzeni w różnego rodzaju pociski.

Warsztaty zostały zaciemnione. Wilhelm skradał się od okna do okna, czatował na Kriegera. Wollmann kazał sporządzić sobie maczugę, a jako broń zastępczą cep.

Podczas gdy obrońcy, przyczajeni, czekali na atak, przed niczego nie podejrzewającą publicznością grano

Śmierć Wallensteina. Stary Wagner przechodził samego siebie, jego głos jakby wietrzył zgiełk, zniszczenie, śmierć. Gdyby cały barak się zawalił, publiczność sądziłaby, że to wspaniała pomyśl reżysera. Na scenie aktor grający Buttlera wołał:

Tu cicho stójcie, aż dam znak po temu.

— Nadchodzą — rzekł Wilhelm zduszonym głosem. Spo glądał przez okno w mrok i ujrzał cienie ludzi Kriegera, którzy się podzielili i posuwali w kierunku poszczególnych stanowisk wyjściowych.

Na scenie wołał Gordon:

Już zbójców wieździe!

Wszędzie panowało napięcie. Wollman, który miał przyjąć pierwsze uderzenie, pochylił się do skoku. Klika Kriegera stała gotowa do ataku. Ludzie, którzy mieli oświetlać arenę walki, leżeli na dachu baraku, ciężko dysząc.

Na scenie Buttler krzyczał:

Wylamcie drzwi!

W tej samej chwili rozległ się za ścianą dziki tumult. Trzaskało drewno, rozpryskiwało się szkło, padały głucho uderzenia, słychać było zduszone okrzyki i wołania. Drwale sprawiedliwości przystąpili do akcji.

Wilhelm jako ostatni włączył się do krótkiej, dzikiej walki, a uczynił to dopiero wówczas, kiedy rozpoznał Kriegera. Krzyknął i rzucił się w tłum na swego śmiertelnego wroga.

— Ty psie! — wrzasnął.

Potem już nie krzyczał. Sapał tylko, kiedy uderzał Kriegera, i jęczał, kiedy sam był ugodzony. Przestał bić dopiero wówczas, kiedy Krieger już leżał na ziemi. Wilhelm upadł dopiero wtedy, kiedy się przekonał, że dopiął tego, co było jedynym i ostatnim celem jego życia.

To niepoahomowane, dzikie zniszczenie pośród jaskrawego światła reflektorów sprawiło, że napastnicy znieruchomieli. Cofnęli się przerażeni. Potem uciekli.

Obrońcy sądzili, że odnieśli wspaniałe zwycięstwo. Publiczność także skłaniała się do tej opinii; uważała, że jest

świadkiem jedyne go w swoim rodzaju wyczynu reżyserskiego; po krótkim wahaniu zaczęto głośno bić brawo.

Dużo później zjawił się Pratzke i z satysfakcją obejrzał pole walki. Skinął Grunertowi i gestem wyraził gratulacje i uznanie. Nieliczne pytające i oskarżające spojrzenia zbył ze swą zwykłą wspaniałomyślnością.

W tym momencie Buttler recytował na scenie:

*Cóż moją winą? Nie mniej teraz wrzaski? Żem
wroga kraju zgubił moją sprawą, Kraj cały
zbawił, mam nagrody prawo.*

— To wszystko — rzekł Pratzke — jest godne pożałowania, ale nie się już nie da zmienić. Poczciwy Krieger nie żyje. Pokój jego duszy. Aby jednak obóz nie pozostał bez komendanta, ja się poświęcę i przejmę jego obowiązki. Ostatecznie życie musi toczyć się dalej.

Major miał wszelkie powody, by czuć się jak Hiob. W każdym razie władca obozu jakby oniemiał, co było wydarzeniem sensacyjnym. Obecni otaczający jego biurko spoglądali na niego z obawą. Nikt jeszcze nie wiedział, jak skończy się ta narada, ale każdy był przygotowany na najgorsze.

— Jak mordercy — rzekł wreszcie major zduszonym głosem.

— Krieger wyraźnie był napastnikiem — rzekł Grunert. — Moim ludziom nie pozostało nic innego, jak się bronić.

— Gdybym we właściwym czasie został komendantem obozu, nigdy by do tego nie doszło — zapewnił Pratzke.

— Śmierć Kriegera nastąpiła natychmiast — oznajmiła Katerina. — Nie jestem pewna, czy Wilhelm przeżyje. W ogóle musiałam udzielić pomocy siedemnastu osobom, z tego dziesięć odniosło ciężkie obrażenia.

— Jak mordercy — powtórzył major i zapadł w ponure milczenie. Wreszcie rzekł: — Mam ochotę zażądać wzmoc-

nienła straży obozowej, przeczesać cały teren, część obozu rozwiązać i przetransportować daleko za Ural.

— Gdzie prawdopodobnie i pan by trafił, panie majorze — rzekł Grunert cicho.

— Co? — ryknął major swym dawnym donośnym głosem. Uderzył pięścią w stół i zerwał się. — Co to ma znaczyć? Jak śmiałeś mi to powiedzieć, ty łobuzie, gnojku, bydlaku, łotrze!

Grunertowi udało się upozorować spokój. — Panie majorze — rzekł — chciałbym jedynie zaznaczyć, że lepiej byłoby nie podnosić większej wrzawy wokół tego wydarzenia. Rozwiązanie obozu bowiem zawsze pociąga za sobą przymusowe przemieszczenie jego komendanta. Jeśli natomiast dałoby się uniknąć jednego i drugiego — czemu nie mielibyśmy tak postąpić? Dobrą wolą i porcją mądrości da się wszystko załatwić.

— I jest jeszcze coś, co należy załatwić możliwie najprędzej, i to gruntownie — rzekł Pratzke.

— Co jeszcze? — zapytał major.

— Od wczoraj brakuje nam śrub typu „M-17”.

— Bzdury — odparł major. — Części zamiennych mamy wystarczająco dużo. Gdybyśmy nie mieli tych śrub, zakład by stanął.

— Toteż stanie — rzekł Pratzke — najpóźniej dziś w południe.

Major bezsilnie opadł na fotel. Maria postawiła przed nim szklankę z wódką. Major podziękował. Potem rzekł:

— Gadaj dalej, człowieku, wyduś z siebie wszystko, co wiesz!

— Zapas śrub skończył się wczoraj — rzekł Pratzke. — By zakład nie stanął, ludzie Kriegera wymontowali je z gotowych traktorów i wmontowali w traktory znajdujące się na taśmie.

— To niemożliwe! — zawołał major.

Pisarz położył przed nim meldunek. Major niespokojnie wziął go do ręki, przeczytał i upuścił na biurko. — To sabotaż — rzekł głucho — sabotaż na wielką skalę. Za to grozi kara śmierci. Ten, kto to zrobił, kto to pośrednio lub bezpośrednio popierał, kto o tym wiedział i nie zameldował, kto

zaniebwał obowiązku nadzoru — zostanie rozstrzelany. Jest już martwy. Również ja...

Major urwał w środku zdania. Omal nie wydał na siebie wyroku. Rozglądał się zaskoczony i bezradny. Patrzył na pełne oczekiwania twarze. Tylko Maria zareagowała inaczej. Wydawało się, że patrzy na niego przerażona.

— To jest możliwe — rzekł Grunert po dłuższej pauzie — ale tak być nie musi. Czemu nie miałyby się usunąć awarii?

— Czy uważa pan, że te brakujące śruby dałoby się skądś zdobyć w wystarczającej ilości, bez dodatkowych kosztów? Wierzy pan w to?

— Ja to wiem — rzekł Grunert po prostu.

— Ty draniu! — wrzasnął major, ale w tym słowie wyczuwało się uznanie. — A potem ryknął: — No to jazda! Wyrzuc to z siebie! Co za to chcesz?

— My wszyscy — odparł Grunert — pragniemy, aby w obozie i w zakładzie wszystko toczyło się w należyтым porządku. Pragniemy żyć na przyzwoitym poziomie i podnosić produkcję. Pragniemy harmonijnej współpracy i zgody.

— Chłopie! — zawołał major. — Po co ta cała patetyczna mowa! Do rzeczy!

— Widzę, że się rozumiemy — stwierdził Grunert uprzejmie. I dalej nie okazywał ani wyraźnej ufności, ani też radosnej przewagi. Pozostał nadal skromny jak petent przed okienkiem, za którym siedzi urzędnik sprzedający znaczki pocztowe.

— Ale — rzekł Grunert — ponieważ cała organizacja zarówno po jednej, jak i po drugiej stronie leży, trzeba teraz postawić odpowiednich ludzi na odpowiednich stanowiskach, aby wszystko naprawili. Dlatego proponuję Pratzkego na komendanta obozu, a Wollmanna na kierownika grupy roboczej.

— I co dalej?

— To wszystko.

— Zgoda! — A potem major ryknął pełnym głosem: — A teraz zjeżdżajcie stąd! Precz z moich oczu, hołoto! Tylko Grunert niech zostanie.

Zebrani wstali ochoczo i wyszli zadowoleni z gabinetu.

Major i Grunert siedzieli nadal, nie ruszali się, tylko spoglądali na siebie, aż za ostatnią osobą zamknęły się drzwi.

— I po co to wszystko? — zapytał major wreszcie.

— Sądzę, panie majorze — powiedział Grunert nagle — że wszyscy ludzie są od siebie uzależnieni, tylko nie zawsze o tym wiedzą.

— Mój drogi — odparł major — nie znasz ludzi. Ludzie to bydlęta.

— Dlatego usiłuję na swój sposób i w miarę swoich możliwości trochę ich zmienić, przynajmniej kilku. Czyż nie należy stale zabiegać o zredukowanie głupoty? Aby było trochę mniej bydła i mniej rzeźników?

— Rób to, chłopcze — rzekł major ze sceptycznym uśmiechem.

— I niech ci w tym nie przeszkodzi trochę morderstw i od czasu do czasu jakaś wojna. Powiedz mi tylko jeszcze jedno, zanim zapomnisz: czego żądasz dla siebie osobiście?

— Niczego!

— A to dlaczego?

— Bo jestem zmęczony. I dlatego, że się boję. — Wydawało się, że Grunert zapomniał, z kim rozmawia, i ciągnął dalej: — Są chwile, kiedy jak zwierzę czuję gdzieś daleko ogień. I zastanawiam się, czy cierpliwość Boska nigdy się nie skończy?

— Mój drogi — rzekł major na wpół ubawiony, na wpół ze współczuciem — wydaje się, że naprawdę jesteś chory. Może byś poszedł na czternaście dni do lazaretu. Tam znajdziesz troskliwą opiekę.

— Niezły pomysł — uśmiechnął się Grunert słabo.

— Ale tymczasem wzmocnijmy się, byśmy mogli spokojnie spoglądać w przeszłość.

Podczas gdy obaj pili, do pokoju wszedł obcy mężczyzna. Wyglądał jak Grigorij. — Jestem nowym komisarzem — rzekł. — Przybywam ze specjalnymi pełnomocnictwami. Mam zamiar od razu przystąpić do pracy.